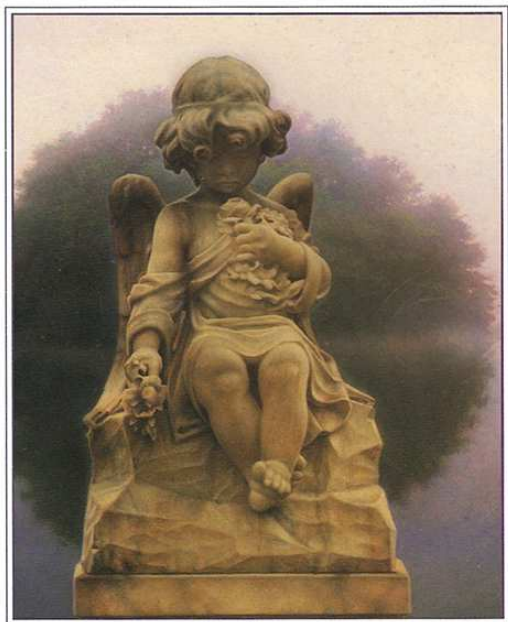


GRAHAM SWIFT



Kraina wód

Prószyński i S-ka

GRAHAM SWIFT

Kraina wód

Przełożyła
Aleksandra Ambros

Prószyński i S-ka
Warszawa 1998

Dla Candice

Nasz kraj był bagnisty...

Karol Dickens: „Wielkie nadzieje”

Historia, -ae: 1. badanie, dochodzenie, wiedza.

2. a) przebieg minionych wydarzeń, dzieje; b) każdy rodzaj narracji: relacja, opowiadanie, opowieść.

1

O gwiazdach i jазie

I nie zapominaј – powiedział ojciec, jak gdyby oczekiwał, że lada chwila zerwę się na równe nogi i wyruszę na poszukiwanie szczęścia w szerokim świecie – choćbyś nie wiem czego dowiedział się o ludziach, choćby okazali się najgorsi, że każdy z nich ma serce i że każdy był kiedyś maleńkim dzieckiem ssącym mleko matki...

Słowa jak z bajki, rady jak z bajki. Ale też żyliśmy w miejscu jak z bajki. W domku dozorczy śluzę, nad rzeką, w samym sercu Fenów. Z dala od szerokiego świata. A mój ojciec, który był człowiekiem przesądnym, lubił wszystkiemu, co robił, nadawać sens magiczny i nadprzyrodzony. Tak więc samolówki na węgorku zastawiał zawsze nocą. Nie dlatego, żeby samolówek na węgorku nie dało się zastawiać w dzień, ale dlatego, że pociągała go tajemnica ciemności. Którejś nocy w pełni lata 1937 roku poszliśmy z nim, Dick i ja, zastawić samolówki nieopodal Mostu Stotta. Było gorąco i bezwietrznie. Po zastawieniu samolówek położyliśmy się na brzegu rzeki. Dick miał czternaście lat, ja dziesięć. Pompy dudniły rytmicznie, jak to robią cały czas, bez przerwy, tak że wszędzie na Fenach już ledwo się je słyszy, a żaby rechotały w rowach melioracyjnych. Wysoko w górze niebo roilo się od gwiazd, których zdawało się przybywać, w miarę jak się w nie wpatrywaliśmy. I kiedyśmy tak sobie leżeli, tata powiedział:

– Czy wiecie, czym są gwiazdy? Są srebrnym pyłem bożego błogosławieństwa. Odłupanymi kawałeczkami nieba. Bóg spuścił je na nas. Ale kiedy zobaczył, jacy jesteśmy niegodziwi, rozmyślił się i rozkazał gwiazdom się zatrzymać. Dlatego wiszą na niebie, ale wyglądają, jakby miały w każdej chwili spaść...

Bo mój ojciec oprócz tego, że był człowiekiem przesądnym, miał także dar opowiadania. Historii zmyślonych i historii prawdziwych, historii uspokajających i historii ostrzegających, historii z morałem oraz takich, z których nie wynikało zgoła nic, historii wiarygodnych i niewiarygodnych, historii, które nie były ani takie, ani siakie. Był to dar dziedziczny. Ale moja matka również posiadała ów dar – i być może ojciec przejął go od niej. Ponieważ kiedy byłem małym dzieckiem, to matka pierwsza opowiadała mi historie, które w przeciwieństwie do ojca czerpała również z książek, nie tylko z głowy, a które miały pomóc mi usnąć.

Od śmierci matki, co nastąpiło sześć miesięcy przed ową nocą, kiedy leżeliśmy przy samołówkach pod gwiazdami, bzik ojca na punkcie ciemności, jego nocny niepokój przybrały jeszcze na sile. Jakby ciągle rozmyślał nad jakąś historią, która dopiero miała być opowiedziana. Widywałem czasem, jak w świetle księżyca oglądał zagony warzyw albo rozmawiał z kurami na grzędzie, albo spacerował tam i z powrotem wzdłuż wrót śluzy albo wzdłuż jazu, a przesuający się ognek papierosa sygnalizował jego ruchy.

Mieszkaliśmy w domku dozorczy śluzy nad rzeką Leem, która wypływa z Norfolk i łączy się z Wielką Ousą. Nikomu nie trzeba mówić, że ziemia w tej części świata jest płaska. Płaska płaskością bezkompromisową i monotonną; można by powiedzieć, samą w sobie wystarczającą, żeby wzbudzić w człowieku niespokojne i odpędzające sen myśli. Od wałów nad Leemem rozciąga się po horyzont; jednolitą barwę, czerń torfu, ożywiają tylko uprawy: szarozielone liście kartofli, niebieskozielone liście buraków, żółtozielona pszenica; jednolitą równinę zakłócają tylko linie wyżłobionych i prostych jak strzelił rowów i kanałów, które zależnie od stanu nieba i wysokości słońca, niby srebrne, miedziane albo złote druty przecinają pola i które, kiedy stanąć i wpatrzeć się w nie, zmuszają do zamknięcia jednego oka i pogrążenia się w bezowocnych medytacjach nad prawami perspektywy.

A jednak ta ziemia, tak jednostajna, tak otwarta, tak ujarzmiona i zagospodarowana, zmieniała się w moim pięcio- czy sześćioletnim umyśle w dzikie pustkowię. W te wieczory, kiedy matkę udało się skłonić, aby mi opowiadała, mogło się zdawać, że nasz domek dozorczy śluzy znajduje się w środku jakiegoś Nigdzie, a łoskot pociągów zmierzających w kierunku King's Lynn, Gildsey i Ely przypominał wycie potwora dopadającego nas w naszym odosobnieniu.

Kraina baśni, bądź co bądź.

Ojciec doglądał śluzy na rzece Leem, dwie mile od miejsca, gdzie Leem łączy się z Ousą. Ponieważ jednak dozorca śluzy nie ma zbyt wielu obowiązków, a jego wynagrodzenie, w które wlicza się darmowe mieszkanie w domku, jest mizerne, i ponieważ żegluga rzeczna w latach trzydziestych praktycznie już nie istniała, ojciec uprawiał też warzywa i hodował kury oraz łapał węgorze. Tylko podczas obfitych opadów lub odwilży porzucał te uboczne zajęcia. Wtedy musiał obserwować poziom wody i przewidywać jego wysokość. Wtedy musiał podnosić zastawki jazu, który jak olbrzymia gilotyna przecinał nurt w dalszej części rzeki. Bo rzeka przed naszym domkiem rozdzielała się na dwa kanały: w bliższym znajdowała się śluza nawigacyjna, w dalszym jaz, a w środku solidny ceglany pirs, maleńka wysepka, na której stała budka z maszyną. Zanim jeszcze rzeka podniosła się zauważalnie, zanim zmieniła barwę, ukazując mleczny brąz norfolkskich wzgórz kredowych, z których wypływała, ojciec wiedział, kiedy przejść po wrotach śluzy i wszczać – ze zgrzytem metalu i szumem uwolnionej wody – operację podnoszenia zastawek.

W normalnych warunkach pozostawały opuszczone prawie do dna rzeki, a ich twarde ostrza piętrzyły wolno toczący się Leem, umożliwiając przepływ statków. Wtedy woda w zbiorniku powyżej, podobnie jak w basenie nawigacyjnym, stawała się gładka i spokojna i wydzielala zapach charakterystyczny dla miejsc, gdzie stykają się świeża woda i ludzka pomysłowość – stale obecny na Fenach. Wilgotny, mulisty, ale dziwnie ostry, nostalgiczny zapach. Zapach na wpół ludzki, na wpół rybi. W takich okresach ojciec miał mnóstwo wolnego czasu dla swoich samolówek i warzyw i niewiele zajmował się jazem, jeśli nie liczyć walki z rdzą, oliwienia trybów oraz oczyszczania wody z gromadzących się odpadów.

Bo niezależnie, czy była powódź czy nie, Leem bezustannie znosił łupy w postaci rozmaitych szczątków. Witki wierzbowe, gałęzie olszyny, turzycę, żerdzie z płotu, pojemniki, starą odzież, martwe owce, butelki, worki od kartofli i nawozów, bele słomy, skrzynki na owoce. Wszystko spływało z prądem, natykało się na bramę jazu i musiało być usunięte za pomocą bosaków i grabi.

I tak pewnej nocy w środku lata, kiedy wstrzymane błogosławieństwo boże świeciło na niebie – było to kilka lat po tym, jak nam ojciec opowiadał o gwiazdach, ale tylko dwa czy trzy, jak zaczął mówić o sercach i o mleku matki; odgłos pomp ginął teraz wieczorami w ryku startujących bombowców (ściśle biorąc był lipiec 1943) – coś spłynęło Leemem, uderzyło o żelazną konstrukcję jazu i szarpane przez wir obijało się i ocierało o nią do rana. Coś niezwykłego, co pojawiło się po raz pierwszy i czego nie można było usunąć tak po prostu jak gałęzi czy worka po kartoflach albo nawet martwej owcy. Bo owo coś to było ciało. A ciało należało do Freddiego Parra, który mieszkał niespełna milę od nas i był w moim wieku, z różnicą miesiąca w tę czy w tamtą.

2

O końcu historii

Dzieci. Dzieci, które odziedziczycie świat. Dzieci (bo zawsze, nawet jeśli byliście piętnasto-, szesnasto-, siedemnastoletnimi kandydatami do tego upupiającego miana „młodzieży”, zwracałem się do was po cichu per „dzieci”), dzieci, przed którymi stawałem przez trzydzieści dwa lata, żeby wyjaśniać tajemnice przeszłości, ale przed którymi mam już nie stawać więcej, wysłuchajcie po raz ostatni swojego nauczyciela historii.

Wy przede wszystkim powinniście wiedzieć, jak dalece nieścisły był zwrot – tak okrutny w swojej niefrasobliwości – „z powodów osobistych”, którego użył nasz czcigodny dyrektor, Lewis Scott, w oświadczeniu na porannym apelu. Powinniście też wiedzieć, jak dalece nieistotne, zanim jeszcze padły, były argumenty przytaczane przez tegoż Lewisa w imię tak zwanej szkolnej racji bytu. (– Nie myśl sobie, Tom, że mnie to zachwyca, ale zmuszeni jesteśmy poczynić pewne oszczędności. Rezygnujemy z historii. Mógłbyś pójść na wcześniejszą emeryturę...)

Powinniście wiedzieć, ponieważ jedynie wy możecie poświadczyć, że stary Cricky, wasz nauczyciel historii, już i tak w pewnym sensie, i to samorzutnie, zaprzestał nauczania historii. W trakcie wyjaśnień, jak to od paryskiego upuszczenia krwi rozpoczął się nasz Współczesny Świat, przerywa nagle i zaczyna opowiadać te właśnie historyjki. Coś o życiu nad rzeką, coś o ojcu, który łapał węgorze, i o topielcu wyłowionym z rzeki przed laty. I wtedy wam zaświtało: stary Cricky próbuje umieścić siebie w historii, stary Cricky próbuje wam pokazać, że sam jest tylko częścią tego, czego naucza. Innymi słowy, odbiło mu, dostał szmergla...

Albo, jak to ujął Lewis: – Może ci potrzeba wypoczynku? Urlop naukowy. Jak się na to zapatrujesz? Miałbyś czas popracować nad tą swoją książką... Co to był za tytuł? „Historia Fenów”?

Nie skorzystałem jednak z oferty. Ponieważ tak się złożyło, że wyście słuchali, słuchali, zamienialiście się w słuch na tych nowomodnych lekcjach. Wysłuchiwaliście szalonych opowieści starego Cricky'ego (prawdziwych? zmyślonych?) z uwagą, jaką nigdy nie obdarzyliście bardziej-nieprawdopodobnych-niż-zmyślenie dziwów Rewolucji Francuskiej.

Tak więc, dopiero gdy zaszło pewne wydarzenie, wydarzenie jeszcze bardziej dziwaczne niż nowy styl prowadzenia zajęć przez waszego nauczyciela historii, wydarzenie dotyczące jego żony, pani Crick, i – jak na ironię, jeśli wziąć pod uwagę profesję męża – mocno, jak wiecie, rozdmuchane przez lokalną prasę, dopiero wtedy moje odejście stało się absolutną koniecznością.

„Żona nauczyciela przyznaje się do kradzieży dziecka. Oświadcza w sądzie: »Bóg mi kazał«“.

Dzieci, to jeden z was, kędzierzawy chłopak nazwiskiem Price, który ma zwyczaj (sprzeczny z regulaminem, ale pomijany przeze mnie milczeniem) smarować sobie policzki białawym make-upem, co nadaje jego twarzy trupią bladość, przerwał pewnego dnia wykład o Rewolucji Francuskiej i wyraził znajomy protest, którego każdy nauczyciel historii uczy się oczekiwać (jaki jest sens, pożytek, potrzeba itd. nauki historii), oznajmiając bez ogródek, że historia jest „bajką”.

(Zmora nauczycieli, szkolny rozrabiacz. W każdej klasie obowiązkowo znajdzie się taki jeden. Ale ten jest inny...)

– Liczy się – powiedział, ani się domyślając, co za bajka ma właśnie zagarnąć zarówno nauczyciela historii, jak i żonę nauczyciela historii – tu i teraz. Nie przeszłość. Tu i teraz, i przyszłość. (Dokładnie tak odczuwali, Price – choć tego nie dostrzegłeś – w roku 1789). Po czym – nawiązując raptem do pewnych aktualnych wydarzeń (kryzys afgański, zakładnicy w Teheranie, ryzykowne i najwyraźniej niepowstrzymane gromadzenie broni nuklearnej) i wyciągając od was, kolegów z klasy, nagłe i przerażające wyznanie na temat waszych zbiorowych koszmarów sennych – oznajmił z drzeniem wargi, spowodowanym nie tylko wymawianiem słów, które od dawna musiały być (czyż nie tak, Price?) starannie obmyśłone:

– Jedyłą ważną rzeczą...

– No, słucham, Price, jedyną ważną rzeczą...?

– Uważam, panie profesorze, że jedyną ważną rzeczą w historii jest to, że osiągnęła etap, gdzie może nastąpić jej koniec.

Tak więc zamknęliśmy podręczniki. Odłożyliśmy Rewolucję Francuską. Pożegnaliśmy się ze starą i oklepaną bajką z jej Prawami Człowieka, czapkami wolności, kokardami, trójkolorowymi flagami, nie mówiąc już o jej świszczącej gilotynie oraz o jej osobliwym przekonaniu, że obdarzyła świat Nowym Początkiem.

Zacząłem, rozpoznawszy u moich młodych, ale bynajmniej nie beztrojskich uczniów zaraźliwe symptomy przerażenia:

– Pewnego razu...

Dzieci, które odziedziczyły świat. Dzieci, którym w ciągu dziejów opowiadano historie, głównie – ale nie zawsze – na dobranoc, żeby uciszyć niespokojne myśli; dzieci, których potrzebę słuchania zrównoważyć może tylko potrzeba, jakiej doświadczają dorośli, potrzeba obecności dzieci, którym można opowiadać, odbiorców historyjek z żelaznego repertuaru, uważnych uszu, którym można powierzyć, przekazać tę najbardziej nieprawdopodobną, choć najbardziej fascynującą z baśni, własne życie – dzieci, oto mają nas rozdzielić. Lewis się o to postarał. (Potrzebujemy naszego Cricky’ego i wszystkich tych jego opowieści). Nie spodziewam się, byście zrozumieli, że po trzydziestu dwóch latach złączyłem was wszystkich w jedno i teraz doświadczam udręki matki, której odbierają dziecko... Ale słuchajcie, słuchajcie. Wasz nauczyciel historii chce wam podać pełną i ostateczną wersję...

A ponieważ baśń musi mieć swoją scenę, scenę, która, jak we wszystkich przyzwoitych baśniach, ma być zarazem konkretna i nierzeczywista, pozwólcie mi opowiedzieć

3

O Fenach

Które są nizinnym terenem leżącym we wschodniej Anglii, o powierzchni ponad 12 000 mil kw., ograniczonym od zachodu wapiennymi wzgórzami Midlandów, od południa i wschodu kredowymi wzgórzami hrabstw Cambridge, Suffolk i Norfolk. Na północy Feny wyruszają dwunastomilowym frontem na spotkanie Morza Północnego przy zatoce Wash. Albo może słuszniej byłoby powiedzieć, że to Wash zwołuje na pomoc siły Morza Północnego, nieustannie kusząc się o odzyskanie swego dawnego terytorium. Bo główną cechą Fenów jest to, iż są one ziemią osuszoną, ziemią, która była niegdyś wodą i która nawet dzisiaj nie jest zbyt solidna.

Kiedyś płytkie, kapryśne wody zatoki Wash nie zatrzymywały się przed Bostonem i King's Lynn, ale dopełzały na południe aż do Cambridge, Huntingdon, Peterborough i Bedford. Co spowodowało ich wycofanie się? Odpowiedź da się zawrzeć w jednej sylabie: szlam. Feny stworzył szlam. Szlam: słowo, które, gdy je wypowiedzieć wpuszczając między zęby cienką strugę powietrza, daje wyobrażenie działania powolnego, chytrego, dwuznacznego. Szlam, który kształtuje i podmywa kontynenty, który niszczy budując, który jest równocześnie narastaniem i erozją – ani postęp, ani rozpad.

Pierwotnie pochodził z wybrzeży hrabstw York i Lincoln, skąd zbierały go przybrzeżne strumienie, spływające na południe, ku starożytnej zatoce Wash. W niebieskawoczarnej glinie, która stanowi podłoże gleby w hrabstwie Cambridge, znajdują się pokłady szlamu z odciskami muszli występujących na plażach i w warstwach urwisk nadmorskich północno-wschodniej Anglii. Tak więc pierwszy szlam pochodził z morza. Ale do tego morskiego szlamu doszedł szlam lądowy, znoszony przez rzeki Ouse, Cam, Welland, które odprowadzały swoje wody i nadal je odprowadzają do kurczącej się zatoki Wash.

Kiedy szlam się nagromadził, wyrosły rośliny typowe dla słonych błot, a potem inne rośliny. Wraz z pojawieniem się roślin rozpoczęło się wytwarzanie torfu. A torf to drugi podstawowy składnik Fenów i źródło ich niezwyklej urodzajności. Niegdyś żywił wielkie lasy, które runęły i zapadły się, gdy pod wpływem zmian klimatycznych woda na powrót zatopiła ten obszar. Dzisiaj tworzy bogaty czarnoziem pod buraki i kartofle, który nie ma sobie równego w kraju. Ale bez szlamu nie byłoby torfu.

Wszystko to wydarzyło się nie tak dawno. W 870 roku flotylla wikingów żeglowała swobodnie aż do Ely po terenach, które nadal były w większej części wodą. Dwieście lat później Hereward, broniąc tegoż samego wyżynnego Ely widział, jak oblegający Normanowie grzęzną i toną w zdradzieckich torfowiskach. Był to ciągle krajobraz wodny.

Zastanówcie się bowiem nad dwuznacznym działaniem szlamu. Podnosząc ląd, odpychając morze i umożliwiając tworzenie się torfu, równocześnie hamuje przepływ rzek, zwęża ich ujścia, wystawia nowo powstałe grunty na wieczne niebezpieczeństwo powodzi i zamyka drogi odpływu. Przez wieki Feny stanowiły sieć bagien i słonawych lagun. Problem Fenów sprowadzał się zawsze do problemu osuszania.

Co rozpoczął szlam, kontynuował człowiek. Osuszanie. Melioracja. Ale ziemi nie osuszy się z dnia na dzień. Nie osuszy się ziemi bez trudu, bez nieustannego wysiłku i czuwania. Melioracja Fenów trwa po dziś dzień. Mówiąc ściśle, nigdy nie zostały osuszone, są tylko nieustannie osuszane. Gdyby nie pompy, groble, gdyby nie plany bagrowania... A fenlandczykowi nie trzeba przypominać, jakie skutki mają obfite opady, nawiedzające obszary położone w głębi, albo też wiosenny przypływ morza w połączeniu z silnym wiatrem północno-wschodnim.

Rzeczywiście więc zapomnijcie o waszych rewolucjach, punktach zwrotnych i wielkich metamorfozach historii. Zamiast tego zajmijcie się procesem powolnym i żmudnym, nie kończącym się i obosiecznym procesem zamulania przez człowieka – procesem melioracji.

Przed wszystkim, czy melioracja gruntów jest korzystna? Nie dla tych, którzy żyją dzięki wodzie, nie dla tych, którym niepotrzebny solidny grunt pod nogami. Nie dla rybaków, łowców wodnego ptactwa, ani tych, co ścinają trzcinę, którzy swoje nasiąkłe wilgocią domostwa postawili na upartych mokradłach, używali szczudeł podczas powodzi i żyli jak szczury wodne. Nie dla ludzi, co niszczyli średniowieczne groble i w razie złapania byli grzebani żywcem w wyłomie, który sami zrobili. Nie dla ludzi, co podrzynali gardła holenderskim robotnikom króla Karola i wrzucali ich ciała do wody, którą tamci mieli za zadanie usunąć.

Mówię o moich przodkach, o prapradziadach mego ojca. Ponieważ nazwisko Crick, które za panowania Karola I pisano czasem „Coricke” albo „Cricke”, można znaleźć (szperając cały dzień w miejscowych archiwach) na listach tych, z którymi rozprawiano się bez ceregieli, jeśli sabotowali prace melioracyjne. Moi przodkowie byli ludźmi wodnymi. Łowili ryby harpunem i zastawiali sieci na kaczki. Kiedy byłem mały, miałem żywe wyobrażenie moich przodków w postaci Billa Claya, wyschniętego jak wiór żywego trupa, w niewiadomym wieku, choć nigdy nie dawano mu mniej jak osiemdziesiątkę, który niegdyś strzelał do ptactwa z płaskodennej łodzi oraz pracował przy wycinaniu darni i który był w swoim życiu świadkiem przemijania w naszej okolicy wszystkiego z wyjątkiem osadu, jaki pozostał po dawnych dzikich bagnach; który nawet wtedy, gdy życie już na wpół z niego uciekło, śmierdział gęsim tłuszczem i rybim śluzem, błotem i dymem torfowisk; nosił czapkę z futra wydry, getry ze skóry węgorza, a mózg miał stale otumaniony herbatą z makówek, którą popijał, żeby odeprzeć zimowe ataki febry. Stary Bill mieszkał z żoną Martą w wilgotnej chacie o popękanych ścianach, niedaleko Ousy, na brzegu kurczącego się, porośniętego trzciną mokradła, zwanego jeziorem Wash Fen – od wodnego rozlewiska, jakim kiedyś było. Ale niektórzy mówili, że Marta Clay, jakieś dwadzieścia lat młodsza od Billa, w ogóle nigdy nie była jego żoną. Niektórzy mówili,

że Marta Clay jest czarownicą...

Trzymajmy się jednak z dala od baśni.

Holendrów, przybyłych pod wodzą inżyniera Corneliusa Vermuydena, najął najpierw król Karol, a następnie jego lordowska mość Francis hrabia Bedfordu. Imię swojego pracodawcy uczcili wykopując Rzekę Bedfordzką, potem zaś Nową Rzekę Bedfordzką, równoległą do tamtej, po to, by skierować główny nurt Ousy, krnąbrnie i leniwie toczącej swe wody szlakiem na Ely, w kanał prowadzący wprost do morza. Zbudowali Śluzę Denverską w miejscu, gdzie nowa rzeka łączyła się północnym końcem ze Starą Ousą, a śluzę Przy Pustelni w miejscu, gdzie łączyła się końcem południowym. Potworzyli boczne rowy, odprowadzenia, kanały, groble, zbiorniki wodne, koryta i zamienili 95 000 akrów w teren letnich, aczkolwiek nie zimowych wypasów.

Praktyczny i perspektywicznie myślący naród, ci Holendrzy. A przodkowie mojego ojca stawiali im opór; dwóch zostało powieszonych z tego powodu.

Vermuyden wyjechał (powinien był zostać bogaczem, ale holenderskie wojny pozbawiły go angielskiej fortuny) w roku 1655. A przyroda skuteczniej niż moi przodkowie przystąpiła do niweczenia jego dzieła. Ponieważ szlam zapycha budując, niszczy tworząc. Vermuyden nie przewidział, że wytyczając nowe łożyska rzek osłabił, a nie przyspieszył ich przepływ, bo rzeka podzielona niesie na każdym odcinku zmniejszoną masę wody, a im mniej wody rzeka niesie, tym mniejsza jest nie tylko jej prędkość, ale i zdolność wypłukiwania koryta. Znakomite drogi wodne hrabiego Bedfordu zarosły mułem. Szlam zbierał się przy ujściach, gdzie nurt rzeczny nie stanowił konkurencji dla morskiego przypływu, i osiadał przy jazach.

Vermuyden nie przewidział jeszcze jednej rzeczy. Że zmeliorowany grunt się kurczy – jak kurczyć się musi wszystko, z czego wyciśnięto wodę. Przede wszystkim torf, wchłaniający wodę jak gąbka, kurczy się, wysycha. Feny się kurczą. Kurczą się i zapadają przez cały czas. Łąd, który za Vermuydena leżał powyżej poziomu morza, teraz leży poniżej. Trudno przecenić zagrożenia. Podatność na powódzie, zmniejszenie spadu rzek, napór na usypane brzegi, szybszy napływ wód z położonych wyżej terenów do pogłębiającego się nizinnego dorzecza. Wszystko to – i jeszcze szlam.

W latach dziewięćdziesiątych XVII wieku Rzeka Bedfordzka zrobiła w swoich brzegach wyrwę na sześćdziesiąt stóp. W 1713 puściła Śluza Denverska, a warstwa szlamu pod nią okazała się tak gruba, że wody Rzeki Bedfordzkiej ruszyły w głąb łądu pod prąd, w górę starej Ousy do Ely, zamiast spłynąć ku morzu. Tysiące akrów ziemi uprawnej zostało zalanych. Wieśniacy musieli brodzić, żeby dostać się do łózek.

I właśnie w tym a nie innym czasie moi przodkowie ze strony ojca zasilili, o dziwo, szeregi robotników zatrudnionych przy kopaniu rowów i innych pracach melioracyjnych.

Być może nie mieli wyboru. Być może najęli się do pracy z musu. Być może z dobroci serca zareagowali na niedolę, widząc zatopione plony i podmyte domy. W roku 1748 w wykazie zarobków wypłaconych tym, którzy pracowali przy odbudowie Śluzy Denverskiej, znajdują się nazwiska braci Jamesa i Samuela Cricków. A w księgach rodzinnej parafii Cricków, która leżała wówczas na północ od miasteczka Gildsey oraz na wschód od Nowej Rzeki Bedfordzkiej, nazwisko Crick pojawia się przez następne półtora wieku, zawsze w tym samym kontekście: „John Crick: za umocnienie zachodniego brzegu...”; „Peter Crick: za odmulenie Kanału Jackwater oraz przekopanie nowego Kanału Środkowego; Jacobowi Crick za obsługę i utrzymanie wietrznych młynów w Stump Corner...”

Przestali być ludźmi wodnymi, stali się ludźmi lądowymi; przestali łowić ryby i polować na ptactwo, a stali się hydraulikami tej ziemi. Związali swój los z przeznaczeniem Fenów, którym jest walka nie o wodę, ale przeciwko wodzie. Przez półtora wieku kopali, osuszali, wypompowywali wodę z terenów między Rzeką Bedfordzką a Wielką Ousą, w buciorach wiecznie pokrytych warstwą spękanego błota, nieświadomi, że ich wysiłki powolutku zmieniają mapę Anglii.

Albo może nie przestali być ludźmi wodnymi. Może stali się ziemno-wodnymi. Bo jeśli osuszasz ziemię, najistotniejszym dla ciebie problemem jest woda, musisz się na niej znać. Może w głębi serca zawsze wiedzieli, że wbrew swoim wysiłkom, by utrzymać suchy ląd, należą do dawnego, prehistorycznego potopu. Tak więc mój ojciec, który pilnował śluzy na Leemie, nadal łapał węgorze i oparty o wrota śluzy wpatrywał się w wodę, bo podobno woda sprzyja medytacji. Tak więc mój ojciec, który był człowiekiem przesądnym, zawsze wierzył, że stary Bill Clay, mieszkaniec bagnisk, w którego mózgu wszystko się całkiem poprzekrecało, mimo to był, jeśli ma się powiedzieć prawdę, kimś w rodzaju Mędrca.

Kiedy pracujesz z wodą, musisz ją znać i szanować. Kiedy trudzisz się, by ją ujarzmić, musisz rozumieć, że pewnego dnia może się podnieść i wszystkie twoje wysiłki obrócić wniwecz. Bo czymże jest woda, dzieci, która dąży do wyrównania wszystkiego, która nie ma smaku ani koloru, jeśli nie płynną formą Nicości? I czymże są Feny, które przez swoją równinność tak dokładnie naśladują naturalną inklinację wody, jeśli nie krajobrazem ze wszystkich krajobrazów najbardziej zbliżonym do Nicości? Każdy fenlandczyk przyznaje po cichu, każdy fenlandczyk doznaje od czasu do czasu złudzenia, że ziemi, po której stąpa, nie ma, ona płynie... A każde fenlandzkie dziecko, które dostało książkę z obrazkami, gdzie można wyczytać, że słońce przetacza się przez górskie szczyty, a droga życia wije się wśród stosów zielonych poduszek, i które uczy się dzieciennych wierszyków o tym, jak ludzie chodzą sobie po zboczach w górę i w dół, będzie męczyło dorosłych: Dlaczego Feny są płaskie?

Na co mój ojciec odpowiadał, pozwalając najpierw, żeby jego twarz przybrała wyraz zdumienia i poirytowania, a wargi ułożyły się na moment w kształt litery „O”:

– Dlaczego Feny są płaskie? Żeby Bóg miał dobry widok...

Kiedy ziemia zapadnie się poniżej poziomu morza, trzeba pompować. Nie ma innej rady, woda nie popłynie do góry. Pompy pojawiły się na Fenach w XVIII wieku, w postaci czarnoskrzydłych wiatraków, których ponad siedemset skrzypiało, furkotało i pobrzękiwało kiedyś na wietrze między Lincoln a Cambridge. A mój przodek, Jacob Crick, obsługiwał dwa z nich w Stump Corner. Gdy czerwoni huzarzy szturmowali Quebec, a obywatele Nowej Anglii powstawali przeciwko swoim brytyjskim panom (dając przykład niezadowolonym obywatelom Paryża), Jacob Crick nadstawiał policzek i ucho pod wiatr, żeby wyczuć kierunek i siłę podmuchów. Schylony, napierał na wały swoich bliźniaczych wiatraków, by ustawić skrzydła we właściwym położeniu. Sprawdzał koła łopatkowe i czerpaki. Kiedy jednak nie było wiatru albo wiał równo z jednego kierunku i nie było potrzeby zmieniać ustawienia skrzydeł, Jacob Crick łapał węgorze (ponieważ w głębi serca był nadal człowiekiem wody) nie tylko w wiklinowe więcierze, ale także na długą pikę o wielu ostrzach, zwaną ościeniem; ścinał też turzyce i zastawiał sidła na ptaki.

Jacob Crick sprawował pieczę nad młynami wietrznymi w Stump Corner od roku 1748 do 1789.

Nie ożenił się. W ciągu owych lat nie ruszył się prawdopodobnie dalej jak na kilka mil od swoich wiatraków, których musiał strzec i doglądać. U Jacoba Cricka ujawniła się inna cecha, która miała charakteryzować moją rodzinę ze strony ojca. Są to ludzie osiadli. Nogi skrępowali niewidzialnymi pętami i narzucili sobie czujną nieruchomość wartowników. Największą migracją, jaką Crickowie kiedykolwiek podjęli – zanim ja, Crick dwudziestowieczny, przeniosłem się do Londynu – było przesiedlenie się z ziem położonych na zachód od Ousy na ziemie położone na wschód od niej w odległości około sześciu mil.

Tak więc Jacob Crick, opiekun wiatraków i kandydat na pustelnika, nigdy nie oglądał szerokiego świata. Zresztą niektórzy powiedzieliby, że nieba Fenlandii są wystarczająco szerokie. Nie ma pojęcia, co dzieje się w Quebecu czy Bostonie. Oczyma bada horyzont, wciąga wiatr w nozdrza, spogląda na płaski krajobraz. Ma czas siedzieć i rozmyślać, popaść w nastrój samobójczy albo osiągnąć filozoficzny spokój. Nabywa cnotę, o ile można to nazwać cnotą, której późniejsi Crickowie mieli już zawsze pod dostatkiem: flegmę. Błotnisty, mulisty humor.

A w pamiętnym i bynajmniej nie flegmatycznym roku 1789, którego znaczenie znacie, dzieci, choć Jacob Crick nigdy go nie poznał, Jacob Crick umiera.

Nieżonaty, bezdzietny. Ale Crickowie nie wymierają. W roku 1820 stryjeczny wnuk Jacoba – William – jest majstrem ekipy robotników zatrudnionych przy kopaniu południowego końca Eau Brink Cut, nowego, głębokiego kanału, dzięki któremu wody dolnej Ousy mają się kierować najkrótszą drogą do King's Lynn. Bo ciągle się próbuje wyprostować wyślizgującą się, wykrętną, węgorzowatą Ousę. W 1822 roku Francisowi Crickowi, być może innemu stryjecznemu wnukowi Jacoba, powierzają obsługę nowej pompy parowej na Rowie Stotta koło wioski Hockwell. Ponieważ pompy wiatrowe są już przestarzałe, zastosowanie wiatraka jest ograniczone. Nie można go używać, kiedy nie ma wiatru albo podczas zawieruchy, natomiast pompa parowa będzie sapać w każdą pogodę.

Zatem siła pary zastąpiła na Fenach siłę wiatru, Crickowie zaś przystosowali się, można to tak ująć, do postępu techniki. Do postępu techniki, a także do rozbudzonych ambicji, bo oto w tym błotnistym kaczym dole, w tym zlewie Anglii nagle można zrobić błyskotliwą karierę. Nie tylko Smeaton, Telford, Rennie i wielu innych znakomitych inżynierów odkrywa, że problemy osuszania stanowią wyzwanie dla ich talentu, ale również chmara spekulantów, mających na oku żyzną, cenną glebę, powstałą w wyniku drenażu, dostrzega opłacalność inwestowania w meliorację.

Jeden z nich nazywa się Atkinson. Nie jest fenlandczykiem. To bogaty norfolcki farmer i słodownik, pochodzący ze wzgórz, skąd wypływa Leem, podążając na zachód ku Ousie. Ale w osiemdziesiątych latach XVIII wieku Atkinson, kierując się zarówno własnym interesem, jak dobrem publicznym, obmyśla plan otwarcia rzeki Leem dla żeglugi, aby tą drogą dostarczać swój produkt z Norfolk na rozszerzający się fenlandzki rynek zbytu. Gdy więc Jacob Crick nadziewa na ościę swoje ostatnie węgorki w Stump Corner i słucha nie tylko skrzypienia ramion wiatraka, ale i skrzypienia własnych starzejących się kości, Thomas Atkinson wykupuje pomalutku i po najniższych cenach akry bagien i torfowisk ciągnących się wzdłuż Leemu. Wynajmuje mierniczych i fachowców od drenowania i bagrowania. Jako człowiek śmiały i przewidujący, człowiek otwarty, o temperamentie sangwicznym, a nie flegmatycznym, ofiarowuje całemu regionowi pracę i przyszłość.

No i Crickowie przychodzą pracować u Atkinsona. Odbywają swoją wielką podróż przez Ousę, zostawiając starego Jacoba na jego samotnej placówce, a podczas gdy jedna gałąź rodziny udaje się na północ, kopać Eau Brink Cut, druga zmierza na południe, do wioski Apton, gdzie pośrednicy Thomasa Atkinsona werbują robotników.

Tak więc, dzieci, moi przodkowie osiedli nad rzeką Leem. Tak więc, gdy kocioł rewolucji kipiał w Paryżu, aby stać się pewnego dnia tematem waszej lekcji, oni zajmowali się jak zwykle wygarnianiem szlamu, umacnianiem i wznoszeniem wałów. Tak więc, gdy fundamenty Francji trzęsły się w posiadach, tam tworzono ziemię, która pewnego dnia miała dostarczyć piętnaście ton kartofli albo dziewiętnaście worków pszenicy z akra i na której miał zamieszkać wasz przyszły nauczyciel historii.

To Atkinson powierzył Francisowi Crickowi pieczę nad nową pompą parową na Rowie Stotta. Kiedy byłem chłopcem, na Rowie Stotta nadal pracowała pompa – choć już nie parowa, ale napędzana przez silnik Diesla i obsługiwana nie przez Cricka, ale przez Harry'ego Bulmana, którego zatrudnił Zarząd Zlewni Wielkiej Ousy – dodając uderzenia swojego pulsu do wielu innych owej nocy, kiedy to dowiedziałem się, czym naprawdę są gwiazdy. To Atkinson w roku 1815 wybudował śluzę i jaz dwie mile od miejsca połączenia Leemu i Ousy i nazwał ją Śluzą Atkinsona. A jeszcze inny Atkinson, wnuk Thomasa, w roku 1874, po tym, jak gwałtowne powodzie zniszczyły śluzę, jaz i domek dozorczy, odbudował śluzę i nazwał ją Nową Śluzą Atkinsona. Jej dozorcą został wtedy nie Crick, ale Crick miał nim zostać później.

Jednak dlaczego, zapytać możecie, Crickowie nie osiągnęli nic więcej? Dlaczego wystarczyło im, że byli, w najlepszym wypadku, operatorami pomp, dozorcami śluz, pokornymi sługami swoich panów?

Dlaczego nigdy nie wydali wybitnego inżyniera albo nie zajęli się uprawą tej żyznej gleby, którą pomogli stworzyć?

Może z powodu owej odwiecznej, wodnistej flegmy, która chłodziła i rozleniwiała ich ducha, mimo ilości, w jakich ją odpluwali znad szufli i wiader, kawałami, po robociarsku. Ponieważ nie zapomnieli w błotnistym mozole o swoim bagiennym pochodzeniu; że choćby nie wiem jak stawiać jej opór, woda zawsze wróci; że ziemia się zapadnie; szlam osiądzie; że coś w naturze dąży do powrotu.

Realizm, fatalizm, flegma. Mieszkać na Fenach znaczy przyjmować rzeczywistość w dużych dawkach. Wielką, płaską monotonię rzeczywistości; szeroką, pustą przestrzeń rzeczywistości. Melancholia, targnięcie się na własne życie nie są na Fenach czymś nieznanym. Picie na umór, szaleństwo, akty przemocy nie są rzadkością. Jak pokonać rzeczywistość, dzieci? Skąd wziąć w płaskiej krainie lekarstwo podnoszące na duchu? Jeśli jesteś Atkinsonem, to nietrudne. Jeśli zrobiłeś majątek na sprzedaży jęczmienia pierwszego gatunku, jeśli spoglądasz ze swoich norfolkskich wyżyn i dostrzegasz w tych płaskich Fenach – tym nie istniejącym krajobrazie – Ideę, rajzbret do kreślenia własnych planów, możesz przechytryć rzeczywistość. Ale jeśli urodziłeś się w środku tej płaskości, uwiązłeś w niej, zostałeś przyklejony, choćby za pomocą tego błota, w które ona obfituje...?

Jak Crickowie przechytryli rzeczywistość? Opowiadając historie, różne historie. Do ostatniego pokolenia byli nie tylko flegmatyczni, ale przesądni i łatwowierni. Gotowi dać wiarę najbardziej nieprawdopodobnej opowieści. Podczas gdy Atkinsonowie tworzyli historię, Crickowie dawali upust fantazji.

A swoją drogą dziwne – choć może i nie dziwne, może ani trochę nie dziwne, tylko logiczne – jak te nagie i puste Feny podatne są na urojenia i zjawiska nadprzyrodzone. Jak łatwo wioski po obu brzegach Leemu zapełniały się duchami i legendami, przekazywanymi szczegółowo i z całą powagą. Śpiewające Łabędzie z jeziora Wash Fen, Mnich z Sudchurch, Bezgłowy Przewoźnik ze Staithe, nie wspominając już o Córce Piwowara z Gildsey. Jak w przeszłości Feny przyciągały wizjonerów i fanatyków: święta Gunnhilda, nasza miejscowa patronka, w 965 czy coś koło tego wybudowała sobie lepiankę na błotnistym wzgórzu w środku bagna i opierając się atakom demonów oraz żyjąc wyłącznie modlitwą, usłyszała głos Boga i nazwała swoim imieniem (Gunnhildsea-Gildsey: Gunnhilda's Isle) miasto. Jak nawet w rzeczywistym i pragmatycznym wieku XX przyszły nauczyciel trząśł się ze strachu w swoim łóżku – przed czymś bezmiernym i pustym – i trzeba mu było opowiadać różne historie i kontrhistorie, by uspokoić jego pobudzoną wyobraźnię. Jak nabożnie przestrzegał, ponieważ inni też przestrzegali, katechizmu dziwacznych obrzędów. Kiedy zobaczysz młody księżyc, obróć pieniądze w kieszeni, przysuń komuś sól, a ściągniesz nań nieszczęście, nie kładź nigdy nowych butów na stole ani nie obcinaj paznokci w niedzielę. Skóra węgorka leczy reumatyzm, pieczona mysz leczy koklusz, a żywa ryba w podółku kobiety uczyni ją bezpłodną.

Kraina baśni.

A Crickowie, mimo całej flegmatycznej ospałości, wierzyli w baśnie. Widywali krasnoludki na bagnach, widywali błędne ogniki. Mój ojciec widział jeden w 1922. A kiedy echa szerokiego świata zaczęły docierać do Cricków, kiedy wreszcie dosięgły ich wieści – choć oni nigdy ich nie szukali – że kolonie się zbuntowały, że było Waterloo, wojna krymska, słuchali i powtarzali, co usłyszeli, otwierając szeroko oczy w świętej zgrozie, jak gdyby podobne sprawy nie zaliczały się do dziedziny faktów, ale stanowiły materię cudownej opowieści.

Przez wieki Crickowie pozostają nieświadomi szerokiego świata. Żadna ambicja nie pcha ich do miasta. Żaden oddział werbunkowy, żadna banda łapiduchów, przetrząsająca tereny w górę Ousy od Lynn, nie porywa ich do walki za króla czy królową. Aż historia osiągnie ten etap – nasze stulecie, dzieci, nasze wspólne dziedzictwo – kiedy szeroki świat wkracza, czy chcesz, czy nie chcesz. Aż historia wykona jeden ze swoich koziołków do tyłu, szukając guza.

Woda powraca. W latach 1916, 17, 18 było dużo zalanych pól, dużo grobli poważnie uszkodzonych i nadmierna ilość szlamu w ujściach rzek, ponieważ zabrakło tych, których normalnie zatrudniano do pokojowych prac przy osuszaniu i melioracji. W 1917 pisemne wezwanie nakazuje George'owi i Henry'emu Crickom, zamieszkałym w Hockwell, hr. Cambridge, zatrudnionym przez Zarząd Robót Melioracyjnych i Żeglugi na Leemie, stawić się celem pobrania mundurów i odbioru karabinów. I gdzież znaleźli się jesienią owego roku, rozdzieleni, ale stanowiący część tej samej obleganej armii? W kraju płaskim, nękanym deszczami, podmokłym. Kraju nie tak znowu różnym od ich własnej rodzimej Fenlandii. Kraju z gatunku tych, w jakich Vermuyden zdobył sławę i rozwinął owe pomysłowe metody, które jednak okazały się nieprzydatne na terenach wschodniej Anglii. Kraju, gdzie w roku 1917 nadal na wielką skalę odbywa się kopanie, wytyczanie rowów, sypanie wałów oraz występuje pilny problem osuszania, nie wspominając o problemach innego rodzaju. Bracia Crick widzą szeroki świat, który nie jest cudowną bajką. Crickowie widzą – ale to chyba tylko koszmar, złe wspomnienie, które ich zawsze nękało? – jak świat się zapada, woda powraca, szeroki świat topi się w błocie. Kto nie słyszał o błotach Flandrii? Kto nie czuł w tym naszym stuleciu, w którym nawet kilkunastoletni uczeń proponuje jako temat lekcji historii „koniec historii”, że jego stopy

grzęzną w błotach Flandrii?

W styczniu 1918 roku Henry Crick zostaje odesłany statkiem do kraju z raną w kolanie, zadaną przez usłużny szrapnel. Do tego czasu w Hockwell powstały już plany wzniesienia pomnika ofiar wojny, na którym między innymi znajdzie się nazwisko jego brata. Henry Crick staje się przypadkiem klinicznym. Henry Crick kuleje, mruga oczami i pada na twarz przy nagłym hałasie. Przez długi czas trudno mu oddzielić w umyśle znajome-ale-obce pola Fenów od obcych-ale-znajomych błotnych przestrzeni, skąd przybywa. Oczekuje, że grunt zacznie się chwiać i falować pod nogami i przemieni się w grzęzawisko. Ląduje w zakładzie dla nieuleczalnych neurasteników. Myśli: istnieje tylko rzeczywistość – opowieści się skończyły. O swoich doświadczeniach wojennych mówi: „Nic nie pamiętam”. Nie wierzy, iż pewnego dnia będzie opowiadał Stare Historie o Okopach: „W niektórych z tych wielkich starych lejów po bombach były węgorze...” Nie wierzy, iż kiedyś będzie mówił synowi o mleku matki i sercach.

Ale wiele jeszcze przydarzy się Henry’emu Crickowi.

Wraca do zdrowia. Poznaje swoją przyszłą żonę – to rzeczywiście inna historia. W 1922 roku żeni się. W tymże samym roku Ernest Atkinson wywiera pośredni wpływ na jego przyszłe zatrudnienie. Pośredni, ponieważ Atkinsonowe słowo nie jest już prawem, Atkinsonowe imperium, jak wiele innych imperiów, chyli się do upadku, a Ernest Atkinson od czasu, kiedy przed wojną sprzedał większość udziałów w Żegludze na Leemie, żyje jak odludek, w dodatku, zdaniem niektórych, odludek obłąkany. Ale w roku 1922 mój ojciec otrzymuje posadę dozorczy Nowej Śluzy Atkinsona.

4

Przed obliczem dyrektora szkoły

A Lewis mówi: – Rezygnujemy z historii...

Tak po prostu. Jak gdyby nie było potrzeby wchodzić w rzeczywiste i żenujące powody mojego nieuchronnego odejścia, ponieważ obydwaj mamy ich pełną (choć milczącą) świadomość. Jak gdybyśmy mogli przyjąć za regułę gry, że mam schodzić ze sceny nie okryty cieniem hańby, ale li tylko w wyniku zmian w założeniach programowych.

Ale wolnego, Lewis. Zrezygnować z historii? Skreślić historię? Jeżeli chcesz mnie wylać, to wylej mnie, nie usuwaj tego, co reprezentuję. Nie wyrzucaj mojej historii...

Dzieci, nasz godny szacunek i zaufania dyrektor – jeśli mogę na chwilę zapomnieć o zawodowej dyskrecji – uważa mnie i mój dział (bez względu na to, co mówi) za kulę u nogi. Wierzy, że edukacja służy i dotyczy przyszłości; piękna teoria, szczytne założenie. Zatem przedmiot, choćby najbardziej poważany w tradycji akademickiej, który swoją naczelną funkcję widzi w roztrząsaniu przeszłości, musi, *ipso facto*, pierwszy paść ofiarą...

Dzieci, teraz ów facet nazwiskiem Lewis – lepiej znany wam, a szczerze mówiąc i mnie, jako Lulu – próbuje dowieść, że jestem nicponiem, nawet że jestem trochę stuknięty. I że to nieuchronny rezultat mojego wieloletniego zabawiania się rozmaitymi hokus-pokus tejże samej historii.

– Wcześniejsza emerytura, Tom. W pełnym wymiarze. Połowa personelu rzuciłaby się na taką okazję.

– A co z zamknięciem mojego działu?

– Nie z zamknięciem. Nie bądź śmieszny. Nie likwiduję historii. Jest to nieunikniona redukcja. Nie będzie nowego kierownika działu historii. Historia zostanie włączona do programu wiedzy ogólnej.

– Chyba na jedno wychodzi.

– Tom, mówmy otwarcie. Nie jest to moja osobista decyzja. Istotnie nie przepadam za twoim przedmiotem. Nigdy nie ukrywałem swoich zapatrywań. Ciebie nie interesuje fizyka. Ani, postawiłeś przecież sprawę jasno, stanowisko dyrektora szkoły. Od lat jesteśmy sparing-partnerami – (słaby uśmiech) – to podstawa naszej przyjaźni. Taka odrobina zdrowej, akademickiej niechęci. Ale mowy nie ma o wendecie. Wiesz, że cięcia są konieczne. Wiesz także, jakie mam naciski. „Praktyczne odniesienie do dzisiejszego realnego świata” – oto czego żądają. W dodatku, do diabła, nie możesz zaprzeczyć, że liczba uczniów wybierających historię stale się zmniejsza.

– Ale co powiesz na obecną sytuację, Lewis? Sytuację trwającą od kilku tygodni? Wiesz równie dobrze jak ja, że wpłynęło przynajmniej sześć podań od uczniów z innych grup z prośbą o przeniesienie do mojej. Widocznie jest w moich lekcjach coś atrakcyjnego.

– Jeżeli atrakcyjność ma polegać na całkowitym odstąpieniu od programu, jeżeli atrakcyjność ma polegać na zmienianiu lekcji w te... popisy cyrkowe...

Prycha pogardliwie; zaczyna tracić cierpliwość.

– Udzieliłem ci rady, Tom, życzliwej rady. Powiedziałem odpocznij, weź urlop.

(I nie wracaj do tego cholernego działu historii).

– Jeśli wolisz się upierać...

Wstaje, łapie głębokie oddechy. Zatrzymuje się przy oknie, z rękami w kieszeniach, przechylony na bok, w kącie utworzonym przez ramę okienną i szafkę z aktami. Szesnasta trzydzieści. Lekcje skończone. Zmrok spowijający boisko.

– Tak się składa, Tom, że ja się zgadzam z czynnikami miarodajnymi. Przygotowywać do życia w realnym świecie. Tak się składa, iż uważam, że po to tu jesteśmy – wymowne machnięcie ręką w kierunku boiska. – Wyślijmy choć jedno z tych dzieciaków w świat wyposażone w poczucie własnej przydatności, z umiejętnością przyłożenia się do pracy, z praktyczną wiedzą, a nie z bagażem bezużytecznych informacji...

(Oto więc doszliśmy do sedna).

Dobry, pracowity, wytrwały człowiek. Naprawdę. Czasami, wychodząc ze szkoły, widzę, że u Lewisa na pierwszym piętrze pali się jeszcze światło, zawieszona jak latarnia wśród pociemniałych klas. Troszczy się, stara, zabiega. A kiedy mu się nie udaje, zamartwia się, jakby w pokutnym zadośćuczynieniu. Zamartwia się przez wzgląd na dobro uczniów. Zamartwia się, że w latach osiemdziesiątych nie może roztoczyć przed nimi wspianiałych perspektyw. Zgryzoty obdarzyły go wrzodem, który przepłukuje whisky (o tym również wiem), ukrywaną w szafce z aktami.

Dzieci, pośpieszny szkic do portretu naszego dyrektora: dawno, dawno temu, w połowie pięknych lat sześćdziesiątych... Ale wy nie możecie pamiętać połowy pięknych lat sześćdziesiątych. Wtedy rewolucyjność była na miejscu, wtedy można sobie było spokojnie pozwolić na rewolucyjność. Był to rezultat (ustawmy to w historycznej perspektywie) chwilowej zamożności, upowszechnienia oświaty i krótkotrwałego optymizmu. Swego rodzaju rewolucja młodzieżowa... A także okres zimnej wojny, kryzysu kubańskiego i międzykontynentalnych pocisków sterowanych...

Dawno, dawno temu w połowie pięknych lat sześćdziesiątych, kiedy wyście się rodzili, a Lewis oprócz tego, że został mianowany dyrektorem (jego jedyny rywal, nauczyciel historii, choć starszy, wołał dalej uczyć), zajęty był płodzeniem własnych dzieci, przyszłości było w bród. Dobre czasy dla dyrektorów szkół. Nasza szkoła jako nowy okręt żeglujący ku Ziemi Obiecanej. Lewis, nasz dzielny kapitan, nauczyciel fizyki i chemii (przy ówczesnym rozpalonym do białości zainteresowaniu technologią), ufnie przemierzający pokład.

Okręt jest nadal jego. Ale on nie jest już kapitanem. Stał się figurą dziobową. Solidną i niezawodną, niemniej tylko figurą dziobową. Popukajcie. Pod werniksem masywne drewno (i robaki zgryzoty). Figura dziobowa na naszym okręcie jest repliką dyrektora sprzed piętnastu lat.

Obserwujcie go rano w auli (obserwujecie, a czy także słuchacie? Tak, tak, on rzuca swoisty urok). Nie zobaczycie starego Lulu przygnębionego. Nie pokaże się na podium inaczej, jak z podbródkiem wysoko uniesionym i zdecydowanie wysuniętym; gotowy uśmiech, żart na podorędziu. Tak pojmuje teraz swoją rolę: trzymać się mocno, zachować dobrą minę. Ale to ciężka praca – maskować oznaki zgrzyoty. Dostaje się od tego wrzodów.

A z dziećmi umie postępować. Troje własnych. Atakuje cię nimi w pokoju nauczycielskim (mój David, moja Cathy...). Na prywatnym obiedzie (goście: Tom i Mary Crickowie) oświadcza, mając nieźle w czubie, że rozważa zainstalowanie domowego schronu przeciwoatomowego: – Dla dzieci, wiecie, ze względu na dzieciaki... – Jeśli nie może już być szczodrym Świętym Mikołajem, jeśli braknie mu tych obietnic w złożonych papierkach do rozdawania, nikt mu przynajmniej nie broni głaskać po głowach i udzielać dobrodusznym napomnień. (Przede wszystkim przykładajcie się pilnie do lekcji, zachowujcie się grzecznie w klasie. Wasza edukacja was ocali. Szkoła to mikrokosmos, jeśli więc szkoła funkcjonuje prawidłowo...) Umie postępować z dziećmi.

Nie przepada natomiast za problemami starszych, za skisłym dorosłym światem. Chce być blisko swoich uczniów, od personelu trzyma się z daleka. Jeśli ktoś z personelu ma kłopoty, rozprawia się z nim krótko.

Najwyraźniej ułożył to sobie z władzami. Wykorzystał ich naciski jako pretekst, żeby wprowadzić redukcje. Ten człowiek musi odejść. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale jak uniknąć całego tego ambarasu, charakterystycznego dla świata dorosłych? Przesunięcia działowe. Nakazy budżetu... I odniesienie przedmiotu do realnego świata...

(Ale odkąd to ty, Lewis, żyjesz w realnym świecie?)

Tak więc mówi: – Rezygnujemy z historii...

Nie mówi: „Gdyby chodziło o coś innego... Ale porwanie dziecka. Porwanie dziecka. Żona nauczyciela. Chyba zdajesz sobie sprawę z następstw. I te przekłete reportaże w gazetach”.

Nie mówi: „Stanąłbym przy tobie, Tom. Broniłbym cię. Ale w tych warunkach... te lekcje... te numery cyrkowe...”

Nie mówi: „No, a jak tam ona, Tom?”

(Ona, jak zapewne powiedziano by w dawnych czasach, oszalała. Ona znajduje się w tym, co w dawnych czasach, choć już nie dzisiaj, nazywano domem wariatów).

Nie pyta: „Dlaczego?”

Mówi, ale nie potrafi nawet powiedzieć wszystkiego, co miał do powiedzenia. Otwiera szafkę z aktami, ma zamiar poczęstować mnie whisky. Żadnego szukania powodów, żadnych wyjaśnień, żadnego rozgrzebywania tego, co minęło. Woli udawać, że to się w rzeczywistości nie wydarzyło. Rzeczywistość jest taka dziwna, taka dziwna i zaskakująca. Nie ma ochoty jej roztrzaskać.

„Pan Lewis Scott, dyrektor, oświadczył dzisiaj, nagabywany przez oburzonych rodziców: – Nie mam nic do powiedzenia”.

Chce skończyć z tym i mieć to z głowy.

Wcześniejsza emerytura. W pełnym wymiarze.
Rezygnujemy z historii.

5

Siniak na siniaku

Podrygiwało z lekka. Kręciło się i kołysało w wirach, twarzą do dołu, z ramionami wyciągniętymi, zgiętymi w łokciach, w pozycji kogoś śpiącego na brzuchu. Ale było martwe, nie uśpione. Gdyż ciała, które leżą twarzami w wodzie, nie śpią, a już w żadnym wypadku, jeśli tak leżą nie zauważone w ciemności od kilku godzin.

Bo tej nocy – 25 lipca 1943 roku – tak się akurat złożyło, że taty nie trapił jego zwykły niepokój. Tej nocy spał smacznie aż do świtu, kiedy to wstał razem z Dickiem, który nie wiedział, co to niespokojna noc, i budził się każdego rana o piątej trzydzieści, żeby o szóstej trzydzieści odjechać motocyklem w kierunku przedmieść Lynn, gdzie pracował na pogłębiarce na Ousie. Tylko hałas dobiegający sprzed domku, ochryply okrzyk taty, stukot czyichś nóg na pomoście jazu pozbawiły mnie dodatkowej godziny snu, na którą mi pozwalano jako uczniowi pochłoniętemu nauką (uczniowi wówczas na wakacjach i pochłoniętemu nie tylko nauką) i nie dały obudzić się jak zwykle przy dźwiękach pokaszliwania i gulgotania Dickowego motoru.

Kiedy poszedłem do pokoju Dicka wyjrzeć na rzekę, tata i Dick stali na pomoście, patrząc w dół, a tata trącał coś w wodzie bosakiem. Ostrożnie, lękliwie, jak gdyby był dozorcą jakiegoś niebezpiecznego, choć ospałego wodnego zwierzęcia i próbował pobudzić je do życia.

Wskoczyłem w ubranie, zbiegłem na dół z łomotem serca.

O tej porze roku rzeka była płytka. Bariera samego jazu, ceglane obmurowanie sąsiedniego brzegu oraz pirs między jazem a śluzą tworzyły głęboki trójścienny basen, z którego żadne ciało, żywe czy martwe, nie dawało się łatwo wydobyć.

Tata musiał wziąć ten fakt pod uwagę, wobec czego popędził z powrotem do domu poszukać lepszych narzędzi niż bosak i koło budki z maszynerią spotkał się ze mną, pędzącym w przeciwnym kierunku. Na jego twarzy pojawił się wyraz przestępcy złapanego na gorącym uczynku.

– Freddie Parr – powiedział.

Ale ja zdążyłem już rozpoznać kraciatą letnią koszulę, szare płócienne spodnie, wystające łopatki, ciemne włosy, które mimo że nasiąknięte już rzeczną wodą, pokrywały niesfornymi kępkami tył głowy Freddiego.

– Freddie Parr.

Przemknął koło mnie. Dołączyłem do Dicka na pomoście. Trzymał bosak i poszturchiwał ciało delikatnymi, precyzyjnymi ruchami.

– Freddie Parr – odezwałem się.

Potrafiliśmy jedynie powtarzać nazwisko.

– Freddie Parr – powiedział Dick. – Freddie Parr-Parr.

Bo Dick mówił w ten sposób, jakby dziecinnym językiem.

Zwrócił ku mnie twarz – podłużną, koloru ziemniaka, z ciężką żuchwą i obwisłymi wargami, wiecznie otwartymi, z których wydobywał się bezwiedny świst. Powieki mu zatrzepotały. Kiedy Dicka coś poruszyło, można to było poznać tylko po jego powiekach. Ziemista cera ani nie rumieniła się, ani nie bladła, usta się nie zwierzały, oczy pozostawały bez wyrazu. Jedynie powieki odbierały sygnał emocji. Ale chociaż odbierały sygnał, niepodobna było odgadnąć z samego ich ruchu, o jakiego rodzaju emocje chodzi.

– F-Freddie Parr. Umar. Parr umarr. Parr umarr.

Poruszył ciało bosakiem. Usiłował przewrócić je twarzą do góry.

Tata zniknął w przybudówce obok domku. Znajdowało się tam więcej bosaków służących do przyciągania łodzi, liny, koła ratunkowe oraz grabie i haki, których używał do oczyszczania rzeki z odpadów. Nasza łódź, która w tym momencie byłaby sprzętem najbardziej przydatnym, leżała odwrócona na kozłach przy ścieżce holowniczej, pozbawiona kawałka dna, odjętego dla reperacji.

Pojawił się znowu, z pustymi rękami. Najwidoczniej zastanawiał się, czy nie użyć lin i haków; chociaż jednak były pomocne przy wydobywaniu gałęzi i owczej padliny, wzdragał się użyć je na żywym ciele nieżywego chłopca.

Stał na ścieżce holowniczej, zwrócony do nas twarzą. Raptem, najwyraźniej celowo, odwrócił się, na nie więcej niż kilka sekund, by popatrzeć w drugą stronę. Wiem, dlaczego. Łudził się, że to się nie wydarzyło. Łudził się, że żaden topielec nie podpłynął pewnego pięknego letniego poranka pod bramę jego jazu. Łudził się, że jeśli odwróci się plecami, policzy do dziesięciu, wyszepcze tajne zaklęcie, ciało zniknie. Ale nie zniknęło.

Słońce, nadal nisko stojące, błyszczało na rzece. Ponad polami skowronki dzwoniły w mlecznobłękitnym niebie. Na całej kuli ziemskiej o tej godzinie toczyła się wojna. Nasze oddziały parły podobno mocno do przodu na Sycylii. Rosjanie także parli. Tymczasem na Atlantyku... Wyjąwszy jednak bombowce typu Lancaster i B-24, które na swoje gniazda upodobały sobie płaską i strategiczną ziemię wschodniej Anglii, żadne echa ogólnoświatowej walki nie docierały nad nasze fenlandzkie bajoro.

Tata pokuśtykał z powrotem przez śluzę i pomost i wziął bosak z rąk Dicka. Nie pozostawało nic innego, jak tylko przesunąć ciało bosakiem w wodzie aż do miejsca, skąd można by je wynieść na suchy ląd. Oznaczało to przeprowadzenie go wokół centralnego pirsu, przez górne wrota, następnie kilka jardów pod prąd wzdłuż ścieżki holowniczej do stopni schodzących ku wodzie, gdzie, gdyby nie leżała dziurawym dnem do góry, przycumowana byłaby nasza łódź.

Obserwowałem, jak tata się waha – miał wybór między kołnierzem koszuli Freddiego a paskiem jego spodni. Wybrał kołnierz. Byłoby lepiej, na dłuższą metę, gdyby się zdecydował na pasek. Wsunąwszy koniec bosaka pomiędzy kołnierz od koszuli a biały kark Freddiego, dokonał obrotu i uzyskał zaczepienie. Prowadząc bosak z wielkim, wręcz nabożnym skupieniem, szedł wolno pomostem, a następnie po centralnym pirsie. Podążaliśmy za nim.

Rozpostarte ramiona Freddiego nie ułatwiały tej podróży przez wodę. Dawały również złudzenie, że to on sam posuwa się w jakiś prymitywny sposób, jakby pełzając po powierzchni – czemu jednak zaprzeczała wyraźna sztywność zarówno rąk, jak i nóg oraz dobrze znany fakt, potwierdzony dodatkowo przez dzisiejsze ranne odkrycie, że Freddie Parr nie umiał pływać.

Przeciągając zwłoki koło górnego końca centralnego pirsu, tata napotkał trudności. Kiedy ciało przecięło nurt rzeczny, prąd zawrócił je nogami do przodu. Jednocześnie prawa ręka uwięzła po łokieć w ceglany mury, co spotęgowało wychylenie nogami ku przodowi. Manewrując bosakiem to w jedną, to w drugą stronę, tata próbował skorygować tę tendencję i oswobodzić rękę Freddiego – która jednakowoż pozostawała uwięziona – ze ściany pirsu.

W rezultacie owych manewrów i kontrmanewrów pętla w kołnierzu Freddiego, za którą zaczepiony był bosak, skręcała się coraz bardziej aż do chwili, gdy nie mogła już skręcić się więcej, nie powodując równocześnie obrócenia się Freddiego.

I oto nagle ciało przez lewą nogę i bark dokonało zwrotu twarzą do góry, a to, w przeciwieństwie do nieprzekonującej imitacji pływania, mogło śmiało robić wrażenie, że Freddie Parr obudził się raptem ze swojej drzemki z nosem w wodzie i że, poirytowany z powodu bosaka, który nie tylko dźga go w szyję, ale jeszcze zagraża uduszeniem, jest wściekle żywy.

Czy w gorączkowej reakcji na to złudzenie, czy też dlatego, że tak czy owak zdecydował się odstąpić od swego planu i wydobyć ciało bez dalszej zwłoki, tata zaczął ze wszystkich sił ciągnąć bosak. Freddie wychynął z wody aż do pasa i zawisł z łokciami odstawionymi i nadgarstkami uniesionymi w geście poddania się, ciągle kilka stóp poniżej taty. Głowa topielca opadła do tyłu i uderzyła o obmurowanie pirsu. Z ust wypłynęła woda. Skręcony kołnierz koszuli, który nie mógł wytrzymać ciężaru zwisającego ciała, urwał się; bosak zaczepił najpierw o zuchwę Freddiego, a następnie, gdy ciało wpadło na powrót do wody, przejechał przez policzek, oczodół i skroń.

I wtedy właśnie, dzieci, kiedy Freddie Parr zanurzył się i znów wyłonił, i kiedy stało się jasne, że z przypadkowej rany na jego głowie płynie krew, ale nie zwykła krew, jasnoczerwona i szybko mieszająca się z wodą, tylko ciemna, kleista, oporna substancja koloru czarnych porzeczek, wtedy właśnie otrząsnąłem się ze snu. Wtedy zdałem sobie sprawę, że patrzę na trupa. Na coś, czego nigdy przedtem nie widziałem, bo choć widziałem matkę umierającą, nie widziałem jej umarłej. I to nie pierwszego lepszego trupa, ale trupa mojego przyjaciela – prawda, że przyjaciela fałszywego, przyjaciela podejrzanego pod niejednym względem, niemniej przyjaciela. Freddie Parr. Z którym rozmawiałem przedwczoraj. Z którym nie tak dawno siadywaliśmy, dogadując sobie i żartując, na wysokich brzegach kanału Hockwell, w miejscu, gdzie ten łączy się z Leemem, i niedaleko od miejsca, gdzie Leem spotyka się z Ousą. Razem z Dickiem i Mary Metcalf, i Shirley Alford, i Peterem Baine'em, i Terryem Coe; większość z nas półnaga, z zabłoconymi nogami, bo tu się najlepiej pływało.

Tyle że Freddie Parr nie umiał.

Rzęsy Dicka zatrzepotały. Tata zaklął – łagodnym przekleństwem człowieka bogobojnego, który nigdy nie przeklina w gniewie, ale jedynie w smutku – i raz jeszcze pogrzebał bosakiem w ubraniu Freddiego.

Wydobyliśmy Freddiego Parra z wody. Razem wydzwignęliśmy go schodkami na górę – nasiąknięte wodą ciało nie jest lekkie – i zanieśliśmy na betonową ścieżkę holowniczą przed domkiem. Tam, ponieważ przy przywracaniu do życia niedoszłych topielców jest to pozycja zalecana, tata położył go na brzuchu. Tam też, ponieważ swego czasu pod patronatem Zarządu Zlewni Wielkiej Ousy (który przejął między innymi działalność Zarządu Robót Melioracyjnych i Żeglugi na Leemie) tacie udzielono symbolicznych instrukcji na temat sztucznego oddychania metodą Holgera-Nielsena, zaczął uciskać plecy Freddiego między łopatkami, podnosić i opuszczać jego zeszywniałe ramiona; wykonywał te czynności przez pełny kwadrans. Nie dlatego, żeby nie wiedział, równie dobrze jak Dick i ja, iż Freddie nie żyje, ale dlatego, że będąc człowiekiem przesądnym, nigdy nie wykluczyłby możliwości cudu, a także dlatego, że rytuał pozorowanego wskrzeszenia odwlekał chwilę, kiedy trzeba będzie stawić czoło prawdzie. Że w jego służbie znalazły się zwłoki chłopca, chłopca, którego – gdyby czujność dozorczy nie zawiodła go tej nocy – może dałoby się uratować; że ponieważ to jego służa, więc też i jego odpowiedzialność; że są to zwłoki syna znajomego i sąsiada; że wydobywając zwłoki był tak niezdarny, iż zranił twarz bosakiem, a zranienie martwego jest prawdopodobnie grzechem bardziej haniebnym niż zranienie żywego; że odpowiednie władze muszą zostać

powiadomione i wezwane; że znowu zmartwienie wtargnęło w jego spokojne, nadrzeczne życie.

Bo kiedy ciało wpływa do śluzy dogłądanej przez dozorcę o usposobieniu mojego ojca, nie jest to przypadek, ale klątwa.

Woda znów popłynęła z ust Freddiego Parra, ale krew nie popłynęła z cięcia na jego skroni, które przybrało kolor morwy. Woda tryskała z ust Freddiego Parra rytmicznie, w ścisłym związku z uciskaniem przez uparte dłonie pleców między jego łopatkami. Bo istnieje również coś takiego jak odwadnianie ludzkiego ciała, jak pompowanie ludzkiego ciała. A cóż innego robił mój ojciec owego lipcowego poranka, jak nie to, co jego przodkowie robili przez całe pokolenia: usuwał wodę? Ale gdy oni przywracali ziemię, mój ojciec nie potrafił przywrócić życia...

Widzę nas, milczącą grupkę na betonowej ścieżce holowniczej, gdy tata mozoli się, by zaprzeczyć rzeczywistości, mozoli się, by zaprzeczyć prawu natury, że co umarło, nie będzie żyło; skowronki dzwonią w maślanej mgiełce porannego nieba, a słońce oświetla żółty ceglany fronton naszego domku, gdzie można zauważyć nad gankiem kamienną tabliczkę z datą 1875, powyżej zaś daty relief z motywem dwóch skrzyżowanych kłosów, które, jeśli przypatrzeć się bliżej, okażą się nie jakimiś tam kłosami, ale wąsatymi kłosami jęczmienia.

Woda tryska w zadziwiających ilościach. A żadne rytmiczne uciskanie i ciągnięcie ze strony taty, żadne stosowanie przez niego z uporem maniaka metody Holgera-Nielsena nie może przysłonić faktu, że jest zrozpaczony. Że choć jego usta się nie poruszają, modli się, że myśli o Jacku i Florze Parr, którzy nie wiedzą jeszcze o śmierci syna. Ja także modłę się i mam nadzieję – nie wiem, czy ze względu na Freddiego Parra czy na mojego ojca – że Freddie Parr jakimś cudem ożyje. Ponieważ wydaje mi się, że przez to jałowe pompowanie Freddiego tata próbuje wypompować nie tylko tę dodatkową klątwę, ale i zły los ze swego życia – zły los, który sześć lat wcześniej zabrał mu żonę, zły los, który sprawił, że jego pierworodny okazał się dziwolągiem, głąbem kapuścianym (bo taki jest Dick). I jeszcze więcej klątw, może klątw dotychczas nieznanych.

Z nas trzech tylko Dick nie okazuje zaniepokojenia; cóż jednak można powiedzieć o uczuciach głąba kapuścianego? Dla Dicka wydobywanie z rzeki ciała – nawet znajomego ciała – być może nie różni się zbyt wiele od jego codziennych zajęć (na które dziś się spóźni), polegających na usuwaniu szlamu z dna Ousy za pomocą urządzenia czerpakowo-pogłębiającego. Bo Dick to dobry pracownik, choć głąb kapuściany, co do tego nie ma wątpliwości. Bezdyskusyjna jest jego siła fizyczna, jego kondycja, jego posępna determinacja uporania się z postawionymi mu zadaniami. Dick pachnie szlamem. Podchodzi teraz na skraj ścieżki holowniczej. Pochyliła się i spluwa – uczciwy kłęb odwiecznej Crickowskiej flegmy, która choć gęsta i obfita, nie potrafi w tej chwili uśmierzyć wewnętrznego podenerwowania mojego ojca – w basen nawigacyjny. Patrzy, jak flegma płynie, wzdyma się, zapada. Jego krowie rzęsy trzepoczą nad rybimi oczami.

I tylko Dick tymi swoimi mrugającymi oczami dostrzega, podczas gdy my próbujemy wskrzesić umarłego, że z daleka, w górnym biegu rzeki, od strony Ousy, zbliżają się dwa galary i będą żądać przepuszczenia przez służę. Topielec czy nie topielec – wrota służy trzeba otworzyć i zamknąć. Wkrótce więc o tym tragicznym wydarzeniu nad rzeką, znanym tylko nam, dowiedzą się także inni, wieść rozniesie się dzięki flisakom z Gildseyowskiej Spółki Nawozowej. Wkrótce rozpaczliwe milczenie na ścieżce holowniczej zostanie przerwane głosami tych, dla których utopiony chłopiec jest czymś marginalnym, nie głównym powodem troski. – Po cholere wyciskać wodę z trupa? – (Pierwszy flisak). – Bosak? A na co wam bosak? Nie mógł to który skoczyć i wyciągnąć tego palanta? – (Rzeczywiście, dlaczego nie? Ponieważ pływanie w tej samej wodzie co topielec przynosi nieszczęście). Głosami policjantów i sanitariuszy z karetki, pytających i notujących, dla których podobne zdarzenie może nie jest chlebem powszednim, ale też i niczym niezwykłym.

Czemu rozdzierać szaty z powodu jednego utopionego chłopaka, gdy za dalekim horyzontem i w niebie toczy się wojna, gdy matki codziennie tracą synów, bombowce co noc wylatują i nie wracają? Szeroki świat ma pierwszeństwo. Nawet tata, który raz patrzył, jak szeroki świat topi się we Flandrii, i przeżył, by móc o tym opowiedzieć, może też opowie pewnego dnia, strząsając popiół z papierosa i kiwając głową, jak wyłowił tego biednego chłopca z Nowego Atkinsona.

Bo realność rzeczy, dzieci – chwała Bogu – nawiedza nas tylko na krótką chwilę.

Ale – na krótką chwilę – oto scena, która wydaje się nie mieć końca: ścieżka holownicza, połyskujący Leem, zbliżające się statki, Dick nad basenem nawigacyjnym; tata, który trzusi się na próżno, ale nie potrafi przestać, nad napelnionym wodą ciałem Freddiego Parra.

Tata zresztą, w swoim podenerwowaniu, nie widzi czegoś, przez co ta scena tym bardziej musi rozciągać się w nieskończoność, utrwalić raz na zawsze: pod i wokół szramy na prawej skroni Freddiego Parra rysuje się ciemny, owalny siniak. Albo może tata go widzi i dlatego prostuje i zgina ramiona Freddiego, nie chcąc już więcej zmartwień. I może Dick go widzi, i dlatego odwraca się i spluwa do basenu. Być może widzimy go wszyscy, ale ja jestem jedynym, któremu przychodzi do głowy (mimo braku rozeznania, jak szybko siniak pokazuje się na trupie), że siniak na prawej skroni Freddiego, szarozółty na obrzeżach, nie powstał od uderzenia bosaka.

Ale nadpływają galary – Dick otwiera dolne wrota i jednocześnie flisacy dostrzegają na ścieżce coś, co usprawiedliwi przerwę w ich podróży w górę rzeki. Gramolą się na brzeg, żeby nas poinformować o tym, o czym już wiemy, ale nie chcemy wiedzieć, iż syn Jacka Parra nie żyje, co jest równie jasne jak to, że oni żyją; żeby wreszcie położyć kres niezmordowanemu wyciskaniu i ciągnięciu przez tatę. Flisacy gadają jeden przez drugiego. Tata milczy, wtem przypomina sobie, że jest dozorcą śluzu i ma formalne obowiązki w razie wypadku.

Dwadzieścia pięć minut upłynęło, odkąd Freddiego wyciągnęliśmy z rzeki (obwód kałuży, w której leży, zaczyna już wysychać). Upłynie następnych trzydzieści pięć, zanim przybędzie policjant z Apton oraz karetka z Gildsey. Do tego czasu (gdyż martwe ciała, jak zerwane owoce, istotnie pokrywają się siniakami) nowy siniak, spowodowany uderzeniem bosaka, pojawi się na starym siniaku, którego nie mogło spowodować uderzenie bosakiem, wobec czego obydwie siniaki zaczynają wkrótce – dla niezbyt uważnego oka – wyglądać jak jeden. Tak więc, ponieważ zdając relację policjantowi tata podkreśla kilkakrotnie, z naciskiem i skruszoną miną, że obrażenia na głowie Freddiego powstały w wyniku jego własnych niewybaczalnie niezgrabnych manewrów bosakiem (co ja i chrząkający Dick potwierdzamy), ponieważ policjant nie ma zastrzeżeń, ponieważ mija trochę czasu, zanim nieszczęśni rodzice zostają zawiadomieni i sprowadzeni (jeszcze jedna nie kończąca się, utrwalona na zawsze scena), i ciało przewiezione do kostnicy w Gildsey – a czas zaciera szczegóły – i ponieważ lekarz przeprowadzający sekcję, poinformowany o bosaku, nie przygląda się już zbyt uważnie, zajęty jedynie tym, by stwierdzić obecność wody w płucach Freddiego oraz odnotować dalszy nader istotny fakt, iż krzepnąca krew denata zawiera sporą dawkę alkoholu – wstępny werdykt w sprawie Freddiego Parra głosi, że zmarł on (nie umiejąc pływać i będąc w stanie

nietrzeźwym) na skutek utonięcia, między godziną dwudziestą trzecią a pierwszą w nocy z 25 na 26 lipca 1943 roku.

Dzieci, dlaczego strach sparaliżował mnie w chwili, kiedy bosak rozerwał ni to wyslizgujące się, ni zawieszona ciało Freddiego Parra? Bo zobaczyłem śmierć? Czy też wyobrażenie czegoś gorszego? Że to nie była po prostu zwyczajna, pospolita, straszliwa, nieoczekiwana śmierć, ale coś więcej?

Dzieci, zło nie jest czymś, co wydarza się daleko – ono nagle dotyka twojego ramienia. Przeraziłem się, zobaczywszy ciemną krew, która pojawiła się w ranie na głowie Freddiego, ale nie wypłynęła. Jednak ani w połowie tak, jak się przeraziłem, kiedy Mary Metcalf oświadczyła mi później owego dnia: – Powiedziałam mu, że to Freddie. Dick zabił Freddiego Parra, bo myślał, że to on. Więc i my jesteśmy winni.

Tego samego wieczoru, kiedy na rowerze wracałem z mojej schadzki z Mary (ponieważ między mną a nią rozgrywała się jedna z tych młodzieńczych historii, które choć młodzieńcze, nie zawsze są niewinne i chociaż zdarzają się w młodości, mogą zaciążyć na całym życiu), coś jeszcze spłynęło Leemem, zobaczone i wydobyte tylko przeze mnie.

Jaskółki muskają wodę powyżej jazu. Późny wieczór lipcowy dopiero zapada. Komary pląsają-wściekają nad sitowiem. A ja leżę w małej niszy wypłukanej w brzegu, pod wierzbą, w górę rzeki od naszego domku i po drugiej jej stronie; w miejscu, gdzie często przesiadywałem czy leżałem, zaspokajając głód książek. Gdzie połknąłem „Herewarda Banitę”, „Czarną strzałę” i „Clive’a w Indiach”. A później przeżuwałem starannie, choć bez zapachu, podręczniki szkolne (czy dziwi was, dzieci, że wasz nudny nauczyciel był kiedyś nudnym kujonem?) lub płodziłem górnolotne eseje (znów się skrzywicie) o rebeliach jakobickich albo skutkach wojny siedmioletniej. Ale tamtego wieczoru nie przyniosłem ze sobą historii (historia to cienka opończa, łatwa do przekłucia ostrzem noża zwanego Teraz). Przyniosłem ze sobą mój strach.

Przez wierzbowe gałęzie obserwuję tatę. Spaceruje po ścieżce holowniczej tam i z powrotem, jak strażnik. Raz patrzy na łagodnie płynącą rzekę, a raz patrzy na niebo. Mówi do siebie bezdźwięcznie. Od czasu do czasu pociera prawe kolano, to prawe kolano, zranione przed tylu laty, w 1917. Pociera je, ponieważ wcześniej popełnił ten błąd, że klęczał (najgorsze, co może być, dla owego wciąż wrażliwego kolana) na twardej powierzchni (beton) przez kilka minut. Jednak trudno, żeby pamiętał... I teraz spaceruje tam i z powrotem, z profilem ciemniejącym w mroku, masując i uelastyczniając chory staw, ale dalej na dobrą sprawę o nim nie myśląc. Nie pójdzie dziś zastawić samolówek, ale do łóżka też nie pójdzie. Kiedy zrobi się ciemno i bliżej świtu niż zmierzchu, ciągle jeszcze będzie pocierał kolano, spacerując przy śluzie. Ponieważ zeszłej nocy z braku czujności...

A Dick jest koło przybudówki po lewej stronie naszego domku, robiąc to, co robi zawsze i niezmiennie, jeżeli nie ma do roboty nic innego: „reperując” swój motocykl. To znaczy wyjmując z niego części (mimo że motocykl jest stary, nic nie wymaga w nim naprawy), oliwiąc je, podnosząc do światła, dmuchając na nie, pocierając i wkładając z powrotem. Dick umie obchodzić się z maszynami. Co dzień udaje mu się skłonić do nie zakłóconego działania staroświecki mechanizm pogłębiarki czerpakowej, która tylko dzięki wojnie nie poszła jeszcze w odstawkę. Niewykluczone, że gdyby nie brak piątej klepki, to przy takim rozumieniu urządzeń mechanicznych, będącym w jego wypadku nie tyle kwestią wprawy, ile swego rodzaju pokrewieństwa, Dick mógłby zajść wysoko w jakiejś odpowiedniej dziedzinie – na przykład inżynierii wodnej, na którą jest stałe zapotrzebowanie na Fenach.

Dickowi rzeczywiście brakuje pewnych umiejętności, które nawet umysły techniczne uważają za przydatne. Nie umie czytać ani pisać. Nie potrafi nawet skleić porządnego zdania, kiedy mówi. Pobierał nauki w wiejskiej szkółce. Ale dziwna rzecz. Wydawałoby się, iż ograniczenia Dicka wymagałyby specjalnej i intensywnej troski, tymczasem jego edukacja została skrócona, można by powiedzieć, celowo zaniechana przez rodziców. Młodszemu synowi wyznaczono uprzywilejowaną rolę zdolnego ucznia, od którego wiele się oczekuje i którego zatem należy chronić przed pracą fizyczną, podczas kiedy starszy (który nie wydawał się mieć tego za złe) skazany został na życie w codziennym trudzie. Jeśli jednak tak zdecydowana polityka ze strony rodziców mogła być po prostu wyrazem ich pogodzenia się z faktem, że pierworodny jest stracony, nic nie tłumaczyło żelaznej konsekwencji, z jaką była wdrażana, na przykład, kiedy młodszy syn, uważając, iż powinien przekazać mniej szczęśliwemu bratu część swojej, skromnej zresztą wiedzy, rozpoczął (przyszły nauczyciel, bądź co bądź) program tajnego nauczania i został nakryty, co nie tylko z miejsca położyło kres jego planom oświatowym, ale także spowodowało ostrą reakcję ojca (który naprawdę nie był człowiekiem łatwo wpadającym w gniew ani srogim, szczególnie od czasu nieodżałowanej śmierci żony): – Nie ucz go! Nie pokazuj mu liter!

Tej właśnie nocy ojciec, już opanowany, mówił młodszemu synowi o mleku matki i o tym, że każdy ma serce...

Dick dłubie przy swoim motocyklu. Można powiedzieć, że miłość Dicka do maszyn, o ile to jest miłość, bierze się stąd, iż sam przypomina maszynę – w tym sensie, że maszyna jest czymś pozbawionym własnego umysłu; duże, szczupłe i zadziwiająco gibkie ciało Dicka nie tylko potrafi pracować bez zmęczenia, ale od czasu do czasu dokonywać niezwykłych wyczynów zręczności i siły. Mimo przyćmionych władz umysłowych i mimo złudnego pozoru niekompetencji. Dick chce wiedzieć, dlaczego inni ludzie nie są tacy jak maszyny. Może on też nie chce być jak maszyna. Gubi się albo doświadcza swego rodzaju świętej zgrozy wobec każdego zdarzenia, które dowodzi, że ludzkiego zachowania nie da się regulować jak pracy maszyny. Jeśli nie zniża się do głupawych prób naśladowania w mechaniczny sposób dziwactw, z którymi styka się wokół, sprawia wrażenie, jakby spoglądał na poły z pogardą, na poły z litością z wyżyn swojej wyniosłej i przytomnej bezmózgowości na świat oślepiiony nadmiarem własnej wyobraźni. Jakby wiedział coś, czego my nie wiemy. A to wrażenie – ta poza – może nadać mu w oczach innych pewien surowy patos, nawet przydać mu (nic się na to nie poradzi, Dick ma brzydką gębę) perwersyjnego wdzięku. Ale przez to Dick jest samotny. Przez to cierpi. I dlatego na pocieszenie przemawia do swojego motocykla częściej niż do jakiegokolwiek istoty żyjącej. A nawet istnieje plotka (Freddie Parr był jednym z jej autorów), że Dick tak

kocha swój motocykl, że czasem jeździ w odludne miejsca, kładzie się z nim w trawie i...

Teraz siedzi w kucki koło przybudówki. Oprócz szlamu Dick pachnie także smarem. Podnosi jakiś element silnika, by mu się bliżej przyjrzeć; ma duże, potężne dłonie. Ale nie widzę jego oczu.

A tata spaceruje. Kiedy mija domek, wyraźnie zbacza ze swojej trasy, obchodzi miejsce na betonie, gdzie...

Tam i z powrotem, w jedną stronę i drugą. Jego sylwetka na brzegu rzeki rysuje się ciemniej na tle gasnącego nieba, nabierając w moich oczach czegoś z tego żalosego charyzmatu, jakim potrafi też promieniować Dick. Na pewno myśli, że jestem u siebie w pokoju, z nosem utkwionym w książce. Bo gdyby wiedział, że jest inaczej, obracałby głowę i wyciągał szyję jeszcze niespokojniej. Bo by szukał wzdłuż rzeki. Bo jest z tych, co uważają, że nieszczęścia rzadko chodzą w pojedynkę, a dzisiejszego ranka widział już jednego ojca i jego utopionego chłopaka.

Tam i z powrotem. Może rozmyśla w tym dniu, w którym tyle innych spraw czeka na przemyślenie, o starej zagadce dotyczącej jego obydwu synów. Jak to jeden pochyla się nad książkami, drugi nad motocyklami; jak jeden jest matosem, a drugi ma głowę na karku, będzie zdolnym człowiekiem. Nie odgaduje, że mądry chowa się przed głupim. Bo mądry się boi.

W tył zwrot. Pauza. Rozprostowywanie nogi. Pocieranie kolana.

Wtedy coś w szuwarach zwraca moją uwagę. Może podpłynęło właśnie w tej chwili albo może było tam cały czas. Butelka. A ponieważ mieszkając nad rzeką ma się zwyczaj wydobywania wszelkich odpadków, które ona znosi, pochylam się, wsuwam zagięty palec w szyjkę i wyciągam. Butelka. Butelka od piwa. Butelka z grubego ciemnobrązowego szkła, jednak z rodzaju tych, jakich nie widuje się obecnie na Fenach – ani nie widywało od przeszło trzydziestu lat. Bez nalepki, nie pobrudzona, z cienką szyjką, prosta, raczej wysmukła niż pękata.

Wszystko to zauważam, nim jeszcze w zapadających ciemnościach wezmę butelkę i poniosę ją brzegiem rzeki do miejsca poniżej jazu, skąd spłynie do Ousy, a niewykluczone, że w swoim czasie nawet i do morza. Staroświecka, ale wcale nie zamulona butelka, z biegnącym wokół dna, wyłoczonym w szkle napisem: *Atkinson Gildsey*.

6

Próżne naczynie

Ale istnieje inna teoria rzeczywistości, dzieci, całkowicie różna od tej, która objawiła się w moim brzemiennym w skutki popołudniowym spotkaniu z Lewisem. Rzeczywistość nie jest dziwna, nie jest niespodziewana. Rzeczywistość nie objawia się w nagłym błysku wydarzeń. Rzeczywistość to brak wydarzeń, pustka, równina. Rzeczywistość polega na tym, że nic się nie wydarza. Pomyślcie, ile wydarzeń w historii zaszło niby z tego czy tamtego, ale tak naprawdę to z żadnego innego powodu jak tylko pragnienie, żeby coś zaczęło się dziać. Przedstawiam wam historię: fabrykację, dywersję, dramat zaciemniający rzeczywistość. Historia i jej bliska krewna histrionia...

A czyż nie prosiłem was, dzieci, abyście pamiętały, że na każdego protagonistę, który kiedyś wstąpił na scenę tak zwanych wydarzeń historycznych, przypadały tysiące, miliony tych, którzy nigdy nie weszli do teatru – którzy nawet nie wiedzieli, że przedstawienie się odbywa – na których spoczywał mozolny trud borykania się z rzeczywistością?

Prawda, prawda. Ale na tym nie koniec. Ponieważ każdy z owego legionu nie-uczestników bez wątpienia wznosił na równinie własnej nie opiewanej egzystencji osobistą scenę, z własnymi rekwizytami i dekoracjami, bo bardzo niewielu z nas potrafi, choćby na krótko, ograniczyć się do rzeczywistości. Nie ma więc ucieczki; jeżeli nawet ominie nas wielki repertuar historii, naśladujemy go w miniaturowej skali, jego tęsknotę za obecnością, za kształtem, za celem, za treścią.

Nie sposób przewidzieć, na jakie konsekwencje będziemy skłonni się narazić, na jakie reakcje wobec naszych akcji, na jakie reperkusje, jakie wieże murować i obalać, do jakiego stopnia kręcić się za własnym ogonem, na jaki chaos przystać, byle tylko upewnić siebie, że przecież coś się dzieje. Nie sposób przewidzieć, jakiej mocy wywary będziemy gotowi przyrządzać, jakie interpretacje, mity, manie uznać za swoje, byle tylko przekonać siebie, że rzeczywistość nie jest próżnym naczyniem.

Pewnego razu przyszła pani Crick – która wtedy nazywała się Metcalf – w wyniku rozmaitych zdarzeń, mających miejsce, kiedy była jeszcze, jak wy, uczennicą, zdecydowała się wycofać ze świata i poświęcić życie w odosobnieniu, pokucie oraz (co i tak było oczywiste) w celibacie. Nigdy nie powiedziała, do jakiego stopnia Bóg towarzyszył jej w tym samotnym czuwaniu. Ale trzy i pół roku później wyszła z tej stworzonej przez siebie celi klasztornej, aby poślubić przyszłego nauczyciela historii (dawnego, a swego czasu nawet bliskiego znajomego), Toma Cricka. Odrzuciła worek pokutny i świętość, natomiast ujawniła to, co dzisiejszy eks-nauczyciel historii (który nie ma już pewności, co jest realne, a co nie jest) nazwałby wtedy poczuciem realności. Bo nie wspomniała słowem, przynajmniej przez wiele lat, o tamtym przejściowym obcowaniu z Niebem.

Musiało jednak coś być przez cały czas w ukryciu, utajeniu, dojrzewając niby jakieś uśpione, zapomniane nasienie. (Nasienie! To dobre!) Ponieważ w roku 1979, jako kobieta pięćdziesięciodwuletnia, znów zaczęła poszukiwać Zbawiciela. Pogrążyła się w przygodę miłosną, w romans – ku wielkiemu zaniepokojeniu męża (przed którym nie mogła tego ukryć) – z Bogiem. A kiedy ów romans osiągnął krytyczny – w normalnych romansach nie tak znowu rzadki, ale w tym wypadku wręcz niewiarygodny – poziom, wasz zdumiony i porzucony nauczyciel historii, podbechtany jeszcze prowokującymi uwagami ucznia nazwiskiem Price, zaprzestał nauczania historii, a w zamian zaczął wam przedstawiać te fantastyczne-ale-prawdziwe, te nie-wierzcie-jak-nie-chcecie-ale-które-naprawdę-się-wydarzyły Opowieści z Fenlandii.

Dzieci, kobiety zostały wyposażone w miniaturowy model rzeczywistości: próżne, ale dające się napełnić naczynie. Naczynie, w którym wiele może się dokonać i wiele z tego wyniknąć. W którym mogą dojrzewać dramaty, coś może się wykluć z niczego. A Tom Crick, przyszły nauczyciel historii, w środkowych latach drugiej wojny światowej, nie wiedząc, jakie reakcje ani reperkusje, przy tym nie bez rywali (choć żaden z nich nie był Bogiem), ponosił odpowiedzialność za napełnienie żadnego wówczas i chłonnego naczynia Mary Metcalf, późniejszej pani Crick.

Ale po południu 26 lipca 1943 roku miał się dowiedzieć,
jakie reperkusje.

7

O dziurkach i rurkach

Bo o godzinie czwartej tego samego popołudnia, już po tym, jak pomogłem wydobyć ciało Freddiego Parra z rzeki Leem, ale zanim wyciągnąłem z tej samej rzeki pewną brązową butelkę, jechałem na wiekowym rowerze wąską, wyboistą, poza tym jednak śmiertelnie płaską szosą, która łączyła dwie fenlandzkie wioski, Hockwell i Wansham, na spotkanie w wyznaczonym czasie i miejscu ze wzmiankowaną uprzednio Mary Metcalf. Wybrałem główną drogę z Gildsey do Apton, biegnącą na wschód, blisko domku dozorca Nowego Atkinsona, wzdłuż południowego brzegu Leemu. Nie skręciłem jednak w lewo – najkrótszą i normalną moją trasą – na szosę, która przecina Leem przez most w Hockwell i prowadzi na północ do Wansham i Downham Market, ale jechałem na Apton jeszcze z ćwierć mili, po czym przeprowadziłem rower przez kładkę dla pieszych, przerzuconą zarazem nad rzeką i torami Wielkiej Wschodniej Kolei Żelaznej, i w ten sposób, okrężną drogą, objechawszy niepotrzebnie trzy boki trójkąta, znalazłem się ponownie na szosie do Wansham. Nie przejechałem przez Leem mostem w Hockwell, gdyż po jego drugiej stronie, w bardzo niewielkiej odległości, choć ukryty za wysokim brzegiem rzeki, szpalerem drzew i zakrętem, znajdował się przejazd kolejowy. A dróżnikiem na tym przejeździe był Jack Parr, ojciec Freddiego Parra.

Co wszystko razem oznaczało, że skutkiem burzliwych wydarzeń owego dnia spóźniłem się na moje *rendez-vous*.

Natomiast Mary się nie spóźniła. Siedziała w osłoniętym zagłębieniu, powstałym w miejscu, gdzie brzegi wodnego szlaku, wytyczonego ręką człowieka, a zwanego kanałem Hockwell, zbiegają się pod kątem. Po lewej miała pas podmokłej soczystej trawy, upstrzonej kępami sitowia i bagiennego zielska, znaczący linię zamulonego rowu, od frontu zaś i po prawej (kryjącą ją przede mną, kiedy podążałem skarpą popychając rower) grupę owych drzew, tak charakterystycznych dla równiny w umiarkowanym klimacie – topoli. Po zewnętrznej stronie wału kanału Hockwell, na ocembrowaniu, które stanowiło zakończenie nieczynnego rowu, przycupnęły szczątki wiatraka. To znaczy ogacona słoma, splekana drewniana skorupa dolnej części wietrznego młyna, nie wyższa niż na sześć stóp, pozbawiona wewnętrznych urządzeń, otwierająca się na niebo, która jednak zachowała nadal, co prawda bez drzwi, małe wejście, przez które kiedyś wsuwał się do środka schylony młynarz. Oparta o kikut opuszczonego wiatraka, na jego wysokim podmurowaniu, nieopodal zadławionego zielskiem ceglanego przepustu i pordzewiałych kół zębatach, które niegdyś kierowały wodę ze starego rowu do kanału Hockwell, siedziała Mary w spódniczce w czerwoną kratę i podciągnąwszy pod brodę i oplótłszy ramionami kolana, czekała mojego przybycia.

Przez zamulenie starego rowu – który przestał być używany ze względu na nową pompownię dalej na północ – pobliskie grunty stały się wilgotne i gąbczaste, zdatne jedynie na letnie pastwiska. Mary trzymała więc straż w towarzystwie dwudziestu krów pasących się między nią a topolowym zagajnikiem, które skubały bujną trawę i packały łąjnem. Krowy należały do farmera Metcalfa, którego specjalnością były buraki i kartofle, który jednak, by nie zmarnować ani akra ziemi, trzymał również niewielkie stado krów fryzyjskich, wędrujących co lato wzdłuż brzegów kanału Hockwell, i posyłał ich mleko do mleczarni w Apton. Tak więc nie tylko mleko matki, ale również mleko farmera Metcalfa popijaliśmy z Dickiem, kiedy byliśmy mali. I na mleku swojego ojca – ale niestety nie na mleku swojej matki – wyrosła Mary Metcalf.

Bo Mary była córką farmera. Własność jej ojca stanowiły pola, gęsto w tej chwili pokryte kremowymi kwiatkami kartofli, które mogła zobaczyć, jeśli popatrzyła w lewo, ponad wąską miedzą, oddzielającą pastwisko od pól uprawnych. A w dali, na wprost niej, ukryty przez topolowy zagajnik i kręte wały, znajdował się murowany dom Harolda Metcalfa i stłoczone zabudowania gospodarskie, wyskakujące nagle i w całej okazałości z płaskich pól, na sposób fenlandzkich farm, nie zaś wtulone czy kulące się, jak farmy w książkach z obrazkami. Farma istniała od czasów, kiedy Thomas Atkinson osuszył Polt Fen, a Metcalfowie, którzy postawili nowy dom mieszkalny w 1880 roku, byli drugimi jej właścicielami.

Farma Polt Fen, jak wiele innych w tym regionie, nie była duża, ale ten niedostatek rekompensowała wydajnością. Harold Metcalf zatrudniał trzech parobków na stałe oraz dodatkowy kontyngent klnących, nieokrzesanych pracowników sezonowych do brudnej roboty na czas drugiego zbioru buraków. Ale teraz, latem 1943 roku, nie można było dostać ani stałych, ani sezonowych parobków, chyba że kulawych lub jednookich. Zamiast nich do farmera Metcalfa, jak i na farmy sąsiadów nadciągnęły chmary dziewcząt z Kobiecej Służby Rolnej, w kombinezonach i drelichach oraz chustkach ciasno zawiązanych na głowie. Ramiona dziewcząt rychło nabierały mięśni i brązowiwały, a miejski szyk ulatniał się w letnim skwarze. Rozklekotane ciężarówki dowoziły te stworzenia ze schronisk w Apton i Wansham na teren robót, gdzie je witały pogardliwe i sprośne okrzyki rdzennych mieszkańców. Mówiło się, że dziewczęta ze Służby Rolnej wprowadzają do naszego fenlandzkiego zacisza atmosferę wywrotową i podniecenie seksualne. Ale podniecenie seksualne, jak zapewne dobrze wiecie, dzieci, istnieje zawsze.

Freddie Parr chwalił się, że cieszy się najdalej posuniętą przychylnością jednej z tych pannic – piękności o kasztanowatych włosach, imieniem Joyce, której kształtny zadek, uniesiony w górę przy pracy na polu, Freddie śledził przez wiele w sumie godzin z brzegów kanału Hockwell. To prawda, że zaniechawszy wielkopańskich min, dziewczyny często machały do nas, miejscowych dzieciaków, mówiły nam swoje imiona i dzieliły z nami przyniesione na pola posiłki (choć uparcie odrzucały nasze zaproszenia do wspólnych kąpieli w kanale). Prawdą było nawet, że owa kasztanowatowłosa Joyce machała do Freddiego ze szczególnie łaskawym uśmiechem (może wzruszona jego cielecą adoracją) i przestała dopiero, zobaczywszy, iż Freddie (który liczył sobie wtedy zaledwie czternaście lat) nie tylko macha energicznie jedną ręką, ale drugą manipuluje całkowicie jednoznacznie w okolicy guzików od spodni. Od tego dnia Joyce nie widziano więcej na polach nad kanałem Hockwell.

Zatem Freddie Parr niewątpliwie kłamał.

A teraz Freddie Parr i tak nie żył.

Zresztą dziewczęta ze Służby Rolnej nie były dla nas. Wieczorami porywali je, zdrowo wymęczone, włączący się lotnicy z baz, którym zła pogoda uniemożliwiła lot. A jeżeli dziewczyny oddawały się chętnie tym podniebnym bohaterom, nikt nie uważał za stosowne protestować, nawet uchodziło to za właściwe, ponieważ ci dzielni chłopcy mogli jutro nie żyć.

Ale Freddie Parr też nie żył.

Farmerowi Metcalfowi nie w głowie było zakładać tymczasowy harem na okres wojny. Poważny, powściągliwy, praktyczny – traktował dziewczęta jako zastępczą siłę roboczą i nie miał żadnych względów ani dla ich płci, ani dla patriotycznych pobudek, z jakich przybyły na jego akry. Nie uważał ich też za odpowiednie towarzystwo dla swojej jedynaczki. Przez lata z gorliwością rzetelnego plantatora buraków i kartofli, w sekrecie naśladowującego obywatela ziemskiego, hamował wszelkie z jej strony zapędy, by pomóc w polu czy w obejściu, by stać się typową córką farmera – z gnojem na gumiakach i słomą we włosach. Chcąc uczynić z niej kulturalną, wykształconą damę, ucieleśnienie wszystkiego, co ponad kartoflami i burakami, posłał ją na własny koszt do szkoły klasztornej pod wezwaniem św. Gunnhildy w Gildsey.

Bo Harold Metcalf był nie tylko farmerem z ambicjami, ale również katolikiem. To znaczy ożenił się z katoliczką; fakt, który mógłby pozostać bez wpływu na twarde usposobienie Harolda Metcalfa, gdyby nie to, że pani Metcalf umarła w drugim roku ich małżeństwa, a on, pozostając wierny jej pamięci – nie ożenił się powtórnie i dziewczęta ze Służby Rolnej nie były w stanie go usidlić – obdarzył artykułami jej wiary córkę. Tak więc Mary nieuchronnie stało się imieniem tej córki, a Harold Metcalf widziałby w niej najchętniej małą madonnę, która w odpowiednim czasie przemieni się w księżniczkę. A Mary zapewne spełniłaby nadzieje ojca, czyli stałaby się wyidealizowaną i oczyszczoną wersją swojej matki, gdyby miała choć przybliżone pojęcie, jaka była jej matka. Bo matka Mary zmarła przy jej urodzeniu. I być może ta okoliczność – że oboje nie mieli matki – zbliżyła (obok innych czynników) Mary i Toma Cricka.

Tak więc farmer Metcalf, przeznaczając córkę do Wyższych Celów, ale nie pytając jej o zgodę, posłał ją do szkoły dla dziewcząt pod wezwaniem św. Gunnhildy (o wiele bardziej ekskluzywnej niż Gildseyowskie Liceum Żeńskie), wierząc mocno, że jego wydatki i starania muszą przynieść rezultaty. Równocześnie jego sąsiad, Henry Crick, skromny dozorca śluzy, widząc, jak jego młodszy syn bez najmniejszych starań czy wydatków ze strony ojca zdobywa stypendium Gildseyowskiego Gimnazjum (męskiego) i zaczyna zgłębiać książki historyczne, wyciągnął przeciwny wniosek: że syn musi odznaczać się bystrością umysłu, jakiej jemu brakuje, i zaczął świadomie i pokornie pilnować, żeby ów syn nie brudził sobie rąk maszyną śluzy.

Jednak Henry Crick miał kiedyś żonę, która Haroldowi Metcalfowi mogłaby się marzyć jako córka...

I tak poznaliśmy się z Mary w małym pociągu parowym, który zatrzymywał się na stacji Hockwell (dwa kroki od nastawni i przejazdu kolejowego Jacka Parra) i podążał dalej przez Newhithe do Gildsey. Przy akompaniamencie stukotu kół i z przelatującymi za oknem kłębamii pary pojawiły się wkrótce pewne trudne do ukrycia symptomy; przedsięwzięto też rychło kroki, potajemne lub jawne, aby je złagodzić.

Jednak już od dłuższego czasu, dzieci, zanim jeszcze te nieśmiały, choć zdradzieckie rysy pojawiły się na powierzchni, wasz przyszły nauczyciel historii kochał się w Mary Metcalf. Od dłuższego czasu te same uczucia, które przyciągały go do niej, zarazem odsuwały ją w jego oczach na niemożliwy do przebycia dystans, czyniąc go smutnym i milczącym.

Jest bojaźliwy, jest nieśmiały – ten gołowąs. Ma skłonności do melancholii. Uważa, że jego przeznaczenie to tęsknić z daleka. Ale dlaczego jest taki? Dlaczego smutny? Skąd ta przepaść między nim a światem (którą z mniejszym czy większym powodzeniem usiłuje zapełnić książkami)? I dlaczego nawet wtedy, kiedy nie może już zaprzeczyć pewnym wyraźnym oznakom, iż Mary Metcalf też czuje coś do niego (jako że jego powściągliwość i smutek zdołały nadać mu pozór tajemnicy, a Mary nie potrafi się oprzeć tajemnicy), ledwie potrafi uwierzyć, że tak jest rzeczywiście? Że ta nieosiągalna dziewczyna?... Że on...?

Ponieważ jego matka nie żyje od dawna. Ponieważ umarła, kiedy miał dziewięć lat. Matka Mary także nie żyje, ale trudno powiedzieć, by Mary jej brakowało, skoro jej nigdy nie znała. Natomiast temu synowi dozorca służy nie przestało jeszcze brakować matki.

Może więc nawet bardziej niż farmer Metcalf Tom Crick przeobraził Mary – wbrew faktom – w niedotykalną madonnę (to czerwone najświętsze serce, godło błogosławionej św. Gunnhildy, które goreje tak prowokacyjnie, tak dwuznacznie na kieszonce jej szkolnego blezera). Jednak wie – ma dowody – że Mary Metcalf nie jest skromną panienką ze szkoły klasztornej. A Mary Metcalf wie, że chociaż Tom Crick ma nastawienie platoniczne i odznacza się inteligencją...

Zatem Wielką Wschodnią Kolej Żelazną, która doprowadziła do spotykania się tych dwojga młodych ludzi dwa razy dziennie – ona w rdzawoczerwonym mundurku, on w atramentowoczarnym – należy obarczyć odpowiedzialnością za skruszenie oporów, które bez jej szarpnięć i potrąceń mogłyby okazać się nie do pokonania, oraz za połączenie losów, które inaczej może by wcale nie nastąpiło. Bo gdy ukośny cień lokomotywy – po zachodniej stronie rano, po wschodniej pod wieczór – przetaczał się przez pola buraczane, nieosiągalne zostało osiągnięte. Pewne wyobrażenia zostały stopniowo (i niebezboleśnie) sprostowane, pewne kroki wstępne poczynione i, z mniejszym wahaniem, spowodowane i wreszcie (ale było to dzieło dwóch lat podróży koleją) wspólnymi siłami – choć zawsze okrężną drogą – osiągnięto niezaprzeczalną bliskość.

Dlaczego jednak działaliśmy tak ostrożnie – niezależnie od normalnej w takich sprawach dyskrecji – podczas tych jazd do szkoły i ze szkoły? Dlaczego wagon i przedział wybieraliśmy tak starannie, wprowadzając w ostatniej chwili zmiany (czym niewątpliwie zwracaliśmy więcej uwagi)? Dlaczego czasem w drodze powrotnej celowo przepuszczaliśmy szesnasta dziesięć z Gildsey i łapaliśmy następny pociąg w Newhithe, w ten sposób nie tylko omijając zwykły tłum pasażerów, ale pozwalając sobie na różne pieszczoty po drodze z Gildsey, która wiodła na drugą stronę błotnistej Ousy, obok niszczących nabrzeży portowych w Newhithe, skrajem ocienionych drzewami plantacji selera i cebuli?

Ponieważ pociągiem szesnasta dziesięć mogli jechać Freddie Parr i Peter Baine, i Shirley Alford, nie mówiąc o innych rówieśnikach z Hockwell i Apton, w większości uczniów Gildseyowskiej Szkoły Średniej (niebieskie mundurki) i Gildseyowskiego Liceum (ciemnobrązowo-zielone mundurki).

Ale Freddie Parr przede wszystkim. Nie było rady na Freddiego Parra. Freddie nie odznaczał się subtelnością, język miał niewyparzony. Był często pijany o pół do piątej po południu, dzięki tajemnym zasobom whisky, którą kradł ojcu, a którą ten z kolei zdobywał niecznymi metodami w amerykańskiej bazie powietrznej. Freddie w wieku lat szesnastu miał mentalność doświadczonego rozpustnika oraz kompleks z powodu rozmiarów swego członka – zupełnie przeciętnego. Może bym się i obawiał Freddiego Parra, gdyby nie to, iż wiedziałem, że przynajmniej potrafię pływać, a on nie – zdecydowany minus w wodnistym regionie. Ale pozostawało sprośne oko Freddiego i jego talent plotkarski. Bo bez wątpienia Freddie pośpieszyłby donieść mojemu bratu, jak to z Mary zawsze siedzimy razem (i nie tylko) w pociągu z Gildsey. Ponieważ w lecie 1943 był to już dobrze znany fakt (szczególnie mnie), że Dick Crick często odbywa samotne spaceru brzegiem kanału Hockwell w kierunku farmy Polt Fen.

Freddie chętnie zasiałby w umyśle Dicka ziarno zemsty za pokrzyżowanie planów, jakie on sam, Freddie, miał w stosunku do Mary, gdyby się nie bał, że Dick może podejrzewać jego, gdyby nie gardził niesławną rolą rajfura i gdyby nie to, że tak czy inaczej odczuwał respekt wobec Dicka. Ponieważ Dick Crick, jak mówiono powszechnie – nawet rodzony brat nie mógłby temu zaprzeczyć – posiadał penis fantastycznych rozmiarów. A gdyby nie moje przekonanie, że choćby Dick miał penisa wielkości cukinii i tak nie umiałby się nim posłużyć; gdybym w swojej niewinności nie uważał, że bracia są w końcu braćmi; gdyby Freddie Parr nie trzymał języka za zębami; gdyby nie zależało mi na Mary do tego stopnia, że już wołałem sam dla niej rajfurzyć, niż pozwalać sobie na sceny zazdrości z powodu jej fascynacji Dickiem (bo nie potrafiła oprzeć się tajemnicy), do której w niemałej mierze przyczynił się ów organ, wzbudzający taką ciekawość – ja również mógłbym się bać mojego brata.

Bać się przedtem tak, jak się bałem po tamtym dniu, gdy wyciągnęliśmy z rzeki Freddiego, na którego twarzy pokazywał się nowy siniak na dawnym siniaku...

Ale podczas wakacji, kiedy Wielka Wschodnia Kolej Żelazna nie dostarczała nam już możliwości *rendez-vous*, spotykaliśmy się późnym popołudniem przy kikucie starego wiatraka, nieopodal topolowego zagajnika, nad zakrętem kanału Hockwell, gdzie byliśmy niewidoczni z farmy Polt Fen.

Dlaczego tutaj? I dlaczego akurat o tej godzinie?

Ponieważ właśnie tutaj pewnego dnia w sierpniu 1942 roku (klęska na pustyni, żelazny uścisk łodzi podwodnych) pierwszy raz przystąpiliśmy do badań – próbnych, lecz wspólnych – tego, co wtedy nazywaliśmy po prostu „dziurki” i „rurki”.

Z wahaniem, ale skoro Mary sama mnie zaprosiła, włożyłem koniuszek palca wskazującego w wejście do jej dziurki i ze zdumieniem odkryłem, jak nieadekwatnym określeniem jest „dziurka” na to, co napotkałem. Bo dziurka Mary miała fałdy i wypukłości oraz, tak mi się wydawało, fałszywe i prawdziwe otwory, a kiedy znalazłem prawdziwy otwór – ujawniła zdolności zmieniania swojego układu i faktury pod moim dotknięciem, sugerując istnienie sekretnych przejść, ba! całego wilgotnego labiryntu, skręcającego w głąb. Ciemne, kręcone włoski – dopiero niedawno wyrosłe – między udami Mary, na które w tej chwili jasne fenlandzkie słońce słało łagodny uśmiech, przy bliższych oględzinach pobłyskiwały rudawo. Zagłębiłem jeden palec po pierwszy i drugi kłykieć w dziurkę Mary, następnie wsunąłem jeszcze drugi palec. Było to możliwe, a nawet konieczne, ponieważ dziurka Mary zaczęła objawiać jeszcze większą zdolność wsysania, wchłaniania, żarłoczności, która sprawiła, że na moment się zatrzymałem. Jednak główną i najbardziej zdumiewającą właściwością dziurki Mary była moc rozsyłania drażniących fal nie tylko po całym ciele Mary, ale i moim, i to nie dzięki jakiemuś procesowi umysłowych skojarzeń, lecz w postaci bezpośredniego prądu elektrycznego, który płynął w górę moim ramieniem, napędzał krew do mojej twarzy i zbierał się w tej części mnie, gdzie jednocześnie działała ręka Mary.

Ponieważ równie niezmordowanie jak ja zapoznawałem się z jej dziurką, Mary zapoznawała się z moją rurką. Prawdę mówiąc, była śmielsza z nas dwojga. Ją pierwszą zaczęły swędzieć palce i przystąpiła do działania, zanim ja się ośmieliłem, i to dopiero po jej ponagleniach – chwyceniu i poprowadzeniu mojej ręki, podciągnięciu i ściągnięciu odpowiednich części garderoby – użyć swoich.

Mary odczuwała świąd. Ten jej świąd był świadem ciekawości. Ciekawość łaskotała i drażniła jej piętnastoletnie ciało, przez co Mary była niespokojna i rozproszona. Ciekawość budziła w niej nieopanowaną chęć dotknięcia, zobaczenia, doświadczenia wszystkiego, co nieznanne i ukryte. Nie uśmiechajcie się, dzieci. Ciekawość, która obok innych rzeczy odróżnia nas od zwierząt, jest składnikiem miłości. Jest życiodajną siłą. Ciekawość, która zmusza nas do mozolnego ślęczenia i może doprowadzić do pisania książek historycznych, potrafi także od czasu do czasu, jak owego popołudnia nad kanałem Hockwell, odsłonić przed nami to, co rzadko mamy okazję oglądać bez uszczerbku (bo częściej występuje – martwe ciała, bosaki – w atmosferze horroru): Tu i Teraz.

Kiedy przestałem zgłębiać dziurkę Mary, ona w dalszym ciągu składała w naszym imieniu hołd ciekawości, tym razem środkami werbalnymi. Mówiła o błonie dziewiczej i o swoich miesięcznych krwawieniach. Była z nich dumna. Chciała mi pokazać, jak będzie krwawiła. Chciała, żebym zobaczył. I właśnie wtedy, kiedy mówiła o tych tajemniczych rzeczach, a także o innych, podczas gdy słońce wciąż świeciło na miedziane włoski, pomyślałem sobie (może Mary też pomyślała): Wszystko jest otwarte, wszystko jest jawne, nie ma żadnych tajemnic, tu, teraz, w tym krajobrazie nicości. My, fenlandczycy, nie próbujemy niczego ukryć, ponieważ wiemy, że Bóg patrzy.

W wiatraku nad kanałem Hockwell ciekawość i niewinność podały sobie ręce. I zgłębiały dziury. W jego pozbawionych ducha drewnianych ścianach po raz pierwszy użyliśmy owych magicznych, zauroczających słów, które sprawiają, że pusty świat staje się pełny tak niezawodnie, jak rurka pasuje do dziurki: kocham cię... kocham cię... kocham... kocham... A może i dla wiatraka, pustego, porzuconego od czasów, kiedy zapanowała para i silnik Diesla, a Zarząd Robót Melioracyjnych na Leemie w swojej mądrości zmienił system pompowania, nasza obecność stała się nowym celem istnienia.

Ale działo się to wtedy, kiedy Mary miała piętnaście lat i ja także miałem piętnaście lat. Działo się to w prehistorycznych czasach dojrzewania, kiedy oboje instynktownie, bez żadnej potrzeby umawiania się, podążaliśmy na nasze miejsce spotkań. Jak doszło do tego, że w ciągu jednego roku nasze schadzki zaczęły być przedmiotem planowania i obliczania, że w letnich miesiącach spotykaliśmy się, żeby się kochać (a czasami, żeby po prostu porozmawiać) tylko między godziną trzecią a wpół do szóstej po południu?

Z dwóch powodów. Ponieważ między godziną trzecią a wpół do szóstej, o ile nie dłużej, Dick nadal pracował na pogłębiarce, obserwując, jak ociekający wodą szlam wydobywa się z dna rzeki. Zatem uwzględnivszy czas na powrót do domu i zjedzenie kolacji, nie mógł – że tak powiem – wybrać się na zaloty nad kanał Hockwell co najmniej do siódmej. O wpół do siódmej każdego wieczoru Mary jadła kolację na farmie Polt Fen, pod surowym okiem ojca, który codziennie potrzasał głową (zrezygnowawszy z protestów) nad swoją niepoprawną córką, a zatem mogła stać się obiektem westchnień dopiero blisko wpół do ósmej. A do tego czasu ja zdążyłem się już pogрузьć w moich historycznych książkach.

Po drugie: żeby uniknąć Freddiego Parra, bo chociaż Freddie Parr, uczeń Gildseyowskiej Szkoły Średniej, tak jak my cieszył się letnią swobodą, to jednak musiał po południu w większość dni powszednich załatwiać pewne interesy swojego ojca, dróżnika i strażnika przejazdu kolejowego w Hockwell, za co otrzymywał wysokie kieszonkowe, zyskując w ten sposób przewagę nad nami, dziećmi z okolicy, których własne kieszonkowe (z wyjątkiem Mary – dopóki ojciec go nie cofnął) było mizerne, a także zdobywając krótkotrwały monopol na rozmaite czarnorynkowe artykuły, od lucky strike'ów do prezerwatyw.

Okolo wpół do trzeciej Freddie wyruszał z Hockwell z jednym, czasem dwoma workami pod pachą.

Pozostawiwszy rower w domu – ponieważ nigdy nie wiedział, czy z powrotem worki nie będą ciężkie i mocno wyładowane – szedł drogą i polami w kierunku jeziora Wash Fen, a ściślej w kierunku lepianki zamieszkiwanej w letnich miesiącach przez Billa Claya, którego wieku nikt nie znał.

Nikt też nie wiedział, co może łączyć Billa Claya i Jacka Parra, chyba że chodziło o jakąś dawno wyświadczoną przysługę. Chyba że Jack Parr, który był człowiekiem przesadnym, nawet bardziej przesadnym niż mój ojciec, kiedyś, jako chłopiec – na długo przedtem, nim zaczął terminować w zawodzie dróżnika – odwiedzał starego myśliwego (nawet wtedy był stary), gotów, jako mało kto, popijać jego zabójczą herbatę makową i wysłuchiwać na wpół niezrozumiałych opowieści. Jednak wszyscy wiedzieli, że to, co obecnie załatwiał Jack Parr z Billem Clayem, miało bardziej materialny charakter. Że Jack Parr, znany ze swojej umiejętności przekazywania tajnych informacji za pośrednictwem Wielkiej Wschodniej Kolei Żelaznej i dzięki temu otrzymujący z bliska i z daleka wszelkiego rodzaju nielegalne przesyłki, na które strażnicy przymykali oko, po prostu zaopatrywał Billa w pewne artykuły, które ciężko było dostać w tych wojennych czasach. I że worki, które Freddie Parr nosił do lepianki nad jeziorem Wash Fen, nie zawsze były puste, ale zawierały niekiedy kanistry prochu strzelniczego oraz butelki rumu i whisky.

Bill Clay nadal polował na kaczki na jeziorze Wash Fen podczas zimowych powodzi. W lecie, kiedy nie było dużego odstrzału, popadał w odrętwienie, jak samo jezioro, które miejscami przypominało zarośnięte trzęsawisko, i zadowalał się łapaniem węgorzy oraz zastawianiem sidła w trzcinach. Zimą Bill Clay posyłał legalnie swoje worki z ptactwem na rynek, ale latem były one sprzedawane na miejscu i bez pozwolenia każdemu, kto się nawinął – ku wielkiemu niezadowoleniu inspektorów z ministerstwa żywności. Z biura żywności w Gildsey wysłano zaraz urzędnika, aby zaapelował do patriotycznego instynktu Billa i jego poczucia *fair play* w owych dniach racjonowanej żywności; spotkał się ze strzelbą kaliber 6, używaną przez Billa podczas polowań z płaskodenki, bronią ładowaną przez lufę, dla której dostawy prochu strzelniczego były niezbędne.

Właśnie na owe nielegalnie ustrzelone w lecie ptaki Freddie Parr nosił swoje worki. Jack Parr był bowiem głównym klientem Billa Claya. Po kilku godzinach od powrotu Freddiego z łupem, worek czy worki z ptactwem podróżowały już wieczornym pociągiem do pewnej stacji na linii Mildenhall. Tutaj (po zainkasowaniu przez strażnika i zawiadowcę stacji swojej doli) zabierał je jeep z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, a następnie kierowca dawał je pewnym oficerom w pobliskiej bazie, którzy umilali sobie życie, każąc ordynansom podawać na stół to, co uważali za tradycyjne potrawy regionu, po czym wyruszali na swoje szaleńcze dzienne loty bojowe, by zginąć – albo przeżyć do następnej uczty. W rewanżu za te regularne bankiety oficerowie gotowi byli płacić po uczciwym amerykańskim kursie, tak więc z powrotem tą samą trasą wędrowały co tydzień – wyprawiane przez tego samego kaprała w jeepie – czasem artykuły żywnościowe, czasem tytoń, ale zawsze, co było dla Jacka Parra najważniejsze, kilka butelek burbona Old Grand-dad z Kentucky.

Jack Parr nie mógł opuścić swojej nastawni i przejazdu. Tak więc co drugie popołudnie między wpół do trzeciej i wpół do szóstej Freddie Parr wyruszał do lepianki Billa Claya. Przekazywał przeschmuglowaną zawartość swojego worka. Następnie obydwaj robili obchód obrzeży jeziora Wash Fen. Podczas gdy my z Mary zaszywaliśmy się w starym wiatraku, Bill Clay sprawdzał swoje sidła. Jeśli ptak się złapał, Bill chwycił go w mocny, uspokajający uścisk myśliwego, uwalniał, i niedbałym ruchem, jakby wytrząsał ścierkę, ukrecał mu łebek. Freddie – tak nam przynajmniej mówił – też się tego nauczył. Podczas gdy my z Mary spędzaliśmy czas na pieszczotach, które nie były już odkrywaniem, choć w żadnym wypadku nie przestały być przygodą, trzy, cztery, sześć czy więcej ptaków, złapanych za szyję czy nogę, walczyło, biło skrzydłami, rzucało się na dźwięk zbliżających się kroków, zostawało uciszonych szorstką dłonią Billa i dobitych. Bill niewątpliwie mówił przez cały czas i Freddie niewątpliwie słuchał. Bo Freddie, który był strasznym papłą i wygadał wszystko, co wiedział o konszachtach swego ojca z Siłami Powietrznymi, mówił nam – mnie, Mary i innym – dużo o Billu Clayu, z upiększeniami lub bez. Że Bill, chociaż nie był najmądrzejszym człowiekiem na świecie, był z pewnością najbardziej niezwykłym. Że hipnotyzował zwierzęta, jadł szczury wodne, miał ponad sto lat, wiedział wszystko o śpiewających łabędziach. Że, chociaż wyprowadził się z

domu i mieszkał sam całymi tygodniami w tej swojej maciupieńkiej lepiance, nadal był ożeniony z Martą Clay i nadal „to robili” (swoją drogą, niezły musiał być widok) na otwartym powietrzu w trzcinach.

Ale ja nigdy nie powiedziałem Freddiemu, co myśmy z Mary robili w letnie popołudnia.

Freddie Parr. I mój rodzony brat. Rozumiecie, jakiego rodzaju był mój dylemat i jak wielka była ciekawość Mary. I dlaczego musiałem spotykać się z Mary tylko o wybranej i umówionej porze.

Ale 26 lipca 1943 roku spóźniłem się na *rendez-vous*. Ponieważ... ponieważ, krótko mówiąc, Freddie Parr nie żył. A Mary siedziała przycupnięta na podmurowaniu wiatraka, z brodą opartą na kolanach, ramionami oplatając łydki i kołysząc się tam i z powrotem ze zdenerwowania. Bogiem a prawdą nie było to zdenerwowanie niecierplivej kochanki, której kochanek każe na siebie czekać... Ponieważ do tego czasu musiała już słyszeć... Ponieważ do tego czasu całe Hockwell słyszało... Ale zdenerwowanie Mary miało też inne źródło. Od trzech tygodni niepodobna już było się mylić. Mary była w ciąży.

Za topolowym zagajnikiem sprowadziłem rower z brzegu kanału Hockwell na stronę lądu, upuściłem go w wysoką trawę, przebyłem pędem ostatnich kilka kroków po pochyłości i dalej biegiem na łeb na szyję, choć już nie musiałem na płaskim gruncie, przez łąkę wbitą klinem pomiędzy brzeg a wiatrak.

Prosta, acz wzniosła scena, w której padamy sobie z Mary w objęcia, by potwierdzić potęgę naszej miłości wobec nieprzewidywanych zagrożeń świata i kruchości ciała, czego dowodem śmierć wspólnego przyjaciela? Nic z tych rzeczy. Mary nadal obejmuje ramionami łydki. Ponieważ stary siniak na nowym...

– Trup, Mary. Trup. Na ścieżce holowniczej, wyobrażasz sobie? Trup. Widziałem go.

Przerywa mi, unosząc brodę z kolan. Ciemnobrązowe włosy. Dymnoniebieskie oczy. Musi być dzielniejsza ode mnie. Żadnych niepotrzebnych sentymentów. Fakty. Fakty.

– Słuchaj, czy ktoś coś mówił? Twój tata? Policja?

– Mówił?

– O tym, jak Freddie zmarł.

– Utopił się.

Mary przygryza wargę.

– O tym, jak się utopił.

– Wpadł do rzeki. Przecież nie umiał pływać.

Uczniowska zagrywka. Udawaj niewinnego, uznają cię za niewinnego. Udawaj głupiego, będą myśleli, że nic nie wiesz.

Ale Mary znowu chowa twarz na kolanach. Potrząsa przecząco głową. Topole szumią. Kiedy podnosi głowę, wydaje się trzy razy starsza ode mnie, jakby stała się kobietą o stwardniałych rysach, kobietą z przeszłością. Nagle widzę, że to dlatego, iż w jej twarzy czegoś zabrakło. Ciekawości.

– Freddie nie wpadł do rzeki. Ktoś go wepchnął. Dick go wepchnął.

– Ależ, Mary...

– Widziałam ich razem wczoraj wieczorem, niedaleko od mostka. Freddie był pijany.

– Ależ...

– Bo ja mu powiedziałam. Bo pomyślałam, że wcześniej czy później będzie musiał się dowiedzieć. Powiedziałam mu. Wyglądało, że jest taki szczęśliwy. Bo myśli... A ja powiedziałam: Nie, Dick, nie twoje. A teraz wydaje mi się, że może powinnam była powiedzieć: Tak. Gdybym powiedziała: Tak, twoje... Wtedy tylko patrzył na mnie, więc musiałam coś powiedzieć. Powiedziałam, że to Freddie. Powiedziałam mu, że to Freddiego.

Przyglądam się Mary. Próbuje zrozumieć słowa. Jednocześnie myślę: Dick wrócił wczoraj wieczorem około wpół do dziewiątej, a potem znowu wyszedł z czymś w kieszeni wiatrówki.

Ale Mary, zdaje się, uważa, że jej nie wierzę.

– Powiedziałam tak, żeby ochronić ciebie. Może nie powinnam.

Opuszcza głowę, następnie podnosi z miną męczennicy.

– To prawda. Powiedziałam mu, że to Freddie. Dick zabił Freddiego Parra, bo myślał, że to on. Więc i my jesteśmy winni.

Bydło na łące zniknęło za zakrętem. Krajobraz opustoszał.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ znam Dicka.

Patrzę na nią.

– Ja znam Dicka.

– Może nie znasz.

– Może w ogóle nic nie wiem.

Miękkie chmury szybują po lipcowym niebie. Pozwalamy im szybować przez całą minutę.

– Mary, czy ono jest Freddiego?

– Nie, nie Freddiego.

Więc muszę dalej zgadywać.

– Dicka?

– Nie mogłoby być Dicka.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ – patrzy w ziemię – ponieważ był za duży.

– Za duży?

– Za duży.

– Żeby się zmieścić?

– Tak.

– Ale jeżeli był za... dlaczego Dick miałby myśleć?

– Widzisz, widzisz. Ponieważ i tak nie wiedział, jak. Uważał, że można je mieć z samego myślenia. Uważał, że można je mieć po prostu z kochania.

Muszę dalej zgadywać. Ponieważ trudno mi uwierzyć, że jeżeli Dick nie wiedział jak, to Mary go nie nauczyła. Czyż nie po to wypuszczał się wieczorem nad kanał Hockwell? Żeby pobierać nauki? Czyż nie dlatego Mary i ja zlitowaliśmy się? Biedny Dick, którego nie wolno było uczyć... Biedny Dick, który chciał się czegoś dowiedzieć o miłości.

To – i swędząca ciekawość Mary. Która nagle zniknęła.

– Był za duży. Nie chciał wejść... Ale to nie jest teraz najważniejsze, prawda?

I dalej próbuję zgadywać tego samego wieczoru na brzegu rzeki pod wierzbą, kiedy obserwuję Dicka majstrującego przy swoim motocyklu. (Nie, dziś nie wypuszcza się w konkury). Tego samego wieczoru wydobywam też z rzeki dziwnie wyglądającą butelkę. Wiem, co było w tej butelce. Wiem, skąd pochodzi. Moje domysły prowadzą do pewnych wniosków – (które nie uśmierzają lęku). Zatem Dick wraca do domu, zobaczywszy się z Mary, po czym znów wychodzi z czymś w kieszeni wiatrówki. Zwabia Freddiego w pobliże mostka. Wie, że Freddie, jak jego ojciec, zawsze jest gotów wypić i chociaż nikt nigdy nie widział, żeby sam Dick pił, częstuje go czymś specjalnym – piwem niepodobnym do żadnego innego. Tak więc Freddie, który i tak nie umie pływać, nie będzie w stanie się uratować. „Freddie chce pić?” Siedzą na mostku. Dla pewności, zanim go zepchnie, Dick uderza Freddiego pustą butelką. W prawą skroń. Wtedy wrzuca do wody także butelkę. I butelka, jak Freddie, spływa z prądem...

Biorę butelkę po piwie i niosę ją po kryjomu za jaz, chcąc wrzucić powtórnie tak, żeby tym razem odpłynęła na dobre, najlepiej aż do morza. Ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymuje. Chowam butelkę pod koszulę i szmugluję do mego pokoju. Tej nocy, kiedy idę do łóżka i kiedy Dick idzie do łóżka, robię coś, czego przedtem nigdy nie zrobiłem. Zdejmuję z haka na ścianie stary, zardzewiały, nigdy nie używany klucz od mojego pokoju i zamykam nim drzwi.

8

O zwierzęciu opowiadającym

Wiem, co czujecie. Wiem, co myślicie, siedząc tak w waszych ławkach w postawie wyrażającej zdumienie, apatię, niechęć, pogodzenie się z losem, chwilową koncentrację. Wiem, co myślą wszystkie dzieci poddane reżimowi lekcji historii, zmuszone do przyjmowania przeszłości dozowanej łyżeczką:

– Ale co z Teraz? Teraz, żyjemy Teraz. Co z Teraz?

Przed wami łysiejący pięćdziesięciolatek, który głądzi o *ancien régime*, Rousseau, Diderocie i bankructwie korony francuskiej, z tyłu za oknem szare zimowe światło, puste boisko, dalekie zamglone wieżowce... A wokół was zateęchła klasa, w której jesteście zawieszani, zamknięci jak w klatce, jak zwierzęta wyrwane ze swego naturalnego środowiska.

Teraz. Co z Teraz?

Price wyskakuje – jedna z jego rozlicznych prób przekreślenia Rewolucji Francuskiej, zakłócenia przewrotu – i powiada: – Liczy się to, co jest tu i teraz. – Ale co to jest owo tylokrotnie przywoływane Tu i Teraz? Ta nieokreślona strefa pomiędzy tym, co stanowi przeszłość, a tym, co ma nadejść, ten wolny i przewiewny obszar czasu teraźniejszego, z którego zawsze mamy chęć wyrwać się w bezkresną przyszłość?

Ile razy, dzieci, wstępujemy w Tu i Teraz? Ile razy Tu i Teraz składa nam wizytę? Przychodzi tak rzadko, iż nigdy nie jest tym, co sobie wyobrażamy, i właśnie Tu i Teraz okazuje się bajką, nie Historia, której treść jest przynajmniej raz na zawsze ustalona i niezmienna. Bo Tu i Teraz ma więcej niż jedno oblicze. Tu i Teraz na brzegach kanału Hockwell z Mary Metcalf otworzyło przede mną świat szczerości i zachwytu. Ale także Tu i Teraz obezwładniło mnie strachem, kiedy krew koloru wątroby pokazała się na prawej skroni Freddiego Parra, tam gdzie przejechał bosak; a potem znowu, kiedy po pewnym spotkaniu z Mary Metcalf ukryłem butelkę po piwie pod koszulą i znalazłszy się w swoim pokoju, zamknąłem drzwi na klucz.

A tak często, dzieci, właśnie te ataki Tu i Teraz przez zaskoczenie nie tylko nie wprowadzają nas w czas teraźniejszy, co, owszem, robią na krótki moment oszołomienia, ale obwieszczają, że czas wziął nas do niewoli. Możecie więc być pewni, że tamtego lipcowego dnia 1943 wasz młodociany nauczyciel historii przestał być dzieckiem. Jak również możecie być pewni, że gdy podczas Rewolucji Francuskiej włosy Marii Antoniny, która niegdyś bawiła się w chowanego i płała inne dziecięce psoty w ogrodach Wersalu, pobielały jak owcze runo w ciągu jednej podróży powozem z Varennes do Paryża, świadoma była nie tylko Tu i Teraz, ale i tego, że Historia ją pochłoneła.

A jednak Tu i Teraz, które niesie ze sobą zarówno radość, jak przerażenie, nawiedza nas rzadko – nie przychodzi nawet wtedy, kiedy je wzywamy. Tak to już jest: życie zawiera wiele pustej przestrzeni. Składamy się w jednej dziesiątej z żywej tkanki, a w dziewięciu dziesiątych z wody; życie w jednej dziesiątej stanowi Tu i Teraz, a w dziewięciu dziesiątych jest lekcją historii. Przez większość czasu Tu i Teraz nie ma ani tu, ani teraz.

Co robić, kiedy rzeczywistość jest pustą przestrzenią? Można sprawić, że coś się dzieje – i wyczarować, podejmując pełne ryzyko, małą namiastkę Tu i Teraz: można pić i się weselić, i zapomnieć, co mówi trzeźwy umysł. Albo, jak Crickowie, którzy ze swojego wodnistego znoju zawsze potrafili odcedzić parę historyjek, można opowiadać.

Dzieci, to, że zostałem nauczycielem historii, da się bezpośrednio przypisać opowieściom, jakimi uspokajała mnie matka, kiedy, jak większość dzieci, bałem się ciemności. Bo chociaż matka nie pochodziła z Cricków, posiadała wcale nie mały dar opowiadania różnych historii, a poza tym, czego wówczas nie wiedziałem – jako że dopiero późniejsze badania historyczne to ujawniły – miała własny powód, żeby być z baśniami za pan brat.

Moja wcześniejsza znajomość z historią, w formie, w jakiej przekazywały mi ją usta matki, łączyła się więc nierozdzielnie z innymi matczynymi opowieściami na dobranoc – jak Alfred spalił ciastka, jak Kanut rozkazywał falom, jak król Karol ukrywał się w dębie – jak gdyby historia była przyjemną fantazją. A nawet kiedy byłem uczniem, który poznał historię jako przedmiot studiów, ba, w którym kiełkowała już późniejsza pasja całego życia, nadal wabiła mnie przede wszystkim baśniowa aura historii i wierzyłem, być może tak jak wy, że historia jest mitem. Dopóki seria spotkań z Tu i Teraz nie przydała moim studiom nagłego impulsu. Dopóki Tu i Teraz, chwytając mnie za ramię, uderzając w twarz i mówiąc, żebym się dobrze przyjrzał galimatiasowi, w jakim tkwię, nie poinformowało mnie, że historia wcale nie jest fantazją, ale naprawdę istnieje, i że stałem się jej częścią.

Wziąłem więc mój przedmiot na barki. Zacząłem więc zagłębiać się w historię, nie tylko mocno sfatygowaną historię szerokiego świata, ale również, i to ze szczególnym zapalem, historię moich fenlandzkich przodków. Zacząłem więc domagać się od historii Wyjaśnienia. Po to tylko, żeby odkryć w ciągu żmudnych badań więcej tajemnic, więcej dziwaczności, więcej cudów i powodów do zdumienia, niż ich było na początku, kiedy przystępowałem do pracy; po to tylko, żeby dojść do wniosku czterdzieści lat później – niezależnie od mojego umiłowania pożyteczności, oświecającej mocy wybranej dyscypliny – że historia jest baśnią. A czyż mogę zaprzeczyć, że chodziło mi cały czas nie o jakąś bryłkę złota, którą historia wreszcie wyda z siebie, ale o Historię samą, Wielką Narrację, która zapełnia próżnię, która uśmierza lęk przed ciemnością?

Dzieci, tylko zwierzęta żyją wyłącznie w Tu i Teraz. Tylko przyroda nie wie, co to pamięć czy historia. Ale człowiek – pozwólcie, że ofiaruję wam definicję – jest zwierzęciem opowiadającym. Gdziekolwiek pójdzie, chce zostawić za sobą nie zmaconą wodę, nie pustą przestrzeń, ale uspokajające boje i równą smugę opowieści. Musi opowiadać. Musi wymyślać różne historie. Jak długo ma co opowiadać, wszystko w porządku. Nawet podobno w ostatnich chwilach, w ułamku sekundy przed fatalnym upadkiem – albo przed utonięciem – widzi, przesuwając się błyskawicznie przed jego oczyma, historię całego swojego życia.

A kiedy siedzi, mniej zajęty, ale nie mniej przerażony, w samym centrum katastrofy, kiedy siedzi – tak jak Lewis widzi siebie siedzącego, przez wzgląd na dzieci – w swoim przeciwatomowym bunkrze albo kiedy po prostu siedzi sam, ponieważ zabrano kobietę, która była jego żoną przez ponad trzydzieści lat, a która już go nie poznaje, ani on jej; ponieważ jego uczniów, jego dzieci, które kiedyś, przypominając mu zawsze o przyszłości, przychodziły na jego lekcje historii, już nie ma, wtedy opowiada – choćby sobie samemu, choćby słuchaczom, których zmuszony jest wymyślić – historię.

Więc pozwólcie mi opowiedzieć następną. Pozwólcie mi opowiedzieć

9

O karierze rodziny Atkinsonów

Niektórzy mówią, że pochodzili z Fenów. Ale nawet jeżeli tak było, przenieśli się dawno, gdyż znudziły im się mokre buty i płaskie horyzonty, na wzgórza Norfolk, żeby zostać prostymi pasterzami. I na tych wzgórzach (niskich i skromnych w porównaniu z innymi wzgórzami, ale podniebnych szczytów jak na fenlandzkie standardy) zaczęły ich nawiedzać Idee – coś, czego ugrzęźli w błocie Crickowie rzadko doświadczali.

Zanim Vermuyden przybył na Feny i napotkał upór tutejszych mieszkańców, praszczur Atkinson na swoim beczącym stoku wpadł na pomysł zostania bailiffem, a jego syn, urodzony na bailiffa, wpadł na pomysł zostania zamożnym farmerem, a któryś z czwartego, piątego czy szóstego pokolenia pomysłówych Atkinsonów w czasach przymusowego ogradzania gruntów gromadzkich, kiedy to handel wełną przechodził różne koleje, sprzedał większość owiec, najął oraczy i zasiał jęczmień, który wyrósł wysoko i bujnie w kredowej wyżynnej glebie i został wysłany do słodownika, by zmienić się w piwo.

I to jest następna różnica między Crickami a Atkinsonami. Podczas gdy Crickowie powstałi z wody, Atkinsonowie powstałi z piwa.

W akrach tej ziemi, którą orał, musiało być coś szczególnego, a Joszua Atkinson musiał znać się na tym i owym, ponieważ wieść się rozeszła, że słód z jego jęczmienia jest nie tylko niezwykły, ale też posiada czarodziejską moc.

Pocziwi – i nadzwyczaj pogodni – wieśniacy z zachodniego Norfolku pijali z przyjemnością swoje piwo i nie znając innego, z którym mogliby je porównać, uważali jego wyborny smak za normalny smak prawdziwego piwa. Ale piwowarzy z pobliskich miast, rzutcy mężczyźni, kierujący się, nawet wtedy, wycuciem rynku, pokosztowali wiejskiego produktu na poszukiwawczych wyprawach i zapytali, skąd pochodzi sód. Słodownik z kolei, człowiek prosty, nie umiał się powstrzymać, żeby nie zdradzić, skąd dostaje jęczmień. I tak doszło w roku 1751 do zawarcia umowy pomiędzy Joszą Atkinsonem, farmerem z Wexingham w Norfolk, a George'em Jarvisem, słodownikiem z Sheverton, z inicjatywy pierwszego, ale korzystniejszej – tak się wydawało – dla drugiego, na mocy której zgodzili się obydwaj dzielić koszty zakupu lub wynajmu wozów, woźniców i zaprzęgów mających rozwozić ich wspólny produkt, dla wspólnego zysku, do piwowarów w Swaffham i Thetford.

Spółka Jarvisa i Atkinsona kwitła. Ale Joszua, który tymczasem zdołał wpaść na jeszcze inny pomysł, nie pozbawił się w umowie prawa posyłania swojego jęczmienia, jeśliby mu przyszła ochota, do innych słodowników. Atkinsonowska zdolność przewidywania podszeptała mu, że za życia jego syna lub wnuka, jeśli nie jego samego, piwowarzy zechcą w miastach, gdzie mają swoje rynki zbytu, mieć i własne słodownie pod ręką, i że Jarvis, który uważał, iż Atkinson jest związany ich wspólnym porozumieniem z piwowarami, ucierpi na tym.

I ucierpiął lub raczej ucierpieli jego następcy. Kiedy po drugiej stronie Atlantyku padły pierwsze ostrzegawcze strzały w tym, co wy znacie, dzieci, jako Amerykańską Wojnę o Niepodległość, William Atkinson, syn Joszuy, zaczął wysyłać swój jęczmień bezpośrednio do piwowarów. Syn starego George'a, John, zaskoczony, wściekły, ale bezsilny, musiał ograniczyć się do obrotu lokalnego. Jego interes podupadł. W roku 1779 z zuchwałością człowieka, który działa po prostu z nieuchronną logiką, Atkinson zaproponował, że go wykupi. Jarvis, upokorzony, złamany, zgodził się. Od tego dnia Jarvisowie stali się zarządcami w słodowni Atkinsonów.

Williamowi, wolnemu od wyrzutów sumienia, pozostało tylko doprowadzić do końca zręczny fortel ojca. Na gniadym koniu, w butach z cholewami, trójgraniastym kapeluszu na głowie i jeździeckiej pelerynie z brązowego sukna na ramionach udał się do piwowarów w Swaffham i Thetford. Oświadczył, że co do jego jęczmienia, to lepszego, jak dobrze wiedzą, nie znajdziesz w całej okolicy, nie ma też obaw, aby go zabrakło (wszak czy nawet teraz nie przeznaczyl więcej ziemi pod uprawę?), ale odtąd żaden piwowar nie zobaczy go na oczy nie słodowanego w słodowni Atkinsona.

Piwowarzy protestowali, unosili brwi, odsuwali z hałasem rzeźbione dębowe krzesła, stukali lufkami dębowych fajek. A co z ich słodowniami, które wzniesli niemałym kosztem specjalnie po to, żeby je mieć w bliskiej odległości? William odpowiedział, że powinni jak najprędzej wykorzystywać je nadal do produkcji piwa, które ich klienci niewątpliwie ocenią jako gorsze. A co się tyczy odległości, czyżby jego własne wozy zawiodły kiedykolwiek?

Piwowarzy pomrukiwali gniewnie, wymyślali, przekręcali swoje swędzące peruki i wreszcie przystali na kompromis. Z początkiem lat osiemdziesiątych XVIII wieku mieszkańcy Swaffham i Thetford stali się świadkami zjawiska, o jakim jeszcze nikt nie słyszał. Piwo odtąd nie było już piwem, lecz stworzeniem dwugłowym, z jednym obliczem o znajomych możliwościach, ale kosztującym pół pensa więcej, natomiast drugim, po starej cenie, obcym i bez smaku.

William Atkinson odjechał, bardzo zadowolony, po dalszych naradach z piwowarami, podczas których, jak można domniemywać, przesiadywał w ich piwiarniach, jowialnie trącając się cynowymi kufkami. Bo William zawdzięczał sukces nie tylko dalekowzroczności ojca i własnemu rozeznaniu, lecz także toastom krzepiącym serca dobrą otuchą. Czarodziejski trunek, który zamykali w dłoniach, a który do nich mrugał i słał promienne uśmiechy nawet wtedy, kiedy mówili, zatryumfował w równym stopniu co przebiegłość Willa. Otucha: czyż to nie był ostateczny cel jego – i ich – działalności? A czyż można wlewać w ludzi otuchę w atmosferze rankorów i waśni? Przecież miał na podorędziu dla tych zawistnych piwowarów historyjkę, jak to pewnego razu jego ojciec, stary Jozua, zabrał go na pole jęczmienia, gdzie pod wpływem wiatru dojrzewające kłosa szeleściły niby tysiąc jedwabnych halek, i nisko pochylony, wyciągając szyję i nadstawiając ucha mówił: – Słyszysz to? Słyszysz teraz? To języki się rozwiązują, to śmiech rozlega się w piwiarni, to gwar radości i wesela!

Wozy Williama turkotały, wioząc worki ze słodem do Swaffham i z Sheverton do Thetford. Za jakiś czas piwowarzy z Fakenham i Norwich, którzy nie uwieźli kapitału we własnych słodowniach, zdecydowali, że opłaca im się posyłać po słód do Sheverton.

Ale William, który się starzał i zaczął już wiele spraw przekazywać synowi Thomasowi, wiedział, że niedługo będą cieszyć się sukcesem niezagrożeni. Inni hodowcy jęczmienia z Norfolk, przejawiając gospodarską inicjatywę, jaką niegdyś przejawiali on z ojcem, będą rywalizować o względy piwowarów. Poza tym Will Atkinson nadal miał pomysły. Marzył, że pewnego dnia Atkinsonowie zajmą się cudownym ziarnem jęczmienia od początku do końca, nie oddając go ani na chwilę w obce ręce. Że dawni pasterze, którzy teraz orali ziemię i produkowali słód, pewnego dnia będą warzyć piwo, i to w stylu znacznie bardziej imponującym niż piwowarczyki z Thetford i Swaffham.

Wyobraźcie sobie scenę niewiele różniącą się od tej, gdy Jozua i William stali słuchając, co jęczmień ma do powiedzenia, tyle że teraz William, oparty na lasce, kieruje uwagę swego syna i zwraca jego spojrzenie na zachód, gdzie w mglistej dali kryją się Feny. Gdzie czarnoziem wydarty wodzie, choć znakomity pod uprawę owsa, nigdy nie wyda słodowego jęczmienia równego wyhodowanemu na tych skibach, na których obaj stoją. Wskazując wyciągniętą ręką ponad równinę, wyjaśnia młodemu Tomowi, że ludność Fenów importuje słód z wyżyn na południu hrabstwa Cambridge, Hertford i Bedford. Bardzo dobry kraj na uprawę jęczmienia i bardzo dobry słód, tyle że liczne myta czyhające nań po drodze, kiedy spływa w barkach Camem i Ousą, podbijają jego cenę, a naturalne zagrożenie tychże szlaków wodnych, które mają męczący zwyczaj występowania z brzegów, zmieniania biegu, a od czasu do czasu dławienia się szlamem, powoduje nieregularność dostaw, czasami nie docierających w ogóle do celu, a czasem docierających w opłakanym stanie. Krótko mówiąc, fenlandczycy płacą ciężkie pieniądze za dostarczone od przypadku do przypadku kiepskie piwo. A jakby tego było mało, Feny są tak zapuszczonym, bezdrożnym pustkowiem, że niewielu fenlandczyków może dorwać się nawet do tego piwa, które jest osiągalne.

Spoglądając zaborczo i proroczo ze szczytu swojego wzgórza (co pewnie wyjaśnia, dlaczego, kiedy próbowałem sobie wyobrazić tego Boga, o którym tata mówił, że ma tak rozległy widok, widziałem czasami czerstwą rumianą twarz pod trójgraniastym kapeluszem i śnieżnobiałe włosy, związane z tyłu według osiemnastowiecznej mody), spoglądając ze swoich norfolkskich wzgórz, William położył dłoń na ramieniu syna i odezwał się, być może, w te słowa: – Musimy pomóc biednym, przemokniętym fenlandczykom. Potrzebują trochę otuchy na tych swoich nieszczęsnych moczarach. Nie przeżyją o wodzie.

Wyobraźcie sobie inną scenę, w bawialni domu z czerwonej cegły, zbudowanego przez Joszuję w 1769 roku (nadal stoi w całej swej georgiańskiej solidności na skraju Wexingham): William rozwija mapę, specjalnie zakupioną w sklepie z mapami w Cambridge, i wskazuje brązowym jak orzech palcem rejon rzeki Leem. Bierze za punkt centralny miasteczko Gildsey, niedaleko połączenia Leemu z Ousą. Porównuje odległość, mierzoną Leemem, od ich własnej farmy do Gildsey z odległością, mierzoną Camem i Ousą, od krainy jęczmienia na południu. Zwraca synowi uwagę, do czego nie potrzeba żadnej mapy, na sióło Kessling, zaledwie o parę mil na zachód od Wexingham, skupisko walących się chat wśród dzikich wrzosowisk i pastwisk, gdzie młody Leem, po swojej podróży ze wzgórz, zaczyna zwalniać i nabierać mocy, sióło, które większość mieszkańców i tak już porzuciła, najmując się do roboty u Atkinsonów. Stuka w mapę lufką fajki: – Człowiek, który zbuduje słodownię w Kessling i posiadzie klucze do rzeki, przyniesie bogactwo tej jałowej ziemi. I sobie.

Tom patrzy na mapę, a potem na ojca. Klucze do rzeki? Nie widzi żadnej rzeki, tylko szereg jezior, bagnisk, mokradeł, pośród których może i mgliście rysuje się wodna arteria. Na co William, z fajką z powrotem w kąciku ust, wypowiada słowo, które brzmi dziwnie i niepokojąco w ustach człowieka mieszkającego na szczycie kredowego wzgórza: Osuszanie.

Tak więc Thomas Atkinson, ponaglany przez ojca, który odchodzi na wieczny spoczynek na cmentarzu w Wexingham w roku pańskim 1785, rozpoczyna skupowanie ziem w zlewni Leemu i odkrywa, że „osuszanie” jest rzeczywiście dziwnym, nawet magicznym słowem – równie magicznym jak ziarna jego własnego jęczmienia. Ponieważ za pięć czy sześć lat może sprzedać tę samą ziemię, po wyciśnięciu z niej wody, z dziesięciokrotnym zyskiem.

Kiedy na kontynencie europejskim następuje złoty wiek, kiedy wali się Bastylia, jakobini przeganiają żyrondistów i odbywa się drenaż krwi na wielką skalę, Thomas Atkinson studiuje zasady drenowania gruntów, prędkości przepływu wody w rzekach oraz zamulania. Uczy się, jak skuteczność sztucznego drenowania mierzy się zwiększoną ilością wody spływającej naturalnym drenem rzeki, jak prędkość przepływu wody w rzece wzrasta w stosunku ułamkowym do wzrostu ilości wody, natomiast zamulenie maleje w stosunku wielokrotnym do wzrastania prędkości przepływu. Przestrzega tych zasad z widocznym rezultatem. Odbywa narady, najmuje geometrów, inżynierów i robotników, z których żaden nie narzeka na ignorancję, niecierpliwość czy skąpstwo swego pracodawcy. A wśród tych, którzy przychodzą u niego pracować, są Crickowie z Ousy.

Thomas przekonuje się, że to niełatwe. I że nigdy się nie kończy. Krok po kroku. Upór wody. Nieustępliwość idei. Melioracja.

Niech nikt jednak nie myśli, że w tym ciężkim znoju Thomas zapomniał o ojcowskim toaście na Dobrą Otuchę, gdyż jego księgi rachunkowe odnotowują zabezpieczenie regularnych dostaw piwa warzonego na Atkinsonowskim słodzie, które ma być sprowadzane z Norfolk z niemałym nakładem kosztów i trudów – jeśli wziąć pod uwagę problem transportu – dla pokrzepienia fenlandzkich robotników. A kiedy w 1799 roku, wzbogaciwszy się na spekulacji ziemią i wyznaczwszy pełnomocnika do zarządzania farmą w Norfolk, Thomas przenosi się z Wexingham do Kessling – gdzie ku zdumieniu garstki wieśniaków nie tylko każe postawić dom, ale również sporządzić plany wykopania basenu portowego w rzece Leem oraz wzniesienia tam z czasem dużej i supernowoczesnej słodowni – przywozi ze sobą świeżo poślubioną, pełną życia osiemnastoletnią małżonkę. Lokaj, pokojówka, kucharka i stajenny, przybyli z nim z Wexingham, nie mogą się powstrzymać od trącania się łokciami, mrugania i dwuznacznych uśmiechów, słysząc charakterystyczne odgłosy dochodzące odtąd z sypialni pana. Thomas ze zdrowym osiemnastowiecznym brakiem zahamowań płodzi spadkobierców.

Kim była owa swawolna i – jak się okazało – płodna młoda żonka? Była to Sara Turnbull, jedyne żyjące dziecko Matthew Turnbulla, niezbyt majątnego piwowara z Gildsey w hrabstwie Cambridge, do którego Thomas Atkinson przybył pewnego dnia z zaskakującą propozycją: że mianowicie gdyby onże Matthew odsprzedał jemu, Thomasowi, dokładnie połowę swego przedsiębiorstwa, zostałyby w przyszłości bogatym człowiekiem. Na co Matthew popadł w głęboką zadumę, kilka razy przeszedł się po skąpo umeblowanym kantorze, a w tym czasie Thomas przez okno dostrzegł na dziedzińcu stąpającą lekkim krokiem nadobną córkę piwowara i wywiedziawszy się wpieryw dyskretnie o stan zdrowia piwowarskiej rodziny, wymyślił na zabezpieczenie swoich interesów w Gildsey środek o wiele skuteczniejszy niż wszelkie skupowanie udziałów.

W rok bitwy pod Trafalgarem Thomas zmelirował już 12 000 akrów po obu brzegach Leemu; wzniesiono dziesiątki grobli, działało około sześćdziesięciu pomp wiatrowych, a dzierżawcy płacili wysokie dzierżawy i podatki melioracyjne za równie wysokiej klasy glebę. Od Kessling, gdzie do tego czasu niemal każdy wieśniak był w służbie u Atkinsona, do Apton – odległość wodą dziewięć mil – rzekę obwałowano, postawiono też jaz i tamy dla regulowania przepływu.

Ale pozostały odcinek między Apton a Ousą okazał się trudny. Thomas doświadczył losu wszystkich ludzi z inicjatywą, których samodzielne przedsięwzięcia wieńczy powodzenie: napotkał mur konkurencji, nienaruszalnych praw i parlamentarnych machinacji. Przez piętnaście lat toczył wojnę przeciw wodzie, błotom, zimie – nie napotkał jednak wroga bardziej zaciętego niż starszyzna Gildsey i jej wybrani przedstawiciele od chwili, kiedy zorientowali się, że żegluga na Leemie jest rzeczywiście możliwa i że ceny gruntów zawrotnie idą w górę. Podczas gdy Napoleon przeprowadzał swoje błyskawiczne marsze przeciwko Austriakom, Prusakom i Rosjanom, Thomas Atkinson grzązł w przedłużającym się sporze i zawiłych dyskusjach na temat prawa żeglugi, tytułu posiadania własności ziemskiej i statutu komitetów melioracyjnych.

Człowiek mniejszego formatu dałby za wygraną. Człowiek mniejszego formatu nie ryzykowałby więcej i powrócił na suchą i trwałą pozycję obserwacyjną na swoich norfolkskich wzgórzach. Ale w 1809 roku Żegluga na Leemie zostaje wreszcie oficjalnie, acz niechętnie, poddana Thomasowi. Jednocześnie obejmuje on prezesurę – co prawda przy podzielonym i niezdiscyplinowanym zarządzie – Komisji Robót Melioracyjnych nad Leemem.

Ponownie zabiera się do roboty. Nowe brzegi rzeki posuwają się w kierunku zachodnim. Gdzie nie może kupić ziemi, kupuje współpracę. Wykopanie kanału Hockwell ma ułatwić osuszenie szczególnie nieprzystępnych terenów na północ od dolnego Leemu. Dwie mile od miejsca, gdzie Leem wpada do Ousy, wyznaczono lokalizację jazu połączonego ze służą nawigacyjną, dla kontroli dostępu do rzeki. Akwen na barki w Kessling zostaje ukończony, a na zachodnim brzegu Ousy, na północnych krańcach Gildsey, wykupiona parcela na rozbudowę nabrzeży przeładunkowych. Chociaż żaden statek nie odbył jeszcze szczęśliwej podróży między Kessling a Gildsey, liczne barki krążą już z materiałami i odpadami między Kessling a Apton, Apton a Gildsey, odbyły się też wstępne rozmowy z budowniczymi statków w Ely i Lynn na temat zbudowania stałej floty galarów.

W roku 1813, kiedy Napoleon, którego armia kiedyś podążała tak dumnie w przeciwnym kierunku, wycofuje się z Lipska na linię Renu, Thomas Atkinson rozpoczyna budowę słodowni w Kessling. Wkroczył obecnie w pięćdziesiąty dziewiąty rok życia.

W pięćdziesiątym dziewiątym roku życia nadal jest mężczyzną czerstwym i krzepkim, i wesołym; mężczyzną, który nie przyznałby się do żadnego powinowactwa z chełpliwym cesarzem Francuzów. Z młodą żoną u boku (która teraz chętnie nosi luźne suknie i budki, jakie znamy z portretów lady Hamilton i kochanek Byrona) spaceruje wokół akwenu w Kessling i nadzoruje postępy budowy. Czyż jest czystym przypadkiem, że w roku 1815 okazały i wyniosły budynek zostaje ukończony i nazwany, jakżeby inaczej, Słodownią Waterloo? Czyż jest czystym przypadkiem, że na początku tego roku teść Thomasa, piwowar z Gildsey, zapada na zdrowiu i zdaniem lekarzy ma wkrótce rozstać się z tym światem? Czyż jest tylko przypadkiem, że dygnitarze z Gildsey w upojeniu ogólnonarodowej radości decydują się puścić w niepamięć spory z przybłądą z Norfolk i powitać go w swoim gronie jako tego, który przyniósł ich miastu dobrobyt, jako żywy symbol ducha Albionu? I czyż to tylko danina spleacona epoce – czy też wyraz osobistego tryumfu albo znak gotowości do przyjęcia roli symbolu – że kiedy pewnego wrześnieowego dnia 1815 roku, wśród wiwatów i łopotu czerwono-biało-niebieskich flag, mała flotylla czterech nowo wybudowanych galarów przecina, pod żaglem i na pych, Ousę, a następnie, zaprzężona do przybranego wstążkami konia pociągowego, wjeżdża na Leem od strony Gildsey i przepływa przez świeżo ukończoną Śluzę

Atkinsona, pierwszy z flotylli – można by powiedzieć flagowy – statek nosi na dziobie, obok jaskrawoczerwonej stawy oraz godła, wkrótce znanego, w którym dwa żółte kłosa jęczmienia krzyżują się nad podwójną falistą niebieską linią, imię „Annus Mirabilis”?

Dzieci, istnieje teoria historii, którą można by nazwać – zapożyczając słowa od starożytnych Greków – teorią *hubris*. Owa teoria głosi, że za każdy sukces się płaci, że każdemu wielkiemu osiągnięciu towarzyszy strata, że żaden Napoleon nie może w nieskończoność bezkarnie robić z mapą Europy, co mu się podoba.

Uśmiechacie się drwiąco. Kto niby wymierza tę wielką i surową sprawiedliwość? Bogowie? Jakaś nadprzyrodzona siła? Znowu zaczyna to za bardzo przypominać bajkę. W porządku. Ale nawet przyroda nas uczy, że nic nie przybędzie, jeśli zarazem czegoś nie ubyło. Weźmy na przykład wodę, która, choćby nie wiem jak ją kusić, tędy i owędy, powróci zawsze, przy najbliższej okazji, do stanu pierwotnej równowagi. Albo weźmy urodziwą żonę Thomasa Atkinsona, poprzednio znaną jako Sara Turnbull z Gildsey. W latach 1800-1815 rodzi Thomasowi trzech synów, z których dwóch żyje, a jeden umiera, oraz córkę, która żyje, ale tylko do szóstego roku. Bo choć metody odwadniania gruntów znacznie się udoskonaliły, wiedza medyczna znajduje się nadal w powijakach.

Sara wsparta na ramieniu wynoszonego pod niebiosa męża śledzi galary wpływające do rzeki Leem, jednak miarkuje radość na swojej ślicznej twarzy stosownymi oznakami powściągliwości, by nie uchybić dobrym obyczajom. Ponieważ minęły dopiero trzy tygodnie, odkąd jej ojciec – który nigdy nie ujrzał (chyba że w szczęśliwej odmianie losu córki) bogactw, jak mu obiecywał Thomas Atkinson – spoczął w grobie. Patrzą może także, gdzieś z brzegów Leemu, Crickowie – ojciec William i bracia Francis i Joseph. Ale nie wiwatują tak entuzjastycznie jak inni widzowie. Zbyt ni entuzjazm nigdy nie szedł w parze z ich flegmatycznym usposobieniem. A chociaż dumni są ze swego udziału w tworzeniu tej świeżo otwartej dla żeglugi, jaskrawo połyskującej rzeki, wiedzą, że co woda tworzy, to zarazem niszczy. Nic na tym świecie nie posuwa się daleko. A cokolwiek posunie się naprzód, musi również wrócić. To prawo świata przyrody, a także prawo ludzkiego serca.

Mieszczanie wiwatują. Piją piwo (nie Piwo Atkinsona jednak, gdyż browar miejski nadal pozostaje pod szyldem Turnbulla, a nie wypada postponować zmarłego). Panuje nastrój radości i wesela.

Być może przez krótką chwilę Thomas Atkinson zastanawia się, czy o taką właśnie radość mu chodziło: radość towarzyszącą podniosłym uroczystościom otwarcia, mowom i toastom na część haczykowatonosego pogromcy Napoleona.

Zimą 1815/16 pod wpływem deszczów wzbierają wody Leemu, który występuje z brzegów między Apton i Hockwell i zalewa sześć tysięcy akrów świeżo zaoranej ziemi. Katastrofa poważna, ale do przeżycia; Atkinsonowska zaradność daje znać o sobie i w ciągu trzech miesięcy szkoda jest naprawiona. W 1816 cena pszenicy wzrasta dwukrotnie i ci sami dzierżawcy, których Thomas obdarzył urodzajną ziemią, nie mogą już ani płacić czynszu, ani swoim robotnikom. Bonaparte został pobity, biedni głodują. W Ely motłoch się burzy, a wymachujący szablami dragoni, którzy zaledwie rok wcześniej trzymali pole pod Waterloo, dostają rozkaz zmiążdżenia własnych rodaków. Radość? Wesele?

Thomas rozmyśla nad dotkniętą klęską Fenlandią i niestałością historii. Ale i z tym potrafi sobie poradzić. Ponieważ jest człowiekiem bogatym – w dodatku uprawia jęczmień, nie pszenicę – może pójść na rękę swoim dzierżawcom. Rozdaje szylingi i dostarcza żywność głodnym (jego droga żona nie wzdraga się osobiście rozlewać owsianego kleiku przed słodownią w Kessling). I tylko owe akty miłosierdzia oraz fakt, że w tych ciężkich czasach u Atkinsona nadal można znaleźć zatrudnienie, powstrzymują motłoch z Gildsey, który w przeciwnym razie niewątpliwie ruszyłby szturmować lokalną Bastylę miejskiego browaru.

W 1818, kiedy rozruchy ustały – choć nędza doskwiera w tym samym stopniu – Thomas przerabia parter swojego domu w Kessling na biuro słodowni i przeprowadza się, po raz drugi w życiu, z Kessling do Gildsey, do wspaniałej rezydencji Cabel House (która nadal stoi, dzieci), na północ od rynku, ale tylko minutę drogi od browaru, z widokiem na wąską alejkę, która zwała się wówczas, jak również zwie się i dzisiaj, choć teraz jest szeroką arterią ze sklepami sieci Bootsa i Woolwortha, ulicą Wodną. Browar zostaje rozbudowany i traci szyld, który nosił godnie przez trzy lata, szyld Turnbulla. Mieszczanie kosztują po raz pierwszy pod właściwą nazwą niezrównanego Piwa Atkinsona na Atkinsonowskim słodzie z Atkinsonowskiego jęczmienia. Właściciele gospód w Gildsey, których nazwy nawiązują do wodnistego świata wokół – „Pod Łabędziem”, „Pod Wyżłem i Kaczką”, „U Wesołego Flisa”, „Pod Szczupakiem i Węgorzem” – raczą ubogich, lecz spragnionych klientów.

Czy koi to ich smutki – ta porcja czy dwie brunatnej Radości? Czy koi smutek Toma?

Bo coś się dzieje z Tomem, wciąż krzepkim sześćdziesięcioletkiem. Przemienia się w pomnik. Człowiek Z Inicjatywą, Człowiek Szlachetnego Działania, Człowiek Obywatelskich Zasług. Jego portret malowany w tym samym roku ukazuje oblicze pełne charakteru, ale brak w nim błysku rozświetlającego ojcowskie oko czy fałdy zmiękczającej ojcowskie usta – także dwaj jego synowie, George i Alfred, nie odziedziczą rysów dziadka. Thomasa zaczyna charakteryzować rezerwa. Już nie potrafi stanąć nad którymś z nowych rowów i poklepać po ramieniu człowieka, który pomagał go wykopać. Robotnicy pracujący niegdyś z nim w jednym szeregu – wśród nich może i Crickowie – teraz mu czapkują, okazują uszanowanie, traktują niby jakiegoś boga. A kiedy chcąc właśnie pokazać, jaki z niego swój chłop, wkracza do gospody „Pod Łabędziem” czy „U Flisa” i zamawia po pół kwarty dla każdego, milczenie zapada w tym przybytku uciechy, niczym nagła cisza w kościele.

Nie życzy sobie tego – nie ma na to wpływu – ale czuje, że biorą mu miarę i ubierają w sztywny i krępujący kostium legendy. Jak stworzył rzekę Leem na bagnach. Jak przywiózł norfolkskie piwo na Feny. Jak karmił głodnych przy akwencie na barki, stał się ostoją... A w głębi ducha pewnie sobie myśli, o ileż lepiej i jaśniej wyglądało wszystko tamtego dnia w starym domu w Wexingham, kiedy letnie podmuchy niosły przez okno szept rozkołysanego jęczmienia, a ojciec rzucił to dziwne hasło: „Osuszanie”.

Ale nawet to by jeszcze zniósł, jeszcze byłoby do przyjęcia – gdyż Bóg świadkiem, że Thomas nigdy nie wierzył w raj na ziemi – gdyby nie sprawa żony. W 1819 liczy ona lat trzydzieści siedem. Filuterna dziewczęca uroda, która go kiedyś podbiła (i była korzystna z punktu widzenia jego interesów), nabrała z latami blasku i dojrzałej słodyczy. Pani Atkinson jest piękna pięknnością przypominającą panu Atkinsonowi piękność aktorki – jakby jego żona stała na jasno oświetlonej scenie, on zaś mimo całej wyniosłości swojej społecznej pozycji obserwował ją z odległego miejsca poniżej. Wydaje mu się, że pracował ciężko i wiele osiągnął, a jednak nie zdołał obdarzyć należyłą uwagą tego wspaniałego stworzenia, z którym kiedyś tak niefrasobliwie odprawiał obrządek prokreacji.

Krótko mówiąc, Sara Atkinson jest w kwiecie wieku, podczas kiedy mąż się starzeje, zaczyna świata poza nią nie widzieć – i robi się zazdrosny.

W sześćdziesiątym piątym roku życia ataki podagry zmuszają Thomasa do pozostawania w domu i odbijają się niekorzystnie na jego zrównoważonym usposobieniu. Nie może towarzyszyć żonie podczas regularnych spacerów, przejażdżek i wizyt. Z okna domu na ulicy Rynkowej patrzy, jak ona wsiada do oczekującego powozu, który ją uwozi, a wieczny stos papierów przed nim, z planami modernizacji i dalszej rozbudowy browaru, powiększenia nabrzeży przeładunkowych nad Ousą i dostarczania Piwa Atkinsona drogą wodną czy lądową do coraz liczniejszych punktów spożycia, nie potrafi sprawić, aby myśli Thomasa po odjeździe żony nie powracały wciąż do niej.

Kilku mężczyzn pada ofiarą podejrzeń Thomasa Atkinsona. Zarządca jego własnego browaru, kupiec zbożowy z King's Lynn, młodszy członek Komisji Robót Melioracyjnych, nawet doktor, który przychodzi leczyć jego podagrę. Żaden z nich nie może zaświadczyć – boją się zarzucić Wielkiemu Człowiekowi Gildsey oszczerstwo, jakiego ten nigdy otwarcie nie wypowiedział – że pani Atkinson jest niewinna, niewinna, lojalna i bezgranicznie oddana mężowi, którego, jak powszechnie wiadomo, uwielbia.

Pewnej nocy w styczniu 1820 roku zachodzi wydarzenie, na którego temat nie istnieje żadna bezpośrednia relacja, ale które w niezliczonych wersjach zostało na trwałe zapisane w annałach Gildsey. Owej styczniowej nocy Sara po kilku godzinach spędzonych, jak traf chciał, w nieposzlakowanym towarzystwie proboszcza św. Gunnhildy, jego zacnej małżonki tudzież zebranych gości, wróciła do Thomasa więcej niż zwykle znękanego podagrą. Nie wiadomo dokładnie, co między nimi zaszło, jedynie że – według tego, co naturalnie podsłuchiwała służba, jak również tego, co sam Atkinson ujawnił później w charakterze wyznania – Thomas był gburowaty, zgryźliwy, wpadł w złość i miotając najbardziej bezpodstawne oskarżenia i obelgi wstał z fotela i mocno uderzył żonę w twarz.

Nawet gdyby jego czyn nie pociągnął za sobą tak potwornych konsekwencji, niewątpliwie przyszłoby go Thomasowi żałować po wieczne czasy. Ale Thomas miał prawdziwy powód do wiecznego żalu. Ponieważ Sara po uderzeniu nie tylko upadła, ale padając walnęła głową o kant orzechowej sekretery z taką siłą, że chociaż po kilku godzinach odzyskała przytomność, nigdy już nie odzyskała świadomości.

Czy ten potworny skutek wywołało uderzenie o kant mebla czy policzek, czy ani jedno, ani drugie, ale psychiczny szok wobec nagłej furii męża, czy też, jak utrzymywali niektórzy, uderzenie o sekretkę zostało wymyślone dla zamaskowania rzeczywistej siły wybuchu Thomasa, nie jest istotne. W szale wyrzutów sumienia nad nieruchomym ciałem Thomas wzywa synów i głosem słyszonym przez wszystkich domowników obwieszcza:

– Zabiłem moją żonę. Zabiłem moją ukochaną Sarę.

Przerażenie. Zamieszanie. Pełnia Tu i Teraz. Synowie, skłonni na pierwszy rzut oka uznać trafność związanej wersji ojca, ślą po doktora – tego samego doktora, którego niewinne komplementy przyczyniły się do niniejszej straszliwej sceny – a ten zmuszony jest nie tylko zająć się znokautowaną żoną, ale również zaaplikować obfitą dawkę laudanum mężowi.

Owej nocy w 1820 roku Thomasowi Atkinsonowi przeszły podobno wszelkie objawy podagry. W każdym razie przestał zwracać na nie uwagę. Oczekiwały go stokroć gorsze katusze. Przez cały następny dzień i kolejną noc czuwał przy łożu, modląc się, aby otworzyły się te wspaniałe oczy i poruszyły te wspaniałe usta. A kiedy istotnie wargi się rozchyła, usta drgną, doświadcza nagłego przypływu ulgi i radości po to tylko, by zaznać mąk w dwójnasób, kiedy pojmie, że choć oczy są otwarte, to go nie widzą, a jeśli widzą, to nie poznają. A chociaż wargi się poruszają, nigdy już nie wypowiedzą do Thomasa jednego słowa.

Sara Atkinson ma trzydzieści siedem lat. Los zdecydował, że choć oberwała po głowie, dożyje sędziwego wieku. Spocznie w grobie dopiero w dziewięćdziesiątym trzecim roku życia. Przez pięćdziesiąt cztery lata będzie siedzieć w wyściełanym niebieskim aksamitem fotelu przed oknem w pokoju na górze (nie tym, który kiedyś dzieliła z mężem, lecz w pokoju, który stał się znany jako pokój pani Sary), to spoglądając wprost przed siebie, przez całą długość tętniącej gwarem ulicy Wodnej, ku Ousie, to znowu w lewo, ponad dachami, tam gdzie w 1849 roku przy nabrzeżu Ousy wyrośnie komin Nowego Browaru.

Wątpliwe jednak, czy to wszystko dostrzeże. Jak na ironię zachowa pozę kogoś, kto sprawuje pieczę – tyle że nad niczym. Nie straci urody. Wyprostowaną, wyczekującą postawę cechuje niezaprzeczalny wdzięk. Nawet na starość, kiedy skóra zwiędnie, choć zarys kości pozostanie czysty (w tym bowiem stadium powstaje jej portret w czarnej sukni i brylantowym naszyjniku, z inicjatywy synów; modelką okaże się wprost idealną!), utrzyma żaloszny majestat księżniczki na wygnaniu.

W regularnych odstępach czasu pojawiać się będzie służba z posiłkami na tacy lub aby uczesać jej włosy, rozpalić ogień na kominku, przygotować panią do łóżka albo też posiedzieć z nią przy oknie o jasnym poranku albo smętnym zmierzchu, występując z komentarzem, pozostającym bez odpowiedzi, na temat tego, co dzieje się na dole, na ulicy.

Przyjdzie także Thomas, aby pobyć z żoną, często całymi godzinami, wykręcając palce, wypowiadając Bóg raczy wiedzieć jakie zaklęcia, ale Sara nigdy najlżejszym znakiem nie zdradzi, iż wie, kim on jest.

On to wszystko musi wycierpieć. Ale najpierw musi patrzeć, jak doktor przychodzi, codziennie, na coraz dłuższe wizyty. Musi patrzeć, jak twarz lekarza staje się coraz poważniejsza i bardziej zamyślona, jak potrząsa on głową i wreszcie oświadcza, że nic więcej nie może zrobić i że trzeba zasięgnąć porady specjalistów. Thomasowi uda się, dużym nakładem kosztów, sprowadzić wybitnych lekarzy z Cambridge. Będzie obwoził Sarę, jak rzadki eksponat, po gabinetach przyjęć tego uczonego grodu. Zabierze ją do Londynu, żeby ją zbadali, opukali, osłuchali i rozważyli jej przypadek jeszcze wybitniejsi medycy i przekaże szpitalowi św. Bartłomieja sumę pięciuset funtów na „dalsze dociekania i skuteczniejsze ulżenie dolegliwościom mózgu”.

Przeznaczy fortunę dla człowieka, który wróci mu żonę, ale nikt nie zgłosi się po odbiór. Przyjedzie z powrotem do Gildsey, do milczącej, nieubłaganej wrogości synów i sądu całego miasta. Czyż oni, biorąc pod uwagę wszystko, co dla nich uczynił, jego pracę i przedsięwzięcia, dobrobyt, który im zapewnił, nie wybaczą mu tego jedyne go aktu ludzkiej słabości? Nie, wygląda, że nie. Są nawet nieliczni, ale zagorzali zwolennicy Ruchu Trzeźwości, którzy istniejącym już plotkom dodają pikanterii głosząc, że kiedy Thomas uderzył Sarę, był pijany jak bela, co zawdzięczał swemu sławnemu piwu – a to chyba dowodzi słuszności starego porzekadła, że piwowarzy są siewcami niezgody (nie żadnymi tam dostarczycielami dobrej otuchy).

A gdyby nawet inni zechcieli wybaczyć Thomasowi, Thomas nie życzy sobie, by mu wybaczone, sam nie ma zamiaru sobie wybaczyć. „U Wesołego Flisa” czy „Pod Szczupakiem i Węgorzem”, do których Ruch Trzeźwości nie ma dostępu, nadal cmokają nad Piwem Atkinsona, którego smak pozostaje niezmieniony, zawsze pozwalający zapomnieć o kłopotach i zmartwieniach; zresztą firma Atkinsona znajduje się teraz w rękach młodego George’a i młodego Alfreda – oby im się wiodło. Co zaś do starego Toma, to bywalcy gospód ograniczają się do krótkiej, posępnej uwagi albo potrząsają głowami, jak niegdyś doktor nad jego biedną żoną.

Trudno policzyć, ile razy Thomas Atkinson zada pytanie: Dlaczego, dlaczego, dlaczego? I jeszcze raz:

Dlaczego? (Ponieważ ból w sercu także rodzi własną smutną ciekawość). Nie zadowolając się wyrokiem lekarzy, sam pogrąża się w studiach nad mózgiem i systemem nerwowym. Do swojej biblioteki w Cable House doda tomy, w których zawiera się wszystko, co w latach dwudziestych ubiegłego stulecia ludzka wiedza ma do powiedzenia na temat tajemnicy ludzkiego umysłu. Kiedyś zagłębiał się w topografię Fenów i niezliczone zawile problemy melioracji, zapobiegania powodziom i systemu osuszającego, teraz zagłębia się w jeszcze bardziej skomplikowaną topografię rdzenia i mózdzka, które, jak odkrywa, posiadają własną sieć kanałów i duktów i też są uzależnione od stałego dopływu cieczy.

Ale to terytorium duchowe; raz stracone jest nie do wykupienia, nie do odzyskania.

Porzuciwszy naukę, zwraca się ku religii. Zacni chrześcijanie Gildsey, którzy dotychczas obserwowali, jak Thomas z małżonką i dwoma synami u boku wypowiada swoje „amen” ze spokojem człowieka, który niedzielne nabożeństwo traktuje jako przyjemny, aczkolwiek nieco nudny obowiązek towarzyski, teraz widzą schylone pofałdowane czoło i nie przestające się poruszać usta grzesznika zatopionego w pokutnej modlitwie.

Nie zajmuje się już coraz rozleglejszymi interesami firmy „Atkinson i Synowie”. Nie czyta już swojej gazety (Castlereagh podciął sobie gardło, Canning zajął jego miejsce). Historia dla niego się zatrzymała. Wkroczył w dziedzinę przesądu. Mówi się nawet, że kiedy Bóg mu nie odpowiedział, kiedy Bóg, mimo że ma tak dobry widok, nie mógł wyjaśnić dlaczego – Thomas posłał na nie osuszone bagnisko po jednego z tych przodków Billa Claya, którego wywary i zaklęcia wciąż budziły respekt. I że odpowiedź pomarszczonego okultysty (nie mającego żadnego powodu, by pomagać Atkinsonowi, którego plany melioracyjne zapowiadały zgubę jemu podobnym) dopełniła miary żalości w duszy starego Toma: mianowicie Thomasa Atkinsona, jak on sam dobrze wie, spotyka jedynie zasłużona kara, co zaś do jego żony, żadne czary na świecie nie zdołają wyrwać jej ze stanu, w jakim ona sama – czyż Thomas nie zaglądał jej w oczy dostatecznie uważnie? – pragnie pozostać.

Przez dwa, trzy, cztery lata Thomas będzie uważnie zaglądał w oczy żonie. Przez cztery lata będzie przesiadywał przy niej w pokoju na górze, łamiąc ręce i własne serce. Po czym w grudniu 1825 roku – według relacji śmierć nastąpiła w tymże pokoju na górze, w obecności żony, i tam ich odkryto, jedno martwe jak głaz, drugie jak głaz nieczułe – ten niegdyś dziarski i krzepki mężczyzna, któremu dekadę wcześniej, choć liczył już sześćdziesiątkę, wrócono jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat życia, złamany wyrzutami sumienia, dostąpił kresu swojej niedoli.

Zostaje pochowany z należąą czcią, ceremoniałem i uznaniem dla swoich Dzieł – ale również jakby z pośpiechem – na cmentarzu św. Gunnhildy, niedaleko południowego ramienia transeptu, w grobowcu zamkniętym masywnym marmurowym pomnikiem, z wyrzeźbionymi jońskimi kolumnami po rogach. Napis na południowej elewacji podaje daty życia Thomasa i wymienia po łacinie jego chlubne czyny (*qui flumen Leemem navigabile fecit...*), ale nie jego czyn niechlubny, a całość wieńczy olbrzymia, żłobkowana, marmurowa urna w kształcie krateru, na poły spowita całunem marmurowej draperii; w miejscu zaś, gdzie draperia spływa na płaską pokrywę pomnika, leżą (niestosowny dodatek do tak klasycznej budowli, ale robi wrażenie na wszystkich bez wyjątku zwiedzających, którzy nadziwić się nie mogą tak niezwykle udanemu naśladownictwu natury) dwa żałośnie porzucone kłosa jęczmienia. W swojej ostatniej woli i testamencie Thomas pozostawia Bogu, czasowi i ludności Gildsey, ale przed nimi wszystkimi samej Sarze – *której oby Opatrzność przywróciła rychło ową pełnię umysłu zezwalającą na wydanie sądu, odwlekając zarazem długo jego wykonanie* – decyzję, czy jego droga małżonka spocznie znowu pewnego dnia przy nim.

A może i my, dzieci, nie będziemy na razie wnikać – choć posiadamy dar retrospekcji – jak Bóg, czas i ludność zdecydują i powstrzymamy się chwilowo od komentarzy na temat tego, co, jeśli w ogóle coś, spoczywa obok grobu starego Toma na przykościelnym cmentarzu św. Gunnhildy, ani nie będziemy moralizować i wymądrzać się po fakcie, przeprowadzając porównania między skromnym kamieniem w Wexingham na grobie Williama Atkinsona, który umarł w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, a imponującym grobowcem Thomasa Atkinsona, który umarł w rozpaczy?

Synom Thomasa, George'owi i Alfredowi, młodzieńcom zaledwie w wieku dwudziestu pięciu i dwudziestu trzech lat, ale już przez smutne okoliczności przeobrażonym w energicznych i sumiennych młodych ludzi interesu, wydaje się, że powietrze stało się czystsze, klarowniejsze. Spłacili dług hańby i teraz z nowym poczuciem słuszności, z nowym poczuciem celu mogą zacząć jeszcze raz. Historia nie odnotowuje, czy pogrzeb Thomasa przypadł na jeden z tych olśniewających fenlandzkich dni w środku zimy, kiedy wydaje się, iż niebo oczyszcza każdy kontur i znosi odległości, a obie wieże katedry w Ely są nie tylko widoczne, ale można wyraźnie dostrzec ich architektoniczny kontrast. Nie odnotowuje też, czy mieszkańcy Gildsey, którzy tak bez wahania zlekceważyli szczery żal Thomasa po żonie, przymknęli oczy na brak żalu synów Thomasa po ojcu.

Należałoby jednak tego oczekiwać. Bo miasto w nie mniejszym stopniu niż jego dwaj młodzi orędownicy odczuwa, wkraczając w swój bądź co bądź złoty wiek, tę powracającą stale potrzebę rozpoczęcia od nowa, puszczenia w niepamięć tego, co było, wymazania przeszłości i kierowania się błyskającymi drogowskazami przyszłości.

Czyż przenikliwość starego Williama nie wydała owoców? Żaden fenlandzki piwowar zależny od jęczmienia z południa nie wytrzymuje konkurencji z Atkinsonowskim jęczmieniem słodowanym w Atkinsonowskiej słodowni i przewożonym Leemem na Atkinsonowskich galarach bez opłacenia jednego myta. Wkrótce nie tylko mieszkańcy Gildsey, ale też mieszkańcy March, Wisbech, Ely i Lynn docenią rewelacyjną jakość i rewelacyjną cenę Piwa Atkinsona. A jeżeli Atkinsonowskie galary mogą rozwozić Piwo Atkinsona do wszystkich tych miejscowości i dalej, dlaczego nie mogłyby przewozić i innych rzeczy? Dlaczego Atkinsonowie nie mieliby skorzystać ze swojego uprzywilejowanego położenia w miejscu, gdzie Leem łączy się z Ousą, oraz ogólnej poprawy dróg wodnych, żeby przeobrazić Gildsey w *entrepôt* wschodnich Fenów? Atkinsonowska Spółka Transportu Wodnego razem z Nowym Browarem zapewne nabiera już życia w umysłach młodego George'a i młodego Alfreda, kiedy wracają z pogrzebu ojca.

A co nabiera życia w umyśle Sary Atkinson? Jeśli w ogóle umysł Sary Atkinson zdradza oznaki życia. Lud nie dopuszcza możliwości, że Sara jest po prostu szalona. (Przecież szalony był jej mąż, kiedy uderzył żonę bez żadnego powodu). Lud niewiele może się dowiedzieć na temat Sary Atkinson, choć wie, że przesiaduje ona stale w pokoju na górze, obserwując miasto niby jakaś bogini. I lud zaczyna opowiadać historie. Powiada na przykład, że choć Sara Atkinson nigdy nie odezwała się do męża jednym słowem od tamtego fatalnego dnia ani też nie obdarzyła go jednym rozpoznającym spojrzeniem, inaczej rzecz się ma z synami. Że właśnie im udziela, może zwyczajnie w słowach, a może za pomocą jakiegoś innego, mistycznego procesu komunikacji, mądrych rad i napomnień. Że to od niej, a nie od ojca przejęli zapał i szczególne poczucie własnej misji. Mało tego: że sukcesy, które stały się udziałem braci Atkinsonów, zawdzięczają oni nie własnym wysokoprężnym wysiłkom, ale tej skrzywdzonej męczennicy.

Krótko mówiąc, dzieci, że dzięki uderzeniu w głowę Sara zyskała dar tak pożądany i tak przerażający: dar widzenia i kształtowania przyszłości.

Tak więc ona tajemniczym sposobem przepowiedziała czas uchylecia praw zbożowych; ona obmyśliła chytrą strategię w odpowiedzi na wyzwanie Drogi Żelaznej; ona przeczuła, a nawet spowodowała lata świetnej koniunktury w połowie stulecia i w swoich synach, George'u i Alfredzie, szefie Browaru i szefie Spółki Transportu, wspólnie prezesujących Zarządom Żeglugi na Leemie oraz Atkinsonowskich Gruntów Rolnych, dostrzegła, jeszcze kiedy stali u grobu ojca, królów ich własnej krainy.

Niektórzy obdarzeni bujną wyobraźnią poczciwcy z Gildsey szli znacznie dalej. Ponieważ, gdy ów portret Sary w starszym wieku, w czarnej atłasowej sukni i brylantach, został ukończony, a Atkinsonowie w geście tyleż wzruszającym, co wspaniałomyślnym ofiarowali go miastu, żeby zawisł w hallu ratusza, stał się on celem licznych miejscowych pielgrzymek. I nie upłynęło wiele czasu, jak ktoś zapytał: Czyż w wyostrzonych, ale anielskich rysach Sary nie widać uderzającego podobieństwa do rysów świętej w sławnym tryptyku (wówczas znajdującym się jeszcze w kościele jej imienia), św. Gunnhildy, która spoglądając ponad czartu zaprzędane Feny, doznawała wizji?

Czy któraś z tych opowieści zawierała ziarno prawdy, czy sami bracia uważali matkę za wyrocznię, kapłankę, opiekunkę, czy też po prostu pozwalali krążyć podobnym plotkom, żeby zapewnić sobie przychyłność miasta – któż to może wiedzieć?

Ale inna historia – która przemawia za wersją szaleństwa – zbyt wiele razy przekazywana i powtarzana, by można było przejść nad nią do porządku dziennego, głosi, że Sarę, niezależnie od tego, jakie więzi łączyły ją z synami i jakie określenie jej długiego i zasiedziałego czuwania – pogodne, bezmyślne, nieprzeniknione – w pokoju na górze odpowiada prawdzie, od czasu do czasu chwycił paroksyzm niezwykłego ożywienia.

Rozpocząło się to od drgania i ściągania nozdrzy, potem nos się marszczył i następowało energiczne i gwałtowne kichnięcie. Z kolei oczy rozbiegały się niespokojnie na boki, a dłonie zaciskały się w szpony. Wargi wściekle pocierały jedna o drugą i podczas gdy twarz wykrzywiała się skurczem, a ciało skręcało i podskakiwało tak gwałtownie, że niekiedy dębowe nogi fotela unosiły się nad podłogę, Sara wykrzykiwała jedyne słowa wyraźnie jej przypisywane w ciągu tych wszystkich lat, jakie upłynęły od katastrofalnego ataku Thomasa Atkinsona. Mianowicie: „Dym!”, „Ogień!”, „Pali się!”, powtarzane na dziesiątki sposobów i we wszelkiej możliwej kolejności.

Służba – a świadczy to o jej przywiązaniu – nie szczędziła trudów, żeby uspokoić panią. Kamerdyner wyruszał w obchód po domu, sprawdzając każdy kominek i komin. Pokojówka wyglądała przez okno i zaręczała, iż nie widać ani dymu, ani ognia – chyba że liczyć kłęby wydobywające się z komina browaru, które są przecież dobrym znakiem, albo że wiatr wieje od wędzarni na drugim końcu Wodnej, gdzie Peter Cutlack przemienia śliskie, oliwkowozielone węgorze z Ousy w zakrzywione miedzianobrazowe laski. Inną pokojówkę delegowano do kuchni, by się upewnić, że to, co atakuje nozdrza pani, nie zapowiada w żadnym razie przypalonego obiadu. Posyłano też na ulicę chłopca, żeby zasięgnął języka.

Wszystko na nic. Sara nadal węszyła, skręcała się konwulsyjnie, wybałuszała oczy i wykrzykiwała: „Dym!” i „Pali się!” – aż do wyczerpania.

Owe ataki stawały się podobno coraz częstsze i swoiście ironiczną wymowę ma fakt, choć zbieżność mogła być czysto przypadkowa, że w 1884 roku Atkinsonowie wraz z innymi zafundowali Gildsey pierwszy, wykonany na zamówienie, wóz strażacki.

Nie tylko częstsze, ale coraz bardziej niepokojące. A także coraz bardziej kłopotliwe. Były nawet pogłoski – aczkolwiek tu trzeba być sceptycznym, jako że koronnym świadkiem jest jedna ze służących Atkinsonów, zwolniona, ponieważ bezwstydnie zaszła w ciążę, i mająca przeto motyw, żeby fabrykować złośliwe kłamstwa – iż napady stały się tak gwałtowne i przerażające, że bracia nie tylko zaprzestali adorowania i gloryfikowania matki, ale wręcz wysłali ją do zakładu, chociaż przez wzgląd na gildseyowskich mieszczan podtrzymywali legendę (na przykład zamawiając pewien portret Sary w czarnej sukni i brylantach, podczas gdy w rzeczywistości krępował ją kaftan bezpieczeństwa), że ich Anioł Stróż wciąż nad nimi czuwa.

Wszystko to, co prawda, zdarzyło się znacznie później, w latach siedemdziesiątych – Sarze istotnie umieranie zabrało wiele czasu – kiedy to sami bracia przeszli już swój zenit, a Atkinsonowską machiną kierował młody Arthur, wnuk Sary i syn George’a. Ale jeszcze w roku 1820, kiedy miało miejsce tamto szokujące wydarzenie, w niektórych kręgach, lubujących się w odczytywaniu znaków oraz gorzkich żartach, przebąkiwano, że kiedy Thomas obmyślał dla swojej spółki herb – tak zgrabnie łączący udział Browaru i Żeglugi – w którym kłos jęczmienia krzyżował się ponad symbolicznym wyobrażeniem wody, i oglądał się za stosownym motto, wybrał nierozważnie. Albowiem motto *Ex Aqua Fermentum* – niegdyś wyryte olbrzymimi pochyłymi literami nad główną bramą Nowego Browaru i uwidocznione na nalepce każdej butelki Atkinsonowskiego piwa, istotnie znaczy po prostu „Z wody piwo”, a nawet daje się odczytać, może zgodnie z zamiarem Thomasa: „Z wody ruch”, ale dopuszcza też inne rozumienie, co z pewnością nigdy nie było intencją Thomasa: „Z wody zamęt”.

Dzieci, macie słuszość. Są chwile, kiedy należy oddzielić historię od baśni. Są chwile (w istocie powracają one dość często), kiedy uczciwa, sucha, podręcznikowa historia daje nura w pradawne grzęzawisko mitu i trzeba ją wyciągać za pomocą wędkarskich linek. Historia, będąc uznana za subnaukę, chce tylko znać fakty. Jeśli historia ma nadal wytyczać drogę w przyszłość, musi to robić na twardym gruncie. Za wszelką cenę unikajmy tajemniczości, domysłów, sekretów i czczych plotek. I na miłość boską, niczego nadprzyrodzonego. A przede wszystkim nie opowiadajmy historyjek. W przeciwnym razie jaką szansę ma przyszłość i jak można czegokolwiek dokonać? Wracajmy więc do tego klarownego, oczyszczonego powietrza i do starego Toma, spoczywającego bezpiecznie w swoim nowym białym grobowcu. Wracajmy na twardy grunt.

W 1830 – gdy w Paryżu znów stanęły barykady, motłoch raz jeszcze wtargnął do Tuileries, a powietrze przesycone było nie tylko dymem i rewolucją, ale także uderzającym do głowy zapachem *déjà vu* – George Atkinson żeni się z Catherine Anne Goodchild, córką pierwszego bankiera Gildsey. Małżeństwo pod każdym względem łatwe do przewidzenia, godne pochwały i odpowiednie. W 1832 – ponieważ bracia układają swoje życie wedle wzoru i niemal zawsze Alfred, dwa lata młodszy, robi to, co robił brat, tyle że w dwa lata później – Alfred ożenił się z Elizą Harriet Bell, córką farmera, który posiadał grunty po obydwu brzegach Leemu na zachód od Apton, niegdyś osuszone i sprzedane mu przez Thomasa. Małżeństwo nie tak łatwe do przewidzenia i nie tak godne pochwały, bo choć każdy widzi, że Alfred wzmacnia swój nadzór nad Żegluga, czasy nie są pomyślne dla podobnych Jamesowi Bellowi farmerów.

Czyżby robota Sary? Czyżby ona przewidziała ogromny zysk, jaki pszenica Jamesa Bella przyniesie po uchyleniu praw zbożowych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych? I czy to ona dostrzegła, że Kolej Żelazna Norwich-Gildsey-Peterborough, która w roku 1832 była jedynie naszkicowaną ołówkiem linią w brulionie jakiegoś projektanta, musi pewnego dnia przeciąć ziemię Jamesa Bella albo na północ, albo na południe od rzeki? Gdy ów czas nadszedł, łatwo przekonano Jamesa Bella, aby przez dwa lata nie przyjmował oferty spółki kolejowej – nie tylko dlatego, że kiedy wreszcie odsprzedał ziemię, dostał za nią podwójną cenę, ale przede wszystkim dlatego, że mąż i szwagier Elizy mogli tymczasem spokojnie zastąpić konie pociągowe, drągi do żeglugi na pych oraz żagle parowymi skutami i holownikami, które miały odtąd pływać po Leemie.

Tak więc bracia Atkinsonowie dopilnowali, żeby para rywalizowała z parą i żeby z chwilą przeprowadzenia linii kolejowej nadal bardziej się opłacało drobnicę frachtować z i do Gildsey rzeką. Wobec tego Kolej Żelazna Norwich-Gildsey-Peterborough stała się główną linią osobową, jaką, wchodząc w skład Wielkiej Wschodniej Kolei Żelaznej, pozostawała i wtedy, gdy jej lakierowane tekowe wagony były sceną codziennych spotkań między chłopcem w czarnym mundurku a dziewczyną w rdzawym.

Być może robota Sary. Trzymajmy się jednak faktów.

W 1834 roku Catherine Anne wydaje na świat krzepkiego syna, Arthura George'a. W 1836 Eliza Harriet rodzi córkę, Luizę Jane. Również w 1836 roku, ale już po przyjściu na świat Luizy Jane, Catherine Anne też rodzi się córka, Dora Emily. W 1838 roku... Ale w 1838 roku Alfred raz nie stosuje się do zasady dwóch lat i nie uzupełnia kwadratu przez spłodzenie syna. I rzeczywiście w roku 1838 progenitura Atkinsonów zamyka się sumą globalną trzy – w tym w dodatku tylko jeden chłopiec, na którym można opierać nadzieje na przyszłość. Nic niezwykłego w naszych czasach, ale rzecz niezwykła w roku 1838, kiedy to przedsiębiorczy ludzie interesu oddają się robieniu dzieci z takim samym zapałem, z jakim robią pieniądze, ponaglani jeszcze świadomością – George'owi i Alfredowi wystarczyło tylko pomyśleć o własnym, krótko cieszącym się życiem rodzeństwie – że chcąc zapewnić sobie dziedzica, lepiej na wszelki wypadek spłodzić kilku.

Mieszkańcy Gildsey, gdyby nie poważali tak obydwu braci, gdyby fortuna braci nie była tak nierozłącznie związana z ich własną i gdyby bracia nie postawili tak pięknego grobowca swojemu nieszczęśliwemu ojcu, mogliby zacząć się zastanawiać nad tym stanem rzeczy. Mogliby sobie uprzytomnić, że upłynął czteroletni okres od zawarcia małżeństwa, zanim każda z par doczekała się potomka. Mogliby skojarzyć zwykły u braci wyraz surowej i nieubłaganej rzeczowości z pewną chłodną rezygnacją cechującą obie, skądinąd czarujące małżonki, a to z kolei powiązać z pewną niesmaczną czułością, jaką Atkinsonowie mieli zwyczaj okazywać nawet publicznie swoim córeczkom w kokardach i krynolinach. Mogliby dojść do wniosku, że godowe piski i kwiki, jakimi stary Tom i Sara napełniali niegdyś dom w Kessling, nie znalazły echa w pobożnej atmosferze Cable House i że w ten sposób objawia się magia Anioła Stróża. Krótko mówiąc, ta kobieta tam na górze hamuje braci. Krótko mówiąc, mieszczenie mogliby stwierdzić, gdyby znana im była nie wynaleziona jeszcze wówczas forma magii, klasyczne objawy *Mutter Fixation*, żeby nie powiedzieć kompleksu Edypa. A czy nie było możliwe, że za niezmordowaną pracowitością George'a i Alfreda kryła się tylko energia seksualna (ach, ci nie oszczędzający się wiktorianie), która jak fenlandzka woda nie dawała się poskromić, ale mogła być wpompowana w nowe kanały?

Ale fakty, fakty. W 1833 nowe nabrzeże przeładunkowe, znane pod nazwą Doków Gildseyowskich – z magazynami, żurawiami, wagonami ciągnionymi po szynach przez konie i z bliźniaczym urządzeniem po drugiej stronie Ousy na wysokości Newhithe – zostaje oficjalnie otwarte. Jednocześnie rozpoczyna działalność Atkinsonowska Spółka Transportu Wodnego, ze swoją flotą mającą się wkrótce powiększyć do trzech parowych holowników, czterech parowych szkut, sześciu szkut pod żaglem oraz czterdziestu sześciu galarów – nie wspominając o statkach już kursujących po Leemie. Po kilku latach sól i beczki piwa nie są już najważniejszym – aczkolwiek są wciąż najbardziej poważanym – ładunkiem Atkinsonowskich statków. Ani też Leem nie jest ich głównym szlakiem handlowym. Atkinsonowskie szkuty docierają aż do Huntingdon, Bedfordu, Peterborough i Northampton. Spediują zboże do King's Lynn, a węgiel z Newcastle nad Tyne i produkty kontynentalne z powrotem. Przewożą żelazo, tarcicę, maszyny rolnicze, cegły, piaskowiec, konopie, naftę, łój, mąkę.

Kiedy w 1839 rozpoczynają się prace przy budowie Kolei Żelaznej Norwich-Gildsey oraz Ipswich-Bury-Gildsey, to Atkinsonowska Spółka Transportu przewozi dostawy, a nawet Atkinsonowska fachowość służy radą w takich sprawach jak melioracja czy sypanie wałów. Mieszczanie są przerażeni. Czy kolej, dopytują się, nie pozbawi nas chleba? Bracia zaś odpowiadają: A chcecie stracić wasze rynki na rzecz jakichś innych miast obsługiwanych przez pociągi parowe? Bo bracia potrafią przewidzieć (roboty Sary?), że co kolej odbierze im w dalekobieżnym przewozie, odzyskają dzięki lokalnemu transportowi towarów przywożonych przez tę samą kolej. Czyż pociągi są w stanie dostarczyć węgiel do każdej pompowni w okolicy? Czyż pociągi są w stanie dowieźć towar do każdej wioski w tej krainie, gdzie ludzie z natury rzeczy mieszkają nad wodą? Porównajcie też z łaski swojej naszą taryfę przewozową z taryfą Towarzystwa Kolei Żelaznej.

Poza tym bracia mają pokaźne udziały w kolejach. W tych zmiennych czasach lepiej mieć zabezpieczenie.

Niepoślednie też miejsce wśród surowców wyładowywanych w nowych dokach (i w tym wypadku nie ładowanych z powrotem) zajmują materiały wykorzystywane w latach 1846-1849 do budowy Nowego Browaru Atkinsona. Nie zapominajmy bowiem, że nazwa „Atkinson” jest przede wszystkim nazwą piwa. Jeszcze w trakcie końcowych prac przy dokach zostaje wydzielona przestrzeń na wspaniały budynek, mający pewnego dnia zastąpić stary browar, który, choć powiększony, już wkrótce nie będzie mógł sprostać wymaganiom. I w środkowych latach stulecia budowla pomału rośnie.

Nie jest gigantyczna według współczesnych kryteriów. W miarę jednakże jak z fundamentów zaczynają wyłaniać się ceglano-kamienne mury, a z ceglano-kamiennych murów wyszukanie ozdobne gzymsy i fryzy (łańcuch snopów jęczmiennych i beczulek piwa), ponad nimi zaś dach, po części szczytowy, po części kopulasty na wzór hal dworcowych, który z kolei prowadzi do czworobocznego komina, wysokiego na sześćdziesiąt sześć stóp, o ścianach zwężających się ku górze, zdobionych żłobkowaną okładziną z cegły, i zwieńczonego w całości, tuż pod wylotem, nowymi strojnymi karniszami i fryzami (w nieokreślonym stylu, według architekta mającym podobno sugerować włoską kampanilę) oraz, na dokładkę, zegarem, na którym całe Gildsey i połowa Fenlandii, jeśli ktoś tylko posiada lornetkę, może odczytać czas – w miarę jak to wszystko pnie się w górę, ciągnąc za sobą spojrzenia gapiących się mieszkańców, rodzi się żart, że Nowy Browar spowoduje chyba nową powódź na Fenach, tym razem jednak nie wody, lecz piwa.

W swoim pokoju Sara słyszy odgłosy postępujących robót. Nadchodzi czas, kiedy ponad stromymi dachami domów po północnej stronie ulicy Wodnej ukazują się rusztowania, wierzchołki dźwigów i podnośników, następnie żelazny szkielet samego dachu, po którym pełzają i stąpają robotnicy, jakby na jakiejś gigantycznej maszynie latającej. Wreszcie komin wznoszący się fallicznie, by zawstydzić fenlandzkie niebo. Czy ona to dostrzega? Czy ją to obchodzi? Czy jest zadowolona, czy jest dumna? Żadne kroniki nie odnotowują jej obecności między gośćmi honorowymi w owym czerwcowym dniu 1849 roku, zaćmiewającym swoją świetnością nawet tamten dawny dzień triumfu z roku 1815; kiedy znów grała orkiestra, kiedy wśród zaproszonych znajdowało się co najmniej dwóch lordów, kiedy mowy rozbrzmiewały najpierw z udekorowanej flagami trybuny, a następnie na wielkim przyjęciu w ratuszu; kiedy Atkinsonowscy flisacy zrywali czapki z głów i włączali syreny parowych szkut; kiedy tłum wznosił okrzyki „hurra!”, a pierwsze szufle słoju ładowano uroczyście w zacierowe kadzie. Czy była tam jednak duchem? Czy też nadal w swoim pokoju na górze sprawowała pieczę nad Niczym?

Na kiedy możemy wyznaczyć zenit chwały Atkinsonów? Jaką datą możemy określić szczyt ich rozkwitu? Czy przypada on właśnie na tamten czerwcowy dzień w 1849 roku? Czy było to później, w 1851, kiedy wśród produktów, jakie dostały zaszczytu prezentacji na Wielkiej Wystawie Światowej, znalazło się butelkowane piwo z Fenów, pod stosowną nazwą „Wielkie’51”, które w silnej konkurencji zdobyło srebrny medal za wyborną jakość, pozostawiając w tyle nawet produkt czcigodnych piwowarów z Burtonu nad Trentem? Czy było to wcześniej, w 1846, kiedy, odsłużwszy sześć lat jako radny miejski, George Atkinson został jednogłośnie wybrany burmistrzem? Albo w 1848, gdy jego brat Alfred odziedziczył ten sam urząd i ustaliła się niepisana zasada, iż odtąd bez względu na to, kto zostanie nominalnym i oficjalnym burmistrzem, prawdziwe burmistrzostwo miasta należeć będzie do miejskich piwowarów?

Czy było to może w 1862? Kiedy George i Alfred, obecnie tędzy mężczyźni o siwiejących bokobrodach, równi wiekiem starzejącemu się stuleciu, zdecydowali, że swoją pracą zasłużyli sobie na stylowe ustronie, na wiejskie zacisze, które stanowiłoby przeciwwagę dla miejskiego zgiełku, i postawili w Kessling, aczkolwiek nie w pobliżu słodowni ani dawnej siedziby ojca, ale dobrą milę lub więcej na południe, wiejską rezydencję, Kessling Hall, w całym przepychu złego gustu, z chimerami i wieżyczkami włącznie, szczęśliwie ukrytą w gęstym lesie, w której to podczas weekendów czy dłuższych pobytów George i Catherine zajmowali jedno skrzydło, Alfred i Eliza zaś drugie, natomiast wszyscy razem spotykali się w Długim Salonie albo w Pokoju Stołowym, żeby podejmować arystokratów składających wizyty wraz z rodzinami; i w której to kuzynki Dora i Luiza, młode, dwudziestoparoletnie panny – nie tak jednak młode, aby nie dawać powodów do wciąż powracającego niepokoju – znosiły i odstraszały, na terasie albo na trawniku do krokietu, konkurenta za konkurentem. Ponieważ od wszystkich konkurentów wołały swoich najukochańszych tatusiów, a od towarzystwa wszystkich młodych mężczyzn swoje własne, i ewentualnie tomik nastrojowych poezji?

A może szczyt nie został jeszcze osiągnięty nawet wtedy, w luksusie Kessling Hall? Może przypadł nie tyle na panowanie George'a i Alfreda, ile raczej Arthura, który podczas gdy ojciec ze stryjem dumnie pykali cygara w Kessling, obejmował już ster rządów w Gildsey i który w 1872 roku – kiedy Piwo Atkinsona szło jak woda we wszystkich wschodnich hrabstwach, a specjalny gatunek, pod nazwą Indyjskie Piwo Atkinsona, wysyłano regularnie tysiące mil do Bombaju, na użytek Wojsk Jej Królewskiej Mości – dodał wypróbowanym sposobem jeszcze jedną prowincję do Atkinsonowskich dominiów, żeniąc się z Maud Briggs, córką Roberta Briggsa, właściciela młynów zbożowych nad Wielką Ousą?

Czy nie ma końca rozwojowi wielkiego handlu? Ale czy powinniśmy mówić tylko o rozwoju handlu, nie zaś o rozwoju Idei – tych idei, które Atkinsonowie, chcąc nie chcąc, zasiewali? Bo obecni Atkinsonowie, bracia i syn, choć gotowi pierwsi, gdyby zaszła potrzeba, wskazać nieugiętym palcem na fakty – na zysk i sprzedaż w cyfrach, na worki słodu, beczki piwa, tony węgla – potrafią także, kiedy wpadną w odpowiedni nastrój, co zdarza się coraz częściej, bagatelizować wszystkie te materialne ciężary i zapewniać tonem niemal pokornym, że tym, co ich pobudza do działania, jest naprawdę tylko i wyłącznie szlachetna i bezosobowa Idea Postępu.

Czyż nie przynieśli Polepszenia całemu regionowi i czy nadal nie przynoszą? Czyż dla dobra spójności nie trują się całymi godzinami, bez wytchnienia, w sali konferencyjnej i gabinecie zarządu? Czyż nie zafundowali z własnej kiesy sierocińca, gazety miejskiej, domu zebrań publicznych, szkoły dla chłopców (czarne mundurki), łaźni, remizy strażackiej? I czyż te oraz inne ich dokonania nie są dowodem, że powoduje nimi wielka Idea; dowodem, że wszelki interes prywatny jest podporządkowany Interesowi Narodowemu i wszystkie prywatne imperia składają tylko daninę Imperium Wielkiej Brytanii?

Co się dzieje z naszą małą fenlandzką placówką, niegdyś zaledwie grudką błota z lepianką służącą za kaplicę, niegdyś tak odległą od szerokiego świata?

Ile razy flaga brytyjska powiewa nad sklepioną, opatrzoną mottem bramą Nowego Browaru przy kolejnej okazji do zmanifestowania narodowej dumy? Ile razy George i Alfred, i Arthur przerywają swoje przemówienie na posiedzeniu zarządu, żeby, z dłońmi na kłapach surduta, uczynić aluzję do jakiegoś nowego przykładu imperialnej waleczności? I jak często antałki i butelki Piwa Atkinsona znajdują nowe cudowne wydarzenie do uczczenia? „Wielkie’51”, „Cesarzowa Indii”, „Złoty Jubileusz”, „Brylantowy Jubileusz”...?1

Dzieci, dlaczego wypatruje się znaków? Skąd ten przesąd? Dlaczego nigdy nie wolno wyznaczać zenitu? Dlaczego szerzenie radości przeobraziło się w Ideę Postępu? I dlaczego melioracja gruntów na wschodnich Fenach pomieszała się z Imperium Wielkiej Brytanii? Ponieważ wyznaczyć zenit to wyznaczyć punkt, od którego zaczyna się schyłek. Ponieważ radość nigdy nie stworzyła historii. Ponieważ jeśli wybuduje się scenę, trzeba dać widowisko. Ponieważ zawsze musi być – nie zaprzeczajcie – jakaś przyszłość.

1 Nawiązanie do Wielkiej Wystawy Światowej, która odbyła się w Londynie w 1851 r. oraz do Złotego (1887) i Brylantowego (1897) jubileuszy królowej Wiktorii (przyp. tłum.).

A jednak, kiedy w 1874 roku Arthur Atkinson zostaje wybrany członkiem parlamentu z okręgu Gildsey i kończy swoją pierwszą mowę gorąco oklaskiwanymi słowami: „Albowiem nie jesteśmy panami terażniejszości, lecz sługami przyszłości”, czy wie, co mówi? Czy wierzy w to, co mówi? Czy pod frazesem o obowiązku i poświęceniu nie ukrywa po prostu filisterskiego przekonania, że jest jak najbardziej panem terażniejszości, i czy nie dlatego jego wypowiedź wywołuje ze strony kolegów, torysowskich demokratów, tak głośne i tryumfalne okrzyki: „Słuchajcie, słuchajcie”? Czy widzi przyszłość wyłącznie jako uwiecznienie terażniejszości? Czy wie, co przyszłość przyniesie? Czy wie, że losem przyszłości (mojego ojca i moim własnym, wczesnej terażniejszości XX wieku, kiedy nadal w obiegu znajduje się wiele miedzianych pensów z zatartym profilem Wiktorii) będzie tylko opłakiwanie i żmudne wyjaśnianie utraty tego właśnie poczucia pewności?

W którą stronę zmierzamy? Naprzód, żeby się cofnąć? Do tyłu, żeby pójść naprzód?

Czy potrafi rozwiązać tę zagadkę Sara, która do roku 1874 przeżyła dziewięćdziesiąt dwa lata, ale przez to trzepnięcie w głowę zapomniała daty swoich urodzin i zapewne przestała być świadoma upływu czasu? Sara, która teraz, tak wiekowa, a jednak tak czujna w orlim gnieździe nad ulicą Wodną, będzie zmuszona dodać do swoich różnych ról – Anioła Stróża, Matki Świętej, powtórnie przybyłej świętej Gunnhildy – jeszcze jedną? Ująć w lewą rękę trójzęb, a w prawą tarczę, ukryć pomarszczone czoło i rzadkie białe loki pod hełmem zdobnym w pióropusz, pozwolić, aby niebieski aksamit fotela przemienił się w oblewaną morzem skałę i stać się symbolem nieustraszonej Brytanii wypatrującej, wypatrującej – czego?

Jak Atkinsonowie czczą w 1874 dziewięćdziesiąte drugie urodziny Sary? Piwem i radością? Wzniesionymi kufkami i toastami? Bo kiedyś, jako piwowarska córka, Sara gustowała w piwie. Kiedyś najbardziej lubiła siedzieć i kolebać cynowy kufel na podółku. Kiedyś, zanim została miejską damą, tudzież wszystkimi innymi bardziej zadziwiającymi widmami, w które zmienił ją los, wychyliła ochoczo niejedną kufelek beczkowego piwa w towarzystwie... ukochanego małżonka. Ale teraz, choć czasem z nadzieją podtykano jej piwo pod nos, ani kropla nie przeszła przez jej wargi. Zapewne nie mogło konkurować z wściekłym ogniem płonącym w jej wnętrzu.

Czczą urodziny Sary wybudowaniem przytułku dla obłąkanych. Między Gildsey a Ely, milę od rzeki Ouse, odgradzony od świata groblami i gęstym szpalerem topoli równie skutecznie jak Kessling Hall skrywającym go lasem, stoi na początku roku 1874 niemal gotowy. Jeszcze jeden dowód wiary Atkinsonów w postęp. Jeszcze jeden dowód, że w swoim kupieckim zapale nie zapominają o nieszczęśliwych i potrzebujących, że swoją troskliwością otaczają nawet biednych fenlandzkich szaleńców i melancholików, których w epoce mniej oświeconej stawiano by pod pręgierz, palono albo kijami przepędzano do następnej parafii.

Zostaje ukończony w marcu (bez flag i przemówień). I tamże w owym roku bracia George i Alfred, zawsze tak oddani matce, przy pomocy Arthura umieszczają Sarę, jako honorowego gościa, w najlepszych apartamentach, z najbardziej ofiarnymi pielęgniarkami na zawołanie. Bo w Gildsey poszły już w ruch języki. Mówi się, że Sara Atkinson zapewne ma po prostu i najzwyczajniej w świecie ataki szału. Głowy przechodniów na Rynkowej i Wodnej zwracają się w kierunku okna na górze, gdzie, jak każdy wie... ale skąd teraz nawet przez niedawno wprawione dodatkowe szyby zaczynają dobiegać wrzaski z rodzaju najbardziej protestujących i buntowniczych, najbardziej potwornych i przerażających.

A jeśli – kiedy wrzaski ni z tego, ni z owego ustają – języki znowu idą w ruch, głośząc, jak to z językami bywa, coś wręcz przeciwnego; jeśli zaczyna się mówić, że cały ten zakład Atkinsonowie wybudowali tylko i wyłącznie po to, żeby umieścić tam matkę, gdyż chcieli wziąć naszą świątobliwą, niewinną Sarę i zamknąć w klatce dla wariatów – wtedy w odpowiedzi padają spokojne zapewnienia Atkinsonowskich sług (których prywatna garderoba stała się w latach siedemdziesiątych uderzająco elegancka), iż pani Atkinson jest w swoim pokoju, tam gdzie zawsze. Nie opuszcza łóżka. Specjalista przepisuje medykamenty. (Stąd ustanie wrzasków). Jeśli koniecznie musicie wiedzieć (porozumiewawczy, acz wzdurliwy wyraz pojawia się na twarzy mówiącego), to pani Atkinson umiera. Tak, umiera. No i musicie bezcześcić odejście naszej drogiej pani waszymi głupimi plotkami?

Kto pojedzie do zakładu w Wetherfield, tego przybytku okropności, żeby sprawdzić?

A poza tym jesienią 1874 roku Sara rzeczywiście umiera.

Zostaje to ogłoszone, na kolumnie z czarną obwódką, w „Szperaczu Gildseyowskim”. Całe Gildsey cichnie. Są tacy, którzy przyjmują jej śmierć z lojalną, gorzką zadumą. Są tacy, być może większość, którzy przyjmują jej śmierć jako, biorąc wszystko pod uwagę, błogosławione wyzwolenie. I są również tacy – ci, co wierzyli, że przez cały czas to Sara, a nie George, Alfred czy Arthur, zapewniała pomyślność miastu – którzy przyjmują jej śmierć z niepokojem i złymi przecuciami.

Ale każdy chce wiedzieć jedną prostą rzecz. Czy wszystko zostanie zapomniane, czy wszystko znajdzie rozwiązanie w stylu dawnych pocziwych opowiadań – w baśniowym zakończeniu zmiękczającym serce? Czy bracia pochowają Sarę obok Toma?

Co się dzieje w domu przy Rynkowej, gdzie story są spuszczone i pali się niewiele świateł? Czy ktoś widział, żeby przedsiębiorca pogrzebowy lub proboszcz przyszli i wyszli? Czy są łzy, klótnie? Czy są właśnie rodzinne?

Wreszcie podano do wiadomości: pani Atkinson będzie pochowana na cmentarzu przy kościele św. Gunnhildy na miejscu (po które żaden inny parafianin nie ośmielił się sięgnąć) sąsiadującym z grobem jej małżonka. Niech Bóg da wieczny odpoczynek obojgu. Dla uczczenia kogoś tak umiłowanego i nieodżałowanego nie tylko przez dzieci i wnuki, ale przez całe miasto, zamyka się browar na dzień pogrzebu, a puby i sklepy prosi o zawieszenie działalności. Kondukt przeciągnie ulicą Wodną, bulwarem nad Ousą obok bramy browaru do św. Gunnhildy. Nabożeństwo żałobne rozpocznie się o godzinie jedenastej.

Miasto jest uradowane – jeśli miasto może być uradowane z okazji pogrzebu. Ponieważ nie ma to jak szczęśliwe zakończenie, aby zmienić żałobę w uśmiech i położyć kres tysiącom pytań. I nie ma to jak odrobina parady, aby pokrzepić serca, nawet pogrążone w smutku.

Na swoim placu nad Ousą, położonym niedaleko wędzarni Cutlacka, przy prywatnym małym nabrzeżu, gdzie Atkinsonowskie galary wyładowują dla niego dostawy piaskowca, granitu i marmuru, Michael Jessop, „Kamieniarstwo i Nagrobki”, uwija się całą noc wraz z terminatorami, pieczołowicie przyoblekając w kształt najbardziej wyjątkowe i zaszczytne zamówienie. Może od czasu do czasu przerywa pracę, próbując wskrzesić lekkość rąk swojego dziada, który niegdyś obrabiał kamień będący bliźniakiem obecnego; próbując oddać, jak kiedyś stary Toby Jessop, zwiewne podobieństwo dwóch strąconych kłosów jęczmienia, i roni – wprost nieprawdopodobne u kamieniarza – łzę.

A jednak czy to łza, czy tylko coś kapnęło przez jedną z licznych kłopotliwych dziur w baldachimie z rozklekotanego drewna i smołowanego brezentu, pod którym pracuje? Bo na dworze zaczęło padać.

Nadal pada w dzień pogrzebu. Nie rzeście, nie ulewnie, ale z jednostajnością, z wytrwałością, jakich fenlandzycy nauczyli się nie lekceważyć. W całej okolicy nad Ousą i Leemem tego ranka obserwują poziom wód, dostarczają opału do pomocniczych pomp, doglądają jazów i zastaw. Crickowie – dziad mego ojca i jego bracia – spluwają w błoto i mówią sobie, że czeka ich robota. A deszcz się nasila. Co więcej, tego dnia padało nie tylko na Fenach, ale również na tych wyżej położonych obszarach od południa i zachodu, skąd spływają rzeki, których Fenlandia jest dorzeczem; z wyjątkową zaś intensywnością, z wyjątkową zawziętością, jak niektórzy będą później utrzymywać, padało na Kessling, Kessling Hall i na wzgórze norfolskie, gdzie Leem ma swoje źródło.

Braciom, którzy, odkąd powzięli decyzję, żeby pochować Sarę obok męża, z twardych businessmanów przemienieni zostali w sentymentalnych bohaterów, deszcz nie przeszkadza. Deszcz jest dobry na pogrzeb: kryje łyżki ludzkie, sugeruje niebiańskie. W dodatku deszcz działa szczególnie uspokajająco, kiedy nieboszczka z takim patosem rozprawiała o ogniu. Kondukt posuwa się ulicą Wodną i osieroceni synowie czują, iż gwałtowna rujnacja takiej ilości czarnej krepy, czarnych końskich pióropuszy i czarnych żałobnych strojów wzmacnia wrażenie autentycznego i niepomnego na nic smutku. Podobnie wśród kupców i rzemieślników, którzy pełni szacunku stoją po obu stronach ulicy, z gołymi głowami, podczas gdy woda spływa im za kołnierze, zwolennicy opinii, że deszcz jest dobrym znakiem (wystarczy porównać nieprzyzwoicie słoneczną pogodę w dniu pogrzebu starego Toma), znacznie przewyższają tych, których zdaniem jest złym.

Kondukt przeciąga powoli koło browaru, a jedyne oznaki nieprzystojnego zniecierpliwienia podczas tej uroczystej okazji można zaobserwować w kruchcie św. Gunnhildy, gdzie oczekujący proboszcz, zakrystian oraz grabarze w myślach ponaglają karawan, ponieważ, mimo tymczasowego przykrycia, grób napęlnia się wodą, a nie ma gorszej rzeczy jak elegancki grób, który nagle sobie znika w środku ceremonii – albo jak złożenie trumny do kałuży.

Ceremonia rzeczywiście jest trochę pośpieszna, jako że panie przynajmniej nie powinny być zbyt długo narażone na ryzyko przeziębienia. Proboszcz rozpoczyna liturgię, a krople deszczu spływają mu z nosa i zatrzymują się na górnej wardze. Deszcz skrywa pochylone i zasłonięte twarze żałobników, rozpościera jakby własną zasłonę mglistości nad tym smutnym obrzędem, odgradzając go niejako od wszystkiego wokół. A czy ów pośpiech i osłona są czysto przypadkowe, czy też w jakiś sposób fortunne i właściwe, nikt na razie nie pyta.

Koniec, kropka. Pani Atkinson znów spoczywa u boku małżonka.

A deszcz nie ustaje. Pada bez przerwy przez dwie doby. Przez dwa dni wodne całuny rozpościerają się nad Fenami, przez dwie noce zatrzymane przez Boga gwiazdy są niewidoczne. Jednak rozmyślania o boskim płaczu i tym podobne wkrótce schodzą na dalszy plan, ponieważ zaczyna się przybór. Mieszkańcy Gildsey wiedzą z długiego doświadczenia, że choćby ich stara Ouse nie wiem jak mętniała, kłębiła się i groziła, mogą spać spokojnie, jeśli przybór ogranicza się do tej jednej rzeki. Kilku kupców zamieszkujących przy brzegu będzie miało kąpiel, z której wyciągną ich, dosłownie, a przy odrobinie szczęścia i finansowo, suchsi sąsiedzi. Ot i tyle. Ale jeżeli Leem wzbierze jednocześnie z Ousą, wtedy potoki wpuszczone przez tego pierwszego w tę drugą zadziałają jak płynna zaporą, zmuszając Ousę do zawrócenia biegu i rozlania się na wszystkie strony. Co w sumie mogłoby uczynić położenie Gildsey, w tak bliskim sąsiedztwie połączenia obu rzek, fatalnym – gdyby nie fakt, iż Gildsey leży na wzgórzu, niegdyś błotnej wysepce św. Gunnhildy, pagórku dla niefenlandczyka, wystarczającym jednak, żeby ocalić społeczność przed zatopieniem.

Woda wzbiera. Najpierw stopniowo, potem z nagłym przyśpieszeniem, które wskazuje, że Leem istotnie przyłączył się do akcji. Przewoźnicy na całej długości Ousy wyciągają na brzeg swoje łodzie i płaskodenki, rybacy znoszą sieci. Wozy przewożą towary ze sklepów, bydło i sprzęty domowe w bezpieczne pobliże kościoła i rynku. Ale nikt nie jest w stanie szybko przetransportować składu piaskowca i marmuru Michaela Jessopa ani jego nieporęcznego kamieniarskiego warsztatu, tak więc zagarniają je wezbrane wody, tajemniczo wykradając kilka płyt, których nie mogło udźwignąć dwóch mężczyzn, oraz niszczą baldachim z drewna i brezentu – chociaż baldachim został strącony nie po raz pierwszy, stąd jego nieodmiennie prowizoryczny charakter. Także Peter Cutlack, właściciel wędzarni, miał za mało czasu, żeby uratować wszystkie swoje zapasy: miedziane węgorze z kilku skrzyń odkryły, że znów pływają sztywno w swoim dawnym żywiole.

Woda wzbiera. Pełźnie pod górę ulicą Wodną. Domy położone niżej są, zgodnie z powszechnymi oczekiwaniami, zalane, tak więc gdzieniegdzie samotna postać, nie dająca za wygraną – w wielu wypadkach nie nawykła do sytuacji – siedzi nieruchomo w kucki na dachu. Woda pełźnie dalej. Wrzuca co najmniej tonę błota do pospiesznie opróżnionej piwnicy „Wesołego Flisa”, nie dociera jednak pod „Szczupaka i Węgorza” ani też nie dociera – ku szalonej radości lub rozczarowaniu pewnej części pospólstwa, dla której powodzie, poza tym, że są klęską żywiołową, stanowią także źródło podniecenia tudzież przedmiot licznych zakładów – do wymalowanej białą farbą kreski na podmurowaniu apteki, która zaznacza najdalej posunięte wtargnięcie wody w ulicę dotąd upamiętnione i która, niezależnie od swojej wartości historycznej, odgrywa dużą rolę przy ustalaniu czynszów na Wodnej.

Doki Gildseyowskie i Browar wychodzą bez szwanku. Ponieważ bracia w swojej roztropności dołożyli wszelkich starań, żeby uchronić się przed tym wiecznym niebezpieczeństwem, i wyszukany system śluz, jazów i kanałów, należący do kompleksu portowego, spełnia swoje zadanie. Poza tym dwa kanały odprowadzające, jeden na północ, a drugi na południe od miasta, wykopane dzięki publicznym funduszom, ale głównie z inicjatywy Atkinsonów w 1868 i po raz pierwszy poddane teraz próbie, zdają w pełni egzamin. Z powietrza (choć nie ma śmigłowców w 1874 roku – żadnych przelatujących przez ekran obrazów z oblężonymi dachami i zatopionymi samochodami) Gildsey musi wyglądać jak wyspa, kurcząca się w sobie i ściągająca brzegi w przygotowaniach do obrony: niżej położone przyczółki zalane, browar i dok niczym dwa forty zewnętrzne, dwa tworzące mulistobrązową podkowę kanały odprowadzające przybrane wody na zachodnie łąki i przywracające w ten sposób miastu jego prastary status wyspy.

Chociaż jednak gildseyczycy mogą być dumni ze swoich umiejętności zabezpieczania się, poza tym mają niewiele powodów do radości. Miasto prowincjonalne, szczególnie miasto fenlandzkie, zależne jest od regionu, z którego żyje, a z dalej położonych – głębiej zanurzonych – terenów napływają ponure wieści. W wyniku powodzi w październiku 1874 jedenaście tysięcy akrów ziemi zmieniło się na rok w nieużytki. Dwadzieścia dziewięć osób utonęło, osiem uznanych za zaginione – prawdopodobnie też. Zginęło osiemset sztuk bydła i tysiąc dwieście owiec. Co do budynków, dróg, mostów, torów kolejowych, kanałów i pomp, straty są zbyt znaczne, by dały się ściśle wyliczyć.

Natomiast w żadnym razie nie wymaga uściślenia fakt, że rzeka Leem, dogodny szlak komunikacyjny i trakt handlowy dla Atkinsonowskich barek przewożących słoń, chwilowo nie istnieje. Deszcze rzeczywiście padały obficie – jakby ze szczególną złośliwością – na najdalej wysunięte ku zachodowi wzgórze Norfolku. Skłoniło to Leem do okazania takiej pogardy dla swoich granic, że oglądane ze śmigłowca wały na jego brzegach byłyby na długich odcinkach jedynie ciemnymi równoległymi liniami, znaczącymi połyskliwą powierzchnię wody na podobieństwo rys na lustrze. Kanał Hockwell zalał moczary nad jeziorem Wash Fen. Zagrożony jest most w Apton. W Śluzie Atkinsona wrota wyskakują z zawiasów, a żelazna brama jazu zostaje wyrwana ze swoich podpór i ciśnięta, niczym łupkowa tabliczka, w nurt rzeki, na oczach dozorczy śluzy i jego rodziny, zmuszonych spędzić cztery dni na strychu. Tymczasem w Kessling znika akwen dla barek, woda wdiera się frontowymi drzwiami dawnego domu Thomasa Atkinsona, a mimo heroicznego wysiłków zarządcy portu powodzianie – i bez tego dostatecznie zdziwieni – napotykają ku swojemu zdumieniu na obszarze wielu mil wokół Kessling puste galary, zerwane z kotwic, z wyraźnie widocznymi czerwonymi dziobnicami i wymalowanymi emblematami, dryfujące po niegdysiejszych polach pszenicy i kartofliskach.

Co jednak stanowi jeszcze większy powód zdumienia, jakie zawisło nad Kessling? Co stanowi jeszcze większy powód do niepokoju, jaki wśród tej ruiny i zamętu gnębi Kessling Hall, dokąd z rana na drugi dzień deszczów, póki drogi są jeszcze przejezdne – następnego rana po pogrzebie Sary – rodzina Atkinsonów, z wyjątkiem Arthura i jego żony, przybywa w sposób, który, niezależnie od naturalnego u osieroconych pragnienia izolacji i prywatności, ma pewne znamiona pośpiesznej ucieczki?

Plotka zrywa tamę jak woda. Plotka głosi, że nocą 25 października widziano postać kobiety, ubranej według mody sprzed pięćdziesięciu lat, na zalanym deszczem tarasie Kessling Hall pośród kapiących urn i kamiennych ananasów, która stukała w weneckie okna, żeby ją wpuścić do środka. Dora Atkinson – jako że ona jest świadkiem – otrzymuje surową burę za te fantastyczne wymysły. Oto skutki rozczytywania się w Tennysonie. Poza tym, jak może Dora, której nawet nie było na świecie, gdy pewien fatalny cios spadł na pewną głowę, mieć gwarancję, że to, co widziała, jest młodszym wcieleniem jej babki? Jej babki, którą wczoraj pochowano.

Jednak, że Dora jest wstrząśnięta – wstrząśnięta czymś – nie ulega wątpliwości. Ponieważ służąca, która puściła tę plotkę w świat (choć zrobiła to dopiero wiele lat później, kiedy stary George i stary Alfred leżą już bezpiecznie w grobie), znalazła powód, aby zaraz puścić następną. Mianowicie, że kiedy Dora udała się tamtej nocy na spoczynek, nie poszła do swojego pokoju, ale do pokoju kuzynki Luizy, jako że wiadomo było powszechnie, iż te dwie przysięgłe stare panny od czasu do czasu, w ciężkich chwilach – burze z piorunami, powodzie i tym podobne – kuliły się w jednym łóżku, zupełnie jak małe dzieci.

Plotka jak plotka. Jednakże kilku plotek w podobnym duchu z różnych źródeł nie można lekceważyć. Tej samej nocy, dwudziestego piątego, Jane Casburn, żona zakrystiana u św. Gunnhildy, widzi na cmentarzu zjawę kobiety w niemodnej sukni, pochylającą się błagalnie nad grobem Sary. Widzi ją – jest pewna, że ją widzi – ale mężowi mówi nie od razu, ponieważ Ouse wylała i ów zacny człowiek pomaga przy pracach przeciwpowodziowych.

Wracając zaś do Kessling: niejeden oszołomiony, żeby nie powiedzieć przerażony świadek będzie później przysięgał, że widział w tym niespokojnym okresie kształt kobiety przesuwany się przez przystanie i miejsca do cumowania jak ktoś, kto czegoś szuka; niejako szybując, jak mówią niektórzy, ponad wezbraną wodą; także w słodowni i więcej niż raz przed siedzibą ewakuowanego zarządcy – u drzwi, w które Thomas Atkinson wprowadził swoją młodą żonę – jakby dopraszając się wejścia. Na co pozwolenie zostało wkrótce udzielone – jeżeli nie zjawie, to wezbranym wodom Leemu.

A w Gildsey, w domu z widokiem na ulicę Wodną (która staje się godna swojej nazwy), w pokoju, w którym...?

Nikt jednak nie wie, jakie odwiedziny z zaświatów, jeśli w ogóle, miały miejsce w domu, który obecnie zajmują Arthur i Maud. Jedyna plotka, jaka przenika z tej strony – za to konkretna i potwierdzona – głosi, że wczesnym rankiem dwudziestego siódmego przybywa z pewnym pośpiechem lekarz domowy Atkinsonów.

Woda wzbiera, woda powraca. Czy i ona wróciła, nie tyle nawet ze świata umarłych, ile z tego wcześniejszego życia, które wiodła, zanim uderzenie w czaszkę naruszyło jej mózg i raz na zawsze pomieszało w głowie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość? Czy wróciła do Gildsey, do Kessling, szukać utraconego małżonka, szukać utraconego oblubieńca, który był kiedyś wesół i niezazdrosny?

Ach, czyż duchy nie są dowodem – nawet plotki, pogłoski, opowieści o duchach – że przeszłość osacza, że bezustannie zawracamy? Skoro jednak Sara Atkinson leży w swoim nowym grobie obok starego grobowca Thomasa na cmentarzu św. Gunnhildy, gdzie deszcz wsiąkając w ziemię rozpoczyna już proces, dzięki któremu mieszają się ich prochy, czyż nie jest już duchowo połączona na zawsze ze swoim utraconym małżonkiem?

Woda wzbiera. Wyrzuca na brzeg plotki i najrozmaitsze przedziwne wieści, ale także zatapia je na powrót i znosi. Bracia będą prawdopodobnie błogosławić (choć dla czego niby mają błogosławić?) tę powódź, która tak zaprzęta uwagę i zwraca myśli ku sprawom praktycznym. Kiedy zewsząd dobiegną wieści o zrujnowanych domach, zaginionych sztukach bydła, nieprzejezdnych drogach, komu będzie w głowie przejmować się historycznymi bredniami o straszących nieboszczykach? A kiedy woda wreszcie zacznie opadać i przyjdzie dokonać ponurego obrachunku, jakież znaczenie będą miały bajdurzenia kilku bab, gamoniów i służących wobec chlubnych starań George'a i Alfreda, żeby raz jeszcze zaprowadzić ład w dotkniętej klęską okolicy, albo wobec trudów Arthura, który dzieląc ciężar miejscowych obowiązków z ojcem i stryjem, ma jeszcze wystarczająco dużo energii, aby wypowiadać się ze swojej ławy w Izbie Gmin w sprawach o wiele bardziej ważkich i rozległych, w sprawach Państwa i Imperium?

Ktoś jednak zapyta – kiedy powódź stanie się tylko wspomnieniem, kiedy Leem znowu popłynie spokojnie między swoimi brzegami, kiedy nowa śluza i jaz, obok nowego domku dozorczy, który pewnego dnia stanie się mieszkaniem Henry’ego Cricka, będą regulować i strzec nurtów rzeki – skąd wiadomo, że Sara Atkinson leży w grobie obok męża na przykościelnym cmentarzu św. Gunnhildy?

Ktoś też odkopie znowu tę bzdurną, mocno wyszydzaną i wyciszoną historyjkę, jakoby Sara nie tylko była zamknięta w zakładzie w Wetherfield, ale również – jako kobieta obdarzona nadprzyrodzoną mocą – uciekła stamtąd na kilka dni przed własnym pogrzebem. Jakoby, wymknąwszy się strażnikowi i zmyliwszy pogoń, brnęła (kobieta dziewięćdziesięciodwuletnia, nie zapominajcie) w samej tylko koszuli, przez rowy i pola, aż dotarła nad brzeg Ousy. I tu – według absurdalnego świadectwa jednego z flisaków – rzuciła się do wody „niby jakaś syrena”, i nigdy nie wypłynęła na powierzchnię.

Natomiast dwie sprawy, na zawsze już kojarzące się z powodzią roku siedemdziesiątego czwartego, wywołują mniejsze spory. Pierwsza, że liczni bywalcy „Łabędzia”, „Szczipaka i Węgorza”, a nawet „Wesołego Flisa”, których byle powódź ani też piwnica pełna błota nie odstraszą od kufła, zauważają subtelny różnicę w swoim trunku. Piwo jest słabe. Jest wodniste. Czy to złudzenie wywołane taką ilością deszczów i wylewów? Czy też rzeczywiście powódź przeniknęła w jakiś sposób do Atkinsonowskich beczek, zaatakowała wnętrze browaru i to, co teraz piją, jest, uchojaj Boże, po części wodą z rzeki? Piwowarzy zapewniają, że żadne takie haniebne rozwodnienie nie nastąpiło, że kwestionowane piwo niczym się nie różni od uczciwego wypróbowanego wzmacniającego napitku i produkowane jest w uczciwy wypróbowany Atkinsonowski sposób. Jednak piwo się nie polepsza i spora część gildseyowskiej opinii publicznej będzie niezłomie utrzymywała, że – niezależnie od wody rzecznej i nadgniętych beczek – piwo warzone przez Atkinsonów po tej powodzi po pogrzebie biednej Sary nigdy nie było już takie jak dawniej; że po roku 1874 – aż do pewnego pamiętnego momentu w następnym stuleciu – Piwo Atkinsona, które przez ponad pięćdziesiąt lat stanowiło chlubę Gildsey, stało się napojem pośledniejszego gatunku. I, prawda to czy nie, dochody ze sprzedaży Atkinsonowskich piw w ostatnim ćwierćwieczu XIX stulecia i pierwszej dekadzie XX

wykazują nieznaczny, ale stały spadek.

Druga sprawa dotyczy wizyty doktora wczesnym rankiem w Cable House. Co go sprowadziło tak nagle? Czy wewnątrz zaszło coś okropnego? Nie; to znaczy nie, ale może również i tak, ponieważ pani Arthurowa Atkinson trzy tygodnie przed spodziewanym terminem rodzi syna.

Co spowodowało ten przedwczesny poród? Jakiś nagły szok, może widok czegoś w owym pokoju na górze, w którym to Sara rzekomo miała wydać ostatnie tchnienie? Napięcie i poruszenie – które, kto wie, mogą równie dobrze świadczyć o winie, jak o smutku – towarzyszące temu zalanemu deszczem pogrzebowi? Czy też wzbierające na Fenach wody, zerwane groble, rozlewająca się rzeka – której chlupotanie już dochodzi przez okno z końca ulicy Wodnej – znalazły jakieś tajemne pokrewieństwo w organizmie pani Atkinson, powodując u niej solidarne odejście wód? Nikt nie wie. Ale jedno jest pewne: 27 października 1874 roku Maud Atkinson wydaje na świat niemowlę płci męskiej. A niemowlę żyje i jest zdrowe.

I tak oto, dzieci, wśród powodzi i ulotnych pogłosek mój pradziadek, Ernest Atkinson, przyszedł właściciel Browaru Atkinsona i Atkinsonowskiej Spółki Transportu Wodnego, przyszedł na świat.

Deszcz tymczasem pada. Przeistacza ziemie nad Ousą i Leemem w wodniste pole bitwy, przemienia je na powrót w bagno, którym niegdyś były.

Osuszanie. Zacząć jeszcze raz. Crickowie przystępują do roboty.

A kłębiącym się, wzbierającym, powoli opadającym Leemem spływają wierzbowe witki, gałęzie olszyny, kołki z płotu, butelki...

10

O pytaniu „dlaczego?”

A kiedy pytaliście, jak pytają wszyscy uczniowie na lekcjach historii, jak powinni pytać wszyscy uczniowie na lekcjach historii: Jaki jest sens historii? Dlaczego historia? Dlaczego przeszłość? – zwykłem odpowiadać (aż Price postawił pytanie po raz n-ty, ale pod nowym kątem – i z tą wyraźnie drżącą wargą): Przecież wasze „dlaczego” daje odpowiedź. Wasze domaganie się wyjaśnienia stanowi wyjaśnienie. Czyż szukanie powodów samo w sobie nie jest procesem historycznym, ponieważ zawsze trzeba się cofać od tego, co nastąpiło potem, do tego, co nastąpiło przedtem? Dopóki palimy się do wyjaśnień, czyż nie musimy nosić stale ze sobą tego nieporęcznego worka wskazówek zwanego Historią? Jeszcze jedna definicja, dzieci: Człowiek: zwierzę, które domaga się wyjaśnienia, zwierzę, które pyta „dlaczego?”.

A co się w tym pytaniu „dlaczego” kryje? Kryje się w nim – jak kryje się najwyraźniej, kiedy rzucacie mi je buntowniczo w środku naszych lekcji historii – niezadowolenie, niepokój, poczucie, że nie wszystko jest w porządku. W stanie całkowitego zadowolenia nie byłoby potrzeby ani miejsca na to drażniące słówko. Historia rozpoczyna się dopiero w momencie, kiedy sprawy przybierają zły obrót, historia rodzi się dopiero razem ze zmartwieniem, z problemami, z żalem. Tak że słowu „dlaczego” niecierpliwie następuje na pięty szczwane a tęskie słowo „gdyby”. Gdyby nie to... Gdyby tylko... Gdyby nie tamto... Wszystkie bezużyteczne „gdybania” historii. I tak, wiecznie hamująca, utrudniająca, przerywająca wsteczne poszukiwania wyznaczone pytaniem „dlaczego”, jawi się druga forma regresji: Gdybyśmy tylko mogli to mieć jeszcze raz. Nowy Początek. Gdybyśmy tylko mogli wrócić...

„Historia”, inaczej „Badanie” (jak w Historii Naturalnej: badanie przyrody). Odkryć tajemnicę skutku i przyczyny. Pokazać, że każdej akcji towarzyszy reakcja. Że Y jest wynikiem, ponieważ wcześniej było X. Zamknąć wrota stajni, żeby choć następnym razem koń... Wiedzieć, że jesteśmy tym, czym jesteśmy, dlatego iż tak zdecydowała nasza przeszłość. Uczyć się (stary wybieg nauczyciela historii) na naszych błędach, żeby na przyszłość było lepiej...

Chcąc zaś zilustrować naszą palącą potrzebę postawienia tego pytania „dlaczego”, jak i tezę, że historia zaczyna się od naszego poczucia, że coś jest nie w porządku, prosiłem was o porównanie nauki historii do śledztwa. Przypuśćmy, że natykamy się na zwłoki – mianowicie przeszłość. Zwłoki nie zawsze łatwe do zidentyfikowania, ale od czasu do czasu przybierające szczególną i zdecydowanie indywidualną formę. Na przykład bezgłowego tułowia Ludwika XVI. Czy powiemy o tych zwłokach: No cóż, trup to trup, a trupy nie ożywają? Nie, nie powiemy. Pytamy: Dlaczego ten trup stał się trupem? Odpowiedź: Przypadkiem – albo ponieważ kiedy pewnego dnia w Paryżu spadła pewna gilotyna, szyja Ludwika XVI znalazła się jakimś trafem na jej drodze. Na co wybuchnęlibyście śmiechem, dowodząc w ten sposób dociekliwości waszych umysłów, waszego detektywistycznego ducha – waszej świadomości historycznej.

Ale dlaczego, pytam, szyja Ludwika jakimś trafem...? Ponieważ... A kiedy dowiemy się już przyczyny, będziemy chcieli wiedzieć: Ale dlaczego ta przyczyna? Ponieważ... A kiedy odnajdziemy tamtą wcześniejszą przyczynę: Ale dlaczego właśnie...? Ponieważ... Dlaczego?... Ponieważ... Dlaczego?...

Aż po to, by się dowiedzieć, dlaczego Ludwik zginął, trzeba będzie nie tylko wskrzesić w wyobraźni jego niespokojne życie i czasy, ale także zgłębić pokolenia przed nim, a na tym etapie owo nie milknące pytanie dlaczegodlaczego stało się już syreną wyjącą w naszych głowach i zaczyna się wyłaniać pytanie następne: Kiedy-gdzie-w jaki sposób przestajemy pytać „dlaczego”? Ile trzeba się cofnąć? Kiedy uznajemy, że otrzymaliśmy wyjaśnienie (wiedząc, że nie jest to wyjaśnienie kompletne)? W jaki sposób – choćby dla chwili spokoju – wyłączamy tę nieszczęsną syrenę? Czy nie byłoby lepiej (może to nastąpić w skrajnych przypadkach – przykładem niegdysiejsza odpowiedź mego ojca na pytanie o wojenne przeżycia), gdybyśmy uzyskali dar zapomnienia? Ale czy ów dar zapomnienia nie wypuściłby nas z pułapki pytania „dlaczego” wprost do więzienia debilizmu?

Dzieci, zawsze was uczyłem, że historia jest użyteczna, że ma swój poważny cel. Zawsze was uczyłem przyjmować ciężar naszej potrzeby pytania „dlaczego”. Uczyłem was, że nigdy nie ma końca temu pytaniu, ponieważ, jak to kiedyś dla was zdefiniowałem (owszem, przyznaję, że mam słabość do improwizowanych definicji), historia jest ową rzeczą niemożliwą: próbą podsumowania przy niepełnej wiedzy działań także podjętych przy niepełnej wiedzy. Tak więc nie podaje nam żadnych skrótów do Zbawienia, żadnego przepisu na Nowy Świat, ale jedynie zaprawia w wytrwałej i cierpliwej sztuce obywatela się prowizorką. Uczyłem was, że w wiecznej pogoni za wyjaśnieniem możemy uzyskać nie tyle Wyjaśnienie, co świadomość kresu naszych możliwości wyjaśnienia. Tak, tak, przeszłość staje na drodze, podstawia nam nogę, wciąga w grzęzawisko, komplikuje, utrudnia. Ale ignorować ją jest szaleństwem, ponieważ historia uczy nas przede wszystkim unikania złudzeń i pozorów, rezygnacji z mrzonek, urojeń, recept na wszystko, z cudownych rozwiązań, gruszek na wierzbie – uczy nas realizmu.

Tak więc, kiedy nauki waszego nauczyciela historii zostają wystawione na próbę, kiedy jego żona, jeszcze nie napiętnowana przez lokalną prasę jako „porywaczka niemowląt z Lewisham” oraz „kidnaperka z Greenwich”, występuje pewnego niedzielnego popołudnia z niepojętym oświadczeniem, jest on posłuszny zarówno ludzkiemu instynktowi, jak też akademickiej zaprawie. Rzuca wszystko (nawet Rewolucję Francuską) i próbuje wyjaśnić.

Ale już rozumie – chociaż brnie dalej na przekór swoim przełożonym, faktycznie ryzykując całą swoją karierę – że to, co robi, nie jest wyjaśnieniem. Ponieważ osiągnął już kres swoich możliwości wyjaśnienia, tak jak jego żona (niegdyś wytrwała i cierpliwa kobieta) zatraciła poczucie rzeczywistości – zatraciła przynależność do rzeczywistości. Ponieważ właśnie Niepojęte zmusza go do wyplatania w ten sposób trzy po trzy i uciekania coraz dalej w przeszłość. Ponieważ kiedy nie ma drogi w przód, jedyną drogą jest... Ponieważ jego dzieci, którym śnią się koszmary, nagle chcą służyć i choć on próbuje wyjaśniać, to naprawdę opowiada tylko jakąś...

11

O śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku

Więc kiedy lekarz sądowy odczytał orzeczenie, a świadkowie – w szczególności mój ojciec, Henry Crick, oraz posterunkowy Wyebrow – złożyli zeznania, dochodzenie w sprawie śmierci Fredericka Parra, lat szesnaście, z Hockwell, w hrabstwie Cambridge, przeprowadzone w Urzędzie Koronera dla miasta Gildsey dnia 29 lipca 1943 roku, zamknęło się werdyktem stwierdzającym, że denat zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Koniec opowieści.

Ależ panie profesorze! Panie profesorze! Przecież to nie może być wszystko. Co z tym podwójnym guzem na głowie? Co z debilnym bratem? A ta sprawa między panem i Mary jak-jej-tam? (No, no, nie wiedzieliśmy, że pan...) Co z naszym duchem detektywistycznym? Niech pan nie przestaje, niech pan opowiada dalej. To nie może być koniec.

Doskonale. Nie koniec opowieści.

Choćby tylko dlatego, że gdy koroner zaprotokołował werdykt stwierdzający śmierć na skutek wypadku oraz gdy podpisano akt zgonu i wystawiono nakaz pochówku, ojciec mój nadal zadawał sobie pytanie: dlaczego, dlaczego. Widziałem, jak pytanie przysparza nowych bruzd na jego czole, wzmacnia w tym chronicznie niedomagającym kolanie i zmusza go, kiedy wydawałoby się, że co za dużo, to niezdrowo, do zawrócenia raz jeszcze i dalszego przemierzania niespokojnymi krokami ścieżki holowniczej podczas wieczornej służby wartowniczej. Urząd koronera jest sądem, choć dochodzenie przyczyn zgonu nie jest procesem. Ale mój ojciec, człowiek prosty i łatwo dający się zastraszyć, wezwany przez urzędnika koronera w charakterze świadka, miał poważne obawy, że jest oskarżonym, że celem tego oficjalnego spotkania nie jest ustalenie, jak zginął Freddie Parr, ale jak on, Henry Crick, dozorca Nowej Służby Atkinsona, dopuścił przez zaniedbanie, aby szesnastoletni chłopak utopił się w jego służbie, a na dodatek uszkodził ciało wyżej wymienionego bosakiem. Mój ojciec w przegrzanej sali sądowej, niezwyčajny sztywnego kołnierzyka, pod którym były nań siódme poty, oczekiwał wyroku: Henry Crick zostaje uznany winnym zabójstwa, morderstwa, śmierci, wszystkich grzechów i krzywd na całym świecie...

Koroner: O której godzinie, pańskim zdaniem, nastąpił zgon?

Lekarz sądowy: O ile mogę stwierdzić, między godziną dwudziestą trzecią dwudziestego piątego a pierwszą dwudziestego szóstego.

Koroner: Panie Crick, czy w tych godzinach słyszał pan coś, co by pana zaniepokoiło – plusk, chlupot, wołanie o pomoc – w pobliżu śluzy?

Mój ojciec: Nie, panie koronerze, niestety spałem...

Koroner: Panie doktorze, co do rany i zasinienia po prawej stronie twarzy denata – czy może pan objaśnić, w jaki sposób i kiedy zostały spowodowane?

Lekarz sądowy: Twardym, dość ostrym przedmiotem lub narzędziem, kilka godzin po tym, jak nastąpiła śmierć.

Koroner: Czy ma pan pewność co do tego ostatniego punktu?

Lekarz sądowy: Tak, panie koronerze.

Koroner: Panie Crick, czy mógłby pan wytłumaczyć dokładnie, jak powstała ta rana?

Mój ojciec: Ciężki był. Ja przepraszam, panie koronerze. Bosak się ześlizgnął, dziabnął go.

Koroner (cierpliwie): Niech pan nie przeprasza, tylko postara się być bardziej dokładny. Proszę się uspokoić, nie ma pan co robić sobie wyrzutów z tego powodu...

Ale mój ojciec nie jest spokojny. Spaceruje w tę i z powrotem po ścieżce holowniczej, pytając: dlaczego, dlaczego. Pyta, jak dochodzi do takich rzeczy. (A ja pytam, obserwując go, czy podejrzewa Mary, Freddiego, Dickę i mnie?) Roztrząsa swoje życie (tak jak ja pewnego dnia będę roztrząsał jego życie, posuwając się nawet do wygrzebania zakurzonych protokołów z owego dochodzenia), szuka błędów domagających się wyjaśnienia, wróżb mających się sprawdzić. A na jego twarzy, kiedy z płaskiej rzeki przenosi wzrok na płaskie pola, maluje się wyraz nadgorliwej czujności.

Ojciec Freddiego Parra ma jeszcze więcej powodów, żeby pytać dlaczego, dlaczego. Zgrabne słówko „wypadek”, choćby nie wiem ile razy powtórzone, nie zdoła wyłączyć tej syreny w jego mózgu, zapełnić ziejącej otchłani odpowiedzialności i winy, która się w nim otwiera...

Koroner: Mówiąc bez ogródek, jak określiłby pan ilość alkoholu obecnego we krwi denata?

Lekarz sądowy: Jako znaczną, panie koronerze.

Koroner: Wystarczającą, żeby mógł być pijany?

Lekarz sądowy: Z pewnością.

Koroner: Zamroczony alkoholem?

Lekarz sądowy: Bardzo możliwe.

Koroner: W takim stopniu, że mógł być bardziej niż zwykle narażony na zsuniecie się czy upadek z brzegu rzeki?

Lekarz sądowy: Zupełnie prawdopodobne.

Koroner: A znalazłszy się w wodzie, mniej zdolny niż zwykle do wyratowania się?

Lekarz sądowy: Również zupełnie prawdopodobne.

Koroner (marszcząc brwi): Denat liczył szesnaście lat. Czy miał zwyczaj się upijać?

Posterunkowy Wyebrow (zdobywając się na odwagę, jako że rodzice denata są nieobecni): Chyba tak, panie koronerze. Z całym szacunkiem dla dotkniętych nieszczęściem, chyba wdał się w ojca.

Koroner: Pan Parr jest nałogowym alkoholikiem? Czy pan, panie Crick, to potwierdza?

Mój ojciec: ...

Koroner: Słucham?

Mój ojciec: Lubi wypić, panie koronerze.

Koroner: Pan Parr ma opinię alkoholika. A przecież pan Parr jest sygnalistą i dróżnikiem...

A dlaczego te fakty – mógłby kontynuować koroner, tyle że znajdowało się to już poza sferą jego zainteresowań – nie przyprowadzają o ustawiczne bicie serca kierowców, rowerzystów i innych użytkowników dróg, przywykłych polegać na szlabanie Jacka Parra, nie mówiąc już o konduktorach, strażnikach oraz pasażerach Wielkiej Wschodniej Kolei Żelaznej? I dlaczego do uszu dyrekcji kolei nigdy nie doszły wieści o tej nieszczęsnej słabości jej pracownika, któremu na dodatek jej własny tabor dostarczał paliwa (choć koroner o tym nie wiedział) w postaci przemycanego alkoholu?

Z tej prostej przyczyny, że to pani Parr – co było również powszechnie wiadomo, mógłby dodać posterunkowy Wyebrow – sprawowała pieczę nad szlabanem i semaforami w okresach niepoczytalności męża. To ona sterowała urządzeniami sygnalizacyjnymi, jakby w życiu nic innego nie robiła; to ona odbierała z Apton i przekazywała do Newhithe i do Wansham wiadomości telegraficzne, że pociąg przybywający dziewiąta dziesięć do Gildsey ma dwanaście minut opóźnienia, że towarowy został przesunięty w rozkładzie; to ona o lodowatym zimowym świcie odmrażała za pomocą lampy lutowniczej zawiasy szlabanu, podczas gdy jej mąż chrapiąc głośno odsypiał skutki całonocnego raczenia się burbonem z Kentucky.

A jaka jest przyczyna tego bezwstydnego niedbalstwa ze strony męża i tej nadzwyczajnej wyrozumiałości ze strony małżonki?

Wieść głosi, że we wczesnym i trzeźwym okresie dróżniczej kariery Jacka Parra omal nie doszło do okropnego wypadku na przejeździe w Hockwell. Że koszmar, który prześladowuje wszystkich dróżników, stał się pewnego dnia rzeczywistością i Jack Parr zapomniał opuścić na czas ratujący życie szlaban. Przycupnięty w swej nastawni uświadomił sobie nagle nie tylko to straszliwe zaniedbanie, ale również dwa inne fakty. Że czerwony furgon pocztowy wspina się leniwie na most na Leemie od południa, skąd linia kolejowa po stronie północnej jest niewidoczna ze względu na fatalne połączenie zakrętu, wału nadrzecznego i szpaleru drzew, podczas gdy dalej, na lewo od Jacka Parra, po prostym jak strzała torze w kierunku Apton zbliża się z ogłuszającym łoskotem niestety aż za punktualny ekspres z King's Lynn. Jednemu tylko Jackowi Parrowi objawiła się pełna groza całej tej sceny, oszczędzona uczestniczącym w niej ludziom. Z chyżością owładniętych paniką wyskoczył z nastawni, pokonał dwoma susami kondygnację żelaznych schodów i z zapamiętaniem, do którego pchnąć może człowieka tylko śmiertelny strach, zaczął obracać korbą szlabanu.

Następuje implozja. W jednej niewyobrażalnej, choć całkowicie niewinnej chwili, szlaban opada, furgon pocztowy zarywa się z piskiem w ziemię, a ekspres z King's Lynn, również z przeraźliwym zgrzytem hamulców, przelatuje mimo. Nikt nie ponosi szwanku. Zawodowa opinia Jacka Parra pozostaje nienaganna. Ale szok był tak wielki, myśl o tym, co mogło się wydarzyć, tak okropna, a świadomość, że do podobnego zaniedbania może znowu dojść któregoś dnia, tak trudna do zniesienia, że ojciec Freddiego Parra zaczyna pić, uprzedzając możliwość przyszłej nieuwagi regularnym zaćmieniem alkoholowym.

Może jednak cała ta historia jest wymysłem, mającym usprawiedliwić pijackie ciągoty Jacka Parra. Może Jack Parr pił wyłącznie z tego samego powodu, z jakiego wielu jego fenlandzkich ziomków sięgało po butelkę. Ponieważ przygnębiały go te płaskie, czarne fenlandzkie pola i to szerokie otwarte fenlandzkie niebo. Ponieważ znudziło mu się codziennie patrzeć bez możliwości opuszczenia swojego stanowiska na nijakie brzegi rzeki, na rzeczną wodę koloru flegmy, na rządki buraków i kartofli, na proste trakty kolejowe i szpalery wrzecionowatych topoli; na przewiane wiatrem perony stacji w Hockwell, na sieć grobli i kanałów, krzyżujących się i niknących w oddali, odciskających na mózgu swoją doprowadzającą do szału geometrię. Ponieważ tego wszystkiego tudzież przerażającej niewzruszoności swoich obowiązków – koszmarnie połączenie pustki i odpowiedzialności – miał serdecznie dosyć.

Ach, dzieci, pożałujcie dróżników, pożałujcie dozorców śluz, pożałujcie latarników – pożałujcie wszystkich stróżów tego świata (pożałujcie nawet nauczycieli), uwięzionych między swoim sumieniem a beznadziejnym horyzontem... Czasami się dziwię, że mój ojciec, zawracający bez końca na ścieżce holowniczej nad Leemem, też nie zaczął pić.

Z pewnością Jack Parr nie pił, żeby wprawić się w dobry humor – on, który podobno ani razu nie wybuchnął śmiechem od dnia tamtego wypadku, co nigdy nie nastąpił. A z pewnością nie dla rozweselenia znów chwyta za szyjkę butelki swojego burbona Old Grand-dad wieczorem 29 lipca 1943 roku, daty, pod którą oficjalnie zapisano, że jego syn poniósł śmierć – skutkiem innego wypadku. Jack Parr przechyla i przechyla butelkę, żeby uciszyć to straszliwe wycie: dlaczego dlaczego dlaczego...

Ponieważ (tu przełyka) mój Freddie był pijany i wpadł do rzeki, a nie było nikogo, kto by go wyratował. A dlaczego...? Ponieważ nauczył się pić od swojego ojca, który jest marnym pijaczną, który posunął się nawet do tego, że posyłał syna na czarnorynkowe wyprawy w wyłącznym celu zdobycia gorzałki. A dlaczego...? Ponieważ jego ojciec był beznadziejnym nicponiem, spokojnie szkolącym syna w nieuczciwości i występku, grzesznikiem, słusznie ukaranym przez śmierć pierworodnego, swego jedynaka. Ale dlaczego...

I gdy każde kolejne „dlaczego” otwiera beczące usta, Jack Parr ucisza je pociągając z butelki raz i drugi, usiłując zmasać grzech pijaństwa jeszcze większą ilością alkoholu.

Ale to nie wystarcza. Nie działa.

Bo do czegoż te wszystkie nie dające się stłumić i obarczające brzemieniem winy „dlaczego” doprowadzają Jacka Parra owej lipcowej nocy? Doprowadzają go do tego, że przełazi przez własny szlaban z butelką w ręce i siada na torach z wyrazem nieodwołalnej determinacji na twarzy. Rozpaczliwe wysiłki i gorączkowe protesty pani Parr nie robią na nim najmniejszego wrażenia. Nie odzywa się. Światło księżyca połyskuje na szynach. Ojciec Freddiego Parra siedzi i czeka, żeby przejechał go osobowy zero czterdzieści dwa albo towarowy pierwsza zero zero (rozkład jazdy jest zamazany).

Jednak nie zostaje przejechany. Rano tkwi tam nadal i oddycha. Ponieważ pani Parr, porzuciwszy próżne błagania i zdając się na swoją wypróbowaną przedsiębiorczość, wspięła się do nastawni, jak to czyniła tyle razy w przypadkach duchowej nieobecności męża, poprzestawiała zwrotnice, nadała wiadomość, zadzwoniła do posterunkowego Wyebrowa – który pospiesznie zarządził objazd – zgłaszając „uszkodzenie” na przejeździe w Hockwell, porozumiała się z innymi sygnalistami wzdłuż całej linii i tym sposobem zorganizowała telegraficzny spiszek: światła mrugające na przeszło połowie wschodnich Fenów, pociągi odwołane, skierowane na inne trasy, z niewyjaśnionych powodów opóźnione, ku wielkiemu zmartwieniu nocnych pasażerów i załadowców barek oraz sporej części zachodzących w głowę funkcjonariuszy Wielkiej Wschodniej Kolei Żelaznej.

Tak więc Jack Parr spędził całą noc pod gwiazdami – które, według mojego ojca, trwają w wiecznym zawieszeniu z powodu naszych grzechów – ogłupiony alkoholem, czekając śmierci na żelaznych kołach, która nigdy nie przybyła. Tak więc siedział, leżał, chrapał, śnił. Aż się obudził pośród świergotu skowronków, odkrywając, że nie jest martwy, ale żywy i że na jego rozeznanie (ponieważ Flora Parr nic nie powiedziała) dwa osobowe i trzy towarowe pociągi przeleciały po nim nie zostawiając ani zadrapania. I tak Jack Parr, który był człowiekiem przesądnym i tego właśnie ranka poprzysiął sobie przestać pić, uwierzył, że Bóg, który czasem karze człowieka z niepojętym okrucieństwem topiąc mu rodzzonego syna, czyni również niepojęte cuda.

Ponieważ wbrew wszystkiemu, wbrew pustce i monotonii, ta Fenlandia, ta namacalna ziemia wydobyta z wody wiekami mozołu, jest krainą czarodziejską i cudowną.

12

O przemianie życia

Mary – gdziekolwiek jesteś, odkąd odeszłaś, odkąd, choć nadal tutaj, jesteś nieobecna, zwrócona do wewnątrz, odkąd się wycofałaś, a wszystko, co pozostało innym, to twoja historia – czy pamiętasz (czy nadal jesteś w stanie pamiętać?) jak kiedyś leżeliśmy w skorupie starego wiatraka nad kanałem Hockwell i jak płaskie, puste Feny, zewsząd nas otaczające, też stały się cudowną krainą, stały się sceną, na której narodzić się mają rzeczy czarodziejskie? Czy pamiętasz, jak patrzyliśmy w niebo, w błękitną pustkę, i jak z tego nieba (bo ci powiedziałem: moja religijność domowego wypieku przeciwstawiona twojej katolickiej przemądrzałości) Bóg spoglądał na nas; jak uniósł dach tymczasowego domu naszej miłości, a nam to nie przeszkadzało? Jak nikt inny nie mógł nas dojrzeć w naszym młyńskim buduarze, tylko On jeden, a Jemu pozwoliliśmy?

I czy to był ten sam Bóg, spoglądający na nas z nieba, który do ciebie przemówił?...

Dziewięć, pewnego razu była sobie żona nauczyciela historii, imieniem Mary, z niebieskimi, ciekawymi oczyma i ciemnymi włosami, która, nim została żoną nauczyciela historii, była córką farmera w hrabstwie Cambridge. Która mieszkała w solidnym, mocnym domu z żółtej cegły, wśród pól buraków, kartoflisk i geometrycznie rozmieszczonych grobli. Która w latach drugiej wojny światowej uczęszczała do szkoły (klasztornej) dla dziewcząt pod wezwaniem św. Gunnhildy w Gildsey, zawierając dzięki temu bliższą znajomość z przyszłym nauczycielem historii, w owym czasie również uczęszczającym do szkoły w Gildsey. Która, napędzając radością i dumą serce owdowiałego ojca, zbierała pochwały od sióstr ze szkoły pod wezwaniem św. Gunnhildy jako zdolna i pilna uczennica, pożądana wiedzy, ale która, ku gorzkiemu rozczarowaniu ojca, nie mogła się powstrzymać, aby nie zaspokajać ciekawości poza lekcjami szkolnymi, szczególnie w dziedzinie seksualnej. Której badania w tym zakresie nie ograniczały się do przyszłego nauczyciela historii. Która była zuchwałą, wścibska, nieokiełznana. Która była ostatnią osobą, jaką można by posądzić o naśladowanie świętej patronki naszego miasta i zamknięcie się niby pustelnica na przeszło trzy lata w tym solidnym domostwie, chociaż tak uczyniła ku własnemu udęczeniu i wzrastającej rozpaczycy ojca jesienią 1943, w którym to roku (jej siedemnastym) ciekawość jej – oraz dużo więcej – nagle przestała istnieć.

Dawno, dawno temu była sobie żona przyszłego nauczyciela historii, która zdecydowała się na pewien drastyczny krok. Która powiedziała przyszłemu nauczycielowi historii (wprawiając go w najwyższe osłupienie, jako że nie miał zielonego pojęcia, co w danych okolicznościach on sam zamierza zrobić): – Wiem, co zrobię. – Która powiedziała do niego później, gdy tymczasem wiele zdołało już się wydarzyć: – Musimy się rozstać. – I zagrzebała się na tej samotnej farmie, tak jak on zagrzebał się w książkach historycznych.

Niektórzy by powiedzieli, że to jej usunięcie się było nie tyle dobrowolnym aktem pokuty, ile karą wymierzoną przez okrytego wstydem i rozgniewanego ojca, człowieka zdolnego uciec się do surowych środków, który pokładając kiedyś w córce duże nadzieje, a obecnie aż nadto świadom jej przewrotności, zdecydował się ją zamknąć, żeby nie dopuścić do dalszych wybryków. Ale wasz nauczyciel historii (przestraszony świadek postanowienia swojej przyszłej żony) wie, że jej ojciec, choć skory do karania, odegrał jedynie rolę drugorzędną. Wie, że Mary odcięła się od świata z własnej woli. Chociaż nie wie, ponieważ w owym czasie odmówiono mu nawet prawa do odwiedzin czy pisemnego kontaktu, co zaszło w ciągu tych trzech lat. Czy Bóg przemówił do niej (już wtedy), jak przemawiał, zagłuszając skowyt demonów, do św. Gunnhildy; czy znalazła zbawienie; czy może nawiedził ją duch Sary Atkinson, córki piwowara z Gildsey, która według miejscowej legendy ofiarowuje swoje towarzystwo tym, których życie stanęło w miejscu, choć żyć muszą dalej. Czy też prawda była taka, że w ciągu tych trzech lat nie wydarzyło się nic, absolutnie nic, i że przyszła pani Crick spoglądając dzień po dniu ze swojej farmy na płaskie pola, przygotowywała się jedynie, świadomie czy nieświadomie, do swojego późniejszego małżeństwa, które miało być swego rodzaju równiną.

Niezależnie od tego, jak wygląda prawda – bo żonie przysłego nauczyciela historii sądzone jest nigdy jej nie wyjawić, a przyszły nauczyciel historii, powołany z początkiem roku 1945 do służby wojskowej, nie jest w stanie zebrać żadnych informacji z pierwszej ręki – niezależnie od tego, jak wygląda prawda, nie ulega wątpliwości, że wstyd i gniew farmera Metcalfa ustąpiły w ciągu tych trzech lat miejsca trosce o zdrowie córki i jej dalsze losy.

Chowając dumę do kieszeni – pogodzony z faktem, że córka nie może wznieść się w świecie, którego naturalną skłonnością najwyraźniej jest zapadanie się – oraz łamiąc obietnicę, że nigdy słowem nie odezwie się do tego człowieka, składa wizytę swojemu sąsiadowi Henry’emu Crickowi.

Chociaż Harold Metcalf, podobnie jak Henry Crick, jest wdowcem i zdołał przywyknąć do życia w odosobnieniu, zaskakuje go atmosfera opuszczenia i osamotnienia otaczająca dozorcę śluzy, który mieszka teraz sam jeden w domku nad rzeką, a którego zastaje pewnie przy naprawianiu samolówek na węgorku lub na pogawędce z kurczętami.

Henry Crick wita go zaniepokojonym spojrzeniem, a jego usta przybierają kształt litery „O”. Obydwaj mówią ogródkami. Jeden ubolewa nad zamieraniem ruchu na rzece, drugi nad niegodziwością Wojennej Komisji Rolnej. Unikają bardziej drażliwych tematów. Wreszcie Metcalf pyta Henry’ego, czy miał wiadomości od syna, obecnie stacjonującego w Kolonii, i w ten sposób porusza sprawę, z którą przyszedł.

Nad brzegiem Leemu obydwoj mężczyźni dochodzą szybko do porozumienia – choć nie tak szybko pokonują wzajemną nieśmiałość, jękając się, wzdychając, kiwając wyrozumiale głowami (Henry Crick pociera kolano) – i uzgadniają, że co za dużo, to niezdrowo, trzeba temu położyć kres i że w końcu czas wszystko leczy. Krótko mówiąc, farmer Metcalf sugeruje, by Henry Crick napisał list do syna, dając do zrozumienia, że drugi list w określonym celu powinien z kolei zostać wysłany przez syna na farmę Metcalfów. I chociaż Henry Crick, żaden korespondent i marny dyplomata, truchleje w głębi ducha na myśl o tym przedsięwzięciu, jednak się zgadza, bo (nie bez racji, sądząc z jego własnego doświadczenia) wierzy, że małżeństwa dokonują się za sprawą Przeznaczenia, że Przeznaczenie jest wielką siłą, i tam gdzie Przeznaczenie dopomoże, nawet najbardziej przerażające zadania dadzą się zrealizować.

Mógł jednak oszczędzić sobie biedzenia się nad tym doniosłym listem. Ponieważ syn, żołnierz Armii Jego Królewskiej Mości nad Renem, którego okres służby zbliża się obecnie do końca, zdecydował się już, w chwili kiedy spotykają się dwaj ojcowie, wziąć pióro do ręki i przełamać długotrwały nakaz milczenia. Rzeczywiście, pisze list, w którym Przeznaczenie nasycą każde słowo. Ale on też wypowiada się ogródkami. Opisuje, z zawodzącą go niekiedy werwą, wypalone miasta, uchodźców, garkuchnie, masowe groby, kolejki za chlebem. Próbuje wyjaśnić, jak to wszystko pozwoliło uzyskać mu nową perspektywę, sprawiło, że wydarzenia nad rzeką Leem wydają się, być może... Chociaż nie wspomina, że wzmocniło to u niego chęć zgłębienia tajników historii, a w dodatku wzmocniło wiarę w edukację. Napomyka, iż on także odbył pokutę, choć nie ośmiela się dawać do zrozumienia, że mogłaby w jakikolwiek sposób równać się z jej własną, że dwa lata koszarowego życia i sporadycznych medytacji na ruinach Europy mogłyby wyjednać rozgrzeszenie. Nie czyni żadnych aluzji co do dalszej przyszłości, prosi tylko, by w związku z jego zbliżającą się demobilizacją i powrotem do Anglii wreszcie się spotkali.

I – jak gdyby na dowód ingerencji Przeznaczenia – mijają zaledwie dwa dni od wysłania listu, a otrzymuje inny, ten, nad którym ślęczał i mozolił się jego ojciec. Tak więc farmer Metcalf, wyjmując ze skrzynki kopertę ze stemplem z Kolonii, zaadresowaną do córki, zaskoczony jest tempem i sprawnością, z jakimi Henry Crick wywiązuje się ze swojej misji. Od tego czasu (jako że nie wyprowadzono go z błędu) skłonny jest patrzeć inaczej na skromnego dozorcę śluzy, którego – niezależnie od aktualnej sprawy dotyczącej syna tegoż oraz jego własnej córki – zawsze uważał za łatwowiernego głupca (mózg wytrzęsiony we Flandrii), który zawarł tamto absurdalne małżeństwo.

Zatem w lutym 1947 roku żona przyszłego nauczyciela historii oczekuje na stacji w Gildsey przybycia kandydata na męża. Zatem eks-poborowy Crick (obecnie zdecydowany na karierę nauczyciela) odbywa podróż do domu w charakterze powracającego księcia, gotowego rozsunąć pnącza dzikich róż i pajęczyny i pocałunkiem obudzić księżniczkę z każdego snu, w jakim by spoczywała przez ostatnie trzy lata. Spodziewa się zobaczyć – i przyjąć – zakonnicę, Marię Magdalenę, fanatyczkę, histeryczkę, osobę chorą... Ale widzi, już w chwili kiedy wysiada z wagonu, kobietę (nie dziewczynę), w której wyglądzie uderza go twardość, wytrzymałość, jak gdyby powzięła decyzję, że odtąd żyć będzie bez żadnego oparcia czy azylu. I uświadamia sobie, że choć trzy lata rozłąki zrodziły złudzenia, że gdyby na powrót się zesłi, on będzie dla niej oparciem (szczególne poczucie dorostnięcia, hartującego wpływu życia w koszarach, poznania szerokiego – i zniszczonego – świata), to naprawdę jest akurat odwrotnie: ona będzie jego oparciem, ona będzie zawsze, jak w owych czasach, kiedy straciła ciekawość, silniejsza od niego.

Jest ostra zima. Twardy śnieg pokrywa Feny i choć słońce tego lutowego dnia świeci olśniewającym blaskiem, szczybie mróz. W herbaciarni „Pod Białą Różą”, nieopodal stacji w Gildsey, rozgrywa się scena, mogąca postronnemu świadkowi, chociaż nie jej bohaterom, przywieść na myśl pewne pojednanie z filmowego ekranu (żaden właściciel kawiarni z twarzą jak księżyc w pełni nie mruga porozumiewawczo na widok nie tkniętego podwieczorku), w której żona przyszłego nauczyciela historii oraz przyszły nauczyciel historii naradzają się nad wspólnym życiem. W końcu istnieje między nimi więź mocniejsza i trwalsza od więzów łączących wiele par, które pędzą do ołtarza; w końcu, jeśli oni nie są stworzeni dla siebie, gdzie te inne osoby, dla których każde z nich oddzielnie jest przeznaczone? W końcu, choć pewne rzeczy muszą pozostać, choć nie da się przekreślić przeszłości...

Przyszły nauczyciel historii przerywa zająkliwą perorę. Patrzą sobie w oczy. Jej są nadal żarzącym się błękitem; jest – czy zapomniała? – kobietą pociągającą. Nosi (żeby połączyć w jedno obraz byłej uczennicy i byłego żołnierza?) gładki czarny beret. On mówi do niej poprzez kłęby dymu z cameli, których kilka kartonów specjalnie odłożył dla przygotowania gruntu do rozmowy z Haroldem Metcalfem. W końcu jeśli fizycznie nie byli kochankami przez trzy i pół roku, to są nadal kochankami duchowo.

Wychodzą z herbaciarni „Pod Białą Różą” (podwieczorek nie tknięty), żeby móc się swobodnie całować i spleść ręce. Ich oddechy mieszają się w jeden obłok. Przechodzą na drugą stronę Rynkowej, schodzą Wodną. Na bulwarze nad Ousą obejmują się. Gruba zimowa odzież neutralizuje i ucisza nową bliskość. Całują się. Nie jest to pocałunek ożywiający zgasłą ciekawość, przywracający dziewczynę, która niegdyś leżała w zrujnowanym wiatraku. Ale też jej pocałunek nie jest, jak mu się wydaje, pocałunkiem kobiety, która nadal poszukuje Zbawienia.

Tak więc nad lodowatą Ousą, kiedy spacerują pod rękę między przyzmiami odgarniętego śniegu (obserwujący szpiedzy, gdyby takowi byli, mogliby już popędzić i zdjąć kamień z serca farmerowi Metcalfowi i Henry’emu Crickowi, donosząc, że wszystko rozwija się pomyślnie), decyzja zapada. I także tutaj, na bulwarze nad Ousą, żona przysłego nauczyciela historii mówi dwie rzeczy. Najpierw (patrzac na zwały śniegu):

– Odwilż będzie okropna. Ojciec nie może ruszyć bydła. Ci idioci z Zarządu Zlewni z paru rzeczy będą się musieli wytłumaczyć.

A potem (patrzac wprost na niego):

– Wiesz, prawda, że chyba żeby zdarzył się cud, nie możemy mieć dziecka?

Dzieci, pewnego razu była sobie przyszła żona nauczyciela historii, która nosiła rdzawoczerwony mundurek i ciemne włosy przycięte w równą grzywkę, według regulaminu, pod szkolnym beretem lub słomkowym kapeluszem, ale która nosiła niewiele lub zgoła nic, kiedy zapraszała przyszłego nauczyciela historii, żeby badał tajniki jej budzącej się kobiecości, roztrząsał sekrety jej miesięcznego cyklu – oraz rewanżował się podobnymi zachętami. Która lubiła dowiadywać się, odkrywać tajemnice, potem jednak przestała być ciekawa. Której życie osiągnęło swego rodzaju kres, kiedy miała zaledwie szesnaście lat, chociaż żyć musiała dalej.

Kiedyś, dawno temu, była sobie przyszła żona nauczyciela historii, która, chociaż powiedziała przyszłemu nauczycielowi historii, że nie powinni się nigdy więcej spotykać, wyszła za niego trzy lata później. A przyszły nauczyciel historii zabrał ją ze sobą w 1947 roku z Fenów w hrabstwie Cambridge, gdzie się oboje urodzili, do Londynu. Chociaż dopiero po tym, jak wiosną owego roku groźna powódź zatopiła znaczną część tychże rodzimych Fenów. I dopiero po tym, jak ta sama powódź, która przyprawiła Henry’ego Cricka o odoskrzelowe zapalenie płuc, gdy nieustępliwie, mężnie, w na pół zatopionym domku trwał na swoim posterunku dozorca śluzy, spowodowała śmierć ojca przyszłego nauczyciela historii.

Ale to już, dzieci, inna historia...

Przenoszą się do Londynu. On zostaje nauczycielem. A ona, spędziwszy kilka lat jako jedynie i wyłącznie żona nauczyciela historii (wyprawiająca go co rano do szkoły – nieuniknione żarciki, bawienie się w matkę i syna, wynikłe z sytuacji), podejmuje pracę, z powodów nigdy w pełni nie wyjaśnionych, w miejscowym urzędzie do spraw opieki nad ludźmi starymi.

Osiadają w Greenwich, przedmieściu Londynu, godnym uwagi ze względu na swoje obiekty historyczne: Obserwatorium Królewskie, park, gdzie Henryk VIII umizgał się niegdyś i polował, dawny pałac, Dom Królowej, przemieniony w Muzeum Morskie, nie mówiąc już o umieszczonym w suchym doku „Cutty Sark”, z bukszprytem po wsze czasy zwróconym ku Isle of Dogs. On uczy w gimnazjum (zreorganizowanym i przemianowanym na szkołę zbiorczą w 1966) w Charlton. Ona pracuje w gmachu zarządu miasta w Lewisham.

Nabierają przyzwyczajęń, od czasu do czasu urozmaicanych drobnymi odmianami. Niedzielne spacery w parku (do Obserwatorium i z powrotem). Wymiana wizyt między jego kolegami z grona nauczycielskiego i jej współpracownikami z opieki. Podczas tych towarzyskich spotkań pada żartobliwy komentarz (czy nasza para uważa go za żartobliwy?) na temat stref zawodowej działalności jego i jej – on wśród dziatwy szkolnej, ona wśród zgrzybiałych starców. (Gdzie się podział środkowy etap życia?) Odwiedziny, mniej więcej co sześć tygodni, u jej ojca (który nie chce zostawić farmy, nie chce słyszeć o żadnym głupim domu spokojnej starości) w hrabstwie Cambridge. Pierwszorzędny obiad w restauracji na każde urodziny i rocznicę ślubu. Wyprawy do teatru. Wycieczki podczas weekendu. Wakacje: on, zgodnie z powołaniem, preferuje historyczne odniesienia; jej wszystko jedno.

Są bezdzietni, a w roku 1969 przypada na nich część dochodu ze sprzedaży fenlandzkiej farmy – nie brakuje im więc pieniędzy; prawdę mówiąc, są żenująco zamożni: „godny pozazdroszczenia dom w Greenwich” (regencja, portyk), o którym niejednokrotnie będzie mowa w pewnych relacjach dziennikarskich.

Nabierają stałych przyzwyczajęń, mają stały repertuar rozrywek. Do tego stopnia, że trzy dekady przechodzą, jak gdyby nic się nie działo, pozornie bez wydarzeń i oto oboje przekraczają pięćdziesiątkę: on jako kierownik działu historii, który nie przyjął stołka dyrektorskiego, ona zdecydowawszy się, z powodów nie bardziej jasnych niż te, z jakich zaczęła, na rezygnację z pracy dla swoich starszków. A na niedzielnych przechadzkach po parku (przechadzkach, podczas których mogłoby się rzucić w oczy, że jeśli podpierają się wzajemnie, to raczej on opiera się na niej niż ona na nim), dołącza do nich ktoś trzeci: złoty spaniel wabiący się Paddy. Obskakuje ich, łasi się, zmusza od czasu do czasu do uśmiechu, do wykrzyknięcia słów zachęty czy polecenia. Złoty spaniel, którego ona kupiła jemu na pięćdziesiąte drugie urodziny, jako oficjalny pretekst podając (szturchnięcie w męzowski brzuch) potrzebę zażywania więcej ruchu w zasiedzonym wieku średnim. Ale wystarczy uświadomić sobie fakt, że kiedy żona powzięła nagłą decyzję zrezygnowania z pracy, zbiegło się to z początkiem spóźnionego i ciężko przebiegającego klimakterium, aby nasunęło się inne wytłumaczenie...

Idą teraz w chłodnym styczniowym słońcu, z Paddym drepczącym z tyłu, ścieżką do Obserwatorium. Oczy się mrużą w oślepiającym świetle, głowy, o niedzielnym poranku ciężkie, dostępują mroźnego oczyszczenia. Ponieważ jest to poranek po pewnej proznej kolacji w domu Lewisa i Rebeki Scottów.

Gin przed, wino do kolacji w wielkiej obfitości; pani Scott, zaaferowana gospodyni w sukni koloru wiśniowego, dzieci Scottów (niezdolne zasnąć przez tę gadanie dorosłych na dole), nagle zaprezentowane, wystawione na pokaz w jadalni w pidżamach i szlafrokach, uśmiechające się wstydliwie albo strojące małpie figle, następnie szybko odesłane z powrotem do łóżek; temat schronów przeciwatomowych przy kawie z koniakiem...

Wszystko, jego zdaniem – chociaż ona mówi podczas jazdy do domu Scottów, by trzymał w korbach swoją paranoję – to jakieś ciemne machinacje, sposób, żeby mu się podlizać (kiedyż to ostatnio Lewis zaprosił Cricków na kolację?)

Doszły do niego słuchy („Napij się, Tom”): skasowanie działu historii...

Rękawiczki i szaliki. Wysrebrzony asfalt pod nogami. Oddechy wytwarzające smugi pary. Idą w milczeniu, każde zagubione w mglistych rozmyślaniach. Paddy taktownie trzyma się na odległość.

Odzywa się ona, kradnąc mu słowa, jakimi miał się do niej zwrócić:

– Nic nie mówisz. Coś się stało?

– Nie, myślałem właśnie o jednym z moich smarkaczy. Sprawia trochę kłopotu. Nazywa się Price.

Uśmiecha się na znak, że to nic ważnego.

– Powiedz mi o nim.

Więc jej mówi o Price'ie. Jego oświadczenie w klasie: historia zbliża się do końca. Wyjaśniająca teoria nauczyciela: Price jako niedoszły rewolucjonista. Jak każdy młody człowiek o żywym umyśle Price chce zmienić świat. Jednakże wie, że dawne, prawdziwe rewolucje już nie wchodzą w grę. Dlatego przerywa, choć pozornie przedmiot powinien być mu bliski, lekcje o Rewolucji Francuskiej. Jakie znaczenie ma rewolucja, jeśli historia zbliża się do...? Sfrustrowany rewolucjonista przemienia się w radykalnego reakcjonistę. Price nie chce zmienić świata, chce...

– Zbawić go? – znowu jej słowa wyprzedzają jego własne.

Bierze go za ramię, przyciska je. (Będzie to ostatni raz, kiedy tak spacerują bliscy sobie, w rodzinnej zażyłości, po starym parku).

– Ale mnie nie o to chodzi. Chcę, żebyś mi opowiedział o nim.

– O Price’ie? Ma szesnaście lat. Kędzierzawy. Chudy. Robi wrażenie niedożywionego i bezdomnego. Ale szpanuje, na swój ponury sposób. Nie żeby nie miał domu. Jego ojciec prowadzi garaż. Spytałem kiedyś: Jak tam w domu? Powiedział: Oni są szczęśliwi. Smaruje twarz – nie pytaj mnie dlaczego – jakąś taką brudnobiałą szminką.

Opowiada rozwlekłe, najwyraźniej ma ochotę mówić o tym nastoletnim mężczyduszy.

– W gruncie rzeczy zdolny chłopak. Mnie chyba obciąża winą. Za historię. Jest... całkiem sympatyczny. Chyba się boi.

Ona słucha, pyta. Dym oddechu. Bystre spojrzenie. Mroźno-ostre powietrze.

– To nie w twoim stylu pozwolić, żeby ci uczeń zalał za skórę.

Nie w stylu Mary być ciekawą.

Pewnego razu był sobie przyszyły nauczyciel historii oraz żona przyszłego nauczyciela historii, dla których sprawy przybrały zły obrót, więc – skoro nie przekreśli się przeszłości, skoro nie może być inaczej niż jest – musieli radzić sobie, jak umieli.

I tak on radził sobie, obrawszy za profesję nie co innego jak właśnie przeszłość, właśnie to, czego nie da się wyplenić, co narasta i staje na zawadzie – co zaiste znalazło odzwierciedlenie w rosnącej liczbie książek (prac z zakresu historii, ale – ostatnio – również i z historii naturalnej), jakie wypełniły pokój na pierwszym piętrze domu w Greenwich, w którym nauczyciel historii urządził swój gabinet, i wysypywały się na podest i schody. Uczynił swoją profesją – dziełem życia – przeszłość, a jej usprawiedliwieniem były dzieci, którym codziennie przekazywał nauki, jakich udzielała przeszłość. Im ofiarowywał dwuznaczny dar historii – kłopotliwy a pouczający – na drogę w przyszłość. W ten sposób nauczyciel historii – chociaż w jego stosunku do młodych podopiecznych sporo jest najpierw ze stosunku ojca, potem dziadka, chociaż w ich twarzach coraz rzadziej dostrzega (ale się do tego nie przyznaje) obraz przyszłości, a coraz częściej coś, co usiłuje odzyskać, coś, co utracił – może zawsze powiedzieć (nabrał skłonności do paradoksów), że patrzy wstecz, żeby patrzeć w przód.

Ale ona (jego zdaniem) w ogóle sobie nie radzi. Nie wierząc w sens patrzenia ani wstecz, ani w przód, nauczyła się maszerować w miejscu. Znosić wyłaniającą się spoza wszystkich rekwizytów ich małżeństwa pustą przestrzeń rzeczywistości. Tak więc gdy on nie mógłby istnieć bez swoich lekcji historii i swojej szkolnej dziatwy, ona może się z łatwością obyć bez swoich starszyków – dowodem ta całkowicie dobrowolna, ba, wręcz despotyczna decyzja. I gdy on musiał codziennie powracać do szkoły, w domu czekała zawsze ta dorosła kobieta, która była silniejsza od niego (tak uważał), kiedy należało przyjąć rzeczy takimi, jakimi muszą być; której tak naprawdę, kiedy przyszło co do czego, potrzebował bardziej niż całej mądrości i pociechy historii.

Można więc powiedzieć, dzieci, iż żona waszego nauczyciela historii kryła się za wszystkim, czego was nauczał...

Pewnego razu była sobie żona nauczyciela historii, która z całkiem szczególnych i historycznych przyczyn nie mogła mieć dziecka. Chociaż jej mąż miał ich gromadę; rzeka dzieci – coraz to nowe życie, coraz to nowy start – przepływała przez jego klasę. Która mogła adoptować dziecko (wiele razy we wczesnych latach małżeństwa mąż ostrożnie – z nadzieją – poruszał ten temat), chociaż nigdy dziecka nie adoptowała z prostego i zasadniczego powodu – tak to się przynajmniej wydawało mężowi – że adoptować dziecko to nie to samo, a jego żona nie była kobietą, która uciekałaby się do fikcji.

Pewnego razu była sobie żona nauczyciela historii, która jakby na dowód, że potrafi żyć bez dzieci, zdecydowała się na pracę z ludźmi starymi, którzy, jako że ich życie faktycznie zatrzymało się w miejscu, stali się sami ciężarem, wstydliwym kłopotem dla własnych dzieci, wobec czego należało te dzieci od nich uwolnić, umieszczając ich w domu starców. Która poświęcała się tej działalności przez dwadzieścia parę lat. Ale w pięćdziesiątym trzecim roku życia – tym samym, w którym kupiła mężowi na urodziny psa wabiącego się Paddy – nagle, ale z całą świadomością, przestała zajmować się starymi ludźmi i jako jedyne zajęcie pozostało jej dokonywanie przeglądu płaskiego i jednostajnego terytorium trzydziestu lat małżeństwa, tak jak on dokonywał przeglądu rzędów swoich nastolatków.

Żona nauczyciela historii, która (tak myślał nauczyciel historii) była realistką, która nie potrzebowała (ponieważ przerobiła już swoją lekcję) wracać do szkoły. Która nie wierzyła już w cuda ani bajki, ani też (po eksperymentach w młodości) w Nowe Życie oraz Zbawienie.

Ale kiedy osiągnęła pięćdziesiąty trzeci rok życia, w kalendarzowym roku 1980, zaczęło się wydawać nauczycielowi historii, że ta dawna uczennica, która kiedyś musiała odkryć każdy sekret, obecnie sama coś chowa w sekrecie. Dlaczego jest tak milcząca? (Ale oczy błyszczą). Co robi z wolnym czasem, kiedy on stawia czoło swoim uczniom? Dlaczego tak często nie ma jej w domu, kiedy on wraca ze szkoły późnym popołudniem? Czy jest to przypadek (może wzorem starego Thomasa Atkinsona pan Crick powinien uderzyć panią Crick i rozpętać piekło?) przeczulonej troskliwości prowadzącej do zazdrosnych urojeń? Bo pani Crick, musiałyście to dostrzec, dzieci, nawet na tych okropnych gazetowych zdjęciach, jest kobietą doskonale zakonserwowaną.

Wreszcie wyznaje, że chodziła porozmawiać z księdzem. Wyznaje, że była u spowiedzi – coś, czego nie zrobiła od blisko czterdziestu lat. Ale nie chce powiedzieć nic więcej. Znosi do domu książki, których same tytuły („Gdyby Jezus powrócił”, „Bóg czy bomba”) go przerażają. On się przygląda, jak ona czyta (podczas gdy sam sprawdza zeszyty). Jej spojrzenie, kiedy czyta, jest poważne i chłodne, takie, na jakim od czasu do czasu, w szczęśliwych momentach, udaje mu się przyłapać słuchających uczniów. Nauczyciel historii mówi sobie – w poczuciu, że ona się od niego oddała, w poczuciu, że pewien obraz świata, jaki sobie wytworzył, zostaje wywrócony do góry nogami – moja żona staje się na powrót dzieckiem. Chce ją powstrzymać, ochronić. Ale w niedzielne poranki i popołudnia, które stanowią jak zwykle porę przechadzek, ona zaczyna – pierwszy raz w tydzień po ich rozmowie o Price’ie – upierać się przy samotnych spacerach (jemu pozostaje towarzystwo psa), spacerach, których celem, jak on poważnie podejrzewa, jest pójście do kościoła.

Mary, czy pamiętasz nasze niedzielne przechadzki, kiedyśmy przemierzali i odmierzali grząski, zmeliowany grunt naszego małżeństwa?

Na szczycie wzgórza Greenwich w parku Greenwich stoi Obserwatorium, założone przez Karola II w celu badania tajemnic gwiazd. Obok Obserwatorium wpuszczona w asfalt, wielokrotnie przekraczana i fotografowana metalowa tablica wyznacza linię Południka Zerowego. Niedaleko Południka Zerowego, umieszczony na cokole, w pelerynie i trójgraniastym kapeluszu, stoi brązowy generał Wolfe i spogląda w kierunku Tamizy. A pod generałem, naśladowując jego czujną postawę, stoi nauczyciel historii, w palcie i szaliku i po raz n-ty napawa się słynnym widokiem. Muzeum Morskie (szczątki Cooka i Nelsona), Szkoła Marynarki Wojennej (malowany sufit, przedstawiający czterech angielskich monarchów). Szafka z zabawkami Historii. Rozrywki czasów minionych. Sam nauczyciel historii, tu w Greenwich prowadzący wycieczki na zakończenie trymestru, jego szacowny Przedmiot zredukowany do opychania się lodami i wspinania na działa. Rzeka: stalowy wąż, wijący się wśród rupieci – opuszczonych nabrzeży i magazynów, niszczących doków...

Ze szczytu wzgórza w Greenwich można nie tylko wpatrywać się w nieprzeniknione niebiosy, ale też odsłaniać kolejno dawne panoramy (żagle w Doku Indyjskim, królewskie barki pod niebem z obrazów holenderskich mistrzów płynące ku pałacowi), zobaczyć w wyobraźni nieprzystępne tereny, pokonywane przez rzekę po drodze do Londynu, jako dziką krainę wodną, którą niegdyś były. Deptford, Milwall, Blackwall, Woolwich... A na wschód, dalej niż sięga wzrok, dawne bagna, gdzie w roku 1980 budują tamę przeciwpowodziową.

Stoi sam i napawa się widokiem. Co niedziela, jeżeli pogoda dopisze, inną drogą do Obserwatorium i z powrotem. Do Południka Zerowego i z powrotem. Przystanek na tarasie, podziwianie widoku, milczące, równoczesne, choć osobne pogrążenie się w zadumie, potem on do niej albo ona do niego (uśmiech, dreszcz pod wpływem zimna): – Wracamy? – Ale teraz stoi sam pod bohaterem Quebecu.

Stoi sam, jeśli nie liczyć złotego spaniela, który ociera się o jego nogi, trąca go pyskiem, doprasza się dalszych zabaw z rzucaniem patyków. Bo żona przestała chodzić z nim na spacer. Podąża własną drogą. Jak gdyby, myśli on, była już (ale przecież jej mąż żyje) wdową. Choć „wdowa” nie jest właściwym słowem. „Wdowa” sugeruje starą kobietę. A ona młodnieje. Opuszcza go. Przypomina mu kobietę zakochaną.

Niskie, zimowe słońce nad Obserwatorium Flamsteeda. Ogniste błyski na dachu Muzeum Morskiego. Nauczyciel historii stoi, wzrokiem ogarnia rozległą panoramę. Myśli o uczniu nazwiskiem Price. Jedyłą ważną rzeczą... Jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, boi się. Jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, nie wie, co myśleć. Opowiada sobie historyjki (Jak to kiedyś... dziewczyna i chłopak... Jak...) Przeraża go powrót do domu. Przerażają go teraz weekendy. Niedziele. Ciemne wieczory.

Odwraca się. Pochyla się nagle, by energicznie poczochnąć po karku niecierpliwego Paddy'ego, który machając ogonem i dysząc, przewiduje wznowienie ulubionej zabawy. Nauczyciel historii schodzi z tarasu i z asfaltu, wypuszcza się na trawę, wyprzedzany przez nie posiadającego się z radości psa. W urękawiczonej dłoni niesie patyk już naznaczony śladami zębów i wilgotny od śliny.

– Masz, Paddy, masz!

Rzuca patyk, obserwuje, jak pies pędzi – kotłowanina blond, przyczepiona do długiego zimowego cienia – podnosi, wraca i znowu się domaga. Rzuca mu jeszcze raz. I jeszcze raz. Mary, co stało się z naszą miłością?... I jeszcze raz, obserwując instynkt w akcji. Ściagać, podnieść, wrócić, dalej ściagać.

Spaniel. Żółty spaniel.

Przez dwa, trzy weekendy chodzi sam po parku, rzuca psu patyki. Nagle pewnej niedzieli ona znów chce pójść z nim na spacer. On, nie pokazując tego po sobie, jest uszczęśliwiony. Wkładają palta. Paddy też idzie. Jakby rozpoczął się nowy rozdział. Jej twarz, zimowo zaróżowiona, jaśnieje. Zawracają przy Obserwatorium. Ona chce usiąść na chwilę na ławce. Pogłębia się lutowy półcień (o zmierzchu park zamykają). I raptem ona obwieszcza:

– Będę miała dziecko. Ponieważ Bóg tak powiedział.

Dzieci, nie przestawajcie pytać: „Dlaczego”. Nie rezygnujcie z waszego: „Dlaczego, panie profesorze?” „Dlaczego, panie profesorze?” Chociaż w miarę jak je zadawać, staje się coraz trudniejsze, chociaż staje się coraz mniej zrozumiałe, coraz boleśniejsze, a odpowiedź chyba nigdy nie przybliży nas ani o krok do celu, nie próbujcie uciec od tego pytania: „Dlaczego?”

13

Histrionia

Ponieważ kiedy byłem w waszym wieku, a Jack Parr pytał „dlaczego dlaczego dlaczego” i mój ojciec pytał „dlaczego dlaczego dlaczego”, jakże słodko i zbawiennie zabrzmiał ten gładki, neutralny zwrot: „śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku”. Jakże słodki i błogosławiony w swojej szalibierczej normalności wydawał się widok (błogosławione płaskie pola, błogosławione monotonne groble), kiedy jechałem Wansham Road na rowerze tego samego dnia, w którym miało miejsce cudowne ocalenie Jacka Parra, żeby spotkać się z Mary przy kanale Hockwell. Ponieważ ten gładki zwrot – zwrot oficjalny – oznaczał, że nikt nie jest winien. Jeśli śmierć była przypadkowa, w takim razie nie mogło to być morderstwo, a jeśli to nie mogło być morderstwo, w takim razie mój brat nie mógł być... A jeśli mój brat nie był, w takim razie ja i Mary nie byliśmy... A wtedy pozostawał tylko niewielki problem (ale to był tylko małeńki problem, nawet niewidoczny problem, i kiedy przyjdzie czas, poprzysięgliśmy sobie pójść najpierw do ojca Mary, potem do mojego...) w postaci tego drobiazgu u Mary w brzuchu.

Powiedziałem zatem (nie spóźniłem się tym razem, przybyłem pierwszy, a Mary parę minut później wyłoniła się z topolowego zagajnika):

– Wszystko w porządku. Nie słyszałaś? Śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku. W porządku. Nic się nie zmieniło.

A Mary popatrzyła na mnie – jak mogę opisać to spojrzenie, które zdawało się obarczać ją brzemieniem lat, a mnie z nich odzierać (ona nadal to robi – a raczej robiła moja matko-żona, która wyprawiała swego męża do szkoły)? Mary popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Wcale nie w porządku. Bo to nie był wypadek. Wszystko się zmieniło.

I cóż wasz wykluwający-się-nauczyciel-historii uczynił, kiedy doszły do niego te słowa i spoczęło na nim to spojrzenie? Rozejrzał się wokół i w niewinnych polach i groblach zobaczył zdradliwych konspiratorów. Nie potrafił się zmusić, aby zwrócić twarz ku tej twarzy, wobec której stał twarzą w twarz i która zdawała się go oskarżać o dziecinną głupotę. Wpadł w (dziecinną) złość. Kopnął ceglane podmurowanie starego wiatraka nad kanałem Hockwell, wspiął się na brzeg tegoż kanału, po drodze wyrывая z wściekłością kępę trawy, i stanął na szczycie wzniesienia, rozrzucając z równą wściekłością źdźbła z tej samej kępy na wszystkie strony. No więc dalej tkwi w tym samym dołku, kiedy już myślał, że gładki zwrot pomógł mu się wygramolić. Kiedy już zaczynał poddawać się złudzeniu, że wszystko w porządku, wszystko wróciło do normy i kto wie, mogliby teraz w tym zrujnowanym wiatraku... A ona musiała to zepsuć.

Jak gdyby wszystko zwracało się przeciwko niemu, cała ta konspiracja. Jak gdyby wina, jak gdyby konieczność przyjęcia do wiadomości, że to, co się stało, stało się rzeczywiście i się nie odstanie, były jakimś złośliwym figlem wyplatanym jemu osobiście.

Następna kępa trawy. Przyszły nauczyciel historii pozwala sobie na pokaz histrionii. Rzuca się i miota jak prawdziwy mężczyzna. Mary, czy ty na mnie patrzysz? Czy widzisz, jaki jestem oburzony? Garściami ciska w powietrze bezużyteczną trawę. Patrzy na kanał (połyskliwe oko kanału zwraca mu spojrzenie). A Mary stoi na dole, oplatając się ramionami, i właściwie nie zwraca uwagi, nie robi to na niej wrażenia. On jest sam. Ona jest sama. On samotnie popisuje się swoją pasją, ona samotnie tkwi nieruchoma, cierpliwa.

On się odwraca. W ciepłe lipcowe popołudnie nagle robi mu się chłodno. Nagle jest pewien, że strachu, jakiego doświadczył nad rzeką i zamknięty na klucz w swoim pokoju cztery dni temu, nie da się uśpić trzema oficjalnymi słowami ani też wyrwaniem i rozrzuceniem na cztery wiatry choćby wszystkich co do ostatniej kępek trawy nad kanałem Hockwell. Schodzi z nasypu. Staje przed nieruchomą postacią dziewczyny. Chciałby (jednocześnie by nie zniósł), żeby to szesnastoletnie, o ciepłym ciele i surowych oczach, ciężarne od dziesięciu tygodni i niczego już nie ciekawe stworzenie, w którym nagle dostrzega żelazną wolę i charakter, objęło go. Ale jej ręce nadal obejmują własne ramiona. Siada zrezygnowany pod nasypem. Ona ciągle stoi. On unosi twarz i pyta (chce, żeby ktoś nagle znalazł odpowiedź):

– To ty mu powiedziałaś. Ty mu powiedziałaś. Więc co teraz zrobimy?

A Mary odpowiada z głębokim przekonaniem:

– Wiem, co zrobię.

Odwraca się, zostawia go siedzącego pod nasypem i ani się obejrzy czy odezwie, kiedy on zrywa się i woła:

– Więc co, Mary? Co masz zamiar zrobić? Mary?...

Odjeżdża na rowerze do domku koło śluzy, nie wiedząc, kiedy znów zobaczy Mary, czy ona kiedykolwiek spotka się z nim jeszcze przy kikucie starego wiatraka. Jego ojciec, który kopie kartofle (kopie kartofle, żeby przestać pytać „dlaczego”) na zagonie za domem, ociera ręce z ziemi i mówi, chociaż nie tym głosem, którym niegdyś często snuł opowieści przy ogniu:

– Słyszałeś o Jacku Parr? Usiadł na torach...

Sam siada na odwróconej beczce obok kurnika.

Wyciąga i zapala lucky strike’a (zapominając: dzięki uprzejmości Sił Powietrznych USA, za pośrednictwem Jacka Parra, za pośrednictwem Freddiego...). Zastanawia się, być może, patrząc na twarz swojego syna – znękaną twarz syna, w której odbija się jego własna – czy to pora, ów czas zmagania i obrachunków, a teraz jeszcze ten topielec, żeby mu powiedzieć wszystko, całą historię, wszystko, czego pewnego dnia sam się dowie. Ale wydmuchując dym, mówi tonem ojcowskim, poufnym, troskliwym:

– Czy między tobą a Mary to coś poważnego?

Czy to coś poważnego?!

Kurze gdakanie. Niewinne kwok-kwok. Spokojna rzeka. Zwodnicza łagodność późnego popołudnia. Ponieważ życie trwa. „Usiadł na torach...” Ponieważ życie toczy się dalej i lipcowe popołudnia nabierają barwy starego złota mimo topielców i przesłuchań, nawet mimo wojen, które zaznaczają swoją obecność radiowymi biuletynami i wieczornym zaciemnieniem. Tata wstaje: Komunikat o szóstej. Codzienny rytuał. Codzienny hołd składany historii. Stoi w drzwiach kuchennych, potrząsa głową (ponowne przypiekanie mieszkańców Zagłębia Ruhry), pociera usta, wrzucając do jednego worka sprawy lokalne i sprawy kosmiczne. Wraca na swój zagon. Energicznie dalej kopie kartofle.

Tymczasem nawet w tej chwili na zalanych słońcem lotniskach wojskowych załogi bombowców odbywają odprawę. Tymczasem nawet w tej chwili z szosy na Gildsey dochodzi dźwięk nie taki znów różny od warkotu dalekiego bombowca. Dick na swoim motorze. Znajomy dźwięk, co wieczór zaraz po szóstej. Motocykl Dicka, Dick wraca do domu ze swojej pogłębiarki. Czyste kpiny: życie się toczy. Czy to możliwe, że dla Dicka jest to po prostu jeszcze jeden dzień? Do domu po szóstej. Że zapomniał...? Że dla niego teraźniejszość usuwa w cień przeszłość? Że on posiada ten dar amnezji, zacierania czasu, tak pożądaną przez wszystkich winowajców...? Żadnego Przedtem, żadnego Potem. Po prostu jeszcze jeden dzień. Jeszcze jeden dzień na pogłębiarce. Odszlamianie.

Ojciec i syn śledzą nadjeżdżający motocykl. Śledzą, jak po prostej i równej szosie na Gildsey mknie ku nim bucząc człekomaszyna, jak zwalnia i ujawnia dwudzielność swojej natury, gdy Dick hamuje, prostując się na siodełku, a do dwóch obserwatorów poprzez hałas motoru i tumany kurzu, jakie Dick wznieca skręcając na ubitą drogę prowadzącą do domu, dociera pozbawione melodii zawrodożenie, pieśń bez słów, nie kończąca się pieśń o miłości do motocykla, którą Dick zawsze śpiewa podczas jazdy.

Ojciec opiera się na motyce. A syn podnosi kartofel (odmiana północnoirlandzka), zaczyna go skrobać własnymi paznokciami, obdzierać ze skórki, wydłubywać oczka i pyta sam siebie: A co ja mam zrobić?

De la Révolution

Posuwa się w dwóch kierunkach naraz. Cofa się, kiedy idzie do przodu. Kluczy. Zbacza z drogi. Nie ulegajcie złudzeniu, że historia jest karną i niezmordowaną kolumną, maszerującą wprost w przyszłość. Pamiętajcie moje pytanie-zagadkę: Jak człowiek się porusza? Krok w przód, krok w tył (a czasami jeden w bok). Absurdalne? Nie. Ponieważ gdyby nigdy nie zrobił tego kroku w przód...

Albo inna z moich maksym na użytek klasy. Nie ma kompasów do podróżowania w czasie. Co się tyczy poczucia kierunku w tym nie dającym się nakreślić wymiarze, jesteśmy jak zbłąkani podróżni na pustyni. Wydaje się nam, że podążamy naprzód, ku oazie Utopii. Ale skąd możemy wiedzieć – tylko jakaś wyobrażona postać spoglądająca z nieba (nazwijmy ją Bogiem) może to wiedzieć – że nie zataczamy olbrzymiego koła?

Nie da się zaprzeczyć, dzieci, że wielkie, tak zwane postępowe ruchy cywilizacji – obojętne, w sferze ducha czy techniki – nieuchronnie niosły ze sobą jednoczesny regres. Że szerzenie chrześcijańskich zasad w rzekomo barbarzyńskim świecie stanowiło w całej historii Europy – nie wspominając już o misjonarskiej gorliwości gdzie indziej – jedno z głównych źródeł wojen, rzezi, przesłuchań połączonych z torturami i innych form barbarzyństwa. Że, podobnie, wynalazek druku przyniósł nie tylko upowszechnienie wiedzy, ale także propagandę, zakłamanie, spory i konflikty. Że wynalezienie maszyny parowej przyniosło nieszczęście przemysłowego wyzysku, jak praca dzieci w kopalniach węgla po szesnaście godzin na dobę. Że wynalezienie samolotu przyniosło w latach 1939-45 zagładę wielu miast europejskich wraz z ich cywilną ludnością (tu mogę służyć relacją w dwójnasób naocznego świadka: nocnych lotów bombowców ze wschodnioangielskich baz, poczynając od roku 1941; ruin Kolonii, Düsseldorfu i Essen).

A co do rozbicia atomu...

Gdzie zaś historia nie podkopyje samej siebie, nie zastawia na siebie pułapek w sposób tak otwarcie przewrotny, tam budzi owo zdradzieckie pragnienie powrotu. Poczyna to nieprawe, ale rozpieszczone dziecię – Nostalgję. Jakże tęsknimy, jak, być może, tęsknić będziecie wy pewnego dnia, jeśli ten dzień nadejdzie, za czasami, nim historia nas zagarnęła, nim sprawy przybrały zły obrót. Jakże tęsknimy nawet za złocistością lipcowego wieczoru, kiedy, choć sprawy przybrały już zły obrót, nie przybrały jeszcze tak złego obrotu, jak miało to nastąpić później. Jak marzymy o Raju. O mleku matki. O tym, by rozsnać zasłonę, która zapadła między nami a Złotym Wiekiem.

Skąd zatem możemy wiedzieć – zagubieni na pustyni – że w każdym razie zmierzamy do oazy tego, co dopiero ma nastąpić, a nie do jakiegoś innego zielonego Elizjum, które już dość dawno pozostawiliśmy za sobą? I skąd możemy wiedzieć, czy ten stos bagażu zwanego Historią, który zmuszeni jesteśmy taszczyć – który narzuca nam żółwie tempo, przez który potykamy się i gubimy drogę – w rzeczywistości utrudnia nam marsz naprzód, czy też wycofywanie się? Po której stronie leży ocalenie?

Nic dziwnego, że kręcimy się w kółko.

A więc dobrze. Zrzućmy nasz bagaż, pozbadźmy się całego tego nieporęcznego ekwipunku i patrzmy, co dalej. Co jakiś czas pojawiają się takie próby wyrzucenia balastu historii, poradzenia sobie bez tego wiecznie frustrującego ciężaru. A ponieważ historia narasta, ponieważ staje się coraz cięższa, frustracja zaś coraz większa, to i próby uwolnienia się od historii (żeby iść dalej – w którym to miało być kierunku?) stają się coraz gwałtowniejsze i bardziej drastyczne. Właśnie dlatego historia podlega okresowym wstrząsom i właśnie dlatego, w miarę jak historia nieuchronnie ogromnieje, jak wywiera coraz większą presję i staje się coraz trudniejsza do udźwignięcia, człowiek – który i bez swoich obciążeń nie wie, dokąd zmierza – zostaje wciągnięty w katastrofy na coraz rozleglejszą skalę.

Co więc takiego prowadzi nas z powrotem, albo przez katastrofę i chaos, albo dzięki pragnieniu serca, tam, gdzie już kiedyś byliśmy?

Nazwijmy to Historią Naturalną.

Dzieci, pamiętacie, jak przerabialiśmy Rewolucję Francuską? Ten słup graniczny, ten dział wodny historii. Jak tłumaczyłem wam ukryte znaczenie słowa „rewolucja”? Pełny obrót, zamknięcie koła. Jak wam mówiłem, że choć w potocznym rozumieniu rewolucja to zmiana radykalna, przeobrażenie – postęp i skok w przyszłość – to jednak każda rewolucja zawiera w sobie przeciwną, mimo że mniej wyrazistą tendencję: ideę powrotu. Odkupienie, przywrócenie. Potwierdzenie tego, co czyste i fundamentalne, wobec tego, co dekadentkie i fałszywe. Powrót do nowego początku...

Wydawać by się mogło, że zgiełk wielkich rewolucji jest najmniej odpowiednim tłem dla rozkwitu Nostalgii. A jednak. Zastanówcie się przez chwilę nad świadomą, ba, kultywowaną naiwnością tych francuskich rewolucjonistów. Jak domagali się nie praw obywatelskich, ale praw człowieka. Jak podchwycili hasło powrotu do natury i *l'homme né libre* poczciwego starego Rousseau. Jak, uznawszy w 1790 roku rewolucję za zakończoną (w czym też okazali się naiwni), świętowali, przebierając się z arkadyjską prostotą za pasterzy i pasterki i sadząc delikatne młode drzewka wolności. Weźcie pod uwagę wzrastającą religijność – nabożne uroczystości ku czci Istoty Najwyższej – tego ruchu, którego pierwotny duch był po części antyklerykalny, jeśli nie wręcz ateistyczny. I zważcie, jak niebezpieczna była ta naiwność. Jak tylko jeden krok oddziela tęsknotę za czystością i niewinnością od sławnej – i niesławnej – nieprzekupności Robespierre’a, jak wyzwalanie obraca się w Wielką Czystkę, jak ta rewolucja, o której myśleli, że skończyła się tak szybko, zmuszona jest, chcąc być posłuszna swoim najpierwszym założeniom, wciąż się odnawiać, z żarliwością coraz bardziej bezlitosną, dopóki wyczerpanie nie pozwoli na kompromis – jeśli nie na reakcję.

A ci rewolucyjni mesjasze – Robespierre, Marat i pozostali – o których, jak nam się wydaje, możemy powiedzieć, chociaż nas przerażają, że przynajmniej gotowi byli posunąć się do ostateczności, by stworzyć nowy świat – czy im naprawdę chodziło o społeczeństwo Przyszłości? Ani trochę. Ich wzorcem był wyidealizowany starożytny Rzym. Laurowe wieńce i tak dalej. Prototypem było dla nich zamordowanie Cezara. Nasi bohaterowie nowego wieku – wszyscy znakomicie obeznani z historią starożytną – również tęsknili do powrotu...

– Ależ panie profesorze!

Przerywa trupiobiały Price. Ręka prowokacyjnie uniesiona w górę. Kolejny wyskok mający na celu sabotowanie lekcji.

A nauczyciel w pełnych buntu oczach Price’a odczytuje napięcie i wyczekiwanie całej klasy.

(Panie profesorze. Chwileczkę. Nie żyjemy w XVIII wieku. Co z...?)

– Chodzi o tę nostalgię, panie profesorze... – Kręci się w ławce z miną ironicznie zdziwioną. – To niby z powodu nostalgii ci głodni robotnicy zaczęli rozrabiać?

Chichoty i szeptu w klasie. (Motłoch się zbiera). Nauczyciel niespokojnie przerzuca ciężar ciała z nogi na nogę. (Wszyscy to spostrzegli: ze starym Crickym ostatnio coś nie tak, nerwy jakby w nie najlepszym stanie).

– Cieszę się, że spytałeś o to, Price. – (Proszę, jak nauczyciel zapowiada unik). – Ponieważ powstaje tu pytanie, jak definiować rewolucję w sensie socjologicznym. Bo tak jak rewolucja zmierza we wzajemnie wykluczających się kierunkach, tak samo nie sposób ustalić jej społecznej lokalizacji. Mówisz o głodnych robotnikach. Czy oni robią rewolucję? Czy robi ją przeciążone podatkami mieszczaństwo? Czy rewolucja jest tylko spontanicznym i przypadkowym wydarzeniem, czy też wyrazem dążeń danej grupy albo grup? Chyba rewolucji nie można nazwać rewolucją, o ile, zanim jeszcze stanie się czynem, nie jest wyrazem woli? Ale czyjej? Gdzie mamy szukać tej rewolucyjnej woli? U drobnomieszczaństwa? W głodnych masach? W klubach politycznych? Kiedy się próbuje zdefiniować Rewolucję Francuską, naśladuje się dokładnie poczynania jej samej, eliminując za pomocą mentalnej gilotyny tych, którzy nie odpowiadają jakiemuś absurdalnie idealnemu pojęciu rewolucji. Gdzie rewolucja znajduje pełne ucieleśnienie? W Dantonie? On miał ochotę uznać sprawę za zakończoną i zaszyć się na wsi. Robespierre? Ten znowu był bezlitosnym fanatykiem. Tak dochodzimy do usłużnie wymijającej koncepcji ludu – *Vox populi, vox Dei*. Niech ktoś przetłumaczy.

Judy Dobson, pierwszy rząd po lewej (jak zwykle bez zająknięcia):

– Głos ludu jest głosem Boga.

– Bardzo dobrze. Ale tak naprawdę? Kogo w tym wypadku nazwać ludem? Przedstawiciele wolnych zawodów, którzy zbiegli się do Zgromadzenia Narodowego? Ich rozpalą osobista ambicja i nadzieja władzy. Masy? Motłoch? (Motłoch, motłoch). Czy to ci prawdziwi rewolucjoniści? Prześledźcie historię paryskiego motłochu w latach 1789-95, a jedyną stałą cechą, jaką znajdziecie, będzie niekonsekwencja...

(Skończ to gładzenie. Price nie potrzebuje wykładu i potrafi przejrzeć twoją zasłonę dymną).

– Motłoch popiera raz to, raz tanto ugrupowanie, ale gdy tylko jego własne bolączki zostaną uśmierzone, kiedy nie jest już głodny, pójdzie za jakimś Napoleonem równie ochoczo, jak przedtem za Dantonem. Zapewne nie może być rewolucji bez motłochu, ale motłoch nie składa się z rewolucjonistów...

Nauczyciel poprawia węzeł krawata, chodzi tam i z powrotem energicznym krokiem, niby generał przed zbuntowanymi oddziałami.

– Skąd więc bierze się ta rewolucja? Ten punkt wyjścia naszej współczesnej epoki? Czy to po prostu tylko wygodny termin? Czy rodzi się ona z jakiegoś nieprzenikalnego amalgamatu niezliczonych pojedynczych okoliczności, zbyt złożonych, by można je było zanalizować? Ciekawa rzecz, Price, ale im bardziej drobiazgowo rozpatrywać wypadki, tym bardziej wymyka się to, co na początku uznaliśmy za pewnik, tym silniejsze odnosimy wrażenie, że to się nigdy nie odbyło, że się odbywa niejako jedynie w wyobraźni...

Nauczyciel przerywa. Nagle staje się ważne, co Price odpowie.

Tamten waha się przez moment. Następnie śmiało, niemal beczelnie:

– Czy mamy to zapisać, panie profesorze? Rewolucja Francuska w rzeczywistości nigdy się nie wydarzyła. Wydarzyła się tylko w wyobraźni.

– Nie bierz wszystkiego tak dosłownie, Price.

– Bo ja tak naprawdę uważam. Nie znamy połowy, więc co najmniej połowę musimy sobie zmyślić.

Stłumione rechoty wokół.

– Czy naprawdę mamy uwierzyć, że w 1789 wszyscy chcieli cofnąć zegar?

Nowe chichoty i parsknięcia. Price odwraca się, lustruje klasę.

(A więc to jest grane? Tylko tyle? Znowu chodzi jedynie o przyparcie nauczyciela do muru. Odwieczna szkolna próba sił: Uwaga, koledzy. Nie dajcie sobie wciskać kitu nauczycielowi, usiłującemu zmienić rzecz w jej przeciwieństwo. Nazwać rewolucję wstecznictwem. Wszystkie te gadki-szmatki świadczą tylko o tym, że nasz stary Cricky goni już w piętke. Jak każdy dinozaur, potrafi patrzeć tylko w tył. Nie jest w stanie znieść myśli o czymkolwiek nowym...)

– To prawda, Price, że są to tylko dociekania. Ale każdemu wolno interpretować.

– Uważa więc pan, że możemy nadać historii znaczenie, jakie się nam podoba?

(Szczerze mówiąc, istotnie tak uważam. Jestem o tym coraz głębiej przekonany. Historia: loteria znaczeń. Wypadki wymykają się znaczeniu, ale my szukamy znaczeń. Jeszcze jedna definicja Człowieka: zwierzę, które poszukuje znaczeń, chociaż wie...)

– Price – (znowu unik) – zwracam uwagę na element wsteczny w Rewolucji Francuskiej, żeby pokazać, iż nawet rewolucja ze swoimi roszczeniami do budowy nowego porządku poświadcza jeden z najgłębiej zakorzenionych poglądów historycznych: że historia jest zapisem upadku. To, czego oczekujemy od przyszłości, bywa bardzo często obrazem jakiejś utraconej, wyobrażonej przeszłości.

Minę ma niezadowoloną. Po raz pierwszy w tej klasowej utarczce wygląda na zbitego z tropu.

(Czy ty, Price, będziesz miał utraconą przeszłość? Kiedy będziesz w moim wieku?...)

– Nie rozumiem tego, panie profesorze. To chyba nienaukowe, nie?

Otwarty śmiech w klasie. Oczy nauczyciela utkwione w przestrzeń za oknem.

– Nie bardziej nienaukowe, nie większy zabobon niż mówić, że w jakimś magicznym momencie przyszłości nastąpi raj.

Price gryzie ołówek. Nie śmieje się z innymi. Poczeka na kolejną lekcję ze swoim Wielkim Oświadczeniem.

Jedyną ważną rzeczą...

– Ja nigdy tego nie powiedziałem, panie profesorze. Nigdy nie mówiłem nic o rajach. Ale... ja chcę przyszłości. – (Klasa cichnie). – My wszyscy chcemy. A pan... pan może się wypchać swoją przeszłością!

Tak więc, dzieci, rozpatrzywszy cały materiał dowodowy, musimy sobie postawić pewne ważne pytania. Jak to się stało, że ta rewolucja spod znaku wolności i równości dorobiła się cesarza? Jak to się stało, że ruch zmierzający do obalenia raz na zawsze *annancien régime'u* doprowadził do reinkarnacji starego Króla-Słońce?

Jak to się stało, że ta rewolucja, która w istocie osiągnęła trwałe reformy, nie potrafiła tego zrobić bez postrachu i terroru, bez zawalenia samych tylko ulic Paryża sześcioma (według skromnych szacunków) tysiącami trupów, nie mówiąc o tysiącach trupów w całej Francji, czy niezliczonych trupach Włochów, Austriaków, Prusaków, Rosjan, Hiszpanów, Portugalczyków, Anglików – które miały zasłać pola bitewne Europy? Dlaczego tak się dzieje, że co jakiś czas historia żąda krwawej łaźni, holocaustu, Dnia Sądu? I dlaczego tak się dzieje, że za każdym razem poprzedni raz nie nauczył nas niczego?

Pójdźcie za mną, powiedział Korsykanin, a dam wam wasz Złoty Wiek. I poszli za nim – ci królobójcy, ci wrogowie tyranów.

Jak ona się powtarza, jak zawraca, choć ze wszystkich sił staramy się ją wyprostować. Jak kręci się i wije. Jak zatacza koła i przywodzi nas z powrotem w to samo miejsce.

Jeśli zatem myślicie, żeby sobie pójść. Jeśli chcecie waszego Tu i Teraz. Jeśli zmęczeni jesteście szkołą i lekcjami, jeśli chcecie być tam, w rzeczywistym świecie dnia dzisiejszego, pozwólcie mi powiedzieć

O rzece Ouse

Wielka Ouse. Ouse. Powiedzcie to. Ouse. Powoli. Zresztą jak inaczej można to powiedzieć? Dźwięk, który tchnie powolnością. Dźwięk, który sugeruje coś nieśpiesznego, ospałego, sączącego się w nieskończoność. Dźwięk, który przywodzi na myśl spokojny przepływ, minimalne tempo, chłodny, beznamiętny, zatrzymany ruch. Dźwięk zdolny ostudzić nawet gorącą krew, jaka tętni w waszych żyłach. Ouse, Ouse, Ouuuuuuse...

Dawno, dawno temu była sobie rzeka, która wpadała do innej rzeki, którą to rzekę pewnego dnia ludzie mieli nazwać Renem. Ale w owych czasach nie było ludzi, nie było nazw – ani Morza Północnego, ani wyspy zwanej Wielką Brytanią – a jedynymi istotami, jakie znały rzekę, która wpadała do bezimiennego Renu, były pływające w niej ryby oraz olbrzymie, brodzące w jej płyciznach stwory, których fantastyczne kształty mogłyby pozostać dla nas nieodgadnione na zawsze, gdyby nie fakt, że od czasu do czasu stwory kładły się, by zakończyć żywot w okolicznościach sprzyjających zachowaniu ich skamieniałych kości i w ten sposób miliony lat później stały się przedmiotem ludzkich badań.

Dalej nastąpiła epoka lodowcowa lub, mówiąc ściśle, szereg naporów i cofnięć lodowca, w którym to czasie morze przerwało łączność między Ousą a Renem, a masa lądu, znanego później jako Wielka Brytania, poczęła się odrywać od kontynentu. Jednocześnie w ciągu tego samego długiego okresu pierwsi ludzie, czy raczej ich małpopodobni przodkowie, przybyli dokładnie nie wiadomo skąd – może z Afryki, może z Chin albo nawet, okrężną drogą ewolucji, z morza – rozpoczynają migrację przez kontynentalny szelf, zasiedlając ów nie oddzielony jeszcze półwysep i ustanawiając w ten sposób proces, do którego nawiązywano później wielokrotnie, ale po raz ostatni skutecznie w roku 1066.

Jak ci pierwsi ludzie i napływający kolejnymi falami ich następcy nazywali Ouse, nie mamy pojęcia, nie wiedząc nic o ich języku. Ale na to, jak odnosiła się Ouse (przyjmijmy bowiem punkt widzenia tych prymitywnych ludów, które zapewne uważały Ousę za Bóstwo, za Istotę czującą) do dwunożnych intruzów, którzy porywając się na przemianę rzeczy w dźwięk nieświadomie pracowali nad fenomenem zwanym Historią, możemy łatwo odpowiedzieć: z obojętnością. Bo cóż taki nowomodny wynalazek szkodził rzece, która sobie płynęła, która się sączyła jak gdyby nigdy nic. Co za znaczenie miały trzy epoki kamienne, Lud Kultury Pucharów, epoka brązu, epoka żelaza, celtyccy Belgowie i wszystkie ich krzesiwa, garnce, topory, bransolety, brosze i obrzędy pogrzebowe dla rzeki, która posiadała to, czego nie posiadał i nie posiada żaden człowiek: tajemną zdolność poruszania się, a jednak trwania w miejscu?

Potem przyszli Rzymianie. Jak oni nazywali Ouse, tego także nie wiemy, ale wiemy, że nazywali zatokę Wash „Metaris”. Byli też pierwszymi, którzy niechętniej, wzgardliwej Ouse narzucili swoją wolę. Wykorzystali bowiem kilka jej mil przy budowie wielkiego kanału odwadniającego, Car Dyke, który przebiegał, i wciąż jest widoczny, między rzekami Cam i Witham – mniej więcej od wysokości Cambridge do wysokości Lincoln – wokół całej zachodniej flanki Fenów, dostarczając w ten sposób jeszcze jednego przykładu rzymskiej sztuki inżynieryjnej i nieustraszonej w obliczu natury, nadal wprawiających w podziw współczesnego człowieka.

Ale w tamtych dniach Ouse płynęła innym korytem, niż płynie dzisiaj. Charakterystyczne dla owej bezpańskiej i upartej rzeki jest to, że kilkakrotnie w swoich potyczkach z historią zmieniała bieg, decydowała się na skrót, na szerokie pętle, przywłaszczała sobie łożyska innych rzek, dawała się skusić nowym kanałom i przesuwała miejsce spotkania z morzem. Co wszystko można by uznać za zwycięstwo historii (gdyż to ludzka pomysłowość powodowała w wielu wypadkach te zmiany), co jednak trafniej jest interpretować jako niezmienną pogardę rzeki dla wysiłków człowieka. Gdyby bowiem nie wieczna, choć nierychliwa krnąbrność starej Ousy, gdyby nie jej nieposkromione pragnienie, by płynąć swoim własnym rytmem i swoją własną drogą, żaden z tych skrótów, kanałów i odprowadzeń, które nadal się wykopuje i które nadal trzymają wykrętą, wężową Ousę w sieci pomniejszych szlaków wodnych, nie byłby potrzebny.

W czasach rzymskich oraz w okresie zwanym ciemnym średniowieczem, który jednak według opinii wielu, szczególnie Charlesa Kingsleya, fenlandzkiego bajora, był dla Fenów epoką najświetniejszą, legendarną – Ouse płynęła na północ prawie do March, zanim łączyła się z dawną rzeką Cam. W czasie kiedy Kanut, równie niezdolny wstrzymać rzeki, jak zawrócić fale, słuchał urzeczony śpiewu mnichów, mijając Ely w swojej królewskiej barce, Ouse, podwożąc brata Cama, spotykała się z morzem w Wisbech (które obecnie leży dziesięć mil od brzegu).

Ale w późniejszym średniowieczu Ouse postanowiła, wykorzystując wielkie powodzie, popłynąć w kierunku wschodnim, pod prąd jednego z własnych dopływów, i tą drogą spotkać się z Camem tam, gdzie spotyka się z nim i dziś: kilkanaście mil w dół biegu od Cambridge. W tym samym czasie porzuciła ujście w Wisbech na pastwę szlamu i znalazła sobie nowe, w Lynn. W ten sposób zniknęła stara rzeka, a ukształtowała się nowa, szerokim łukiem rzucona na wschód, ku wielkiemu zadowoleniu mieszkańców Ely (jak również małej społeczności Gildsey), ci bowiem znaleźli się teraz nie tylko na szlaku wodnym Lynn-Cambridge, ale także Lynn-Huntingdon. Ku wielkiemu natomiast nieukontentowaniu kupców zbożowych z Huntingdon, dla których droga do morza wydłużyła się obecnie o wiele mil.

Następnie, jak wiemy, przyszedł Vermuyden, żeby zrobić porządek, i wykopał rzeki Bedfordzką i Nową Bedfordzką – proste cięciwy łuku tamtej buntowniczej rzeki – ku uciesze ludzi z Huntingdon, którzy obecnie mieli łatwiejszy niż kiedykolwiek dostęp do wybrzeża, a ku przerażeniu mieszkańców hrabstwa Cambridge, których trzechsetletni szlak wodny stał się czymś niewiele ważniejszym od kanału odprowadzającego wodę z gruntów. I tak los tej prawdziwej i naturalnej, niesfornej Ousy (wciąż nazywanej Wielką, mimo iż wody jej teraz toczą się leniwie u boku rzek Bedfordzkich) miał spoczywać odtąd (ponieważ wchodzimy już w okres, który nawet historycznie biorąc jest niedawny, a który w nieograniczonym życiu rzeki oznacza zaledwie wczoraj) w rękach miejscowych ludzi o ambicjach jakże charakterystycznych dla tej wyspy, której naród zbliżał się właśnie do szczytu swoich światowych ambicji – wśród których to ludzi niepoślednią rolę odegrali Atkinsonowie z Norfolk, a później z Gildsey.

Ouse płynie i płynie, nic sobie nie robiąc z ambicji, miejscowej czy narodowej. Wody jej się rozstały, siły zostały podzielone; płynie teraz więcej niż jednym korytem, zagrożona zamuleniem, zagrożona powodzią. Jednak płynie – śący się, zmierzając, jak musi każda rzeka, ku morzu. A jak wszyscy wiemy, słońce i wiatr wysysają wodę z morza i rozpylają ją po ziemi, karmiąc rzeki wciąż od nowa. Kiedy więc Ouse płynie do morza, to naprawdę, jak wszystkie rzeki, płynie z powrotem do siebie, do swego własnego źródła, zatem wrażenie, że rzeka porusza się w jednym tylko kierunku, jest złudzeniem. Podobnie jak złudzeniem jest, że to, co się do rzeki wrzuci (lub wepchnie), zostanie uniesione, pochłonięte na zawsze i nigdy nie wróci. Bo wróci. A uwadze, wypowiedzianej po raz pierwszy dwa i pół tysiąca lat temu przez Heraklita z Efezu, że nie możemy wejść dwa razy do tej samej rzeki, nie należy dawać wiary. Bo zawsze wchodzimy do tej samej rzeki.

Płynie z serca Anglii do swojej zatoki i do Morza Północnego. Mija krzepkie angielskie miasta: Bedford, Huntingdon, St. Ives, Ely, Gildsey, King's Lynn, których mieszkańcy widzą rzekę płynącą w jednym tylko kierunku, a nie rzekę, która zatacza wieczne koło. Jej imię pochodzi od sanskryckiego słowa oznaczającego wodę. Ma sto kilkadziesiąt mil długości. Jej zlewnia obejmuje 2067 mil kwadratowych. Posiada kilka dopływów, w tym Ouzel, Ivel, Cam, Małą Ousę i Leem. Leem wpada do Ousy poniżej Gildsey, Leem wpada do Ouse, a Ouse wpada... wpada do... A nad Leemem w roku 1943 mieszkał sobie dozorca śluzy.

16

Południk zerowy

Ławka w parku. Ławka w Parku Greenwich, jakieś pięćdziesiąt jardów od południka zerowego. Zapadanie zimowego zmierni, park tuż przed zamknięciem. Drzewa zmieniające się w sylwetki; płomiennoróżowe, gołębioszare niebo. Na ławce para, postawy wyrażające intensywność emocji (ona bierna, lecz nieugięta, on na brzeżku siedzenia – oburzony, natarczywy), co mimo rekwizytów podeszłego wieku (grube zimowe palta, szaliki, uległy, acz mający za złe złoty spaniel, uwiązany na smyczy do poręczy) wygląda na sprzecznię kochanków. Ona milczy, jak gdyby już powiedziała swoje. Mówi on. Chyba chce wiedzieć, co ona ma na myśli, co u licha to wszystko... Żąda wyjaśnienia. Zwraca się do niej na sposób nauczyciela przemawiającego do krnąbrnego dziecka. Doświadczony obserwator miłosnych kłótni na parkowych ławkach mógłby powiedzieć, że kobieta ma coś do wyznania...

On robi jej wymówki. Ona nie ustępuje. Czyżby znajomy dramat z gatunku: „Czas, żebyśmy przestali się widywać”? Albo ta równie wiele razy powtarzana scena według schematu: „Widzisz, jest ktoś inny”? To jego poruszenie, to machanie rękami, grad pytań. Klasyczne objawy męskiej zazdrości? Jednak, nagle powściągnąjąc swoje wzburzenie, jakby pod wpływem nowej myśli, przysuwa się bliżej do kobiety, chwyta ją za ramiona (ten nauczyciel potrafi być ludzki), jak gdyby chciał wydobyć ją z jakiegoś transu. Przechodzień mógłby podchwycić słowa: „lekarz – musisz iść do lekarza”. A więc to inny dobrze znany kryzys miłosny, kryzys typu: „Kochanie, chyba jestem...” Ale jego słowa nie zostały wypowiedziane ze zwykłym w takich razach akcentem męskiej fanfaronady (po pierwsze, muszę wiedzieć na pewno, po pierwsze muszę...) ale ze swego rodzaju rozpaczą – czyżby nasz kawaler z parkowej ławki miał zamiar się rozplakać? – z taką udręką, jak kiedy się błaga, żebrze...

Ona go opuszcza. Ona go porzuca. On tak myśli. Ale to nie jest zwyczajne rozstanie. Nie takie, kiedy jedno lub drugie wstaje i odchodzi.

Blednące światło między drzewami. Dzwonek strażnika. Park trzeba wkrótce zamknąć. Wkrótce wszyscy muszą wyjść. Fioletowy zmierzch spływający na Obserwatorium, na zamknięte kolekcje starych chronometrów, astrolabiów, sekstansów, teleskopów – instrumentów do mierzenia wszechświata. Błyszczące światła na Tamizie. Tutaj, w tym dawnym królewskim parku łowieckim, gdzie podobno Henryk VIII zalecał się do Anny Boleyn, gdzie w dostojniejszej, imperialnej epoce nianie z bogatych domów woziły swoich podopiecznych w tę i z powrotem przy dźwiękach orkiestry i wymieniały plotki z dziecinnego pokoju, on zmuszony jest własnej żonie powiedzieć te często używane, a jednak mistyczne, czasem zdolne sprawić cud słowa: – Kocham cię, kocham cię. – Zmuszony jest tulić żonę, jakby dla potwierdzenia, że ona jeszcze tu jest. W półmroku wydaje się bowiem, że nie poruszywszy się ginie, znika, staje się widmem.

Ona nie wyjaśnia. Mówi: – Poczekaj, zobaczysz. – Oczywiście ma niebieskie, dymne. Nie mówi: – To tylko żart. – On nie potrafi grać w tę zwariowaną grę, w którą ona gra. Zbity z tropu, usiłuje raz jeszcze przybrać pozę pedagoga, przyjmując postawę pewnego praktycznie myślącego dyrektora szkoły i zarazem nauczyciela fizyki. Na wszystko zdecydowana odpowiedź. Dzwonek strażnika. Powtarza: – Uważam, że powinnaś pójść do lekarza. Chcę, żebyś poszła do lekarza. – Wierzy: istnieje stan zwany schizofrenią. Wierzy: to dlatego, że ludzie nie wiedzieli o takich sprawach, wierzyli kiedyś w... Wierzy: to jest Mary, to jest ławka, to jest pies. Ostatnia rzecz, w jaką chce wierzyć, to to, że znajduje się w krainie baśni.

17

O dozorczy  luzy

A nad Leemem mieszkał sobie dozorca śluzy, który był moim ojcem. Który był człowiekiem flegmatycznym, choć sentymentalnym. Który mi powiedział, kiedy byłem jeszcze młodszy niż wy, że każdy, kto chodzi po tej ziemi, ssał kiedyś mleko... I że kiedyś gwiazdy... Który był ranny w trzeciej bitwie pod Ypres. I miał brata, który poległ w tej bitwie. Który pytany o wspomnienia z wojny, niezmiennie odpowiadał, że nic nie pamięta. Który jednak nie pytany opowiadał czasem dziwne historie o tych pradawnych okopach i błotnych krajobrazach, w taki sposób, jakby mówił o rzeczach odległych i fantastycznych, w których jego własny udział był czystą abstrakcją. Na przykład, jak flandryjskie węgorze, które w niezliczonych ilościach zagnieździły się na owych wodnistych, nizinnych terenach, nie zrażone kataklizmem niszczącym ich kryjówki, znalazły drogę do zalanych podkopów, a nawet do lejów po bombach, gdzie nie brakowało odleżałej żywności...

Który sam łapał węgorki na swoich rodzinnych Fenach. Który, kiedy byłem chłopcem, pokazał mi, jak przyrządzać węgorki na wszelkie możliwe sposoby – gotowane w wodzie z octem; w białym sosie; w zielonym sosie; w zapiekankach; duszone z cebulą i selerem; w galarecie; z chrzanem; sfiletowane, nadziane na szpikulec i pieczone na wolnym ogniu – aż stałem się równym mu amatorem ich delikatnego mięsa o pełnym bukietcie smaków. Tak samo zresztą jak mój brat. Ale moja matka, choć urodzona na Fenach i bynajmniej nie bojaźliwa, nie mogła ich znieść. Na widok niezupełnie martwego węgorka zaczynającego się wic po kuchennym stole, wydawała przeraźliwy okrzyk...

Który wrócił z wielkiej wojny w 1918 nie tylko z raną w kolanie, ale i z głęboko przyćmionym umysłem i przez następne cztery lata wędrował z jednego szpitala do drugiego. Aż wreszcie umieszczono go w Kessling Hall, do niedawna wiejskiej siedzibie Atkinsonów, przemienionej teraz w ośrodek rekonwalescencji dla inwalidów wojennych. Który spędził wiele tygodni wiosną i latem 1922 roku przesiadując na okolonych drzewami trawnikach tego leczniczego zakładu w towarzystwie kilku innych pokrytych bliznami, chodzących o kulach i pozszywanych ofiar, przy czym każdy z uczestników tej pozornie sielankowej sceny (i to w cztery lata po tym, jak zamilkły armaty) usiłował rozpaczliwie odnaleźć swoje miejsce w czasach pokoju.

Który zakochał się w jednej z pielęgniarek. Który wrócił do domu z wojny jako ranny żołnierz i poślubił pielęgniarkę, która pomogła mu odzyskać zdrowie. Jak w powieści. Który ocalony z zagłady, ledwo mógł uwierzyć, że ten czarodziejski rodzaj wydarzeń dotyczy właśnie jego. Którego miłość została odwzajemniona z zadziwiającą gotowością. Który ożenił się, w sierpniu 1922 roku, z tą kobietą, którą przez szereg tygodni jego uśpiony mózg rejestrował jedynie jako „pielęgniarkę, brunetkę” i która nawet kiedy odzyskał świadomość – i mimo ich rosnącego uczucia – wzdragała się ujawnić swoje nazwisko. Który odkrył dopiero po pewnym czasie, że ubrana w biały fartuch ochotniczka z czasów wojny, obecnie już kwalifikowana pielęgniarka, czująca się w Kessling Hall jak w domu nie tylko z jednego powodu, jest córką znanego – w istocie osławionego – zrujnowanego piwowara.

Który dzięki pośrednictwu tej kobiety (resztki wpływu jej ojca w istniejącym jeszcze wówczas Zarządzie Robót Melioracyjnych i Żeglugi na Leemie) otrzymał posadę dozorczy Nowej Śluzy i Jazu Atkinsona. Który nauczył się – tak wydawało się chłopcu, który chodził z nim łapać węgorze – znajdować zarówno uspokojenie, jak i tajemniczą, nigdy do końca nie stłumioną udrękę w sytuacji: ustabilizowany dom, płynąca rzeka, płaski krajobraz, piękna żona. Który został ojcem dwóch synów (urodzonych w latach 1923 i 1927), z których pierwszy okazał się półkretynem rozkochanym w swoim motocyklu.

I wtedy ta eks-pielęgniarka, ta piękna kobieta, która była moją matką, ów nieoczekiwany dar ze świata snu pomiędzy wojną a życiem rodzinnym, ta córka piwowara, posiadająca – niezależnie od swoich praktycznych cnót – zarówno piękny umysł, jak i ciało, wyobraźnię, ukryte głębie, talent (po części rozwinięty pod wpływem męża, ale także zapewne odziedziczony po swoich ciotecznych babkach, Dorze i Luizie, namiętnych czytelniczkach nieprawdopodobnych historii wierszem i prozą) snucia opowieści, nagle zmarła...

Mój ojciec na ścieżce holowniczej nad Leemem, widziany z profilu na tle fenlandzkiego nieba. Ciąg zaokrąglonych, rozmytych przez czas konturów. Prosty nos, tępo zakończony, broda, która mogła być kiedyś spiczasta, szyja ze skłonnością do fałd i gruzłowatych zmarszczeń (Poznajecie swojego nauczyciela? Widzisz, Price, jak trzymamy się w typie?). Ale oczy (*en face*, kiedy wykonuje w tył zwrot) uciekające, niespokojne, czujne, przeczą wrażeniu topornej flegmatyczności. I to nieustanne chodzenie...

Przez wiele lat zastanawiałem się, dlaczego mój ojciec chodzi tam i z powrotem jak pies na łańcuchu; dlaczego nawet w nocy widać go, ledwie zarys sylwetki, krążącego po wybiegu przy śluzie. Przez wiele lat zastanawiałem się – dopóki ciało chłopca (w twoim wieku, Price), w którego zamordowaniu miałem swój udział, nie podpłynęło pod jaz.

In loco parentis

To prawda, dzieci: wasz czcigodny dyrektor, Lewis Scott, ukradkiem sobie pociąga. W dolnej szufladzie tej zielonej szafki z aktami na prawo od okna w jego gabinecie, za plikiem dziewiczych arkuszy sprawozdaniowych: jedna – nie, dwie – butelki szkockiej J & B.

Rozlewa w bladoniebieskie biurowe filiżanki. Jedną popycha po blacie w moim kierunku.

Pracowity, wytrwały człowiek. Z dziećmiakami też umie postępować... Ilekroć kolejne z jego własnych pojawi się na tym świecie, to pytające spojrzenie, na wpół ciekawe, na wpół protekcjonalne, w odświeżonej wylewności pokoju nauczycielskiego skierowane ku starszemu/młodszeemu koledze (i cenionemu sparing-partnerowi): A czemu nie ty, Tom? Dlaczego ty nigdy?

(To Mary. Widzisz...)

Wraz z ojcostwem – autorytet, wraz z ojcostwem – poklepywanie po plecach. Nawet starszego o pięć lat kierownika działu historii. O tak, zgoda, Tom, dwadzieścia lat w klasie może nauczyć niejednego o dzieciach – ale kiedy ma się własne... Wraz z ojcostwem – wzrastająca tendencja, aby być ojcowskim zawsze i wszędzie, nawet wobec swego dorosłego personelu.

Podsuwa mi filiżankę whisky niby dobrotliwy pater zezwalający synowi (którego czeka reprimenda) zakosztować przywileju dorosłych – czystego alkoholu. Patrzy na mnie figlarnie, nie bez odrobiny żalu, jakbym istotnie był kłopotliwym dzieckiem, jednym z jego trudnych uczniów. Widzisz, to twoje zachowanie... Tak dalej nie może być.

Zresztą kto wie? Te lekcje, wołające o pomstę do nieba. Te – niestety zbyt wczesne – oznaki przymglenia umysłu. Drugie dzieciństwo...

Dzieci, miejcie się na baczności (tak, Price, rozumiem twoją nieufność), jeżeli tylko instykt paternalistyczny objawi się u waszych oficjalnie zatwierdzonych i fachowo wyszkolonych mentorów. W jakim kierunku zmierza, czyim interesom ma służyć? Pragnienie, by ochraniać i zaopatrywać, pragnienie, by wskazywać drogę, pragnienie, by wieść prym pośród dzieci, gdzie życie zawsze się zaczyna, gdzie świat ma dopiero zaistnieć...

– Widzisz więc, Tom – dłonie otwarte w szczerym geście – że nie mam wyboru.

– Oczywiście, że nie. Doskonale rozumiem. Chcesz powiedzieć, że nawet gdyby nie zaszły pewne... okoliczności, to i tak domagałbyś się, żebym przeszedł na emeryturę. Nie jest to twoja decyzja. Taki jest kurs.

Patrzy na mnie, jakbym niegrzecznie odrzucił elegancką ofertę.

– Albo ujmując to trochę inaczej. Okoliczności, o których nie będę mówił, ponieważ jest jasne, że ty nie chcesz, żeby o nich mówić, dostarczyły bardzo wygodnego pretekstu, by bez oporu przeprowadzić od dawna powzięty plan.

– No, to już nieprawda. I uważaj, co mówisz. Powiedziałem, że żadna wendeta nie wchodzi w rachubę.

– Może i nie, niezależnie jednak od powodów nie mam zamiaru na tyle dać się ogłupić... okolicznościom... żeby odejść po cichutku, odebrawszy emeryturę i nie pisnąwszy ani słówka przeciwko usunięciu mojego przedmiotu z programu.

– Można by argumentować, że zaniedbałeś już swoje obowiązki względem tegoż programu, zmieniając lekcje w jakieś opowiadania historyjek.

– Może historia jest opowiadaniem historyjek.

– Rozumiem. Cokolwiek to znaczy. Napij się jeszcze whisky. Sądziłem, iż obowiązuje pogląd, że przeszłość może nas czegoś nauczyć. Ucząc się z...

– Gdyby tak było, historia byłaby zapisem nieuchronnego postępu, prawda? Przyszłość byłaby coraz bardziej świetlaną perspektywą.

(Price'owi by się to podobało: „świetlaną”).

Prostuje się w krześle. Patrzy na mnie przez szkła w czarnej oprawie. Jak gdyby chciał powiedzieć: A co, może nie jest? Może nie jest?

Nie mówi tego jednak. W końcu nie wygłasza w tej chwili jednej ze swoich krzepiących mówek porannych w auli. Przętyka whisky.

– Lewis, czy wiesz, co się śni moim uczniom?

– Na miłość boską, Tom. To już nie tylko historyjki? To także sny?

– Poważnie. Czy wiesz, co się śni moim, naszym, twoim uczniom?

– Doprawdy, nie wydaje mi się...

– Wyszło to jakiś czas temu, w grupie, która będzie zdawała egzamin z historii. Dziewięć osób spośród szesnastu powiedziało, że śni im się wojna nuklearna. W kilku wypadkach ma to charakter regularnie powracającego koszmaru sennego. Śni im się koniec świata.

– Czy to...?

– To wyszło, to liczenie snów, ponieważ jeden z grupy, Price...

– Znam Price'a. Czymś tam się smaruje, prawda? Miał już nakazane...

– To inteligentny szczeniak.

– Tym bardziej...

– Price oświadczył nagle w środku lekcji, że historia jest bajką; widzisz, może on jest po twojej stronie. A potem powiedział, i stąd doszliśmy do tych jego i reszty klasy koszmarów: „Jedyną ważną rzeczą w historii jest to, że historia osiągnęła etap, gdzie może nastąpić jej koniec”.

– Cóż, czy to nie jest argument za...?

– A ja zaczynam się całkiem serio zastanawiać, Lewis, jaką edukacja ma spełniać rolę, co ma do zaoferowania, jeśli pozbawi się ją niezbędnego partnera, przeszłości, a w zamian zaproponuje kompletny brak przyszłości?

Oczy mu się zwężają. Twarz przybiera wyraz charakterystyczny dla nauczyciela, który spotyka się z jawną bezczelnością ze strony ucznia, odrzucającego wszystko z powrotem tam, skąd przyszło. (Ja to też znam, stary. Też robię taką minę. Czuję tężenie tych samych mięśni. Spaceruję tam i z powrotem, wściekam się, zwyczajnie jak belfer. Na przykład w obecności Price'a).

Wstaje z filiżanką w ręce. Podchodzi do okna. Zapadająca ciemność. Mające kontury wieżowców. Jak trzymamy się naszych stołków, jak obstajemy przy programie.

Odwraca się, surowy, oskarżycielski.

– Być może dowodzi to jednej rzeczy, Tom. Czy kiedyś zechciałeś się zastanowić, że to właśnie ze studiowania twojego ukochanego przedmiotu bierze się taka depresja? Tak, może masz rację, przeszłość niczego nas nie uczy. Co więcej, rozmyślanie nad nią prowadzi tylko do defetystycznych, zgorzkniałych poglądów...

Tak że wszystko w porządku, dzieci. Nie ma potrzeby się bać. Lewis czuwa. On się wami zajmie. Na wszystkie makabryczne sny prosta odpowiedź: schron przeciwatomowy.

Przeciąga dłońią po czole, pobrużdżonym i wypolerowanym jak stare drewno.

– Zawsze to mówiłem.

Nigdy tego nie mówił. Ale tak myślał. Mówi to teraz. I teraz już wiemy:

– Historia rodzi pesymizm.

– Nie mogę się z tym zgodzić. Pod tym względem historia jest równie empiryczna, jak wszystko, czego ty nauczasz. Jeśli historia naucza, że skala ludzkiego nieszczęścia wzrasta. Jeśli świadectwo historii potwierdza to, co moi uczniowie wyczuwają intuicyjnie...

Siada z powrotem. Dolewa szkoockiej.

– Więc co ty mówisz? Że i ty miewasz takie sny?

Nie, Lewis. Mnie się nie śni koniec świata. Może dlatego, że w przeciwieństwie do moich uczniów nie jestem dzieckiem (pięćdziesiąt trzy w tym roku). Nie spodziewam się, nie domagam się przyszłości. Są zresztą sposoby i sposoby, tysiąc milionów sposobów, na które świat zbliża się do końca...

Opowiedzieć ci mój sen? Podobno tak to wygląda: opowiada się sny. Próbują tego z Mary. W miejscu, które nowoczesność zabrania nazywać domem wariatów. Najpierw opowiadasz swoje sny. Mówisz o wszystkich swoich najskrytszych lękach. Potem idzie reszta – cała historia. Aż do czasów, kiedy byłeś małym...

Możemy spróbować, Lewis. Zobaczyć, czy to działa. Przed nami noc. I ta pomocna butelka. Ty mógłbyś powiedzieć: Więc jak do tego doszło, Tom? A ja mógłbym spytać: Skąd te wrzody, stary? Skąd to popijanie whisky? A ten skostniały optymizm i coraz bardziej wyczuwalna aura Wiktoriańskiego Papy?

Mój sen jest inny. Mniej spektakularny. Ale wciąż do mnie wraca. Rozgrywa się w scenerii podmiejskiego supermarketu w zimowy wieczór. Zapada zmrok. Widzisz, muszę robić z tego historyjkę. Piątkowy wieczór, duży ruch. Długie kolejki przed kasami, popiskiwanie liczników wybijających rachunki.

Wszystkie mamy z rodzinami do nakarmienia zrobiły już zakupy na weekend. Wszystkie pary małżeńskie z samochodami do załadowania śpieszą do domu. Mają wszystkie dobre rzeczy, jakich dostarcza supermarket. Mają zupy w puszkach i mrożone mięso, płatki śniadaniowe i oczyszczone warzywa w plastikowych torebkach, mają jedzenie dla kota, jedzenie dla psa, proszek do prania, papierowe chusteczki, folię do owijania produktów i folię aluminiową. Jednak komuś czegoś brakuje. Bo nagle pośród potracających się wózków, koszyków i całego tego rozgardiaszu kobieta zaczyna zawodzić. Krzyczy i krzyczy, i nie przestaje...

– Lewis, powiedz mi coś. Dzieci stanowią nasz fach. Czy ty wierzysz w dzieci?

19

O moim dziadku

Czy można mieć za złe mojemu dziadkowi, Ernestowi Richardowi Atkinsonowi, że był renegatem, buntownikiem? Czy można mu mieć za złe, że okazywał niewielkie zainteresowanie swoją przyszłą karierą szefa Browaru Atkinsona i Atkinsonowskiej Spółki Transportu Wodnego? Czy można mu mieć za złe, iż – posłany przez swego ojca, członka parlamentu Arthura Atkinsona, do Emmanuel College w Cambridge, by otrzymać najświetniejszą edukację, jaką dotąd dane było otrzymać jakimkolwiek Atkinsonowi – marnotrawił czas na studenckich fanaberiach, że flirtował z ideami (europejski socjalizm, fabianizm, pisma Marksa) bezpośrednio godzącymi w torysowskie zasady ojca, że sporą część wakacji spędzał na łajdaczeniu się w Londynie, gdzie odwiedziła go policja celem wyjaśnienia jego obecności na wiecu dla bezrobotnych (był tam „z ciekawości”) i skąd przywiózł w roku 1895 do Kessling Hall tę kobietę, Rachel Williams, córkę marnie zarabiającego dziennikarza, z którą, jak oświadczył bezwstydnie (pomijając milczeniem inne damy, z którymi igrał), właśnie się zaręczył?

Urodzony w czasie pamiętnej powodzi roku 1874, urodzony pośród szeptów i bryzgu oszczerstw, urodzony ponadto w czasie, gdy sprzedaż (podejrzanie słabego) Piwa Atkinsona zaczęła wykazywać tendencję spadkową, czy sam jeden ponosił całą winę za swoje usposobienie kapryśne i uparte? I czyż było całkowitym zaskoczeniem, że gdy w roku 1904, w nadal młodzięcym, choć dojrzałym wieku lat trzydziestu, teraz już ojciec ośmioletniej córki Heleny, został dyrektorem zarówno Browaru, jak Spółki Transportu Wodnego, przyjął swój nieuchronny los z niepokojem, oporami i niemałą dozą refleksji?

Bo Ernest Richard, mój dziadek, był pierwszym z piwowarskiej rodziny Atkinsonów, który przejął swoje dziedzictwo bez aroganckiej pewności jego nieuchronnej ekspansji, bez bodźca Postępu, bez niewzruszonego przekonania, że na stare lata będzie człowiekiem bogatszym i bardziej wpływowym niż w młodości. Nie tylko dochody z Atkinsonowskiego piwa przejawiały tendencję spadkową po powodzi roku 1874. Ponieważ ostatnie ćwierćwiecze XIX wieku, które, dzieci, moglibyśmy analizować szczegółowo, gdyby przypadkiem miało stanowić nasz temat egzaminacyjny, a które uchodzi za coś w rodzaju okresu kulminacyjnego, wprowadzającego w to mityczne długie gorące edwardiańskie lato, tak drogie zbiorowej pamięci Anglików, jest, jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, okresem ekonomicznego upadku, z któregośmy się nigdy nie podnieśli. Okresem, w którym właścicielowi Spółki Transportu Wodnego, kiedy transport wodny i nawigacja śródlądowa w całym kraju traciły na znaczeniu i w dodatku przegrywały bitwę z coraz bardziej rozprzestrzeniającą się koleją, trudno było spoglądać w przyszłość z ufnością.

Jak Arthur Atkinson, który nie był panem teraźniejszości, ale sługą przyszłości, przyjmował w późniejszych latach życia ten nieubłagany rozwój wypadków? Poświęcając się coraz bardziej działalności politycznej (pięć razy z rzędu wybrany posłem z okręgu Gildsey), będąc zagorzałym zwolennikiem polityki imperialistycznej (gdyż tu w końcu ekspansja była nadal możliwa), przypominając swoim fenlandzkim wyborcom o szerokim świecie i o ich narodowym przeznaczeniu, stając się karykaturą męża stanu, alienując własnego syna.

A jak Ernest Atkinson zareagował na ten sam napis na ścianie? Powracając, po młodości błądzącej i poszukującej, do źródeł.

W 1904, gdy Balfour i Loubet doprowadzili kajzera do białej gorączki, podpisując angielsko-francuskie przymierze, Ernest Atkinson dostrzegł – czego nie dostrzegali wyraźnie żaden Atkinson przez cztery pokolenia – pustkę stanowiącą istotę Fenów. Być może pod wpływem wodnistych okoliczności swoich narodzin pragnął powrócić do wcześniejszych dni nie ujarzmionych bagien, kiedy wszystko było jeszcze do zrobienia, kiedy wciąż można było stworzyć coś z niczego; ożył w nim duch prapradziada, Williama Atkinsona, stojącego pośród pól jęczmienia. Skoro musi być piwowarem, aczkolwiek piwowarem, od którego fortuna się odwraca, cóż innego mógłby czynić, jeśli nie służyć wiernie swojemu rzemiosłu i warzyć lepsze piwo? Czy można poświęcić swój trud wspanialszej sprawie niż zaopatrywanie tego brutalnego świata w środek przynoszący radość?

Ale czy radość należy do tego, kto ją daje? Świadczenia tamtych czasów – potwierdzone aż nadto przez ostatnie lata życia mego dziadka po kądzieli oraz przez jego fotografie, które nadal posiadam (nasepione brwi, głęboko osadzone, płonące oczy) – wskazują, że nawet w swojej burzliwej młodości Ernest Atkinson był człowiekiem melancholijnym, ulegającym nastrojom. Że niefrasobliwość owych młodzieńczych lat miała jedynie na celu – jak to często bywa – przewycięzenie wewnętrznej powagi, że zabawiał się doktrynami socjalistycznymi nie tylko na złość ojcu, ale i z potrzeby brania świata na serio, że poświęcił się radości, ponieważ dręczyło go przygnębienie i ponieważ – ale to już czysta spekulacja, fantazje nauczyciela historii – dowiedział się rzeczy tak ponurych (jakież to wyznania na łożu śmierci poprzedziły zejście starego Arthura do grobu w roku 1904?) o swoich ambitnych przodkach, że nie chciał niczego więcej, jak być uczciwym i skromnym dostarczycielem beczek szczęścia.

W 1905 Ernest Atkinson przystąpił do wyprzedazy większości akcji Spółki Transportu Wodnego oraz znacznej części Gildseyowskich Doków (z miejsca wykupionych przez Spółkę Gazowo-Koksowniczą pod jej przyszłe zakłady), zatrzymując jednocześnie barki i galary dla przewozu słoju z Kessling oraz lokując resztki swoich w wodzie zakotwiczonych udziałów w Gildseyowskiej Spółce Statków Spacerowych. Trzy parowce: „Święta Gunnhilda”, „Święty Guthlac” i „Królowa Fenów”. Wycieczki do Ely, Cambridge i King’s Lynn. Dla przyjemności, a także.

W tym samym czasie wdał się w długie narady ze swoimi pomocnikami, zaczął – z precyzją prowadzącego doświadczenia chemika – eksperymentować z różnymi gatunkami chmielu, drożdży i cukru, z różnymi temperaturami i proporcjami, aż wyprodukował w 1906 Nowe Piwo, które weterani „Pod Łabędziem” i „Pod Żeglarzem”, przynajmniej ci sięgający pamięcią tak daleko, uznali za nie ustępujące w niczym, ba, za przewyższające dawne gatunki Piwa Atkinsona z połowy ubiegłego wieku.

Ale ogół mieszkańców Gildsey nie aprobował głoszonej przez Ernesta polityki ograniczenia, która zdawała się okrywać niesławą ich kwitnące niegdyś miasto. Nie aprobowali Atkinsona, który, piwowar czy nie piwowar, nie miał nic lepszego do roboty, jak zakasać rękawy i zniżyć się do warzenia sładów i przeprowadzania próbnych fermentacji. Bo taki był styl Ernesta, a nawet mówiono, że w przybudówkach Kessling Hall, specjalnie przystosowanych do tego celu, przygotowywał wywary o znacznie większej mocy niż jakiegokolwiek piwo wypuszczone z browaru w Gildsey. Co więcej, że sam wypijał duże ilości. Mieli mu za złe te próby – niepatriotycznym uchylaniem się nazywali je w tamtym okresie wyścigu zbrojeń i wysyłania okrętów wojennych – odsunięcia się od sfery politycznej, w której jego ojciec tak się odznaczył. Niemniej zatrzymali sobie prawo rozpowszechniania wieści, jakoby Ernest miał prosocjalistyczne sympatie. Owszem, pili Nowe Piwo Ernesta, ale jak się wydawało, stracili naiwną wiarę, że trunek radości da się w każdej chwili rozlać z brązowej butelki, a nie jest zastrzeżony, jak to było ostatnim razem w Gildsey w noc Mafekinga, na okazje narodowego świętowania.

Doszło do mojego dziadka (przypuszczalnej) tajemnej troski przeświadczenie, że nawet gdy ludziom ofiarować radość, niekoniecznie jej pragną.

Doszło do mojego dziadka tajemnej troski nieustanne zmniejszanie się zysków z browaru.

Doszło do mojego dziadka (chyba już nie przypuszczalnej) tajemnej troski rozwinięcie się u jego żony, Rachel, mojej babki, ciężkiej astmy, do czego po części przyczynił się zapewne wilgotny klimat Fenów, a co spowodowało jej przedwczesną śmierć w kwietniu roku 1908.

Ach, jakich zasobów radości nam potrzeba, jak głęboko należy się nią zachłysnąć, aby zrównoważyć smutki, które życie trzyma w zanadrzu...

Ludzie, którym narzucają się nieuczzone porównania i wnioski, ludzie, którzy historię pojmują prymitywnie, którzy wierzą, że przeszłość zawsze ciągnie terażniejszość za rękaw, ludzie w rodzaju tych, którzy utrzymywali, że widzieli Sarę Atkinson, kiedy Sara Atkinson już nie żyła, zaczęli znów mówić o klątwie ciężącej nad rodziną Atkinsonów.

A Ernest Atkinson, w żałobie w Kessling Hall, mieszając na pociechę beczkę wciąż nie doprowadzonego do perfekcji, ale krzepkiego piwa przy pomocy dwunastoletniej córki, zaczął mówić o swoim Specjalnym.

W listopadzie 1909 roku na zebraniu w gildseyowskim ratuszu mój owdowiały dziadek zapowiedział powrót swojej rodziny na arenę polityczną, oświadczając, iż zamierza kandydować z ramienia liberałów w następnych wyborach, mających, jak wówczas uważano, odbyć się lada moment. Przedstawiając swoje *credo*, podważył tradycję konserwatywną, która tak długo panowała niepodzielnie w jego rodzinnym mieście. Nie wyrzekając się dawnych socjalistycznych skłonności, pochwalił najnowsze reformy liberałów i wystąpił jako rzecznik „oświeconej i zdroworozsądkowej polityki” Lloyda George’a. Nie cofnął się przed oskarżeniem rodzzonego ojca (szmer protestu), nie cofnął się przed zaatakowaniem go jako jednego z tych, co karmili ludzi mrzonkami na temat rozdętej i niemożliwej już dłużej do utrzymania wielkości, co upajali ich wizjami Imperium (które powinno na zawsze skryć się za chmurami po kompromitacjach w wojnie burskiej), odwracając w ten sposób ich uwagę od spraw bliżej domu. Podczas kiedy on, syn rzeczzonego ojca, zaleca powściągliwość i realizm, powrót do prostoty i samowystarczalności oraz, robiąc aluzję do swojej życiowej pozycji właściciela browaru – żart, który padł na skalisty grunt – w miejsce napuszonej powagi godziwą zabawę.

Opisał – mam w swoim posiadaniu kopię stenogramu tej odważnej mowy, której efekt był przesądzony – jak wyłącznie sumienie, a nie umiłowanie stanowisk publicznych (nieprzyjazne okrzyki z tylnych rzędów), skłoniło go do wstąpienia w polityczne szranki. Jak lęk o przyszłość już sprawił, że rola piwowara – dawcy radości – stała mu się gorzka. Jakie katastrofalne skutki przewiduje w nadchodzących latach, chyba że powściągnie się obecnego ducha dżyngoizmu i powstrzyma wojskowy poker narodów. Jak cywilizacja (czyżby Ernest odziedziczył dar jasnowidzenia po Sarze? czy też, jak wielu podejrzewało i dawało temu wyraz, trącając łokciami sąsiadów, był po prostu pijany?) stanęła przed największym kryzysem w historii. Jak, jeśli nie przedsięwzięmie się żadnych kroków... inferno...

Liczniejsze i głośniejsze okrzyki, a jednocześnie uśmiechy na twarzach co bardziej przytomnych przedstawicieli konserwatyzmu, którzy widzą, że za jednym zamachem, i to już na samym początku, Ernest pogrzebał swoje szanse w wyborach. Ktoś na sali podnosi się, żeby powiedzieć: – Jeśli pański ojciec, sir, poił nasze umysły imperializmem, to co pan robi za pomocą tego piwskiego warzonego w pańskim browarze? – Śmiech, oklaski. Inny mówca z sentencjonalną zwięzłością: – Panie przewodniczący, pijaństwo nie przystoi piwowarowi. – Wyraźniejszy śmiech, żywsze oklaski. – Albo szkalowanie własnego ojca – (jeszcze inny). – Albo własnego kraju – (kolejny). Wycia, gwizdy; stukot młotka przewodniczącego: – Muszę prosić tamtego pana z sali, by wycofał swoje...

Mój dziadek (wśród nieopisanej wrzawy): – Ostrzegam was... jeśli nie posłuchacie... przewiduję... jeśli... przewiduję...

Ale po powrocie do niesamowitej ciszy Cable House, świadom, że pogrzebał swoje dobre imię, przytulając do piersi córkę Helenę, obecnie trzynastoletnią, z intensywnością – gdyby ktoś to widział – z jaką człowiek czepia się ostatniej pociechy, być może rozważa owo zjadliwie wywołane słowo: pijaństwo.

Pijaństwo. Nie radość – pijaństwo.

I chroniąc się w nieprzeniknionej samotni Kessling Hall, dyktując córce, pilnie zapisującej w notesie, cyfry, proporcje, nawet nazwy pewnych dodatkowych składników, które pozostały i pozostaną na zawsze tajemnicą, udoskonala swoje Specjalne.

Dzieci, coś z ciskającej gromy i wytracającej impet retoryki mego dziadka pobrzmiwa echem w moich belferskich oracjach. Coś z sytuacji, w jakiej się znalazł na zebraniu w ratuszu, z tych nieprzyjaznych okrzyków, z tych gwizdów ożywa w moich konfrontacjach z klasą, kiedy stoję wobec oporu i wrogości płynącej ku mnie znad pulpitów. A jednak w kim dostrzegam dziś tajemną melancholię mojego dziadka i jego lęk przed przyszłością? W kędzierzawym chłopaku nazwiskiem Price.

Wyjaśnienie wyjaśnienia

Którego przywołuję do porządku, którego osadzam energicznym: – Dobrze już, Price. Wystarczy. Zgłosisz się do mnie po lekcjach. – (Jego nie ukrywany niesmak wobec prymitywnego autorytaryzmu, niezgrabnej próby uciekania się do metod Ciężkiej Ręki). Ale to: „Pan może się wypchać swoją przeszłością...” Panika pedagogiczna. Ucz ich o rewolucji, a oni... Strach przed rewoltą w klasie, na pożywcze strachu przed prześladowaniem z góry (Lewis wzywa na rozmowę), podsycany strachem przed anarchią w prywatnym życiu (Anarchia? Żona ma swoją religię, zwróciła się do Pana). Graj despotę. Odbij sobie na... Tyrania i niepewność.

– Więc przestań się głupio uśmiechać, Price – (prawdę mówiąc on się wcale nie uśmiecha) – i zgłoś się do mnie o czwartej.

I teraz Price stoi przy moim biurku, po zakończeniu lekcji, też znakomicie odgrywając swoją rolę – zawstydzony, ale bynajmniej nie skruszony przestępca.

– Albo, albo, Price. Wybrałeś historię. Od czasu do czasu twoje prace bywają niezłe. Nie możesz chodzić na lekcje historii, a równocześnie nie mieć czasu na historię. Nie możesz wdawać się ze mną w dyskusję na temat poszczególnych aspektów Rewolucji Francuskiej, w czym zresztą nie ma nic złego, a równocześnie chcesz wykreślić cały przedmiot jako taki.

Gabinet historyczny o czwartej. Wyludniona szkoła, zimowa ciemność za oknami. Puste ławki, ślady scyzoryka, kredowy pył. Wykonujemy odpowiednie ruchy w grze nauczyciel-uczeń. Dyscyplina przede wszystkim. Szukamy – przynajmniej ja szukam – wspólnego gruntu, okazji do powiedzenia: Pal sześć to wszystko, bądźmy rozsądni, czy musimy się tak zachowywać... Ale tylko odkrywamy, że to, co nam przypisano, czym zmuszeni jesteśmy być – znajduje się po przeciwnych stronach.

– Więc?

Price wzrusza ramionami.

– Pan ustawił sprawy w klasie. Pan jest szefem. To pański cyrk. Pan jest od wyjaśnień.

– Rozumiem. Czyli ten twój niewątpliwie inteligentny umysł wybiera tępą bezczelność. Bardzo dobrze, jeśli sytuacja jest tak jasna, nie bawmy się w subtelności. Jeżeli ja jestem szefem, jeśli ja prowadzę lekcję, to mam prawo oczekiwać, że nikt mi lekcji nie będzie przerywał.

Price nic nie mówi, ale wokół jego ust błąka się leciutki, wyprowadzający z równowagi uśmieszek.

– A jeśli ktoś mi lekcję przerwie, mam prawo znać – dlatego kazałem ci tu przyjść – powód.

Uśmieszek nie znika.

– Więc może i ty miałbyś to i owo do wyjaśnienia.

Ale Price nie musi nic wyjaśniać. Nie musi robić nic innego, jak tylko stać tu z miną z lekka kpiącą. Ponieważ sytuacja określa się sama (moja autokratyczna poza): ciemieżca i uciśniony. Ponieważ role są rozdane. (Pomyśl, Price, tak na marginesie, ile w historii zależy od wyznaczenia ról, ile się dzieje, ponieważ nikt nie powiedział, o co mu naprawdę...)

Amatorskie przedstawienie. Zatrzymaj go po szkole: spraw, aby coś się naprawdę wydarzyło.

– Więc?

– Więc to proste, panie profesorze. Przerwałem, ponieważ chciałem przerwać.

– Jasne. To wolny kraj. Nie ma rady, Price. Ponieważ ja zadaję sobie pytanie, dlaczego to tylko Price'owi podoba się przerywać, jednemu jedynemu z całej klasy liczącej szesnaście osób, które w sumie stanowią całkiem przyjemną grupę.

– Chce pan powiedzieć, że robią, co im się każe.

– Jedna z możliwych interpretacji. Ale co z twoim wyjaśnieniem?

– Jestem tu, żeby się uczyć, panie profesorze.

– Wzrusza mnie twoje zaufanie i pokora; jakoś nie zauważyłem tego podczas lekcji. Ale skoro życzysz sobie, żebym to ja wyjaśniał za ciebie, pozwól mi spróbować. Jak mi się wydaje, to, co naprawdę zarzucasz moim lekcjom, nie ma nic wspólnego z ich formą czy sposobem prowadzenia lub czymkolwiek tak konkretnym. Gdyby tak było, moglibyśmy istotnie podyskutować o metodzie i podejściu – zdrowa i rzeczowa wymiana poglądów – moglibyśmy nawet dojść do przyjacielskiej konkluzji, iż różnymi się zapatrywaniem. Twój protest jest niejako czystszy, bardziej radykalny. Stawiasz tezę – mam rację? – że historia, jako taka, jest zawracaniem głowy, przeszłość nie ma znaczenia. Liczy się tylko teraźniejszość. Kończącym wnioskiem, jaki wynika logicznie z twoich poglądów, jest to, że nie powinniśmy marnować czasu na uczenie się o Rewolucji Francuskiej – która, mimo to, jak mi się wydaje, nie jest ze względu na swój wywrotowy posmak tematem tak całkiem dla ciebie nieinteresującym. Zamiast tego powinniśmy usiąść i roztrząsać Afganistan, Iran, Irlandię Północną, wszystkie grzechy tej naszej wyliniałej Wielkiej Brytanii.

Wstaję zza biurka. Nie przestając mówić, zaczynam spacerować po pokoju, nie patrząc na Price'a. Znowu czczy gadanina. Za dużo słów. Retoryczne gesty nad pustymi pulpitemi. Jakbym zwracał się do klasy, a nie...

– Chwalebny postulat, Price. I chyba jest miejsce dla tego typu dyskusji na zajęciach z wiedzy ogólnej prowadzonych przez pana Wallace’a.

– To stary...

– Uważaj. Co się natomiast mnie tyczy, jeśli idzie o tę sprawę, to natrafiam na zgoła praktyczną przeszkodę. Mianowicie program. Mianowicie płacą mi jako nauczycielowi historii i za nauczanie historii w zakresie objętym programem, a w programie historii znajduje się – obok innych rzeczy nieistotnych – Rewolucja Francuska i właśnie ją przerabiamy.

(Wyjdź z tej roli. Zejdź ze sceny).

– Bomba. Cieszę się, że się panu wszystko tak ślicznie zgodziło.

Powiedziane ze złością, powiedziane ze zniecierpliwieniem, powiedziane z jakąś beznadziejną udawką, kiedy wracam przejściem między ławkami, na moment wypadając z roli.

Teraz – teraz jest twoja szansa.

– Price, wydaje mi się czasem, że coś... ci leży na sercu. Że nawet o to nie zahaczyliśmy. Że mówimy nie to, co trzeba. Jeśli mogę...

Ręka uniesiona, ale nie w geście retorycznym. Ręka uniesiona, niemal mimowolnie, by dotknąć ramienia Price’a.

Gwałtowna reakcja łańcuchowa w oczach Price'a. Alarm. Pośpieszne obronne zaciąganie zasłon, równie pośpieszne przejście do ofensywy. Zaciśnięte wargi.

– Jeśli w jakikolwiek sposób mogę pomóc...

Zatrzymaj się przy oknie. Spójrz w ciemność.

Milczenie.

– Nie wiem, panie profesorze. Czy pan myśli, że historia „pomaga”?

– Jak to?

– Chodzi mi o to: nie rozumiem tej zagrywki „czy mogę pomóc?” Nie wiedziałem, że to też jest w programie.

Podsumowanie podyktowane instynktem samozachowawczym: szczeniak jest po prostu na nie. Wobec wszystkiego. Do diabła z nim.

Sylwetka Price'a za moją, odbita w oknie. Stojącego przy moim biurku, tam gdzie ja stoję twarzą do klasy. Widmo ucznia na miejscu nauczyciela w widmowej klasie płynącej przez ciemność...

Ale jak my zapominamy, jak to jest, co to znaczy. Mieć szesnaście lat i płynąć, płynąć. Jak zapominamy... Jak trzymamy się programu. Chyba...

(Price, mnie to i owo leży na sercu).

– W porządku. Masz zupełną rację. Ofiarowywanie pomocy nie należy do programu. Proponuję zapomnieć o moim nieformalnym przejawie z troskania. Z drugiej strony nie zatrzymałem cię w celu udzielania ci korepetycji. Nadal czekam na wyjaśnienie.

Wciąż tyłem do niego. On przesuwa się w głąb klasy, jakby (chwilowe złudzenie z mojej strony?) bał się o mnie. Ludzie, którzy stoją przy oknie na drugim piętrze...

– Więc?

Moment źle wybrany.

– Wie pan, jaki jest pana problem, panie profesorze? Pan ma manię wyjaśniania. Wyjaśnij, wyjaśnij. Wszystko musi mieć wyjaśnienie.

Instynkt ludzki, Price. Silna cecha. Nieodłączna od życia.

– Powiedziałeś przecież: pan jest od...

– Bo ja mogę żyć bez wyjaśnień.

Odwracam się. Drży mu warga.

– Bo ja nie chcę wyjaśnień...

Skurczone rysy próbujące przybrać zwykły wyraz. Drżenie próbujące się ukryć. Głos usiłujący przekazać puentę. Czy zostawił ją sobie na koniec?

– Bo wyjaśnienie jest sposobem na omijanie faktów, podczas kiedy równocześnie udaje się, że się do nich przybliża...

Bardzo dobrze, Price. Bardzo głębokie. Coś do Księgi Anarchistycznych Aforyzmów Price'a. Ale ta przestraszona twarz?

– A ludzie tylko wtedy wyjaśniają, kiedy coś jest niedobrze, prawda? Nie wtedy, kiedy wszystko jest w porządku. Dlatego im więcej człowiek słyszy wyjaśnień, tym bardziej sobie myśli, że musi być już całkiem źle, skoro tyle trzeba wyjaśniać.

Milczenie. Biała maska wojownika odzyskuje spokój. Wargę opanowuje się. Ale jego oczy nie spotykają się z moimi.

Patrzy na zegarek.

– Czy mogę już iść, panie profesorze? Robi się późno.

Zatem przesłanie doręczone. Więc to tak. Dlatego raczyłeś się pofatygować na moje maleńkie dyscyplinarne *rendez-vous*? Żeby przekazać Wyzwanie. Manifest rzecznika klasy. Price'owskie Wyjaśnienie Wyjaśnień. Żeby stary Cricky miał o czym myśleć. Będzie. Ma...

– Tak, robi się późno.

– Więc mogę iść?

– Price, ja... Tak, możesz iść.

Odwraca się na pięcie i zdecydowanym krokiem rusza w kierunku drzwi. Ogląda się przed wyjściem.

– To do zobaczenia na jutrzejszej lekcji.

Aux Armes

Na której Rzecznik, powracający z obozu Despoty, okryty (mój taktyczny błąd) chwałą męczennika i obrońcy, zyskuje szacunek i uwagę. Jest ośrodkiem zainteresowania. No i co on powiedział? A ty co powiedziałaś? A powiedz, jaki on jest, kiedy jest się z nim sam na sam? Czy on rzeczywiście – no wiesz – ma trochę nie po kolei...?

Na której szemranie i poruszenie. Nastrój zuchwałości. Na której cała klasa jest zmęczona nudnym roztrząsaniem przyczyn, wstępami, debatą analityczną. Wyjaśnienia, wyjaśnienia. Gadanina, gadanina. Zgromadzenie Narodowe, zasięg jego możliwości i jego skład, jego *dramatis personae*. Konstytucyjne opcje, dialog, retoryka i rzeczywistość, teoria i praktyka, historia i histrionia...

Chwileczkę, myśleliśmy, że rewolucja oznacza działanie. Barykady i krew. No to jak?

Widzisz, jak ich rozruszałeś, Price? Widzisz, jak ich podkręciłeś. Ale czy ze słusznych powodów? Przeciwko historii? Przeciwko programowi? Przecież to nie program jest zły, tylko to, że się tak wlecze, tak wolno dochodzi do podniecających kawałków. Uczniowskie fascynacje historią – bitwy i ścinanie głów. (Ja też, ja też, kiedyś, w atramentowoczarnym mundurku).

Czego chciałeś, Price? Precz z przeszłością, koniec z przeszłością. Ale oni, widzisz, łakną dawnej, pradawnej opowieści. Patrz, jak pędzą burzyć raz jeszcze tę wielką, złą, legendarną Bastylię. Działanie i atawizm. Przynies kostiumy. Kiedy lekcja historii dostarcza nam atrapy protestu...

Rzecznik milczy wśród wrzawy. Mierzy wzrokiem nauczyciela. Rewolucyjne paradoksy: kiedy przedmiotem jest rewolucja, jak tu się przeciwko niemu buntować? Kiedy przeszłość próbuje obalić sama siebie, jak tu obalać przeszłość? Mgliste przypomnienie tej skurczonej twarzy, drżącej wargi. Na następnej lekcji (Deklaracja Praw Człowieka) dorzuci jeszcze na szalę koniec świata.

Ale co z barykadami i rozlewem krwi? I co z gilotyną? No, dalej.

Żądacie zatem dramatu. Żądacie akcji? Żądacie nuty apokaliptycznej? Pozwólcie mi więc opowiedzieć

O Piwie Koronacyjnym

Chroni się do Kessling Hall, piwowar po fachu, polityk przez fałszywe aspiracje. Piwowar – czyniący ferment.

W styczniowych wyborach roku 1910 mój dziadek otrzymuje zaledwie tysiąc sto głosów i bez względu na swoje nazwisko i fakt, że urodził się w Gildsey, przepada na rzecz kandydata z zewnątrz, Johna Sikesa, człowieka z Yorkshire, który szybko się zakrzętnął, żeby pochwycić łatwy okręg, i wraca jako poseł, a jakże, z ramienia konserwatystów, choć pod rządami liberałów. Mój dziadek godzi się z porażką, zapewne nie spodziewając się niczego innego, zdecydowany już wcześniej na rolę politycznej Kasandry oraz utratę kandydackiej kaucji.

Ale choć godzi się z porażką, nie myśli pogodzić się z bezczynnością. Czeka na odpowiedni moment, by dać ludziom to, czego chcą.

I moment taki nadchodzi latem 1911 roku.

Latem 1911 roku, jak to z pewnością będziecie wiedzieli, jeśli nauczyliście się na pamięć waszych monarchów Wielkiej Brytanii oraz ich dat, poczciwy stary włóczyki, król Edward, już nie żył, a przykładowy ojciec rodziny – ale mimo to król i imperator – Jerzy V wstąpił na tron. A kiedy król wstępuje na tron, musi być koronowany, aby jego lud mógł się radować i dać upust swojemu lojalnemu entuzjizmowi.

A jak to się wygodnie złożyło, jak pasowało, że taka okazja nadarzyła się w takim właśnie czasie. Kiedy w dwójnasób rozszerzono program, i to przy rządzie liberalnym, budowy pancerników typu Dreadnought; kiedy kajzer – monstrum arogancji – strzelał gafy po całej Europie; kiedy Brytyjczycy wkroczyli w drugą, doniosłą dekadę XX wieku.

W czerwcu 1911 roku, kiedy Gildsey przygotowywało się do uczczenia koronacji Jerzego V, kiedy rozwieszano flagi, układano ogniska i stylizowano kwietne napisy tudzież planowano bankiety, mój dziadek, ponury i niepopularny piwowar tego miasta, zgłosił w obchodach swój udział w postaci wyprodukowania upamiętniającego je butelkowego piwa, które miało się nazywać, jak przystało na tę okazję, Piwem Koronacyjnym; pierwszy tysiąc butelek miał być rozdany za darmo, ale ani kropla nie mogła przejść przez wargi żadnego człowieka, póki król nie zostanie ukoronowany na dobre.

Chociaż przeszła już, w formie znanej po prostu jako Specjalne, przez wargi mojego dziadka. I zapewne także przez różane usteczka Heleny Atkinson, mojej matki.

Rozgrzani patriotycznym zapalem i przepelnieni nastrojem pojednawczym (a wiec, jak przyjdzie co do czego, gderliwy piwowar potrafi wypowiedziec swoje „Boze zachowaj króla” nie gorzej od innych) mieszczenie zechcieli zapomniec na chwile o swoich nieporozumieniach z Ernestem Atkinsonem.

Zbliżał się radosny dzień. Wracali pamięcią do innych okazji, kiedy wolno im było chlać piwo w szlachetnej intencji: do Jubileuszowego Piwa Brylantowego i Złotego, nawet do Wielkiego'51, i do tych błogich dni, kiedy miasto cieszyło się łaską fortuny. Czyżby owe dni przeminęły na zawsze? Czy to narodowe święto – jak napomknął Ernest Atkinson, zwracając się do komitetu obchodów, bez cienia aluzji politycznych, ale z dziwnym błyskiem w oku – nie mogłoby stać się i lokalnym? Czyż to bowiem – przypomniał, a błysk w jego oku stał się jeszcze dziwniejszy – nie prawie dokładnie sto lat temu Thomasowi Atkinsonowi powierzono, ku wielkiemu niezadowoleniu (wymuszony śmiech wśród członków komitetu) pewnych gildseyowskich klik, Żeglugę na Leemie, co rozpoczęło proces, dzięki któremu ta niegdyś nikomu nie znana miejscina zajęła należne miejsce w kraju, a może i w świecie?

Co takiego było w tym Piwie Koronacyjnym, rozdawanym w ciemnej butelce o węższym i bardziej wydłużonym kształcie niż butelki od piwa z dawniejszych czasów, z wytłoczonym napisem „Atkinson-Gildsey” i nalepką z dużą koroną w środku oraz szlakiem idących na przemian małych koron i flag brytyjskich wokół? Nektar? Trucizna? Uciecha? Szaleństwo? Zakorkowane manie poddanych Jego Królewskiej Mości?

Możecie być pewni, to nie zwykłe piwo pili nad Ousą, kiedy w Westminsterze zbierały się tłumy, rozbrzmiewały salwy i dzwoniły dzwony opactwa. Bo kiedy mężczyźni Gildsey wcisnęli się do „Szczupaka i Węgorza” oraz „Wesołego Flisa”, żeby znaleźć się wśród uprzywilejowanego pierwszego tysiąca, który otrzyma butelki darmo, i wznieśli kufle w godnym i radosnym toaście na cześć króla, odkryli, że ów patriotyczny trunek pozwala im w zadziwiająco zawrotnym tempie przebyć następujące po sobie zazwyczaj kolejno i kontrolowane etapy upojenia: przyjemność, zadowolenie, dobre samopoczucie, uniesienie, beztroskę, zapalczywość, zamroczenie, wyłączenie się, majaczenie, wybuchowość, wojowniczość, chwiejność równowagi, obezwładnienie – wszystko za sprawą jednej butelki.

A jeśli została napoczęta druga butelka...

Bardzo trudno natrafić na dokładny opis wypadków tego dnia. Po części dlatego, iż był to dzień, który Gildsey pragnęło zapomnieć, po części zaś z powodów bardziej zasadniczych, mianowicie że wielu z tych, którzy mogli odegrać rolę wiarygodnych świadków, było w owym czasie beznadziejnie pijanych.

Kobiety Gildsey, z alarmującą częstotliwością wzywane celem powściągnięcia przejawów nietrzeźwości u swoich mężczyzn, natychmiast same ulegały pokusie skosztowania tego wywaru, który wywierał tak zdumiewający efekt. Właściciele dwudziestu trzech pubów w mieście zaczęli drżeć o szacowność, a także o fizyczne bezpieczeństwo swoich zakładów. Na ulicy Wodnej paradę dzieci w wieku szkolnym, demonstrujących niewinnym machaniem flag swoje oddanie nowemu monarsze, zakłóciły ochryple – i prawdopodobnie sprośne – chóralne śpiewy dobiegające z „Łabędzia” oraz „Szczupaka i Węgorza”. Rakiety i rzymskie świece, przeznaczone na olśniewający pokaz wieczorny, zostały puszczane w biały dzień po przerażających trajektoriach. Omal nie doszło do okropnego wypadku rozbicia i zatonięcia, kiedy „Święty Guthlac”, którego sternik wyżłopał swoją butelkę, jak zresztą wielu jego pasażerów, ruszył zygzakiem przez rzekę z łopotem flag i rykiem syreny i mało brakowało, a zostałby zatopiony przez „Królową Fenów”, prowadzoną w podobnym stanie.

Pijaństwo. Kiedy dzwony św. Gunnhildy obwieszczały nowe panowanie. Pijaństwo objawione w wielu przedziwnych formach.

Delegacja dwóch wyższych rangą oficerów policji miejskiej zwróciła się, w płóciennym namiocie zwanym Pawilonem Koronacyjnym, do Ernesta Atkinsona, by wyrazić pogląd, że w imieniu prawa i porządku należy bezzwłocznie zamknąć puby w mieście, a także by dowiedzieć się, co u licha jest w tych butelkach i czy nie istnieje żadne antidotum? Na co Ernest odpowiedział podobno, wyraźnie parodiując styl swojej mowy wyborczej, że byłoby działaniem jak najbardziej godnym ubolewania, akurat w tym dniu, obrócić wniwecz gest mający jedynie na celu uczczenie króla i kraju, że chociaż odpowiada za piwo, trudno chyba byłoby obarczać go odpowiedzialnością za tych (to jego słowa), którzy piją je nierozważnie, i dla zilustrowania tej ostatniej kwestii na oczach szefów policji obciągnął jednym haustem butelkę rzeczonego piwa (którego kilka skrzynek przedostało się do Pawilonu Koronacyjnego) bez śladu jakichkolwiek widocznych skutków, zadając w ten sposób kłam oszczerstwom rzucanym w trakcie tej samej mowy wyborczej i dowodząc słuszności powiedzenia, że piwowar nie upije się własnym piwem. Oficerowie zostali serdecznie zaproszeni, żeby spróbowali sami. Ponieważ byli w najlepszych paradnych mundurach, odmówili.

Niestety, tym samym starszym oficerom miano wkrótce zameldować, że pewna liczba konstabli uległa ogólnej intoksykacji i skosztowała niezwykłego napoju. Młody biesiadnik usiłował wspiąć się na maszt flagowy i złamał nogę. Program obchodów i imprez został wywrócony do góry nogami. Liczni zaś uczestniczący obywatele, którzy nawet w tym dniu powinni byli zachować konieczne minimum trzeźwości, zawiedli w tym względzie, z członkami Gildseyowskiej Niezależnej Orkiestry Dętej włącznie, której starannie przygotowany repertuar ucierpiał na skutek szaleńczych improwizacji, a wykonanie Londyńskiej Uwertury Elgara skończyło się kompletnym fiaskiem.

Dla osobników nadal zdolnych dokonywać oceny powstał teraz trudny problem, mianowicie, czy wstrzymanie dostaw owego piwa, którego obecnie dopominano się już hałaśliwie, nie doprowadzi czasem do jeszcze większego rozprężenia niż jego konsumpcja.

Podczas tego szalonego popołudnia kilku spośród zaproszonych na bankiet koronacyjny (o ósmej wieczorem w wielkiej sali miejskiego ratusza) zaczęło się zastanawiać (jeśli przyjąć, że i oni wypili), jak by tu się zgrabnie wymówić od wzięcia udziału w tak podniosłym zgromadzeniu. Ale nie doszło do żadnego bankietu koronacyjnego. Ponieważ najgorsze w tym koszmarnym dniu miało dopiero nadejść.

Nikt nie wie, jak to się zaczęło. Czy alarm podniosły najpierw pojedyncze osoby (co zostało zignorowane jako kolejny z niezliczonych kawałów i omamów), czy też całe miasto jak jeden mąż nagle uświadomiło sobie namacalny fakt. Ale kiedy zapadł zmierzch tego ponad miarę świętowanego dnia, stało się jasne, że browar, Nowy Browar Atkinsona, wybudowany w 1849 roku przez George'a i Alfreda Atkinsonów, pali się. W ślad za kłębami gęstniejącego dymu wystrzeliły skaczące płomienie, po czym rozległ się głośny trzask i wybuch, sygnalizujący pożar w zaawansowanym stadium.

Tłum rzucił się hurmem. Bankiet koronacyjny w obliczu tak bezpośredniego zagrożenia został natychmiast odwołany. Zawezwano Gildseyowską Straż Pożarną (założyciel Alfred Atkinson) w pełnym składzie. Należy jednak powątpiewać, czy to męzne ciało, ze swoimi trzema wozami tudzież dwoma tenderami, w ogóle okazało się użyteczne tamtej katastrofalnej nocy. Nie tylko bowiem pech chciał, że siły remizy strażackiej zostały w ciągu dnia uszczuplone (jeden z wozów, przybrany wstęgami i flagami, miał wchodzić w skład odświeżonej defilady), ale też prawie każdy strażak, usiłujący teraz zarówno wytrzeźwieć, jak i wskoczyć w swój niezgrabny rynsztunek, wypił przypadającą na niego porcję piwa i w rezultacie, kiedy wozy wreszcie przybyły, w stanie dalekim od regulaminowego, z głośnym dzwonieniem, a w jednym wypadku nadal w przybraniu patriotycznych rozetek, browar był już nie do uratowania. Kilku naocznych świadków utrzymywało również, że szarmanckie załogi bez porównania więcej energii poświęcały na rozmaitego rodzaju psikusy (na przykład kierowanie węży w tłum gapiów) niż na gaszenie ognia.

Ogień zatem płonął. Zawarłszy w sobie wszystkie ogniska i wszelkie inne pokazy pirotechniczne zaplanowane na ten radosny wieczór. A gapie, rzeczywiście, z oczyma szklistymi zarówno z powodu wypitego piwa, jak od blasku płomieni, stali zwartym tłumem i patrzyli, jakby to nie palił się miejski browar, ale niczym na jakiś wyszukany spektakl, specjalnie przygotowany dla ich uciechy i zabawy. Może zresztą i tak było. Niezgrabne poczynania straży pożarnej spotykały się z aplauzem i zachętą. Niewiele relacji mówi o przerażeniu, panice czy nawet poczuciu niebezpieczeństwa. Kiedy pożar dokonywał szczególnie imponujących wyczynów (rząd okien górnego piętra pękających jednocześnie, jak burta statku), towarzyszył temu szalony entuzjizm, a kiedy o dwunastej w nocy (jako że miała to być ostatnia godzina zarejestrowana kiedykolwiek na wyniosłej tarczy jego zegara) komin zadrżał, zakołysał się i wraz ze swymi fryzami w stylu włoskim i zastygłymi bez ruchu żelaznymi wskazówkami zegara runął pionowo w płonący lej browaru, odbyło się to przy akompaniamencie ogłuszającej owacji, przy czym nikomu nie przyszło do głowy przejmować się faktem, że gdyby komin wybrał sobie inny kąt padania, mógłby zmiażdżyć dziesiątki widzów.

Nieziemska poświata oświeciła całą noc stłoczone dachy Gildsey. Na oleistej, czarnej powierzchni Ousy płomienne naszyjniki rozsypywały się i z powrotem nawlekały. W opuszczonym, przystrojonym girlandami rynku pulsowały kamienie bruku, a w ratuszu miejskim, gdzie nakryto do bankietu, który miał się nigdy nie odbyć, cienie wysokich ram okiennych drżały na ścianach. Na mile wokół w nieprzerwanej, płaskiej perspektywie Fenów widać było ogień, niby jakieś meteoryczne ciało – ukłon w stronę fenlandzkich zabobonów – a rankiem 23 czerwca, w miejscu znajomego komina, ogromną chmurę dymu, która pozostawała przez wiele dni.

Czy na tym rzecz polegała – ledwie bowiem zgasł ogień, rozgorzała dyskusja – że Piwo Koronacyjne, co tak rozpaliło wewnątrznie tych, którzy je pili, znalazło sposób zewnętrznego okazania swej mocy i w procesie spontanicznego spalania zdusiło płomieniami własne źródło? Czy to fenomenalne piwo, którym mieli się ludzie uraczyć w dniu narodowego święta, tylko obnażyło płonące szaleństwo ich dżyngoistycznej postawy i objawiło im, że przedkładają niszczenie nad świętowanie? I czy taki był sens zagadkowej i gorzkiej uwagi Ernesta, kiedy jesienią 1914 roku opuszczał Gildsey na zawsze: – Spodobała wam się jedna pożoga, zobaczycie drugą? – Czy browar podpalili, jak dość powszechnie wierzono, pijani biesiadnicy, którzy wpadłszy do budynku w poszukiwaniu dalszych rezerw piwa i, przypadkowo czy nieprzypadkowo, zaprószywszy ogień, odkryli nowe i bardziej palące pragnienie? Czy też prawdą była koncepcja przeciwna, według której pożar wywołały władze miejskie w desperackim geście, mającym na celu zarówno położenie kresu owej nocy całkowitego rozpasania, jak i zniszczenie za jednym zamachem całego zapasu złowrogiego trunku? Gdyż, rzeczywiście, po spaleniu browaru nikt więcej Piwa Koronacyjnego nie widział (ani nie pił) – z jednym wyjątkiem. A tajemnica jego receptury – pozostała tajemnicą.

Czy spłonienie browaru stanowiło rozstrzygający dowód na rzecz opinii, że klątwa ciąży nad rodziną Atkinsonów? A jeżeli tak, jak można to było pogodzić z tą drugą teorią, która, początkowo głoszona po cichu, panoszyła się coraz śmielej w późniejszych latach, kiedy Ernest, nie robiąc żadnych planów odbudowy, sprzedał swoje pozostałe aktywa i wycofał się – w zbyt, jak to się wydawało, podejrzany sposób – do Kessling Hall? Że to sam Ernest, upiwszy najpierw całe miasto, podpalił browar. Ponieważ życzył sobie zgarnąć sumę ubezpieczenia w całości.

I ponieważ, dzieci (pozwólcie swojemu nauczycielowi historii na dziwaczną, ale bynajmniej nie słabo udokumentowaną hipotezę), nie tylko nie padł ofiarą klątwy, ale z satysfakcją spełnił rolę jej narzędzia. Ponieważ nie widział żadnej przyszłości dla firmy Atkinson i jej niegdysiejszego imperium, nie mówiąc już o tych ludziach, którzy ściągali katastrofę. Ponieważ niczego nie pragnął bardziej, niż zobaczyć całkowitą ruinę swojego browaru i skończyć z nim raz na zawsze. Zapomnieć o całym interesie.

Takie, być może, miał myśli tego październikowego dnia w 1914 roku, kiedy na obszernym tylnym siedzeniu limuzyny Daimlera, obok jedynej córki (osiemnastoletniej piękności), jechał z Gildsey do Kessling, gdzie kiedyś nie było żadnej rezydencji, żadnej słodowni i żadnego basenu na barki. Takie, być może, miał refleksje, mijając płaskie obrzeża Leemu, tak podobne do nizinnych terenów pomiędzy rzekami Lys i Yser, gdzie wkrótce miało zgasnąć niejedno życie i gdzie Henry Crick miał zostać ranny w kolano. Co Atkinsonowie osiągnęli – być może zapytywał sam siebie – ściągając szeroki świat nad stojącą wodę?

A czy – pytam was, dzieci – Ernest i wszyscy produkujący piwo Atkinsonowie robili coś więcej, jeżeli nawet na większą skalę, niż ojciec Freddiego Parra, kiedy zaczął pić? Próba zapełnienia pustki. Podnoszenia upadłego ducha. Wydobywanie ognia i fermentu z wodnistej nicości...

Werdykt urzędników przeprowadzających oficjalne śledztwo oraz inspektorów z towarzystwa ubezpieczeniowego: nieszczęśliwy wypadek.

Zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia. Odplacić miastu, które wygwizdało jego przemówienie i nie wybrało go posłem. Wystrychnąć ich wszystkich na dudka (bo wytrzeźwieli dostatecznie szybko). Kto wie, czy cała rzecz nie była potwornym żartem i czy gdyby zdołali go odnaleźć owej fatalnej nocy, nie pochwyciliby go i nie wrzucili w sam środek płomieni?

Bo, tak naprawdę, gdzie był Ernest Atkinson, kiedy palił się jego browar? Nieobecny. Chociaż wszyscy przypuszczali, że musi być tam, w gromadzie zaskoczonych i podenerwowanych dygnitarzy, wielu w bankietowych strojach, którzy ni z tego, ni z owego grzali się przy ognisku, nikt później nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, żeby go widział. Chociaż był wtedy w Pawilonie Koronacyjnym i zaszedł znowu (tłumiąc pewne obawy) rano, by obejrzeć tłące się jeszcze ruiny, nikt jakoś nie potrafił umiejscowić go w antrakcie. Nieobecność wielce wymowna.

Jednakże gdy Ernest był nieuchwytny, czyjaś inna obecność, nie pozostająca bez związku, objawiła się w zastępstwie. Bo, potraktujcie to, jeśli chcecie, jako jeszcze jedną halucynację, zrodzoną pod wpływem mieszanki płomieni i piwa, ale znaleźli się tacy w tłumie obserwatorów pożaru, co mówili o spotkaniu kobiety – spotkaniu, które im nagle przypomniało absurdalną starą historię. I kiedy rzeczywiście około wpół do dwunastej w nocy, po tym jak poszukiwania Ernesta nie dały rezultatu, dwóch konstabli (czy trzeźwych, nie wiadomo) wyprawiono do Cable House, znaleźli oni jedynie służącą, Jane Shaw (reszta służby poszła oglądać pożar) w stanie kompletnego roztrzęsienia, która przysięgała na wszystko, że po pierwsze nie tknęła ani kropli tego koszmarnego piwa, a po drugie, że poszła do pokoju na górze, aby popatrzeć na pożar, gdyż się bała o swoje bezpieczeństwo na ulicy, i zobaczyła – zobaczyła – Sarę Atkinson. Ponieważ знаła ją z portretu wiszącego w ratuszu, nie mówiąc już o innych obrazach w domu. Ponieważ słyszała te wszystkie głupie dawne opowieści i teraz wie, że to prawda. Sara stała przy oknie w chwili, kiedy widać było, jak skaczące płomienie atakują szczyt komina, który miał niebawem zniknąć, i ze złośliwym uśmiechem na twarzy i trafnością, która wiele lat temu uszła uwagi jej męża i dwóch oddanych synów, powtarzała: – Ogień! Dym! Pali się!

Quatorze Juillet

Nie przeceniajmy jednak rzeczywistego charakteru ani rzeczywistej rangi zburzenia Bastylii. Siedmiu więźniów uwolnionych (tylu raptem w twierdzy trzymano): dwóch szaleńców, czterech fałszerzy i nieszczęsny rozpustnik. Siedem głów – gubernatora i sześciu spośród broniącego garnizonu – niesionych na pikach. Około dwustu oblegających zabitych lub rannych. Kamienie samej Bastylii, góra gruzu, rozebrane przez przedsiębiorców budowlanych i sprzedane z niezłym zyskiem...

Nie, znaczenie tego okrzykanego podboju nie polega na namacalnych osiągnięciach, ale na jego wartości symbolicznej. Cytadela króla zdobyta przez lud króla. Stąd ten słynny trójkolorowy sztandar – czerwień i błękit miasta Paryża trzymające pod czujną strażą biel domu Burbonów – który stał się przenośnym godłem rewolucji, tak właśnie jak zburzona Bastylia stała się jej historycznym archetypem. Rewolucji. Chociaż w następnych dekadach miano nim wymachiwać przez dwa Cesarstwa i coraz częściej przyszło mu powiewać na porywistym i przygniatającym wietrze nacjonalizmu, a nawet w 1904 skrzyżować się w braterstwie z podobnie czerwono-biało-niebieską flagą (dawnego wroga) imperialistycznej i monarchistycznej Wielkiej Brytanii.

Ach, bożyszczka i ikony historii, ach, emblematy i totemy dnia wczorajszego. Ledwie obaliliśmy jeden, już pojawia się w jego miejsce drugi. Nie potrafimy uciec – jeśli nawet ty potrafisz, Price – od naszych bajek. Nawet w dzieciństwie waszego nauczyciela (jeśli jesteście w stanie coś podobnego sobie wyobrazić), w okresie głębokiej Depresji, której wspomnienie prześladowuje nas w naszych własnych trudnych czasach, Dzień Imperium obchodzony był regularnie i entuzjazmu nie brakowało (brakowało natomiast wzmianek o pożarze browaru).

Wszyscy też wiemy, co wyprawiają Francuzi (siedem głów na pikach i góra gruzu) rok w rok 14 lipca.

24

Dziecinne igraszki

Ale 14 lipca 1940 roku lud francuski nie miał głowy do Bastylli ani nie miał głowy, żeby celebrować swoje wieczyste zwycięstwo nad tyranią. 14 lipca 1940 roku Francja leżała, zresztą już od trzech tygodni, pod niemiecką okupacją, narzuconą błyskawicznie wobec błyskawicznie zanikającego oporu. Ponieważ – potomność wskazuje oskarżycielskim palcem – albo ten stary zdrajca i defetysta, marszałek Petain (który winę za upadek przypisywał ni mniej, ni więcej tylko zatrutemu duchowi *La Révolution*), sprzedał po cichu swój kraj, albo też – żeby nie wszystko zwać na jednego kozła ofiarnego – ponieważ poprzednie udane, pozostawiające gorzkie wspomnienia ataki zza Renu zdołały już złamać kark sławnemu ludowi Francji, co to niegdyś wziął Bastylię.

W lipcu 1940 roku armia niemiecka okupuje kraj, w którego obronie między rokiem 1914 a 1918 oddało życie półtora miliona Francuzów i za który sam Petain walczył bohatersko pod Verdun. W lipcu 1940 Hitler rozważa – jak w 1805 roku rozważał Napoleon – inwazję na Anglię, żeby ją następnie odłożyć i ruszyć na Rosję. Dokładnie jak to kiedyś zrobił Napoleon.

I kto mówi, że historia nie kręci się w kółko?

Również w lipcu 1940 roku, kiedy Hitler konferuje z Göringiem, a smętni ewakuowani przenikają do fenlandzkich wiosek, by stać się obiektem drwin miejscowych dzieci, Tom Crick (przyszły nauczyciel historii), Freddie Parr, Peter Baine, Terry Coe (przyjaciele wyżej wymienionego) oraz Dick Crick, wszyscy w różnokolorowych wełnianych kąpielówkach i wszyscy, wyłączając Freddiego Parra, z mokrymi włosami i zabłoconymi nogami, wraz z Mary Metcalf i Shirley Alford (kretonowe spódnice i bluzki w różnych odcieniach, białe skarpetki i sandały) rozsiedli się na brzegu kanału Hockwell i zajmują się sprawami, które mają niewielki wpływ na (i na które mają niewielki wpływ) stłumione echa światowych wydarzeń.

Bo pod wełnianymi kąpielówkami Toma Cricka, Freddiego Parra, Petera Baine'a i Terry'ego Coe zaznaczają się wyraźne wypukłości, podniecające ciekawość Mary Metcalf i, mniej bezwstydnie, Shirley Alford, której oczy w równym stopniu odczuwają pokusę, by patrzeć, jak i przymus, by uciec w bok, z przyczyn złożonych, które jednocześnie napędzają jej krew na policzki.

A Mary Metcalf mówi: – Pokażcie, pokażcie. – (Rytualne słowa w rytualnej konfrontacji, dzięki którym wypukłości pod wełnianymi przykryciami stają się jeszcze trochę bardziej wypukłe).

A Freddie Parr mówi: – Najpierw wy musicie...

Rowery położone w wysokiej trawie. Świergocące skowronki. Samolot buczy (kraj w stanie wojny). Butelka whisky, przeszło w połowie opróżniona, leżakująca teraz, nie bez pewnej ostentacji, między udami Freddiego, ale przedtem puszczona w kurs między zebranych, dla dodania odwagi.

Peter Baine wypił, Terry Coe wypił, wasz nauczyciel historii wypił, Freddie Parr wypił (najwięcej ze wszystkich), ale Dick odmówił z całą stanowczością i zrobiła to również, bardziej bojaźliwie, Shirley Alford – natomiast Mary Metcalf, już świadoma, jak się wydaje, delikatności sytuacji, kiedy panowie proponują paniom napoje wysokokowe, ale nadal popychana przemożną ciekawością, przechyla butelkę akurat na tyle, żeby móc zanurzyć język, i mówi, odrzucając ją z powrotem: – Fúj.

A whisky, należy nadmienić, jest autentycznie szkocka, ukradziona, z zastosowaniem najrozmaitszych wybiegów, przez Freddiego ojcu. Bo dni czarnego rynku i nielegalnego importu z Ameryki mają dopiero nadejść.

Zapach rozprażonych błot, zapach rzeki, rozpalony błękit nieba, ciepły wiatr... Żeby nie owijać w bawełnę, dzieci, jak również przedstawić wam, na marginesie, zaimprovizowaną teorię, seksualizm ujawnia się łatwiej, wcześniej, na płaskiej ziemi, w kraju wodnistych przestrzeni, niż dajmy na to w krajobrazie górzystym czy zalesionym, gdzie falliczne erupcje samej przyrody hamują człowiecze, albo też w krajobrazie miejskim, gdzie tysiące sztucznych wzniesień (komin browaru, wieżowiec) pomniejszają nasze zwierzęce popędy.

Krótko mówiąc, dzieci, chcę podkreślić, że (wbrew dostępności i różnorodności środków antykoncepcyjnych, wbrew obniżaniu się granicy wieku uczennic zachodzących w ciążę i wbrew wyraźnie szybszemu dojrzewaniu fizycznemu, seksualnemu i – tak jest, Price – nawet umysłowemu dzisiejszej młodzieży) wasze obecne pokolenie nie ma monopolu...

A ta niewinna gra w wyzywankę nad kanałem Hockwell, rozpoczynana już kilka razy przedtem, ale nigdy nie doprowadzona do punktu kulminacyjnego (jakkolwiek go sobie wyobrazić), osiągnęłaby go, gdyby: raz, nie wrodzona nieśmiałość przy pozornej brawurze tych, którzy w niej uczestniczą (przeciętny wiek, wyjąwszy Dicka, trzynaście i pół), a dwa, gdyby tego gorącego lipcowego i pamiętnego popołudnia, kiedy sprawy mogły naprawdę posunąć się dalej, nie działała hamująco czujna obecność mojego brata, który sam stroniąc od towarzystwa, a w najlepszym nawet wypadku nieprzenikniony, niekomunikatywny i trudny jako kompan, nigdy przedtem nie brał udziału w tych poczynaniach. Niemożliwością więc było powiedzieć, jak się na nie zapatruje.

– Po pierwsze – mówi Freddie – musicie zdjąć sandały i skarpetki.

Do czego Mary, a nawet Shirley Alford mogą się spokojnie zastosować.

Wystudiowana pauza, podczas której oczy Mary nie odrywają się od naszych obrzmiń, a oczy Shirley strzelają do nieba.

– A teraz musicie zdjąć – ale czy to pod wpływem ojcowskiej whisky, czy też po prostu z niecierpliwości, Freddie rezygnuje ze zwyczajowego wyliczania, dzięki któremu gra może nigdy nie dojść do końca, i mówi z wyraźnie obleśnym uśmiechem – wszystko.

To wywołuje konsternację zarówno Mary, jak Shirley, chociaż bardziej Shirley. Jako że poprzednio starannie podzielone stadia pośrednie – „bluzkę”, „spódnice” – pozwalały przynajmniej na kompromisowe rozwiązania: na spuszczenie z tonu którejś ze stron, na postawienie warunków („tyle, nie więcej”), na próby wytargowania czegoś w zamian („tylko jeśli ty najpierw”) albo na rozładowanie napięcia ogólnym wybuchem śmiechu czy agresji. Bo w tej grze napędzanej wzajemną ciekawością istnieje także aspekt wzajemnej wrogości.

– Tak nie graliśmy – mówi Shirley.

– Tak gramy teraz – mówi Freddie, pociągając whisky i klepiąc się po wciąż zakrytej wypukłości. – Zmiana reguł.

Mary – a za jej przykładem, choć z oporami, Shirley – zaczyna zdejmować bluzkę i spódnice. Należy jednak zaznaczyć, że robiąc to nie patrzy na Freddiego, Petera Baine’a, Terry’ego Coe czy mnie ani nie na nasze zdradzieckie kąpielówki, ale na Dicka, który z podciągniętymi kolanami siedzi w miejscu, gdzie brzeg jest najwyższy, i obserwuje, niby jakiś niemy sędzia.

Zrzucenie spódnicy i bluzki stawia Shirley w niekorzystnej sytuacji. Gdy bowiem rozwijająca się anatomia Mary każe jej nosić najbardziej skąpy ze staników, Shirley nie nosi niczego podobnego. Jej płaskie, skromne sutki nie różnią się niczym od tego, co znamy z własnych klatek piersiowych. Tak więc w tym momencie Shirley ma niewyraźną minę, a wszystkie oczy zwracają się ku Mary.

Mary zdejmuje stanik i natychmiast oplata rękami ramiona.

– A teraz... – ale Freddie nigdy nie potrafi bez mnóstwa min i grymasów, i bez groźby, że zaraz zacznie się głupio śmiać, wymówić słowa „majtki”.

Mary potrząsa głową, nadal trzymając się za ramiona.

– Nie. Teraz jesteśmy na równi. – (Jej i Shirley flanelowe majtki na nasze kąpielówki). – Wy musicie coś zrobić. – I wpatruje się w wypukłość Freddiego, która jak gdyby zmniejsza się pod jej spojrzeniem.

Cisza. Lizanie suchych warg.

Wtedy Freddie Parr wychyla się nagle, ściąga prawą dłoń Mary z jej lewego ramienia, przyciska do swoich kąpielówek i mówi:

– Masz, pomacaj sobie. Teraz....

Na co Shirley z wyrazem przestrawienia zbiera swoje rzeczy, odsuwa się na pewną odległość, ubiera pośpiesznie i prędko odjeżdża na swoim rowerze, ścigana pogardliwymi okrzykami i gwizdami.

Teraz, czy ciekawość przewycięży zahamowania?

Mary, z rękami ponownie osłaniającymi młode piersi:

– Wy najpierw.

Peter Baine:

– Ale nas jest czterech.

Mary:

– Chcecie, żebym wybierała? Poza tym jest was pięciu.

I spogląda tam, gdzie tuż pod skarpą nadal siedzi Dick. Sam i osobno (bo Dick nie ma jeszcze motocykla).

Freddie Parr, w szczególności, podchwytuje to spojrzenie.

– No to już, do roboty – Mary z nutą autorytetu. Jak gdyby wycofanie się Shirley dodało jej pewności siebie albo jakby to spojrzenie na Dicka miało w jakiś tajemniczy sposób zmusić naszą czwórkę do uległości.

Lipcowe słońce nad brzegiem kanału Hockwell. Cztery pary kąpielówek, dwie ciemnoniebieskich, jedna czarnych, jedna jasnobrązowych, spuszczone w tym słońcu z prawie panięską potulnością, przy czym żadne za skarby świata nie chcą wyprzedzić sąsiednich ani też pozostać za nimi w tyle. Cztery pomarszczone, niezdecydowane i trochę lepkie członki w gniazdkach kiełkujących włosów łonowych – odsłonięte; które usiłują stanąć, wiotczeją i znów się słabo unoszą. Bo czy to sprawka ukradzonej przez Freddiego whisky (która już zdążyła zakręcić nam w głowach i brzuchach), czy też po prostu wrodzona wstydlivość, ale nie jesteśmy w stanie, czterech, jak nas jest – bez względu na naszą wstępną sztywność i mimo tego, że Mary dla zachęty zdjęła ręce ze swoich pączkujących piersi – zdobyć się na przyzwoity wzwód. A biedny przyrządek waszego nauczyciela historii – widzicie, dzieci, nie cofam się przed żadnym wyznaniem – opada z kretesem.

Mary po pobieżnej inspekcji odwraca głowę. (Jak na komendę cztery pary kąpielówek szybko podjeżdżają w górę). Jest rozczarowana. Jej ciekawość doznała zawodu. Za tak nędzny pokaz nie ma zamiaru ściągać własnych granatowych majtek, przepisowych w szkole klasztornej.

Czwórka w kąpielówkach stoi – czy też może nie stoi – skompromitowana. Freddie pośpiesznie pociąga haust whisky. Terry Coe – czyż to możliwe – ma łzy w czach. A wasz nauczyciel historii nie wie, gdzie oczy podziąć.

– Chyba – mówi Mary, głośno myśląc i upajając się pozycją bezwzględnej przewagi, jaką teraz osiągnęła – chyba że najpierw przejdziecie próbę.

– Jaką próbę?

Cztery głowy uniesione. Popłoch.

Mary patrzy na powierzchnię kanału:

– Próbę pływacką. Od drewnianego mostka. Temu, który przepłynie najdalej... pod wodą. Jemu pokażę.

– Przecież wiesz, że ja nie umiem pływać – mówi Freddie.

– Trudno. Więc będziesz się musiał nauczyć.

Przez „drewniany mostek” Mary rozumie wąską i chybotliwą konstrukcję z desek i listew, o pojedynczej poręczy, przerzuconą nad kanałem i uniesioną w swojej środkowej części przez dwa pale na jakieś osiem stóp ponad wodę, żeby pozwolić na przepływ galar. Idealna trampolina.

– No to chodźcie.

I Mary, by nas podbechtać, jeszcze raz zdejmuje ręce ze swoich ledwie rozwiniętych, ale w pełni dostrzegalnych piersi, następnie znowu się zasłania.

Wstajemy, przy czym z powodu wypitej whisky mamy trudności ze znalezieniem równowagi, powraca też ssanie w żołądku. Wątpliwe, czy w dalszym ciągu nagroda w postaci ujrzenia na własne oczy, co Mary ma innego niż my między nogami, stanowi dla nas równie silny bodziec, jak chęć pokazania się jeden przed drugim. Podobnie jak Mary zapewne powoduje się już nie ciekawością, ale poczuciem tej niezaprzeczalnej władzy, którą odkryła i którą sprawuje.

Kiedy jednak zawracamy, by ruszyć brzegiem kanału do drewnianego mostka, musimy się zatrzymać i zarówno nasza męska duma, jak kobieca moc Mary doznają uszczerbku. Bo oto przyłącza się do nas Dick. Zszedł ze skarpy. I mało że Dick, ale także przyczepiona do niego, ukryta, choć ledwo się mieszcząca w naprężonych kąpielówkach, cylindryczna wypukłość o potężnych i imponujących proporcjach.

Dzieci, dzięki braterskiej bliskości miałem dosyć okazji, żeby przyjrzeć się członkowi mojego brata – zwisającemu, dyndającemu, biernemu. Niezły okaz, spory, ale nie olbrzym w stanie nie nabitym. Nigdy jednak nie widziałem... Nawet myślałem sobie – biorąc pod uwagę ogólną ospałość Dicka, jego kapuściany łeb, brak słów, nieobecne spojrzenie – że on (nawet jeśli rozpatrywałem sprawy na sposób akademicki, z drugiej strony tej życiowej bramy, przez którą miałem dopiero przejść) zwyczajnie nie jest zainteresowany. Nigdy jednak nie widziałem...

A może też nie widział Dick. Może dla niego, jak i dla nas, ta sytuacja była zdumiewającym i traumatycznym odkryciem. Wypycha bowiem to dziwo przed siebie, podając do przodu miednicę, jak gdyby odsuwał coś na odległość, niepewny, czy ma to uznać.

– J-ja też. Też pływać.

Oczy Mary – wszyscyśmy to spostrzegli – wyskakują z orbit. Rumieniec rozplówienia jej policzki. Czoło się marszczy. A podczas kiedy występują te objawy, rozważa zapewne (moje błyskawiczne, gorzkie podejrzenie), że – zupełnie niezależnie od faktu samych tych zaskakujących rozmiarów – Dick jest starszy od wszystkich o cztery lata. Oto w końcu, choć zakłęty w dziecko, jest mężczyzna (niewielka kępka włosów między piersiami Dicka). Jakie inne cudowne właściwości może posiadać owo poza tym tępe stworzenie?

W oczach Mary ponownie rozpalona – ponownie rozplómienna ciekawość. I strach. Cień strachu. Ten rodzaj strachu, który, ponieważ walczy z ciekawością i ponieważ zawiera w sobie coś innego – także cień litości, dziwny podtekst miłosierdzia – tworzy niebezpieczną mieszankę. Do drewnianego mostka. Szybko. Osłabić gwałtowną i desperacką akcją efekt pojawienia się tego kota wśród gołębi, tego kozła wśród owieczek. Uniknąć przynajmniej konieczności stania i patrzenia jeszcze dłużej na tego małego olbrzyma. Nawet Freddie, wbrew swoim nie pozbawionym słuszności protestom, pędzi wzdłuż kanału. W środkowej części drewnianego mostka pięć postaci w następującej kolejności: Peter Baine, Terry Coe, Tom Crick, Freddie Parr, Dick Crick, wszyscy w postawach na rozmaity sposób znamionujących brawurę i spięcie (a w jednym wypadku seksualne pobudzenie) i wszyscy (z jednym wyjątkiem) w różnych stanach upojenia alkoholowego. Pięć postaci zwróconych twarzami do kanału Hockwell – stworzonej przez człowieka drogi wodnej, która odprowadza wody do rzeki Leem, która z kolei odprowadza je do rzeki Ouse – czekających na sygnał do nurkowania.

Sztuka pływania pod wodą, uprawiana podczas tych okresów wspaniałej letniej pogody przez młodzież męską w Hockwell, Wansham i gdziekolwiek indziej, nie jest ani wyszukana, ani z drugiej strony łatwa. Polega na połączeniu siły płuc z siłą mięśni mających przeciw sobie mętne, błotniste wody kanału Hockwell, które oferują niewielki wybór między pływackimi stylami z otwartymi i zamkniętymi oczyma i które, mimowolnie a nieuchronnie połknięte, kiedy skończy się zapas powietrza, mają zgniły smak. Stanowiło to już przedmiot wyzwań, skromnych zakładów i przechwałek. Nigdy jednak tak ostrej prowokacji jak ta.

Wasz nauczyciel historii uważa, że nie jest w tej sztuce nowicjuszem. Uważa, że potrafi pobić Petera Baine'a i Terry'ego Coe (bił ich już przedtem). A co do Freddiego Parra... Ale gwałtowne emocje i niespodziewany rywal sprawiają, że drży teraz, stojąc na deskach.

Pięć postaci na mostku. Oraz jedna na brzegu (w granatowych majtkach), która – z rękami wciąż opasującymi ramiona – krzyczy: – Gotowi!

Robi bezlitosną pauzę, podczas której gwałtownie wciągnięte hausty powietrza zostają do połowy zmarnowane. Po czym: – Hop!

Młodszy z dwóch braci Crick nurkuje i traci z oczu swoich konkurentów. Zdecydowany, że prędzej mu pękną płuca, niż Mary będzie miała powód, by nim gardzić (nie mówiąc już o pozbawieniu go widoku swojej...), płynie głęboko. Żadna rysa na powierzchni go nie dyskwalifikuje. Przed oczyma ma brunatną i milczącą mgłę. Zawiesinę szlamu. Szlam zmacony. Królestwo, gdzie ziemia miesza się z wodą. Tajemnicze, nieskończone, ogarniające. Jego kończyny walczą, gardło dopomina się powietrza. Musi wypłynąć (co to znaczy się topić!), musi wypłynąć...

I wypływa, piętnaście jardów od mostka, łapie powietrze, łapie jeszcze raz, i widzi Petera Baine'a, także łapiącego oddech, jakieś trzy jardy za sobą i Terry'ego Coe jeszcze jakiś jard za tamtym. Ale na pobliskim brzegu ani śladu Mary, która ogłosiłaby, że Tom Crick jest pierwszy, Tom Crick wygrał. Bo co tymczasem dzieje się na mostku? Freddie Parr pobiera lekcję pływania. Freddie istotnie, nie mogąc ścierpieć całkowitego upokorzenia, zanurkował i teraz walczy z wodą, młóci wodę rękami, wypływa wodę, skamle, przekręca się, tonie, znów wypływa, bulgoce, znów tonie. Mary stoi przerażona na brzegu. A mój brat, który nie nurkował, który pozostaje na mostku, spogląda w dół na Freddiego z wyrazem zafascynowania, jak również z miną kogoś, kto czeka, żeby tyle a tyle sekund przeszło, a następnie – podczas gdy ci w wodzie płyną w kierunku mostka – klęka, kładzie się na deskach, przechyla poza krawędź, trzyma się jedną ręką, a drugą, bez pośpiechu, wyciąga do Freddiego. Który ją chwytą i – obecnie w stanie głębszego upokorzenia niż to, jakiego usiłował uniknąć – zostaje wciągnięty na deski pokazową siłą długiego ramienia swojego wybawcy.

Krótkie i szorstkie dochodzenie, kiedy z Peterem Baine i Terryem Coe wspinamy się na brzeg.

- Nic mu nie jest.
- Co się stało?
- Sam sobie winien.

- Czy Dick go zepchnął?
- Nie, sam zanurkował, próbował w każdym razie.
- Głupi kretyn.
- Nie musiał. Nikt mu nie kazał.

Ale Dick nic nie mówi. Stoi na mostku, z pustą twarzą, jeszcze sztywniejszy i bardziej obrzmiały.

Freddie opada na brzeg, dysząc ciężko.

- Ale czy widziałaś? Widziałaś, kto wygrał?

Rozdrażniony, natarczywy głos. Ponieważ nawet ryzykując, że wyjdzie na chwalipiętę, wasz nauczyciel historii nie chce, żeby jego osiągnięcie przeszło nie zauważone.

– Widziałam... – odpowiada Mary, oddalając się, o zgrozo, w kierunku swego ubrania.

Równocześnie jednak ochrypiły krzyk i głośny plusk zmuszają wszystkich do błyskawicznego odwrócenia głowy.

Dick zanurkował. Dick dał wyraz swojemu pogładowi, że zawody jeszcze się nie skończyły.

Zmarszczki na wodzie. Bańki powietrza. Błysk ziemistych nóg pod szarobrunatną powierzchnią. Potem nic. Długo nic. Przez piętnaście sekund, przez trzydzieści sekund nic. I dalej nic. Następnie, kiedy nic musiało już chyba przekroczyć ostateczny przydzielony mu termin, wciąż nic. I, po kolejnym, pełnym już zaskoczenia ustępstwie czasu na rzecz nic, podczas kiedy Freddie na czworakach wyrzuca na trawę strumień wymiotów, zalatujących zapachem whisky, dalej nic. I dalej nic. Wobec czego wszyscy (z wyjątkiem Freddiego) podrywają się na nogi, a Mary, rezygnując z pełnej osłony swoich sutków, unosi jedną rękę, żeby przysłonić oczy. Ponieważ, jeśli opierać obliczenia przestrzenne na upływie czasu, teraz jest to już kwestia wpatrywania się w błyszczącą od słońca dal.

Zamglony błękit nieba. Nagrzany brzeg. Płaskie, płaskie Feny. Chrząst sitowia. Błoto między palcami nóg. Płaczące wierzby. Mary...

I kiedy się wydaje, że zdumiewające nic przeszło we wspaniałą i cudowną możliwość „na zawsze”, głowa – to znaczy daleka ciemna plamka – pojawia się na powierzchni, jakieś siedemdziesiąt – czy to możliwe, że osiemdziesiąt, czy to możliwe, że sto – jardów od miejsca, gdzie stoimy. Wytrząsa wodę z włosów, nie wykazuje żadnych objawów zmęczenia, jak gdyby wynurzając się właśnie w tym miejscu uczyniła to jedynie przez kaprys, a nie z konieczności; zmierza do brzegu; ciągnie za sobą (długi, ale pozbawiony płetw i łusek) korpus mojego brata i bez odpoczynku czy zatrzymania sunie w naszym kierunku, osadzona na swoim wysokim na sześć stóp, szczupłym ciele koloru ziemiaka, podczas kiedy my wpatrujemy się (nawet Freddie, odświeżony po wymiotach), przejęci grozą.

Jakich jeszcze cudów można oczekiwać poza tym fenomenalnym wyczynem z dziedziny sportów wodnych oraz tym olbrzymim podługowatym kształtem pod kąpielówkami? Czy Dick upomni się o swoją nagrodę? Czy Mary ją przyzna? Gdzie pójdą, tak by Mary mogła spuścić majtki, nie widziana przez nas, niegodnych fuszerów, i gdzie Dick mógłby (choć nie musi) wyprząc swojego...?

Ale w miarę przybliżania się Dicka do nas jedna rzecz zaczyna być widoczna – lub widoczna przez nieobecność. To potworne obrzmienie, ta uwięziona kolba – już jej przed siebie nie wypycha. Zniknęła – czy raczej zapadła się, ściągnęła w ów nieokreślony workowaty kształt, na który trzeba zostawić miejsce w każdej parze męskich kąpielówek i na którym po pływaniu zbierają się krople, a następnie opadają.

Co mogło spowodować to zniknięcie? Czy możliwe, że Dick się boi? Czy to możliwe, że teraz, gdy nadeszła chwila, on także pada ofiarą perwersyjnego skurczu? A może chłodne wody kanału i niezwykle wyężenie zwróciły chwilowo jego energię w inną stronę, a za moment wszystko się znowu podniesie? Czy to możliwe, że celem nurkowania Dicka było nie co innego, jak likwidacja owego cielesnego pręta? Albo – jeszcze bardziej szaleńcze fantazje, pogłębiające w dodatku zagadkę jego przeciągniętego i zdumiewającego zanurzenia – czy to możliwe, że Dick doznał w związku w tym satysfakcji, ekstazy, jakiej nawet Mary nie jest w stanie dostarczyć, i że zdążył?... Tak że nawet teraz poskręcane niteczki zakrzepłego Dickowego nasienia spływają do Leemu, skąd ani chybi popłyną do Ousy, a stamtąd do morza. Albo też taką odbyłyby podróż, gdyby po drodze nie znalazła się żadna głodna ryba, żeby je połknąć.

Mary cofa się, postępuje do przodu, wpatruje się lękliwie, ciekawie w kąpielówki Dicka, gotowa się poddać, niby pochwycona niewolnica, temu niezdarnemu zwycięzcy. Ale Dick, z wilgotnym wzrokiem (spod trzepoczących rzęs), w którym zawierają się dwa spojrzenia – jedno dla Mary (niepewne, być może żałosne) – a drugie dla reszty z nas (obojętne, być może karcące) – nie żąda swego trofeum. Zrównawszy się z Mary, wstrzymuje na chwilę krok. Rusza dalej. Podnosi butelkę whisky, w której jest jeszcze mniej więcej na trzy palce rozgrzanego słońcem trunku. Wrzuca ją do kanału. Spogląda na nas wszystkich z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Maszeruje (unikając rozbryzgniętych wymiocin Freddiego) na skarpe, na swoją dawną pozycję. Siada, podnosi kolana, obejmuje je, patrzy ponad nimi. Nadąsano-zasepiony.

– Hej, jak ty to robisz?

– Moja whisky. Moja whisky...

– Jak zatrzymujesz oddech?

– Jak?

– Nie powiesz chyba, że już po? Że zdążyłeś?...

Żadnej odpowiedzi. Trzepotanie rzęs.

– Hej, Mary, nie masz zamiaru?

Żadnej odpowiedzi. Ciężkie milczenie.

– Mary, powiedziałaś...?

Mary zmierza w kierunku pozostawionego ubrania.

– To co, nie grasz dalej?

Peter Baine pojawia się na jej drodze, zręcznie chwyta większą część porzucanej odzieży, odskakuje, zatrzymuje się, trzyma spódnicę Mary za pasek przed własnymi biodrami, kręci się w stylu hula-hula, usuwa spódnicę ruchem niezgrabnego toreadora, kiedy Mary usiłuje ją pochwycić, daje susa do tyłu, część swego bagażu rzuca Terry'emu Coe, który, bystry chłopak, łapie i rozpoczyna następny numer baletowy, przykładając do własnej piersi debiutancki staniczek Mary.

Zabawa w berka, w przerzucankę tam i z powrotem po brzegu, w której ubranie wędruje z rąk do rąk, w której Mary zmuszona jest kręcić się, obracać, sięgać to tu, to tam, cały czas usiłując wykorzystać jedną dłoń jako osłonę; w której jednak ani Dick, siedzący, trzepoczący rzęsami, obserwujący, ani jego brat Tom (z powodów, które tylko można nazwać braterskimi, ale także z czysto osobistych powodów), nie biorą udziału.

Freddie też się nie przyłącza. Także z osobistych powodów. Ponieważ Freddie siedzi, jednym okiem przypatrując się zabawie w berka, ale drugie, bardziej skoncentrowane, kierując pytająco na Dicka. Ponieważ już na samym początku zabawy, kiedy wszystkie inne oczy zajęte są jej śledzeniem, Freddie oddała się ukradkiem wzdłuż brzegu do drewnianego mostka i jeszcze dalej, gdzie, jak Freddie wie, zastawione są samolówki na węgorze. Ponieważ Freddiemu inna zabawa w głowie. Ponieważ kiedy rzucanie i łapanie, i ściganie już się znudziły i Peter Baine i Terry Coe zdecydowali się rozrzucić rzeczy Mary tu i ówdzie, tak że może je ona wreszcie, aczkolwiek niejako z łaski odzyskać, Freddie podbiega nagle od strony drewnianego mostka, tak szybko, że nie sposób prawie zobaczyć, co niesie, i kiedy Mary pochyla się po spódnicę, nie spodziewając się niczego, łapie ją od tyłu, odciąga tą samą ręką mocną gumkę z jej regulaminowych majtek, a drugą ręką wpuszcza węgorza, ważącego dobre trzy ćwierci funta, do środka.

Wobec czego Mary, która nagle straciła wszelkie zainteresowanie spódnicą, a nawet tak uparcie kontynuowanym zasłanianiem piersi, wykonuje pełny obrót, garbi się, wbija łokcie w żebra, trzyma obydwie drżące przedramiona odstawione od boków, wciąga powietrze, ale nie wydając żadnego innego dźwięku ani nie wykonując żadnego innego ruchu dla ulżenia swojej sytuacji (jako że się z nią nigdy przedtem nie zetknęła) zastyga nieruchomo z szeroko otwartymi ustami, podczas gdy coś wije się, wierci, kręci w jej majtkach, aż wreszcie (bo węgorze biegną w sztuce wydobywania się nawet z najbardziej nieprawdopodobnych opałów) wyslizguje się pod gumką na nogawce, kłapie na trawę i z nie osłabionym instynktem sunie w kierunku kanału.

Na co Mary dostaje ataku przedłużającego się i niepokojąco przeraźliwego śmiechu.

Mniejsza o Bastylę

Hej, to dobre. Ale jaja. Mniejsza o Bastylę. Mniejsza o Marsz Historii. Chcielibyśmy usłyszeć coś więcej na ten temat. Więc on naprawdę wpuścił jej węgorza w...? A pana brat miał dużego...? Jak dużego dokładnie? No, dalej, niech pan nam powie.

Lubieżne poszeptywania w klasie. Wymiana dwuznacznych spojrzeń. Judy Dobson i Gita Khan w pierwszym rzędzie zakładają nogę na nogę, kobieco-obronnie, doświadczając bez wątpienia pod majtkami, granatowymi czy innymi, niepokojących doznań, ale od pasa w górę ani drgną, zamienione w słuch.

Więc stary goniący-już-w-piętkę, zapatrzony-w-przeszłość Cricky potrafi pójść na całość. Więc stary wapniak, zaśniedziały kierownik działu historii, nie boi się przyznać, że kiedyś...

Więc ma zamiar dotrzymać słowa. Więc naprawdę ma zamiar uczyć tak, jak jemu się podoba, i już. Naprawdę chce wywalić program w cholere.

Tylko Price robi wrażenie nieufnego, tylko Price robi wrażenie mającego za złe. Bo zdobyłem ich nieuczciwymi metodami? Bo zalegalizowałem działalność wywrotową?

(Koledzy, strzeżcie się! Widzicie, do czego on zmierza. Widzicie, jak usiłuje was nabrać na stary kawał. Że jest jednym z was. Król jest tylko człowiekiem, tyran to tylko ciało i krew. Nie dajcie się przekupić takimi pojednawczymi gestami. Strzeżcie się także tej drugiej sztuczki, której on równocześnie próbuje. Rozbić wasz powstańczy impet, zawrócić w biegu wasz rewolucyjny zapal. Sprośnymi gadkami i schlebaniem pustej ciekawości).

No i kto jest tutaj buntownikiem?

Przypuśćmy jednak, że to nie jest tak, Price. Przypuśćmy, że jest akurat odwrotnie. Przypuśćmy, że to rewolucje zawracają i hamują naszą wrodzoną ciekawość. Przypuśćmy, że to ciekawość – która inspiruje seksualne poszukiwania i syci żądzę słuchania i opowiadania historyjek – jest naturalnym i zasadniczym stanem naszego umysłu. Przypuśćmy, że to nasze nienasycone i gorączkowe pragnienie, aby wiedzieć wszystko o świecie, o innych, zawsze węszyć, jest prawdziwym i legalnym elementem wywrotowym i okazuje się nawet silniejsze od naszego dążenia do historycznego postępu. Czy kiedykolwiek myślałeś, że dlatego tak wiele historycznych działań, nie tylko rewolucyjnych, ponosi klęskę w samej swej istocie, iż nie biorą one pod uwagę złożonych i nie dających się przewidzieć odmian naszej ciekawości? Która nie chce przeć naprzód, która zawsze chce powiedzieć: Zaraz, to interesujące, zatrzymajmy się na chwilę, rzućmy okiem, cofnijmy się... skrećmy w przeciwną stronę? Po co ten pośpiech? Po co ten pęd? Odkrywajmy.

Ach, dzieci, pomyślcie, że w każdym okresie historii, bez względu na to, jakie wstrząsające światem wydarzenia znajdowały się w oficjalnym rozkładzie dnia, nie brakowało ludzi ciekawych – astronomów i botaników, poszukiwaczy skamielin i podróżników wyprawiających się za koło polarne, nie wspominając już o skromnych historykach – którym za ich uparte i samowolne dociekanie prawdy nie powinniśmy odpłacić niewdzięcznością. Pomyślcie, że studiowanie historii jest dokładnym przeciwieństwem, jest zaprzeczeniem jej tworzenia. Pomyślcie o waszym siedemnastoletnim nauczycielu historii, który, kiedy walka o Europę osiąga stadium najwyższego napięcia, kiedy my przełamujemy front we Francji, a Rosjanie urządzają wyścig do Berlina, niewiele uwagi poświęca tym Dziejowym Wypadkom (wypadki o lokalnym, choć także niszczycielskim charakterze przyćmiły dla niego ważność tamtych), pogrąża się natomiast w badaniach naukowych nad zagadnieniami z gatunku marginalnych i obsesyjnych: postępy melioracji (i rozwój browarnictwa) na wschodnich Fenach, obrady Zarządu Robót Melioracyjnych i Żeglugi na Leemie, historia, wydobywana z pamięci żyjących oraz z dokumentacji, tak publicznej, jak ściśle prywatnej, rodziny Cricków i Atkinsonów.

A jaka dziwna i fascynująca okazuje się ta opowieść...

Tak, istnieje coś takiego – czy ma to nazwę? – co gwizdże na historię albo na to, co podręczniki do historii nazywają Historią. Coś takiego, co gwizdże na chwiejący się w posadach świat...

I nawet kiedy Price mówi nam, do czego historia doszła, nawet kiedy zsumujemy nasze nuklearne koszmary senne, wciąż znajdujecie czas...

Więc jesteście ciekawi. Więc jesteście ciekawi. Chętnie poświęćcie upadek królów dla poświntuszenia na boku. Pozwólcie mi więc opowiedzieć

O węgorzu

Którego okaz wpuszczony przez Freddiego Parra w majtki Mary w lipcu 1940 roku był zdrowym przedstawicielem jedyne go, choć licznie występującego gatunku słodkowodnego w Europie – *Anquilla anquilla*, węgorza europejskiego.

Otóż węgorz może nam wiele powiedzieć o ciekawości, w gruncie rzeczy znacznie więcej, niż ciekawość może nas nauczyć o węgorzu. Czy nie dziwi was, że dopiero w latach dwudziestych XIX stulecia odkryto, jak rodzą się małe węgorze, i że od wieków toczy się zażarty spór na temat nadal nie do końca poznanego cyklu rozwojowego tego węzowatego, rybiego, znakomitego w smaku, na dodatek nasuwającego liczne skojarzenia stworu?

Znali go Egipcjanie, znali go Grecy, znali go Rzymianie i cenili jego mięso, ale żaden z tych zmyślnych ludów nie mógł dojść, gdzie węgorz ma swoje organy rozrodcze, jeśli je w ogóle posiada, nikt też nie był w stanie znaleźć (i nikt nigdy nie znajdzie) w żadnych wodach, jakie zamieszkuje węgorz europejski, od Przylądka Północnego po Nil, ani jednej samicy z dojrzałą ikrą.

Ciekawość nie mogła przejść do porządku dziennego nad tą zagadką. Arystoteles utrzymywał, że faktycznie węgorz jest stworzeniem bezpłciowym, a jego potomstwo rodzi się samoczynnie z błota. Pliniusz twierdził, że popychany instynktem rozrodczym węgorz ociera się o skały, a młode powstają ze strzępów zrzuconej w ten sposób skóry. Pośród innych wyjaśnień pochodzenia tego na pozór nie najlepiej wyposażonego gatunku można było znaleźć teorię, że węgorze biorą swój początek z materii w stanie rozkładu, że wychodzą ze skrzeli innych ryb, że lęgną się z końskiego włosia wrzuconego do wody, że opadają z chłodną słodką rosą w majowe poranki – nie wspominając już o osobliwym podaniu z naszej rodzimej Fenlandii, głoszącym, że węgorze to nic innego jak zwielokrotnione mutacje dawnych grzesznych mnichów i księży, którym święty Dustan w świętym i nadprzyrodzonym gniewie zadał za pokutę wieczne oślizgłe bytowanie, przez co katedralne miasto na Fenach zyskało swoją nazwę: Ely – siedlisko węgorzy.

W XVIII wieku Linneusz, który nie był amatorem, oznajmił, że węgorz jest żyworodny, to znaczy, że jajka zapładniane są wewnątrz, a młode rodzą się żywe – która to teoria została obalona (choć Linneusz nigdy od niej nie odstąpił), kiedy Francesco Redi z Pizy wykazał niezbicie, że to, co brano za młode węgorze w macicy dorosłego węgorza, było jedynie pasożytującymi robakami.

Macica? Jaka macica? Dopiero w 1777 roku niejaki Carlo Mondini oświadczył, że udało mu się umiejscowić maleńkie narządy będące w istocie jajnikami węgorza. Odkrycie to wzbudziło wątpliwości w umyśle jego rodaka Spallanzanego (poplecznik Rediego w sporze z Linneuszem), który zadał proste, acz kłopotliwe pytanie: jeżeli to są jajniki, to gdzie są jajeczka? I w ten sposób – po długotrwałym okresie obalania i antyobalania oraz przerzucania się tam i z powrotem uczonymi dysertacjami – odkrycie Mondiniego zostało potwierdzone dopiero w 1850 roku (biedak nie żył już od dawna) przez Polaka Marcina Rathke, który w tymże roku ogłosił drukiem definitywny opis żeńskich organów płciowych *Anquilla anquilla*.

Mieście na uwadze, dzieci, do jakich walk, powikłań, wydatkowania energii, niezmordowanych poszukiwań prowadzi ciekawość. Kiedy *ancien régime* chylił się do upadku, kiedy Europa wkroczyła w rewolucyjną fazę swych dziejów i każde niemal pokolenie występowało z nowym pomysłem na przeznaczenie ludzkości, znaleźli się tacy, którzy swoje własne przeznaczenie nierozzerwalnie sprzęgli z pochodzeniem węgorza.

A jednak w roku 1850, chociaż jajniki były już opisane, jądra nadal stanowiły niewiadomą – dopuszczając wszelkie możliwe spekulacje – a tajemnicze życie płciowe węgorzy pozostawało nie wyjaśnione. Tajemnicze czy nie, musiało być zdrowe, ponieważ mimo ogólnej niewiedzy na temat procesów rozrodczych gatunku, wielkie ilości młodych węgorzy gromadziły się każdej wiosny u ujść wybranych rzek – Nilu, Dunaju, Padu, Łaby, Renu – i wyruszały pod prąd, tak jak to czyniły w czasach skłopotanego starego Arystotelesa i przed nim. Warto też wspomnieć, że w tym samym roku 1850, chociaż doszukiwanie się tu związku z pracami jakiegoś polskiego zoologa zakrawałoby chyba na czysty okultyzm, wędrówka węgorzy – czyli podążanie narybku szklistego, to jest małych węgorzyków, w górę rzek – odbywała się w angielskiej Wielkiej Ousie na szczególnie dużą skalę. Dwie i pół tony narybku złapano jednego dnia, czego odpowiednik liczbowy można uzyskać w przybliżeniu, jeśli się pamięta, że na jeden funt wagi wchodzi ponad dwadzieścia tysięcy węgorzyków.

W roku 1874 kiedy, jak to sobie przypominacie, ta sama rzeka Ouse groźnie wylała, a mój pradziadek został nie tylko ojcem, ale również konserwatywnym posłem z okręgu Gildsey, inny Polak, Szymon Syrski, profesor uniwersytetu we Lwowie, dokonał tak długo odwołującego się odkrycia jąder węgorka – przełom w stanie badań, który spotkał się z większym uznaniem niż odkrycie Mondiniego. Bo te same mikroskopijne jądra węgorka nazywane są niekiedy – niewątpliwie nie bez pewnej filuternej nuty – narządem Syrskiego. Nie przeszkodziło to jednak Juliuszowi Munsterowi, dyrektorowi muzeum zoologicznego w Greifswaldzie, przebadać w tym samym roku około trzech tysięcy węgorków, stwierdzić, że żaden z nich nie jest samcem, i wyciągnąć wniosek, że gatunek rozmnaża się partenogenetycznie – to jest przez niepokalane poczęcie.

Niemniej, skoro istnieją te dwa podstawowe i znakomicie uzupełniające się narządy – jajniki i jądra – kiedy, gdzie i w jaki sposób jednoczą się, żeby wykonać swoje zadanie?

Nie doszliśmy jeszcze do najbardziej znaczącego epizodu w mitologicznym poniekąd tropieniu genezy węgorza. Trzeba sobie uświadomić, że w swoim naturalnym środowisku, słodkich wodach i ujściach rzek Europy i północnej Afryki, węgorz przybiera dwie różne postacie. Przez większość dorosłego życia ma barwę żółtawooliwkową, czasami z odcieniem brunatnym, i tępo zakończony pysk. Ale po kilku latach pysk się wyostrza, oczy powiększają, boki uzyskują srebrzysty połysk, grzbiet staje się czarny, a wszystkie te zmiany zapowiadają powrotną podróż do morza. Ponieważ podróż ta przypada na jesień, a młode wędrują w górę rzeki na wiosnę, nie jest chyba pozbawiony podstaw wniosek, że tarło odbywa się zimą w rejonach przybrzeżnych. Jednakże (powtórzmy) kto kiedykolwiek spotkał samicę gotową do zniesienia ikry, już nie mówiąc o samej ikrze lub też świeżo wylęgniętej larwie węgorza, w przybrzeżnych wodach Europy?

W roku 1856 – po Rathkem, a przed Syrskim – w ciepłych prądach Cieśniny Mesyńskiej złowiono pewnego dnia małą rybkę zupełnie nie przypominającą węgorza, którą zaliczono do nowego rodzaju. Czterdzieści lat później podobny egzemplarz, złapany w tejże samej Cieśninie Mesyńskiej, wyhodowano w niewoli wykazując, że jest to właśnie larwa węgorza europejskiego. Skoro jednak dorosłe węgorze występowały w tak olbrzymich ilościach, dlaczego ich larwy były zjawiskiem tak rzadkim?

Czas wprowadzić do tej historii postać Johanna Schmidta, duńskiego oceanografa i ichtiologa. Kto słyszał o Johannesie Schmidcie? Podobno epoka nowożytna nie ma swoich Sindbadów i Jazonów, nie mówiąc już o Drake'ach i Magellanach, dni wielkich morskich wypraw przeminęły z Cookiem. Johannes Schmidt jest wyjątkiem. Są ci, którzy tworzą historię, i ci, którzy ją kontemplują, są ci, którzy powodują wydarzenia, i ci, którzy pytają „dlaczego”. A wśród tych drugich są tacy, którzy działalność pierwszych uważają jedynie za przeszkodę w osiągnięciu swoich celów, którzy spychają po prostu historię w tło, odwracając się plecami do jej efemerycznych wymogów, puszczając się w najbardziej baśniową pogoń za wiecznie nieznanym. Takim człowiekiem – takim wyznawcą ciekawości – był Johannes Schmidt.

W roku 1904, kiedy mocarstwa europejskie rozdrapywały kolonialne łupy, Johannes Schmidt ruszył na poszukiwanie terenów lęgowych europejskiego węgorza. Pływał od Islandii po Wyspy Kanaryjskie, od Afryki Północnej do Ameryki Północnej na statkach z powodu jego skromnych funduszy nie najlepiej przystosowanych i wyposażonych. Najpierw złowił egzemplarz larwy na zachód od Faro – pierwszy odnotowany poza Morzem Śródziemnym – a następnie wyląwiał coraz młodsze okazy w różnych punktach Atlantyku. Równocześnie przebadał i statystycznie poklasyfikował duże ilości dorosłych osobników i mógł potwierdzić – co nigdy wcześniej nie zostało dowiedzione – że węgorz europejski jest istotnie pojedynczym jednorodnym gatunkiem, *Anquilla anquilla*, odrębnym od swojego bliskiego krewnego, węgorza amerykańskiego *Anquilla rostrata*.

Między rokiem 1908 i 1910, kiedy w Bośni dojrzał kryzys, Włochy spoglądały pożądliwie w kierunku Trypolisu, a Brytyjczycy, zniecierpliwieni liczbą zaledwie czterech pancerników rocznie, zaczęli skandować: „Chcemy od zaraz po osiem na raz”, Schmidt przepływał Morze Śródziemne wzdłuż i wszerz, tropiąc larwy węgorza nawet w tak spornych wodach jak morze opodal Maroka i wokół zapalnych Bałkanów. Odkrył, że im dalej na wschód, tym larwy w Morzu Śródziemnym są większe, i doszedł do wniosku, że węgorze z krajów śródziemnomorskich nie odbywają tarła w tym morzu, ale gdzieś w Atlantyku. Larwy pochodzące z Atlantyku, we wszystkich niemal wypadkach mniejsze niż te z Morza Śródziemnego, potwierdzały hipotezę migracji na wschód i wskazywały na tereny lęgowe w zachodniej części oceanu. Schmidt zdawał sobie sprawę, że chcąc zlokalizować ów tajemniczy teren musi szukać jeszcze mniejszych larw, nanosząc ich położenie na mapę, aż wreszcie nieuchronnie okrąży długo poszukiwane Miejsce Narodzin Węgorza.

W roku 1911, kiedy niemiecka kanonierka wpłynęła do portu w Agadirze, a mój dziadek, którego browar właśnie spłonął w przedziwnych okolicznościach, związał interes i przeniósł się do inspirującej plotki samotni w Kessling Hall, Johannes Schmidt nakłonił różnych armatorów ze statkami na szlakach transatlantyckich do współpracy przy zbieraniu i klasyfikowaniu larw. Zwerbowano w ten sposób aż dwadzieścia trzy statki. Nie poprzestając na tym, sam Schmidt krążył nieustannie na swoim szkunerze „Margarethe” od Azorów do Bermudów, od Bermudów po Morze Karaibskie.

Niestety, ciekawość musi dać historii wolną drogę. Niestety, Schmidt nie ma wyboru, musi wstrzymać swoje poszukiwania, zwinąć żagle „Margarethe” i czekać bezsilnie, podczas kiedy świat pogrąża się w czteroletniej rzezi. Niestety, między rokiem 1914 a 1918 nie pochodzenie jej własnego jednorodnego gatunku węgorza obchodzi Europę, ale różnorodne rozmieszczenie narodowych interesów i uzbrojonych wojsk. Niestety, to nie obecność w Atlantyku miniaturowych larw węgorza, podążających nieustraszenie na wschód, zaprzęta umysły europejskich żeglarzy, ale raczej obecność niemieckich łodzi podwodnych, podążających na zachód z Wilhelmshaven i Kanału Kilońskiego.

A jednak trzeba powiedzieć, że ten katastrofalny antrakt, który nie bez racji określano słowami tak okropnymi, jak apokalipsa, kataklizm, Armageddon, nie zakłóca rozwojowego cyklu węgorza. Wiosną młode nadal zbierają się całymi ławicami u ujścia Padu, Dunaju, Renu i Łaby, dokładnie tak, jak to czyniły w czasach Aleksandra i Karola Wielkiego. Nie odstrasza ich nawet samo epicentrum masakry, sam niesławny Front Zachodni, jak by mógł zaświadczyć niejaki Henry Crick. Gdyby węgorze naprawdę rodziły się z błota, to tam miałyby warunki, żeby się roić; gdyby węgorze wyskakiwały z rozkładającego się ciała, tam można by było mówić o rekordowych połowach.

Czteroletnia przerwa nie osłabia również determinacji Johanna Schmidta, choć wystawia na próbę jego cierpliwość. Ledwie bowiem minęła, a już zadowolony, że historia uporała się ze swoimi sprawami, znowu wyrusza na morze. Znowu wybiera larwy węgorza – tym razem z zachodniego Atlantyku. I we wczesnych latach dwudziestych – tak niezmordowanie bowiem pracował – może ogłosić wyniki swoich badań, stwierdzić, iż przyjmując, że obszar, w którym zebrano największą ilość najmniejszych larw, odpowiada terenowi lęgowemu węgorza, owo tak długo nie tylko nie odkryte, ale wręcz niewyobrażalne tarlisko znajduje się pomiędzy 20° a 30° szerokości geograficznej północnej oraz 50° a 65° długości geograficznej zachodniej – to znaczy w owym tajemniczym rejonie pływających wodorostów zwanym Morzem Sargassowym.

Tak więc, dzieci, kiedy mój ojciec został dozorcą Nowego Atkinsona i zaczął, jak jego antenaci Crickowie, łapać węgorze w rzece Leem, wiedza ludzka po przeszło dwóch tysiącach lat rozważań dopiero co zgromadziła fakty, które mogłyby mu wskazać, skąd te węgorze się biorą. Nie, żeby kiedykolwiek, wtedy czy później, dowiedział się prawdy. Bo cóż on wiedział na tych swoich angielskich Fenach o duńskim biologu? Z pewnością jednak gdyby go poinformować o tym, gdyby mu powiedzieć, że te same węgorze, które wydobywał ze swoich samołówek, dostały się tutaj po liczącej trzy do czterech tysięcy mil podróży z dziwnego morskiego obszaru po drugiej stronie Atlantyku, zrobiłby wielkie oczy i otworzył usta, formując wyraźne O.

Ale to nie koniec historii węgorza. Ciekawość rodzi aktywność, wiedza rodzi sceptycyzm. Jeśli nawet przyjąć, powiadają oponenti Schmidta, że larwa węgorza przebywa trasę trzech, czterech czy nawet pięciu tysięcy mil do siedziby ojców, jeżeli nawet przyjąć, że młode nic sobie nie robiąc z grobli, wodospadów i śluz wędrują rzekami pod prąd, a nawet pełzają po łądzie, żeby tylko dotrzeć do rodowych stawów i strumieni, czy naprawdę mamy uwierzyć, że dorosły węgorz po latach życia w słodkiej wodzie czy na słonawych odmielach nagle odczuwa zarówno przymus, jak i gotowość odbycia tej samej podróży jeszcze raz, w przeciwną stronę, li tylko w tym celu, żeby odbyć tarło przed śmiercią? Jaki może przedstawić Schmidt dowód na obecność w środku Atlantyku dorosłych węgorzy podążających na zachód? (Niestety, Schmidt nie może przedstawić absolutnie żadnego).

Przypuśćmy, że Schmidt wyciągnął fałszywy wniosek, iż węgorz europejski jest gatunkiem występującym wyłącznie w Europie, odrębnym od swojego amerykańskiego krewnego. Przypuśćmy, że różnice między tak zwanym węgorzem europejskim a tak zwanym węgorzem amerykańskim nie są genetyczne, ale fizjologiczne i wynikają z odmiennych czynników środowiskowych. Czy wobec tego nie istnieje możliwość, że węgorz europejski, oddzieliwszy się tyłoma milami od swoich terenów lęgowych, istotnie ginie bezpotomnie w wodach śródlądowych, ale jego rasa zachowuje się dzięki węgorzowi amerykańskiemu (tak zwanemu), który nie musi pokonywać równie wyczerpujących odległości? I że o tym, iż jedne węgorze stają się mieszkańcami nowego świata, a inne starego, przesądza jedynie takie a nie inne miejsce tarła w granicach terenu lęgowego oraz przeważające tam prądy?

Ale dlaczego miałyby natura dopuścić do takiego marnotrawstwa? Czy Europa może być cmentarzem osieroconych i bezdietnych węgorzy? I czy środowiska naturalne Ameryki i Europy są aż tak różne, żeby stworzyć fizjologiczny kontrast wystarczający do powstania genetycznego błędu? Czy można zaprzeczyć – bo to poświadczają wielowiekowe obserwacje – że dorosłe węgorze, przybrawszy swój srebrzysty kostium, istotnie podążają ku morzu? A zakładając, w poszukiwaniu kompromisu, że owym dorosłym węgorzom nie udaje się osiągnąć Schmidtowskich krytycznych linii długości i szerokości, czyż nie mogłyby odbyć tarła i zakończyć żywota gdzie indziej, powiedzmy we wschodnim czy środkowym Atlantyku, i czy ikra nie mogłaby, w odpowiedniej porze roku i warunkach klimatycznych, nadal płynąć, jak płyną morskie wodorosty, ku temu pełnemu wirów Morzu Sargassowemu, tak że ten morski pokój dziecinny, jeśli nawet nie jest terenem tarła, jest nadal terenem lęgu?

Ciekawość nigdy nie spocznie. Nawet dziś, kiedy wiemy już tyle, ciekawość nadal nie potrafi rozwiązać zagadki narodzin i życia płciowego węgorzy. Być może są to sprawy, które, jak wiele innych, mają pozostać nie wyjaśnione, dopóki świat nie dojdzie swego kresu. Albo może – ale tutaj bawię się w domysły, tutaj moja własna ciekawość wodzi mnie za nos – świat jest tak urządzony, że kiedy wszystko się wyjaśni, kiedy ciekawość się wyczerpie (a więc niech żyje ciekawość) wtedy świat dojdzie swego kresu.

Ale nawet jeśli dowiemy się, jak i co, i gdzie, i kiedy, czy kiedykolwiek będziemy wiedzieli dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Pytanie, które nigdy nie przeszkadzało węgorzowi. Nie więcej niż odległość między Europą a pięćdziesiątym południkiem. Nie więcej niż ukazanie się na scenie człowieka z jego wyjątkowym darem stawiania raz po raz tego pytania oraz jego umiejętnością odkrycia w królestwie węgorzy, w wodzie, nie tylko środka transportu i potęgi oraz źródła żywności (wliczając w to węgorza), ale także zwierciadła dla swej ciekawej i refleksyjnej natury.

Bo czy posrebrzony *Anquilla anquilla* kiedykolwiek dociera do Morza Sargassowego czy nie, czy odprawia swoje godowe obrzędy tam czy po drodze, jedno jest pewne: że tak jak młodego węgorza w kierunku takiego a nie innego wodnego mieszkania, oddalonego o tysiące mil od miejsca urodzenia, gnają nie tylko morskie prądy, ale i zrodzony z instynktu mechanizm, bardziej tajemniczy, bardziej nieprzenikniony niż budowa atomu, tak samo dorosły węgorz, poruszany siłą, która przewycięża odległe dystanse i miażdżący ucisk oceanu, musi, zanim zginie i zostawi świat swojemu potomstwu, ponownie dotrzeć do morza, powrócić tam, skąd przybył.

Od jak dawna węgorze tak robią? Robiły tak, powtarzając tę starą epicką opowieść, na długo przedtem, zanim Arystoteles wyjaśnił, że biorą się z błota. Robiły tak, gdy Pliniusz wysunął swoją teorię ocierania się o skały. A Linneusz swoją teorię o żyworództwie. Robiły tak, kiedy szturmowano Bastylę i kiedy Napoleon i Hitler rozważali inwazję na Anglię. I nadal tak robiły, nadal zakreślały te olbrzymie atawistyczne kręgi, kiedy pewnego lipcowego dnia w roku 1940 Freddie Parr wydobył z samolówki jednego z ich rzeszy (który później uciekł i niewykłuczone, że żył dostatecznie długo, aby usłuchać wezwania odległego Morza Sargassowego) i wpuścił go w granatowe majtki Mary Metcalf.

O Historii Naturalnej

Co to – lekcja biologii?

Nie, wolę dla podkreślenia kontrastu nazwać to Historią Naturalną.

Która nigdzie nie zmierza. Która jest wierna sama sobie, która bezustannie wędruje na powrót tam, skąd przybyła.

Dzieci, istnieje coś, czego rewolucjoniści i prorocy nowych światów, a nawet skromni szermierze Postępu (pomyślcie o Atkinsonach i Sarze, ich własnej żywej skamielinie) nie mogą znieść. Historia naturalna, natura ludzka. Artykuły przedziwne i zdumiewające, nie rozwiązane tajemnice tajemnic. Bo przypuśćmy na chwilę – tylko cicho sza – że ta naturalna materia zawsze bierze górę nad sztuczną. Przypuśćmy na chwilę – ale nie rozpowiadajmy tego głośno – że sekretna materia, z której jesteśmy zrobieni, materia, do której zawsze wracamy – nasza miłość życia, dzieci, nasza miłość życia – jest czymś bardziej anarchicznym, bardziej wywrotowym niż wszelkie Przysięgi w Sali do Gry w Piłkę. To dlatego w tych rewolucjach daje się zawsze wyczuć żądzę śmierci. To dlatego terror zawsze czyha za rogiem.

Każdy budowniczy świata, każdy rewolucjonista żąda monopolu na Rzeczywistość. Rzeczywistość jasną i zrozumiałą. Rzeczywistość bez głupstw. Rzeczywistość przykrojoną na miarę. Rzeczywistość minus kilka głów.

Mamy więc wrócić do programu? Mamy wrócić do lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku i Monsieur dążącego-prosto-do-celu Robespierre'a?

Dzieci, bądźcie ciekawe. Nie ma nic gorszego (ja to wiem), niż kiedy ciekawość wygasa. Nie ma nic bardziej dławiącego niż zdławiona ciekawość. Ciekawość poczyna miłość. Zaślubia nas światu. Jest częścią naszej perwersyjnej, zwariowanej miłości do tej niemożliwej planety, którą zamieszkujemy. Ludzie umierają, kiedy zabraknie ciekawości. Ludzie muszą odkrywać, ludzie muszą wiedzieć. Jak może dojść do prawdziwej rewolucji, dopóki nie wiemy, z czego jesteśmy zrobieni?

I Historii Sztucznej

A co on robi wobec tej sceny, która rozpoczęła się od swawoli, a skończyła chaosem: Mary chichocząca bez opamiętania, węgorz ślizgający się w ucieczce (byle dalej od tych zwariowanych istot ludzkich) przez trawę?

Wasz nauczyciel zauważa, jak przystało na prawdziwego obserwatora historii, spojrzenie, jakie Dick (popatrzawszy najpierw na węgorza) kieruje ku Mary. Spojrzenie przeciągłe i badawcze, którego by się człowiek nie spodziewał po kapuścianym łbie. Surowe, niedowierzające i pytające spojrzenie, które sprawia, że Mary od razu, niczym na komendę, przestaje się śmiać i odwzajemnia się spojrzeniem równie intensywnym jak Dick. Zauważa, jak Dick patrzy na Mary, i następnie, jak Mary patrzy na Dicka, zauważa też, iż Freddie Parr przechwytuje te spojrzenia, którymi Dick i Mary obdarzają się nawzajem.

A niezależnie od tego obserwowania cudzych spojrzeń, jest jeszcze jego własne spojrzenie, spojrzenie, którego on nie może opisać, nie mając możliwości go zobaczyć, które jednak jest prawdopodobnie spojrzeniem tęsknym, zawiedzionym, z leciutką tylko domieszką pozornej brawury. Ponieważ wasz nauczyciel historii (choć nigdy jej tego nie powiedział) kocha się – to fakt – w Mary Metcalf. To właśnie spowodowało w jego wypadku (nie może mówić za innych) klapę, kiedy wraz z Freddie, Peterem Baine i Terrym Coe spuścili ostrożnie swoje kąpielówki. Pospolita reakcja, o której wspominają najwybitniejsi seksuolodzy...

Coś jest w tej scenie. Rozsadza ją czas teraźniejszy. Nabrzmiwa w niej Tu i Teraz. Przygniata ją ciężar owej materii – czy ma ona własną nazwę? Wasz nauczyciel historii czuje to w brzuchu. Doznaje uczucia, jakby jego trzewia pod wpływem whisky Freddiego i paru łyków wody z kanału Hockwell pełzały i skręcały się w jego wnętrzu, w miarę jak węgorz zwija się i ślizga, dążąc do bezpiecznej kryjówki w kanale. Tego już za wiele jak na nie wypróbowaną jeszcze obiektywność waszego nauczyciela historii albo na jego świeżej dacie erotyczną śmiałość.

Ucieka do swoich książek historycznych.

Ponieważ jeszcze potrafi to robić. Przeskakiwać z jednej strefy w drugą, jak gdyby się nawzajem wykluczały. Jeszcze nie zaczął łączyć ich ze sobą. Żyć życiem ziemno-wodnym. Jeszcze nie pyta, gdzie kończy się opowieść, a zaczyna rzeczywistość. Ale będzie, będzie.

U schyłku lata 1940, kiedy Hitler rozkręca interes w Paryżu i przygotowuje plany inwazji, kiedy historia wpisuje się w południowe nieba białymi zakrętami i dostarcza obfitego materiału do przyszłych legend, on szpera wśród książek, które zostawiła matka – z których wiele należało do tej rozkochanej w książkach pary, Dory i Luizy Atkinson – i natrafia na dwutomowego „Herewarda Banitę” (dziś cenne pierwsze wydanie nadal w jego posiadaniu), które Luiza ofiarowała Dorze w 1866. Podczas gdy mieszkańcy Londynu i innych dużych miast zmuszeni są szukać azylu w solidnej konstrukcji schronów przeciwlotniczych i stacji metra, on szuka azylu w wymyślnej konstrukcji Kingsleyowskiej opowieści, gdzie w mglistej fenlandzkiej scenerii (harmonizującej z jego przymglonym miłosnym stanem umysłu) historia splata się z fikcją, bajka zamazuje fakty...

Jak dzikie ptactwo wołało: „Banita znów nadchodzi...”, jak Hereward, w swojej czarodziejskiej zbroi, uśmiercił sir Fredericka Warrenne pod Lynn... jak, przebrany za garncarza, szpiegował Wilhelma Zdobywcę... jak podpalił Feny i przypiekał Normanów... jak pokochał i poślubił lady Torfridę... jak jego małżeństwo zaczęło się psuć...

Ale tymczasem ta scena nad brzegiem kanału, która, jak inne sceny, mające dopiero nadejść, zapada w pamięć waszego nauczyciela historii, by zostać odgrzebana kiedyś później. Mary w granatowych majtkach, które na krótko dzieliła z węgorzem, żywa ryba w podołku kobiety, Dick, Freddie Parr, ich spojrzenia tworzące z jego własnym niewidzialną „kocią kołyskę”. Butelka wrzucona w błotnisty kanał Hockwell, Dick na drewnianym mostku, Freddie w wodzie...

I kto mówi, że historia nie kręci się w kółko?

Praca detektywa

Wziąłem więc butelkę, którą miałem schowaną u siebie w pokoju, i postawiłem tam, gdzie Dick musiał ją zobaczyć.

Ponieważ to mocna rzecz, ciekawość. Bierze górę nawet nad strachem, bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. I mimo że przecież mogłem cisnąć butelkę do rzeki i skończyć z tym, stary duch detektywistyczny nie dawał się stłumić; nie mogłem odsuwać w nieskończoność pytania: Co zamierzasz robić?

Postawiłem butelkę w pokoju Dicka na szafce nocnej. Po czym – bo choć ciekawość potrafi wziąć górę nad strachem, nie znaczy to, że człowiek przestaje się bać – przeszedłem po podeście do własnego pokoju, zamknąłem drzwi, przekręciłem klucz, postawiłem krzesło, usiadłem na nim i czekałem...

Szósta. Pora na komunikat. Na dole tata, punktualnie jak zawsze, nastawia trzeszczący odbiornik.

Najwidoczniej jednak bierze moje wieczorne schronienie się w sypialni za dobry znak, bo pilnie baczy, żeby nie grało za głośno. A ta jego troska o wyciszenie wojny przez wzgląd na moje nauki pozwala mi tylko wyraźnie usłyszeć to, co i tak moje uszy starają się z natężeniem wyłapać: osie buczenie zbliżającego się motocykla Dicka na szosie z Gildsey.

I kiedy wreszcie Dick wstępuje na schody – ścigany zaleceniem taty, które w swojej niestosowności nie mogłoby być bardziej na rękę jego bratu: – A nie przeszkadzaj tam Tomowi, on się uczy – cóż robi dalej?

Przez długi czas nic. Otwiera drzwi do swojego pokoju, wchodzi. Ciężkie stąpania na deskach podłogi. Potem zamyka drzwi (gwałtownie? zdecydowanie?). Potem cisza. Tylko „pac-pac” ojcowskiej łopaty na warzywnym zagonie, gdzie tata, wysłuchawszy wiadomości, kopie następny rząd kartofli.

A co robi wasz nauczyciel historii? Przyciska ucho jeszcze bardziej do dziurki od klucza we własnych drzwiach, usiłuje odeprzeć napór własnego serca, zinterpretować ciszę.

Ciszę zdradziecką? Ciszę oskarżającą? Ciszę przepełnioną poczuciem winy?

Jeśli Dickowi znane jest poczucie winy. Bo przypuśćmy, że wchodzi do pokoju, widzi butelkę, ale żadne syreny alarmowe nie włączają się dla zasygnalizowania znaczenia tego faktu? Widzi butelkę, butelkę, którą kiedyś wrzucił do rzeki, za pomocą której kiedyś... Ale nie pyta: „JakDlaczegoKto”? Przypuśćmy, że Dick jest odporny na uczucie winy. Na strach, wątpliwości, wyrzuty sumienia. Całą buntowniczą zgrają emocji.

Ale nie jest odporny na miłość...

A cisza nie trwa w nieskończoność. Zostaje przerwana odgłosami nowych – mniej beztroskich – kroków oraz unoszenia rygla w Dickowych drzwiach.

I teraz nic już nie zdoła powstrzymać, mimo zamkniętych na klucz drzwi, do których przywarł, łomotania serca waszego nauczyciela historii, nic już nie da się zrobić, żeby serce nie skakało mu do gardła. Ponieważ nie omieszka sobie uświadomić, że Dick jest silny i ta sama poręczna, kto wie, czy nie śmiercionośna butelka mogłaby wobec drugiego spełnić zadanie, które spełniła już wobec jednego.

Ale to unoszenie rygla w Dickowych drzwiach – nie tak się otwiera drzwi w celu wyłamania innych drzwi, w morderczej wściekłości. To jest robota łagodnego, działającego skrycie, choć niezgrabnego olbrzyma. Odgłosy – trzask, zgrzyt – nie miały być słyszane. A odgłosy, które nie miały być słyszane, są o wiele bardziej wymowne niż zwyczajna cisza. Co więcej, po nich rozlegają się w jeszcze większym stopniu kontrolowane i nie przeznaczone dla cudzych uszu dźwięki: hałas, spowodowany ciężkimi krokami Dicka stąpającego na palcach, skradającego się po górnym podeście, jednak nie w kierunku górnych schodów, ale w kierunku małych, wąskich, kręconych schodków, strzeżonych przez własne drzwi i prowadzących na strych. A tu przezorność Dicka reklamuje się nadal, jako że nawet jeśli stąpać najlżej i nawet jeśli zamknąć za sobą owe małe drzwiczki, niemożliwością jest wspiąć się po starych i wyschniętych stopniach tak, żeby nie rozległo się zdradzieckie *potpourri* skrzypienia, trzasków i pojękiwań. Dick jednak się wspina i znika chyba na całą minutę (cisza niemal zupełna), zanim zejdzie z powrotem, znów podejmując nadzwyczajne środki ostrożności, i wywoła w odwrotnym porządku ten sam chór protestów. Biedny Dick. Nie zdaje sobie sprawy, że to przezorność wzbudza podejrzenia, podczas gdy niesilenie się na nią by ich nie wzbudziło. Nie wie, że spryt nie polega na udawaniu sprytu, na odgrywaniu sprytu, podobnie jak miłość nie polega na...

Nie wie też, że ja już raz słyszałem te podejrzane dźwięki, te ukradkowe kroki, ten skrzyp schodów prowadzących na strych. Co prawda wtedy były lepiej kamuflowane – tłumione zawrozczeniem i wyciem wschodniego wiatru, dmącego, jak dmie każdej zimy, bezlitośnie, na nieosłoniętych Fenach.

Ale tamtej zimy bardziej niż kiedykolwiek...

Teraz Dick skrada się z powrotem po podejście, a ja znów tęczę za drzwiami, ponieważ nie mogę być pewny... Ale on, ciągle siląc się na ostrożność, otwiera własne drzwi, wchodzi i za chwilę znów się wyłania, tym razem ostentacyjnie hałasując, ponieważ jego kroki dudnią mocniej niż zwykle, kiedy podąża do głównych schodów, a zbiegając próbuje się zdobyć na świszczący, niepewny gwizd.

On schodzi. Ja czekam. Krótka prośba taty o pomoc na warzywnym zagonie obwieszca wyjście Dicka z domu. Otwieram drzwi. Usuwam sprzed nich krzesło. Zmierzam podestem do pokoju Dicka. Rozbebeszona pościel. Sterta przesiąkniętych zapachem szlamu ubrań. Na ścianie nad łóżkiem w szklanej gablocie wypchany szczupak, wążący niegdyś dwadzieścia jeden funtów, złowiony nie kiedy indziej, jak 11 listopada 1918 roku, przez Johna Badcocka, dawnego beneficjanta Nowej Śluzu Atkinsona.

Nie ma butelki.

Wracam na podest. Powtarzam – ale bez jego mozolnego skradania się na palcach – wypad Dicka na strych. A tam, wśród zapachów stęchlizny i pokrytych kurzem gratów, wyrzuconych materaców i przypominających sarkofagi skrzyń, znajduje się to, co, jak wiem, było celem jego wyprawy. Kufer. Polakierowany na czarno, nieduży, sfatygowany, ale mocny drewniany kufer. Na wieku widać wyblakłe, ale jeszcze czytelne złote tłoczenia, inicjały E.R.A. Widać także – czarne rowki w szarej warstwie kurzu – świeże ślady dotknięć. Ślady, które chociaż świeże, dla bystrego oka, oka opanowanego duchem detektywistycznym, bynajmniej nie wszystkie powstały w jednym czasie. Bo niektóre rowki pokryła ponownie cieniuteńka, ledwo zauważalna, warstewka kurzu. A jak siniak może ukazać się pod siniakiem, tak tu są ślady na śladach.

Minęło akurat siedem dni, jak Freddie spłynął w dół rzeki.

Przykucam i próbuję unieść wieko. Zamknięte na amen. Rozważam. Czarny drewniany kufer ze zmatowiałymi mosiężnymi okuciami, który kiedyś należał do mojego dziadka, a następnie do mojej matki. Potem, pewnej zimy, matka umarła. Zanim jednak umarła, dała klucz... mojemu bratu. Czarny drewniany kufer, który, odkąd sięgam pamięcią, stał tutaj na górze pod mansardowym oknem, ale o którego zawartości nie wiem nic poza tym, że między innymi są tam...

Nagle zrywam się na równe nogi (omal nie rozbijam sobie głowy o niskie, nachylone pod kątem belki sufitu). Dick idzie. Dick idzie po schodach na strych, gdzie jest jedno jedyne wąskie wejście...

Ale to tylko coś nieoczekiwanie skrzypnęło w starej drewnianej konstrukcji. Zabłąkana resztką tamtego wiatru...

Zawracam krok po kroku. Zamykam drzwiczki u stóp schodów na strych. Wracam do swego pokoju. Zamykam drzwi na klucz. Myślę.

Więc mój brat jest mordercą. Więc to, co Mary powiedziała, jest prawdą. I teraz Dick wie, że ja wiem, że on jest... Więc teraz to już kwestia, kto bardziej boi się kogo.

Podchodzę do okna i patrzę w dół, na ogródek warzywny. Fasola stoi w szkarłatnym kwieciu. Dick z tatą pochylają się nad krzaczkami kartofli, niemal dotykając ich głowami, tak że się wydaje, iż łączy ich jakiś sekret, jakiś spisek, z którego ja jestem wykluczony. Dick podnosi głowę. Patrzy w moje okno.

Widzi mnie patrzącego na dół. Nasze spojrzenia wiąże napięta lina strachu. Jego rzęsy trzepocą.

Kim jest mój brat? Z jakiej gliny jest ulepiony?

Muszę znaleźć ten klucz.

O Zbawcy Świata

Ale po Wielkim'51 i po Piwie Księcia Małżonka, po Cesarzowej Indii i piwach Złotym i Brylantowym, nie wspominając już o sławetnym Piwie Koronacyjnym z 1911, żadne Piwo Rozejmowe nie popłynęło w Fenlandii w listopadzie 1918 roku. Płynęła rzeka Leem, zmierzając do Ousy, mijając Nowego Atkinsona i kanał Hockwell, w którym później Freddie Parr miał schwytać węgorza. Ale żadne Piwo Zwycięstwa nie popłynęło ku pokrzepieniu patriotycznych obywateli Gildsey tudzież jego mizernego zaplecza. Ponieważ, po pierwsze, nie było browaru, który by je wyprodukował, a po drugie, zabrakło znacznej części ludności pijącej piwo.

Może by i wybaczyli Ernestowi Atkinsonowi. Może byliby gotowi usprawiedliwić jego ostrzegawczą diatribę, wygłoszoną z trybuny na ratuszu, a nawet jeszcze bardziej oburzający eksperyment z proroczym upomnieniem tamtego lata 1911 roku. Może by i uznali się za ukaranych. Nie chcieli jednak teraz, kiedy tak czy inaczej było już po wszystkim, zasiąść do lekcji historii. I jeszcze z jednego powodu nie chcieli wybaczyć Ernestowi Atkinsonowi – mianowicie z powodu jego córki.

Chociaż – wyjaśnijmy to – mieszkańcy Gildsey nie mieli żadnej potrzeby w tym samym niezwykłym roku 1911, kiedy to Ernest odjeżdżał od nich nie tylko pod dosłowną zasłoną dymną, rozpiętą nad jego własnym browarem, ale pod znacznie ciemniejszą chmurą skandalu, pogardy, plotek i pomówień, żeby szczególnie przejmować się Heleną Atkinson, wówczas niewinnym i onieśmiałym piętnastoletnim podlotkiem. Ale w 1914, kiedy ma ona lat osiemnaście, sprawa przedstawia się inaczej. Bo podczas gdy większość populacji – specjalnie teraz, kiedy ta długo wyczekiwana wojna nareszcie się zaczęła – gotowa jest w dalszym ciągu lżyć byłego piwowara, znaczny procent – przede wszystkim młody, męski, wkrótce-powołany-pod-bronń, idący-na-armaty procent populacji – kocha się w jego córce. I aczkolwiek Helenę widuje rzadko, ponieważ, jak wiadomo, mieszka w tej ponurej samotni w Kessling ze swoim ojcem i nigdy nie pokazuje się inaczej, jak tylko w jego towarzystwie, w niczym nie zmienia to sytuacji. Bo młodym rycerzom, jak wiecie, potrzebne są damy – szczególnie te oblegane, niedostępne, w posepnych wieżycach. A jest to ciągle marzycielska, rycerska, fikcyjna faza tej zrodzonej w sierpniowej mgiełce wojny.

Czy mamy dodać do tej listy słabostek – przesady, opowiadanie historyjek, zniechęcenie, butelka – którym ulegają ci ugrzęźli-w-błocie mieszkańcy Fenlandii jeszcze jedną: Piękno? Szczególnie tego rodzaju, który można wyposażyć w atrybuty podnoszące na duchu i pobudzające wyobraźnię. A czy musimy przypominać, że Piękno ujawniło już swoją czarodziejską moc zarówno wobec tej dziś podupadłej rodziny Atkinsonów, jak (dzięki portretom w czarnych sukniach i tym podobne) wobec miasta, na które z kolei wywiera wpływ co najmniej od stulecia?

Ale Helenie, ostatniej z piwowarskich cór, nie grozi chyba los tamtej dawnej piękności, pierwszej córki piwowara, i przemiana w miejscowe bóstwo. Ponieważ, po pierwsze, jest ona w pełni władz umysłowych, a Sara Atkinson przez ostatnie pięćdziesiąt lat swego życia nie była. Po drugie zaś, nie należy do Gildsey i jego łatwowiernych mieszkańców, ale do swojego ojca. I chociaż w roku 1914 miasto chętnie nakłoniłoby do powrotu tę kwitnącą córkę, przy swoim niekochanym ojcu (niekochanym przez wszystkich poza nią) ona pozostaje.

Jednak miasto dla własnej satysfakcji musi znaleźć sposób na wyjaśnienie tego absurdalnego podwójnego odosobnienia. Musi znaleźć sposób na zestawienie tych dwóch pozornie wykluczających się nawzajem twarzy: ojcowskiego ponurego, przedwcześnie postarzałego oblicza, z jego nagłym niepokojącym uśmiechem i błyskiem ciemnego ognia, oraz dziewczęcego przezczystego lica. Zatem tworzy wygodny mit, jakoby Helena wcale nie kierowała się córczyną lojalnością, ale zmuszona była żyć z ojcem wbrew swojej woli, mało tego, była przezeń więziona siłą, z dala od radosnego i kuszącego świata (radosnego i kuszącego – w 1914), w tym jego zamku potwora w Kessling.

Mit... Jednakże każdy mit zawiera ziarnko prawdy.

Ale co mówi Ernest? Nie słyszeliśmy jego wersji (ani też wersji Heleny, lecz ta zostanie nam udostępniona później, nie od razu, może z pewnymi oporami). Czy Ernest zasługuje na rolę czarnego charakteru? Czy zasłużył na złośliwe pomówienia, ścigające go w jego samotni? Bo jakież są dowody? Że wypowiedział się przeciw wznoszeniu imperium i wymachiwaniu chorągiewkami? A kiedy słowa nie pomogły, uciekł się do czynu, który to czyn sam w sobie zdawał się wznicianiem chaosu? Jednakże chaos nie był jego winą. Ponieważ on wiedział, jak raczyć się tym upajającym piwem. Mógł je pić, nie popadając w szaleństwo. Wręcz przeciwnie, łagodziło jego tajną melancholię, rozgrzewało i podnosiło na duchu. Co zaś do zarzutu, jakoby sam podłożył ogień w swoim browarze, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia... To ludzie podpalili browar, kiedy tylko piwo rozpałiło ich umysły. Co zaś do pieniędzy z ubezpieczenia, które istotnie mu się dostały – choć nie tyle, ile mówiono, a jeszcze znaczna część poszła na wypłacenie rekompensat i kosztowną operację zwijania interesu – to zostały w końcu zużyte na wyposażenie ośrodka rekonwalescencji dla ofiar wojny, nie gdzie indziej jak na terenie jego własnej, niegdyś imponującej rodzinnej posiadłości Kessling Hall. Ośrodek Kessling Hall (Ernest Atkinson nie życzył sobie, aby jego imię zostało w jakikolwiek sposób upamiętnione w fundacji) przekształcił się później w Szpital Wschodniego Hrabstwa Cambridge, a

dzisiaj, odbudowany i rozszerzony, przy zachowaniu niewielkiej tylko części starego dworu mieszczącej biura, jest jednym z głównych zakładów psychiatrycznych we wschodniej Anglii.

Ale wybiegamy naprzód. Kessling Hall zostało przystosowane do nowego celu – a Helena Atkinson zdecydowała się przyłączyć do pierwszego kontyngentu pielęgniarek – dopiero w 1918. A także Ernest i Helena przeprowadzili się do dawnej portierni, będącej jakby miniaturową wersją tamtego większego budynku, z własnym niewielkim zagajnikiem skrywających drzew, dopiero jesienią owego roku. Tak więc przez dobre cztery lata Ernest wraz z córką prowadził życie zatwardziałego samotnika w starej rezydencji, stopniowo opuszczając i zamykając kolejne pokoje, pozwalając niszczyć skrzydłom, stopniowo redukując nieliczną służbę, aż w roku 1918 nie było nikogo poza samą Heleną, która stała się gospodynią, kucharką i pielęgniarką w jednej osobie.

Tylko raz w ciągu tych czterech lat między 1914 a 1918, jeśli pominąć różne potajemne wypadki w celu uregulowania interesów, Ernest Atkinson ukazał się publicznie w mieście, którym niegdyś rządili jego przodkowie. A zdarzyło się to ni mniej, ni więcej tylko wiosną 1915 podczas parady i przeglądu Królewskiej Milicji hrabstwa Cambridge – to znaczy podczas gildseyowskich występów miejscowego cyrku rekrutacyjnego. Zapewne w wyniku administracyjnego bałaganu, który skutecznie przekreślił lokalne możliwości zadziałania weta, Ernest otrzymał zaproszenie na trybunę honorową, do reprezentacyjnego grona wyższych wojskowych i cywilnych notabli, i z jakichś tajemniczych, jemu samemu najlepiej znanych powodów, nie zignorował go. Może ujrzał szansę (jako że kampania na półwyspie Gallipoli właśnie się zaczęła) na ponowne wzniesienie okrzyku protestu, a może przyszedł tylko posiedzieć z chmurną twarzą, w milczeniu. W każdym razie w trakcie samej imprezy nie zwracał na siebie uwagi. Co nie było trudne, skoro obok znajdowała się jego córka.

Zatłoczony rynek. Orkiestra wypróbowała rzewne kawałki. Flagi, udekorowane domy... Ale wcześniej widzieliśmy już tego dość w tym mieście, jeśli więc dodamy kolor khaki w dużych ilościach, kilku fajtłapowatych pułkowników przy orderach, z pędzelkowatymi wąsikami, wymyślenia i komendy, paru stąpających dumnym krokiem oficerów werbunkowych, trochę karabinów – nie zapomnijcie też usunąć czegoś z tła: komina browaru – to będziemy mieli pełny obraz.

Rozpoczyna się defilada. Odbierający salut dowódca zajmuje swoje miejsce. Pierwsze szeregi składają się ze starannie wybranych i dobrze wyćwiczonych zawodowców, których zadaniem jest pokazać, co armia przy użyciu szuwaksu i śliny potrafi zrobić z mężczyzny, resztę – ale to właśnie ma być gwóźdź programu – stanowią świeżo upieczeni, nie przeszkoleni i pobudliwi rekruci, przejawiający skłonność do maszerowania nie w nogę, czerwienienia się oraz – żeby nie uśmiechać się głupio od ucha do ucha w najmniej odpowiednim momencie – do przybierania przesadnie uroczystego wyrazu twarzy.

Pierwsze rzędy przechodzą koło trybuny i salutują – może z odchyleniem czasowym w granicach ułamka sekundy – w sposób, jakiego od nich oczekiwano. Ale kiedy nadchodzi kolej następnych „na prawo patrz”, z trzonu nowych ochotników, najwyraźniej coś się psuje. Bo zanim jeszcze pada rozkaz „na prawo patrz!”, wielu już patrzy na prawo i bynajmniej nie na salutującego dowódcę ani też innego z rumianoliczych bonzów, ale na Helenę Atkinson, która siedzi obok ojca pod prowizorycznym baldachimem wśród miejskich dygnitarzy, na prawo od miejsca odbierania salutu. Kiedy tylko rekruci dostrzegą ją kątem oka, muszą przypatrzeć się dokładniej. A kiedy przypatrzą się dokładniej, nie mogą oderwać oczu. Cóż, czy to nie ładniejszy widok niż ważna figura obwieszona medalami?... A ponieważ w dodatku muszą się jeszcze obejrzeć przez ramię, nie chcąc tego obiektu uwagi stracić zbyt szybko z oczu, wszelkie pozory równania kroku czy utrzymywania szeregu idą w niepamięć, tylne rzędy następują na pięty przednim, ktoś się przewraca, upada karabin – defilada przemienia się w chaos.

Matka opowiadała to inaczej (tak że nigdy nie dowiedziałem się, kogo miała na myśli ani też, że machnęła ręką na fałszywą skromność). Pewnego razu była sobie piękna dziewczyna na wojskowej defiladzie, a głupi żołnierze ze swoimi karabinami wpadali jeden na drugiego i zapominali, jak mają maszerować, bo wszyscy chcieli patrzeć na piękną dziewczynę. A generał poczerwieniał, a potem zsiniał...

Natomiast tłum patrzących tego wiosennego dnia miał swoją wersję: to jego robota – podobno jest gdzieś na trybunie – on w jakiś sposób ich do tego popchnął...

Tym jednak, którzy znajdowali się dostatecznie blisko, żeby go zobaczyć, i mogliby podzielić te oskarżycielskie nastroje, mąciło spojrzenie i gniew coś innego: Niech mnie, ale cudo z niej wyrosło... i jaka szkoda, jaka straszliwa szkoda, dla niej samej, że jest tym, kim jest...

A miejscy dygnitarze mówili sobie: Coś się w naszym mieście popsuło... Wygląda, że nie potrafimy już uczcić Wielkiego Wydarzenia...

A generalicja powiedziała: Przeklęta smarkula na trybunie, przychodzi jakby nigdy nic i rujnuje przedstawienie. Fakt, że dziewczyna jak malowanie...

A „Szperacz Gildseyowski” donosił: *Byłoby małodusznością w tych groźnych czasach rozwodzić się nad niefortunnym zamętem...*

Tylko parę starszych osób (mimo że już od piętnastu lat mamy ten XX wiek twardych faktów i twardej technologii) ma jeszcze inne wytłumaczenie. To ona. Jej robota. Ona wywołała tamtą powódź w siedemdziesiątym czwartym, kiedy powinna była leżeć spokojnie w trumnie, potem dostała się do butelki piwa, przyprawiła wszystkich o szaleństwo i spowodowała pożar browaru, a teraz sprowadziła jonasza na naszą paradę...

Ale wszystkie wersje wydarzeń mało obchodzą mojego dziadka wobec faktu, że jego córka ujawniła nagle moc przeobrażania w farsę, bez pomocy słów lub czynów, tych podżegających do wojny przygotowań, podczas gdy jego własne słowa i czyny zawiodły. I być może właśnie wtedy, owego kwietniowego dnia 1915 roku, mój dziadek zakochał się (o ile jest to właściwe określenie uczuć ojca) w swojej córce.

Od kwietnia 1915 roku dziadek nigdy już nie pokazał się w Gildsey. Od czasu tej złowróżbnej parady stał się nie tylko stuprocentowym odludkiem, ale i Czciwielem Pięknym.

(To nie domniemanie. Nie szaleńczy wymysł. Mam świadectwo samego dziadka: jego dziennik, którego omal nie zniszczył, w końcu jednak...)

Bo uczyniwszy wszystko, co w jego mocy, we własnym małym zakątku świata, żeby świat ostrzec przed nadciągającym nieszczęściem, cóż więcej mógł uczynić teraz, kiedy nieszczęście już się stało, teraz, kiedy na drugim brzegu, we Francji, świat systematycznie budował piekło na ziemi, jeśli nie uczepić się (ja tylko parafrazuję jego słowa) jakiejś pozostałości raj.

Co się dzieje z moim dziadkiem? Czy to możliwe, że i on zapadł na chorobę Atkinsonów i zaraził się Ideami? I to nie byle jaką ideą, ale Pięknem – najbardziej platonicką ze wszystkich. Ideą Idei. Czy to możliwe, że i dziadek popadł – Bóg raczy wiedzieć – w tromtadractwo?

Ale to nie idea. To żywa istota. Córka z jego krwi i kości.

I nie ma w tym nic platonickiego.

Dziwna rzecz, dzieci, ale im większe czyni wojna postępy (o ile to czyni wojna), im bardziej traci swój baśniowy posmak na zasadzie: „zbierzmy się pod sztandarem”, „do świąt będzie koniec”, i zaczyna być czymś przerażającym, czymś nie do opisanego, czymś zupełnie nie przypominającym baśni – tym piękniejsza staje się ta córka. I tym bardziej skłonny jest rozpaczać (nad ludzkością) i wielbić (swoją córkę) Ernest. Aż – kiedy George i Henry Crick przyłączają się do marszu historii naprzód i kończą w błotnym szaleństwie – Ernest Atkinson wycofuje się na łeb na szyję, rakiem, duchem do Raju i zaczyna wierzyć, że tylko z tej piękności zrodzi się Zbawca Świata.

Podobno odkąd całkowicie usunął się w cień w roku 1915, dawne pragnienie Ernesta Atkinsona, aby zmusić rodaków do spojrzania w przyszłość, ustąpiło mizantropii (choć trudno nazwać mizantropią założenie szpitala). Gorzka prawda o wojnie, w 1917 zaczynająca już docierać do kraju (wraz z osobistymi rzeczami George'a Cricka i listem od jego dowódcy), nie dostarcza mu powodów do satysfakcji czy tryumfowania nad dawnymi oskarżycielami, a jedynie pogłębia jego zbrzydzenie ludzkością. Mówiono różnie: że zniszczył w całości pozostały zapas tego morderczego Piwa Koronacyjnego wraz ze wszelkimi notatkami dotyczącymi receptury, że stał się abstynentem, że miał ukryty skład butelek, ale z niego nie korzystał, albo że korzystał z niego jak najbardziej, a na dodatek oboje z Heleną w owym prywatnym eksperymentalnym browarze, który założył w Kessling, pomnażali zapasy piwa na czysto domowy użytek i że to stałe popijanie, niezależnie od tego, czy uśmierzało czy też podsycalo Jeremiaszowy gniew Ernesta, z całą pewnością rozbudziło dziwne tęsknoty i przywiodło go najwyraźniej do postradania zmysłów.

W listopadzie 1918 – kiedy dwór w Kessling przygotowywano na przyjęcie pierwszej grupy pacjentów, a Helena z ojcem urządzali się, niczym mąż i żona, w domku portiera – ludzie z Gildsey i wioski nad Leemem może byliby przebaczyli Ernestowi Atkinsonowi. Bo przecież założenie szpitala bynajmniej nie wyglądało na czyn szaleńca czy degenerata. Może zresztą te wszystkie plotki...

Ale było coś, co ludzie z Gildsey i znad Leemu (i nie tylko oni, ale ludzie wszędzie) chcieli zrobić jeszcze bardziej niż przebaczyć, a mianowicie zapomnieć. Chcieli zapomnieć o tych wszystkich wrednych rzeczach, do których, jak pokazały cztery lata, natura ludzka jest zdolna. Jednakże schronisko dla ofiar wojennych (choćby nawet ukryte w gęstym lesie) jest kłującym w oczy przypomnieniem (czyżby miał to być po prostu gest zemsty ze strony Ernesta Atkinsona?). Tak więc, jeśli wolało się nie pamiętać, jeśli wolało się nie odczuwać winy, a równocześnie nadal mieć haczyk na tego człowieka, najwygodniej było powiedzieć: O tak, mógł sobie założyć szpital wojenny, czemu nie, owszem, bardzo ładny szpital, ale popatrzcie no tylko, co się wyprawia w tej portierni, dalej, na co czekacie, ciekawe, co wtedy będziecie myśleć. Tak, każdy wie, że nie ma to jak obywatelska cnota, żeby ukryć prywatny grzech. Nie mamy ochoty wysłuchiwać o szpitalu wybudowanym na hańbie, serdeczne dzięki...

(A, oczywiście, dzieci, historia potwierdza, że już nie po raz pierwszy Atkinsonowie z powodów, w które może istotnie lepiej za głęboko nie wnikać, organizują zakład...)

Zatem poczciwi ludzie, określiwszy swoje stanowisko i uspokoiwszy się co do dwóch spraw, zacierają ręce i biorą się do działań rozumnych i pożytecznych, takich jak ulepszanie systemu melioracyjnego. Miejscowe urzędnicy uległy dewastacji, i to nie tylko ze względu na brak dozoru w czasie wojny, ale też z przyczyny niewątpliwych zaniedbań (znów musimy go wspomnieć) Ernesta Atkinsona, który, gdy jego browar przestał istnieć, jego spółka transportu wodnego została zlicytowana, a interesy rolne zlikwidowane, wciąż dzierżył nominalnie władzę w Zarządzie Robót Melioracyjnych i Żeglugi na Leemie.

I w bardzo krótkim czasie rzeczywiście zapomnieli. Zapomnieli o Erneście i Helenie. Zapomnieli o Atkinsonach, którzy przez sto lat z górą zarządzili ich losami. Zapomnieli o Piwie Koronacyjnym (jak łatwo zapomnieć o rzeczach nieprzyjemnych). Zapomnieli o starym świecie browarów i barek ze sładem oraz bankietów na ratuszu – jak wiele i jak szybko potrafiły usunąć w cień te cztery ciemne lata. Zapomnieli nawet o samej wojnie, jako że to był główny cel ich zapomnienia i najbardziej nieprzyjemna rzecz ze wszystkich.

Ale Ernest i Helena nie potrafili zapomnieć – nie z tymi skrachowanymi żołnierzami tuż pod płótem. A pensjonariusze ośrodka z pewnością nie potrafili zapomnieć – bo przecież dlatego byli tym, czym byli. Pięć, dziesięć lat później – dziesięć lat od zakończenia wojny, i po tym jak się tyle mówiło, że sprawy przeszłości należą do przeszłości – niektórzy z nich nadal tam są. A nawet dwadzieścia pięć lat później, kiedy Henry Crick w nabożnym skupieniu nastawia odbiornik na swój wieczorny komunikat, kiedy bombowce tłuką się po nocnym niebie, a młody Tom Crick niesłychanie interesuje się pewną butelką, niewielka grupa wciąż tam tkwi – ale kto o nich pamięta? – wciąż w szoku dawnej wojny, wciąż usiłując zapomnieć...

Nie wybiegajmy jednak naprzód. Tak czy inaczej w Kessling w latach, jakie nastąpiły po pierwszej wojnie światowej, przebywa sporo ludzi, którzy nie potrafią zapomnieć, jakim szalonym miejscem jest świat.

Henry Crick zapomina. Mówi: nic nie pamiętam. Ale to tylko fortel mózgu. Tak jakby powiedzieć: nie chcę pamiętać i nie zamierzam o tym mówić. Jednak to zupełnie naturalne, że Henry Crick chce zapomnieć, bardzo dobry znak, iż sądzi, że zapomniał, ponieważ tak właśnie dochodzimy do siebie – zapominając. Zatem w czerwcu 1921 (to nie był szybki proces), kiedy Henry Crick zaczyna mówić głosem zupełnie spokojnym i opanowanym: „Nic nie pamiętam”, lekarze z Londynu i gdzie indziej, którzy już od jakichś trzech lat mają poważny problem, co zrobić z Henrym Crickiem, decydują, że nadszedł czas, by wrócił do domu. Tak, zrobił całkiem niezłe postępy i czas już, teraz kiedy pozbył się tych wszystkich okropnych wspomnień, żeby sobie odświeżył pewne miłe wspomnienia. Przywożą go więc na powrót do Hockwell. Oto stara wioska, pamiętasz? Oto rzeka i most, i stacja kolejowa. Oto stary dom: twoja stara mamusia i tatuś – troszkę się posunęli, ale poznajesz ich? (Ale gdzie jest brat George?) Tak, wydaje nam się, że teraz powinienes już czuć się dobrze. Tak, to była długa podróż, ale wreszcie wróciłeś tam, skąd wyruszyłeś.

Ale tu właśnie się mylą. Bo nie potrzeba wiele ani też długiego czasu – zaledwie kilka samotnych spacerów brzegiem rzeki i po polach, zaledwie kilka tygodni jesiennego deszczu, napełniającego rowy i zmieniającego grunt w grzęzawisko – i Henry’emu Crickowi znów niezbędna jest kuracja. Ponieważ płaska, naga, spłukana Fenlandia, idealny, wydawałoby się, azyl niepamięci, idealne miejsce, by przywyknąć do zapomnienia, wywołuje wręcz przeciwny skutek w przypadku naszego kulejącego weterana. Być może na tym polega kłopot: właśnie niepamięć on chciałby zapomnieć, właśnie od wrażenia zawrotnej pustki nie może się wyzwolić. Wolałby nie doświadczać uczucia nicości.

Pewnego październikowego popołudnia Henry Crick powraca do domu z długiego spaceru cały roztrzęsiony, rozdygotany, w drgawkach – kłębek nerwów, niezdolny wymówić słowa z sensem. Odsyłają go do tego miejsca w Kessling, gdzie zaczyna wyglądać, że zabawi dłużej. Dla państwa Cricków miara się przebrała. Jedno po drugim – niby dwaj oszołomieni, spisani na straty szeregowcy, pod ogniem artyleryjskim zapuszczający się ślepo w ten sam zaułek – staczają się do grobu. Los biednego Henry’ego wydaje się przesądzony. Istotnie, powrócił tam, skąd wyszedł – w dawne, stare błoto... Zarazem jest jednak w Kessling Hall, a tam... Ale wiemy, co mu się tam przydarzyło...

W lutym 1919 roku, na krótko przed swoimi dwudziestymi trzecimi urodzinami, Helena Atkinson rozpoczyna staż jako pomoc pielęgniarska (jedna z czternastu w Ośrodku Kessling). Czy to jej własny wybór czy życzenie ojca? A może po prostu skutek nieubłaganej logiki? W końcu to jego szpital, a ona jest jego córką. Każdego dnia, a czasami nawet w nocy, oświetlając sobie drogę latarką, opuszcza domek portiera (który nie jest już, ściśle biorąc, domkiem portiera, ponieważ szpital ma oddzielne wejście, od szosy Kessling – Apton) i inaczej niż inne pielęgniarki, które albo mieszkają w ośrodku, albo przyjeżdżają rowerem z pobliskiej stacji, podąża dawnym Atkinsonowskim podjazdem na miejsce swoich obowiązków. (To zagadka, której Henry Crick nie rozwiąże – kiedy odzyska zdolność rozwiązywania zagadek – dlaczego ona zawsze przychodzi i odchodzi tędy). Już w pielęgniarskim czepku i pelerynie mówi do widzenia swojemu nie posiadającemu żony ojcu (mężczyźnie czterdziestoczteroletniemu, choć z wyglądu dodałoby mu się jeszcze z dziesięć lat) i znika między rzędami drzew.

A Ernest Atkinson patrzy z zadowoleniem, jak ona odchodzi. Ponieważ Ernest Atkinson (choć może dotknięty na umyśle) nie jest – w przeciwieństwie do pewnego swojego przodka – człowiekiem zazdrosnym, zachłannym. Wręcz przeciwnie. Wyobraża sobie córkę poruszającą się wśród tych okaleczonych istot w szpitalu na podobieństwo „Pani z lampą”. Jest pewien, że osiąga ona cudowne wyniki w leczeniu, nie dzięki sztuce pielęgniarstwa, lecz przez czystą magię obecności piękna. Widzi odkupiony ród mężczyzn opuszczających bramy szpitalne.

Ernest tak to widzi. Nie wierzycie? To jest w tym dzienniku.

I – wierzcie lub nie – cud się zdarza, jeśli chodzi o Henry’ego Cricka.

Dobrze, dobrze, złóżcie to, jeśli chcecie, na karb udoskonalonych metod terapii, fachowości lekarzy lub po prostu upływu czasu, ale Henry Crick powie wam, że to tylko zasługa anioła w mundurku pielęgniarstwa, bogini w białym fartuchu. Tylko i wyłącznie jej.

Henry Crick odkrył miłość. Przez całą wiosnę roku 1922 (1922 – czy to możliwe? Nie 1917?) naprawdę jest w raju. I nie jest to sen. Ponieważ ona też go kocha. Mówi mu to. Ani nie jest to nic wyдуманego i wyobrazonego, ta miłość. Staje się coraz żywsza, coraz namiętniejsza, w miarę jak Henry Crick powraca do zdrowia. Straciwszy wiele młodzieńczych miłosnych lat, jako że czas – nie mówiąc już o umyśle – zabrały mu sprawy szerokiego świata – Henry Crick niewiele zdążył dowiedzieć się o miłości (choć sporo o...), jest kochankiem niedoświadczonym. Ale Helena Atkinson go uczy. Jest dobrą nauczycielką (zaraz, gdzie ona zdobyła swoją wiedzę?). Jednocześnie go leczy.

Czy Helena Atkinson także wierzy w cuda? Nie, ale wierzy w kojącą moc opowieści. Wierzy, że jest to sposób na znoszenie tego, czego nie można się pozbyć, na nadanie sensu szaleństwu. W pielęgniarce kryje się matka, a przez trzy lata spędzone w ośrodku dla nerwowo chorych w Kessling Helena nauczyła się traktować biednych, pomyłonych pensjonariuszy jak dzieci. Jak przestraszone dzieci, które przede wszystkim chcą, żeby im opowiadać bajki. I na podstawie tego odkrycia stworzyła zasadę: Nie, nie zapominaj. Nie staraj się zatrzeć. Tego się nie da zatrzeć. Ale zrób z tego opowieść. Tak, wszystko jest szaleństwem. Co jest rzeczywiste? Wszystko jest opowieścią. Tylko opowieścią...

Tak więc Henry Crick, ucząc się miłości, uczy się także opowiadać te historyjki o starej Flandrii, które później, upiękkszzone, wytrawione, będzie opowiadał przy śluzie i przy kominku, a także w trakcie nocnego zastawiania i opróżniania samolówek na węgorki, i które będą prowadziły do następnych historyjek, aż ból, poza sporadycznym rwaniem w kolanie, przejdzie prawie całkowicie. (Choć już inne bóle...) Henry odzyska ów dawny talent swoich przodków ze strony ojca, który wycieczka do okopów niemal unicestwiła. Zachowuje sobie nawet, na jakąś nieokreśloną przyszłość, może zresztą nieświadomie, historię tejże niezwyklej przygody, którą właśnie przeżywa, tego spotkania z pielęgniarką (bo jak można wyjaśnić cud inaczej, niż mówiąc: a było to tak?). Choć zrobi to, choć opowie tę historię dopiero znacznie, znacznie później, kiedy będzie umierał i inna kobieta będzie go pielęgnowała.

Nie tylko zostają kochankami, ta dziwna para, ale opowiadają jedno drugiemu historie...

A jaką opowieść słyszy Henry z ust Heleny Atkinson?

Pewnego razu był sobie ojciec, który zakochał się we własnej córce (nie, trzeba sprawę postawić jasno, nie mówimy o zwykłych ojcowskich uczuciach). I ten ojciec – który żonę stracił wiele lat wcześniej – oraz córka mieszkali sami w dawnym domku portiera na skraju terenu pewnego szpitala. Otoczona wysokimi drzewami i stojąca całkiem osobno portiernia przypominała domek z bajki – domek z piernika, chatkę drwala; ale w rzeczywistości ojciec był kiedyś bogatym i wpływowym człowiekiem – chociaż z takiego czy innego powodu przyszły nań złe czasy – i mieszkał ongiś we wspaniałym dworze, w którym teraz mieścił się szpital. Daleko za morzem toczyła się wielka wojna i szpital pełen był żołnierzy, niektórych rannych na ciele, ale wszystkich rannych na duszy. I tak było nadal, choć wojna skończyła się trzy lata temu.

Zanim się zaczęła, ojciec wypowiedział się przeciwko wojnie, której nadejście w powszechnym odczuciu miało mieć charakter wielkiej przygody. Powiedział ludziom, że kiedy przyjdzie, będzie czymś okropnym, katastrofą. Ale ludzie zakrzyczeli ojca i odwrócili się od niego z pogardą. Na dodatek pewnej nocy spalił się jego browar. Zamieszkał więc jak banita wraz z córką w wielkim domu na wsi, który pewnego dnia miał stać się szpitalem.

Wtedy zaczęła się wojna i była dokładnie taka, jak ojciec powiedział, i ojciec popadł w melancholię, a jedyną jego pociechą była córka. Czasem w tym samotnym domu, gdzie dla zabicia ciężkich godzin opowiadali sobie nawzajem historyjki i w dalszym ciągu zabawiali się warzeniem piwa, mówił córce, że świat umiera, że nigdy już nie będzie ten sam. Wszystko, co młode i kwitnące, idzie na pożarcie. Ale nawet kiedy to mówił, nie mógł zaprzeczyć (mężczyzna ani młody, ani stary, ale starzejący się gwałtownie), że córka rozkwita w oczach. I nawet kiedy to mówił, musiał być już w córce zakochany. I córka musiała o tym wiedzieć. Ponieważ pewnej nocy przestali opowiadać historyjki i padli sobie w ramiona, tak jak ojciec i córka nie powinni.

Co do miłości, która zawsze znajdzie sposób, ma ona swoje fazy. Zaczyna się od uwielbienia. Potem uwielbienie zmienia się w pożądanie, a pożądanie w nieodstępowanie na krok, a nieodstępowanie na krok w związek. A przejście tych wszystkich faz razem jest możliwe, choć nienaturalne, dla ojca i córki. Na wszystkie te fazy córka się zgodziła, jako że naprawdę uwielbiała swego biednego ojca i współczuła mu, a będąc jego bliską i jedyną towarzyszką od dzieciństwa, skąd mogła wiedzieć, co jest naturalne, a co nie? Ale przed tą kolejną fazą, która następuje po związku, przed urodzeniem owocu miłości (bo takie było życzenie ojca – chciał dziecka, dziecka bardzo szczególnego) wzdragła się, załęczniona.

Żeby więc odwieść ojca od podobnych zamiarów, zaszczerpała w jego umyśle ideę przemienienia ich wiejskiej rezydencji, która i tak była o wiele za duża dla dwojga, w szpital dla ofiar wojny. Czy to nie lepszy pomysł? Uratować tych wszystkich nieszczęśników, którzy staną się w jakimś sensie ich podopiecznymi, ich dziećmi. Oni oboje mogliby się przeprowadzić gdzieś blisko, może do domku portiera (nie, nie, ona go nie opuści). A sama zostanie pielęgniarką.

Ale ten szpital, w który ojciec rzeczywiście włożył rozbudzoną na nowo energię, wyobrażając sobie Bóg wie co (nawet cuda), służył tylko przypomnieniu, że zło się czai i że sprawy przeszłości nie należą do przeszłości. Bo chociaż wielka wojna się skończyła, złamani na duchu żołnierze nadal przybywali i zostawali. Dla nich życie się zatrzymało, chociaż musieli żyć dalej. Więc ten przybytek beznadziejności pogłębił jeszcze smutek ojca. Teraz chciał dziecka bardziej niż kiedykolwiek. I nie po prostu dziecka. Ponieważ zaczął o tym dziecku mówić jako o Zbawcy Świata. Bo może, jak te biedne żołnierzyki, on też był ranny na duszy.

Córka usiłowała przemówić ojcu do rozsądku. Jakże wychowają to dziecko – on, ojciec, i ona, jego córka?

Ponieważ w codziennej pracy w szpitalu przywykła mówić sensownie o szaleństwie, jakby to była rzecz normalna. Kursując wśród drzew między domkiem portiera a szpitalem, zadawała sobie pytanie: które z tych dwojga miejsc kryje więcej szaleństwa? Kto jest bardziej szalony: ci zwariowani żołnierze czy człowiek w domku z piernika? A czasami podczas tych wędrówek tam i z powrotem zatrzymywała się, kiedy spadła żołądź, zastukał dzięcioł, powiew wiatru zakołysał brzożami, i mówiła sobie: to jedyne chwile normalności w moim życiu – jeśli to jest normalność. Myślała: jestem w potrzasku, taka jest prawda. Moje życie też się zatrzymało. Bo kiedy ojcowie kochają córki, a córki kochają ojców, to jakby ktoś zawiązał supeł na tej nici, która biegnie w przyszłość, to jakby strumień chciał popłynąć wstecz.

W takich chwilach łzy często spływały jej po policzkach. Bo chociaż czuła się jak w potrzasku, kochała ojca, tak jak córka powinna i zarazem tak jak córka nie powinna, i nie chciała sprawić mu bólu. A także, choć nie chciała mieć dziecka – to przecież chciała mieć dziecko. Chciała przyszłości. I przywykła pielęgnować mężczyzn, którzy na powrót stali się bezradnymi niemowlętami. A w pielęgniarce kryje się matka.

Kraźnyła więc wśród drzew, niby strapiona dziewica po lesie.

Ale miłość zawsze znajdzie sposób. Ponieważ z czasem w szpitalu pojawił się ranny żołnierz imieniem Henry. Dla niego życie też się zatrzymało, ale właśnie miało się rozpocząć na nowo. Ponieważ z czasem wyzdrowiał, a kiedy wyzdrowiał – chociaż Henry powiedziałyby, że było to jedno i to samo – zakochał się w pielęgniarce, która kochała swego ojca. A tak jak on zakochał się w niej, tak ona zakochała się w nim. A ta druga miłość rozluźniła supeł pierwszej.

Bo pewnej nocy córka powiedziała ojcu:

– Zgadzam się, będę miała z tobą dziecko, jeśli zwrócisz mi wolność.

– Wolność? – zapytał ojciec.

Córka popatrzyła na ojca.

– Kocham innego mężczyznę.

Twarz ojca spochmurniała, ale słuchał, co córka ma do powiedzenia.

– Urodzę ci dziecko, jeśli najpierw pozwolisz mi poślubić tego mężczyznę, i żyć z nim, tak że kiedy dziecko się urodzi, będzie się wydawać, że to jego dziecko i zostanie wychowane przez niego i przeze mnie, jakby naprawdę było dzieckiem z naszego małżeństwa.

Ojciec przyjrzał się córce długo i uważnie.

– Czy to dobry człowiek?

– Tak, to jeden z pacjentów w szpitalu. Był bardzo chory, ale teraz jest prawie wyleczony.

Słabe światło rozbłysło w oczach ojca.

– Ty go wyleczyłaś?

Córka nie odpowiedziała.

– Ale on cię kocha?

– Tak.

– A czy kiedykolwiek mu powiesz, temu twojemu mężowi, czyje to naprawdę dziecko?

– To już zależy od ciebie.

Światelko w oczach ojca przygasło, ale nie zniknęło.

– I będziesz opiekować się nim, to znaczy moim synem?

– Jeśli to będzie syn.

– I będzie zbawcą świata?

– Będzie zbawcą świata.

Zatem ojciec i córka doszli do porozumienia. Może już tej samej nocy przystąpili do poczęcia dziecka. Ale prawdę mówiąc córka miała nadzieję (choć napełniało ją smutkiem oszukiwanie ojca), że najpierw pocznie dziecko z Henrym i że ojciec uzna je za własne. A jeśli to się nie uda i pocznie dziecko z ojcem, nigdy nie powie Henry’emu, czyje ono jest, i może nigdy nie będzie musiała. Trzeciej możliwości – że sama może nie wiedzieć, czyje to dziecko – prawie nie brała pod uwagę, będąc pewna swojego instynktu matki...

Zatem córka próbowała usilnie jednocześnie z dwoma mężczyznami, których obu kochała, zajść w ciążę. Choć który zostanie ojcem dziecka, miało się okazać dopiero, jak dziecko się urodzi. Gdy to wszystko się działo, zraniony umysł Henry'ego był już aż nadto ukojony. I raptem pewnego dnia, kiedy chwila wydawała się stosowna – może w tym samym zagajniku, w tajemnych miejscach, gdzie przystawała w swojej rozterce i płakała – córka zaczęła opowiadać Henry'emu pewną historię...

Ale gdy Henry usłyszał tę historię (był jak człowiek w raju, gotów uwierzyć we wszystko), byli już z pielęgniarką zaręczeni, a on się dowiedział, że zostanie ojcem...

Ta historia ma jednak swój dalszy ciąg, a Henry Crick do niej należy. Bo nie tylko ustalono dzień jego ślubu z piękną pielęgniarką, która odtąd przestanie być pielęgniarką, a zostanie matką, ale dzięki wpływowi jej ojca załatwiono mu zarówno mieszkanie, jak też przyszłe zatrudnienie w postaci Nowej Śluzy Atkinsona i przynależnego do niej domku, którego obecny mieszkaniec, niejaki John Badcock, odchodzi wkrótce na emeryturę.

Przez całą drugą połowę lata, kiedy Europa nadal porządkuje swoje traktaty pokojowe, w Rosji wrze wojna domowa, a trzydziestodwuletni Mussolini ma za chwilę przejąć władzę we Włoszech, Henry Crick uczy się fachu dozorczy służy od Johna Badcocka, człowieka ostrożnego i pełnego rezerwy, który jednak zostawia przybyłej parze jako prezent ślubny i pamiątkę po poprzedniku wypchanego szczupaka, wagi dwadzieścia jeden funtów i cztery uncje, w szklanej gablocie, złowionego w dniu (stąd jego stan wypchania), kiedy został podpisany rozejm.

A pod koniec września, gdy rozwija się wciąż niewidoczna cięża Heleny, meble, artykuły gospodarstwa domowego, rodzinne pamiątki oraz inne ruchomości zaczynają przybywać furgonetką zarówno z byłego domu Henry'ego Cricka i jego zmarłych rodziców, jak i z dawnego domku portiera w majątku Kessling Hall. Dotyczy to także przywiezionego osobno w tylnej części taksówki i zaadresowanego wyłącznie do pani Crick drewnianego czarnego kufra z mosiężnymi okuciami, zamkniętego na klucz i opatrzonego inicjałami E.R.A. Ernest wie, co jest w środku. I Helena wie, co jest w środku. Ale Henry będzie musiał zgadywać.

I tutaj, przy służbie, pewnego marcowego dnia o szarym świcie, pod okiem Ady Berry, akuszerki na Hockwell i Apton, rodzi się dziecko, które według życzenia Ernesta Atkinsona ma zostać zbawcą świata.

A okazuje się kapuścianym głąbem.

Chociaż tego, że nie jest zbawcą świata, ale kapuścianym głąbem, Ernest Atkinson nigdy się nie dowie...

Ale cofnijmy się trochę – do punktu, gdzie światło Raju wydaje się ciągle realne. Henry Crick, nowożeniec i przyszły ojciec, siedzi sobie pewnego spokojnego i zmierzchającego wieczoru w porze babiego lata przed domkiem, w którym teraz mieszka, spozierając na służę, na wstęgę rzeki i rzeczny brzeg, stanowiące obecnie jego prywatny rezerwat. Rozświetlona obecnością pięknej i ciężarnej żony, owa równinna posiadłość nie zieleje już tą straszliwą pustką, która go niegdyś gnębiła, a jeszcze nie ujawnia opuszczenia, które później stanie się wyczuwalne. Henry, zamknięty na dodatek w kokonie miłości do tejże żony, jest głuchy na plotki świata. Ponieważ wie, kim jest Ernest Atkinson. A cóż tak niezwykłego w tym, że dziecko poczęte w nieprawym łóżu rodzi się w ślubnym? W tej chwili Henry osiągnął największe szczęście, jakie może w ogóle dane jest osiągnąć człowiekowi, szczęście, które jak tarcza chroni przed ostrzem zmartwień, szczęście rozłupujące jak klin przeszłe i przyszłe troski.

I nagle widzi, jak toto migoce i kołuje w gasnącym świetle na skraju rzeki. Płynie w dół, gdzieś w mrocznej dali, trzymając się drugiego brzegu i kierując na śluzę. Marszczy powierzchnię, mruga, raz jest w wodzie, raz nad wodą, to znowu znika w szuwarach, kręci się, wiruje, błyska, trzepocze, strzela płomieniem, szarzeje, znowu robi się jasne, podskakuje, unosi się, robi unik, mknie zygzakiem, a przez cały czas jakby mówiło: „Spójrz na mnie – czy twoja uwaga skupia się na mnie? Tak, widzę, że twoja uwaga skupia się na mnie”. Przez moment wydaje się, że przybrało migotliwy kształt kobiety. Wreszcie, trafiwszy na barierę jazu, znika.

Błądny ognik.

Henry Crick patrzy zdumiony. Tak zdumiony, iż zapomina, że błędne ogniki tradycyjnie uważane są za zły znak. Nie wątpi w świadectwo własnych oczu. Ale żeby nie zwątpić w świadectwo własnej pamięci, odnotowuje tę wizję. Zapisuje – jeszcze jedna pozycja na liście dziwów, z którymi się zetknął – na odwrocie swojego dziennika dozorczy śluzu: 26 wrzesień, 1922 (wieczór). Widziałem błędny ognik.

To tego samego dnia, 26 września 1922, czarny kufer z mosiężnymi okuciami i złotymi inicjałami przybył do domku przy śluzie, a Henry Crick na polecenie żony (nie zadawał żadnych pytań – szczęśliwi ludzie nie zadają pytań) zataszczył go na strych.

Trochę wcześniej Ernest musiał wyjaśnić Helenie, co znajduje się w kufrze i w jakim celu zostało tam umieszczone. Musiał wyjaśnić, że aczkolwiek, na co uprzednio wyraziła zgodę, pozostawało do decyzji jego córki, czy jego przyszlęmu synowi (może Helena nie wtrąciła słów „albo córce” czy nawet słowa „wnuk”) powiedzieć prawdę o jego pochodzeniu, to jednak utrzymywanie człowieka – a co dopiero zbawcy świata – w nieświadomości w takiej sprawie jest nie byle jakim oszustwem, chciał więc poczynić przygotowania do ostatecznego odsłonięcia tajemnicy. W starym kufrze – kufrze, który niegdyś, w młodości, towarzyszył mu w wyprawach do Londynu – zamknął pisemne oświadczenie, adresowane do tego jeszcze nie narodzonego dziecka, wyjaśniając, skąd się wzięło na świecie. Ponadto włożył tam swoje dzienniki, prowadzone przez te wszystkie lata, tak że – o ile takie sprawy mają jakąkolwiek wartość dla zbawcy świata – dziecko będzie mogło poznać bliżej ojca, który go począł. Pośle jej kufer i klucz, a ona – o ile tak zadecyduje – na osiemnaste urodziny ich syna ma oddać mu klucz.

Może Helena chciała powiedzieć: „Ale przecież ty wtedy będziesz jeszcze...”, jednak się powstrzymała, wiedząc, że ma przed sobą chorego człowieka. Może zamiast tego powiedziała: „Ale dlaczego kufer?”, mając na myśli, że kufer jest duży. Na co Ernest być może odpowiedział, kto wie, może nawet z czymś w rodzaju mrugnięcia: „Na swoje osiemnaste urodziny nasz syn dostanie także tuzin butelek naszego starego piwa. Pamiętasz, piwa, któreśmy razem warzyli...”

I może wtedy pożegnał się z nią, nie jako ojciec, ale jako kochanek. Bo przecież już nigdy nie będą mogli się spotkać we dwoje tutaj w domku portiera – no bo jakże? Może też Helena, ruszywszy w drogę powrotną do domku przy służbie, płakała. Ponieważ dziecko w jej łonie – tak wtedy sądziła – było dzieckiem Henry’ego.

Wieczorem 25 września Ernest sporządził dokument dla swego domniemanego syna, przesyłając mu ojcowską miłość i pozdrowienie, ojcowskie wyznanie – ojcowski żal za grzechy – i przykazując mu zbawić świat, który jest miejscem pilnie potrzebującym zbawienia. Być może wiedział, pisząc to, że jest szalony, ponieważ w każdym szaleńcu siedzi mały człowieczek przy zdrowych zmysłach, który mówi: „Jesteś wariatem, jesteś wariatem”. Ale może nie sprawiło mu to żadnej różnicy, gdyż do tego czasu umocnił się w swoim przekonaniu, że ten świat, który lubimy uważać za normalny i rzeczywisty, jest naprawdę bezsensowny i urojony.

Kiedy skończył ów list do swojego syna-zbawcy, złożył go i wsunął do koperty, nie zaklejonej (żeby Helena mogła go przeczytać) i razem z czterema niebieskimi, oprawnymi w płótno notatnikami, które zawierały jego dziennik, umieścił w czarnym kufrze. Następnie zszedł do piwnicy w domku portiera i przyniósł stamtąd na raty dwanaście butelek piwa, które, kiedy zostało wyprodukowane na sprzedaż w 1911 roku, nosiło nazwę Piwa Koronacyjnego. One również, troskliwie owinięte w materiał workowy, zostały umieszczone w kufrze. Albo miał to już napisane, albo właśnie w tym momencie dodał do listu następujące słowa: *PS. Butelki są na sytuacje krytyczne.*

Napisał na kopercie: *Pierworodnemu pani Crick*, kopertę i dzienniki też owinął w materiał workowy, zatrzasnął kufer, zamknął go na klucz i następnego rana kazał dostarczyć do domu córki wraz z zalakowaną paczuszką zawierającą klucz.

Nie wiadomo, ile butelek było w piwnicy w domku portiera. Ale musiało być ich znacznie więcej niż dwanaście. Ponieważ kiedy mój dziadek odprowadził wzrokiem swój kufer odjeżdżający w tylnej części taksówki, poczuł w środku ogromną pustkę i zaczął ją wypełniać piwem. Zaczął wlewać w tę pustkę, w ilościach, o jakich przedtem mu się nie śniło, ten niezwykły i wizjonerski trunek, który powinni pić tylko ci, co umieją go pić – który naprawdę umie pić tylko zbawca świata.

Pił całe rano.

W domku przy Nowym Atkinsonie pani Crick otrzymuje kufer i – w małej paczuszce, zawierającej także klucz – jedno zdanie, które brzmi: *Nazwij go Richard*.

Pił całe popołudnie.

W domku przy Nowym Atkinsonie Henry Crick, doświadczając rwania w kolanie, dźwiga kufer na strych.

Pił, z przerwami, chyba cały dzień. Ale wreszcie, w którymś momencie wieczoru, zostawiając za sobą śmietnik pustych butelek po piwie, wyruszył z domku portiera w kierunku Ośrodka Kessling po zasypanych liśćmi ścieżkach, którymi niegdyś jego córka chodziła codziennie jako pielęgniarzka. Być może uważał, że tam przynależy naprawdę, razem z tymi biednymi żołnierzami, którzy nigdy nie wydostaną się z przeszłości, nigdy nie zdołają wspiąć się w przyszłość – podczas gdy jego córka należała do tego, który został uwolniony. Być może zamierzał zająć miejsce Henry’ego Cricka wśród zwariowanych żołnierzy i może dlatego miał ze sobą strzelbę.

Tak czy inaczej, nigdy nie doszedł do ośrodka. Ponieważ w ten sam wrześnieowy wieczór, kiedy mój ojciec zobaczył błędny ogień, migocący na Leemie, Ernest Atkinson, którego pradziadek sprowadził z Norfolku czarodziejski jęczmień, usiadł pod drzewem, plecami oparł się o pień, włożył lufę naładowanej strzelby w usta i pociągnął za spust.

Testament nauczyciela

Dzieci, czy wierzycie w edukację? Czy wierzycie, że świat dorasta i się uczy? Czy wierzycie w całą tę gadaninę o mądrych starcach i głupich młodzieńcach? W starszych i lepszych, w podążanie za przywódcą, w zbawienną rolę doświadczenia?

Dzieci, czy wierzycie w dzieci? Że przychodząc na ziemię ciągną obłoki chwały, że przynoszą ze sobą raj w małych paczuszkach, że w ich piersi kryje się przebłysk tego, czym świat może stać się pewnego dnia?

Kto to jest nauczyciel historii? Jest to ktoś, kto naucza o błędach. Kiedy inni mówią: oto jak się to robi, on mówi: a oto, co się psuje. Kiedy inni mówią: tu jest droga, tu jest ścieżka, on mówi: a tu spartaczono, tam pokpiono sprawę, tu gruby błąd, tam kompletna kłapa... To nie takie proste, błędzić jest rzeczą ludzką (więc czego nam trzeba, Boga, który by nad nami czuwał i wybaczał nam nasze grzechy?). Jest on samozapreczeniem (gdyż każdy wie, że historia uczy, iż nikt...). Jest on instruktorem, który przeszkadza, jest zdradliwym opiekunem. Może ma zły wpływ. Może lepiej trzymać się od niego z daleka?

Ciemność. Boisko szkolne. Ciemność w klasie, w auli, w pracowniach, w sali gimnastycznej, w bibliotece. Tylko pojedyncze światło świeci się jeszcze w biurowym skrzydle.

Nauczyciel idzie niepewnym krokiem przez boisko. Nauczyciel jest trochę pijany. Nauczyciel nie będzie już uczył. Nie nadaje się do tego. Nauczyciel był u dyrektora. Krąży po tym dzieciennym placu zabaw, pod zamglonymi podmiejskimi gwiazdami...

Dzieci, kilka krótkich obserwacji na temat pijaństwa (poczynionych w stanie pijaństwa). Zjawisko dotyczące głównie dorosłych. Bardzo młodzi na ogół nie piją. Nie muszą. Ponieważ dzieci nie odczuwają potrzeby, żeby jeszcze raz upodobnić się do dzieci... Świat wtedy wydaje się podobny do zabawki. Zło wydaje się nie takie złe. Rzeczywistość wydaje się nie taka rzeczywiście rzeczywista... Implikacje socjologiczne i ideologiczne. Wentyl bezpieczeństwa w marszu historii (patrzcie – wciąż potrafimy się radować!). Temat do badań interdyscyplinarnych (może macie ochotę zająć się nim kiedy?): produkcja francuskich win i szampanów podczas Rewolucji Francuskiej. Konsumpcja wzrosła czy zmalała?

– Pan profesor?

To Price. Jego blada, woskowa, pytająca twarz wynurza się jak posępny księżyc z ciemności.

– Price, co tu jeszcze robisz?

– Zebranie, panie profesorze.

– Jakie zebranie?

– Naszego towarzystwa. Klubu Zagłady, Ligi Przeciw Końcowi Świata. Nie zdecydowaliśmy się jeszcze na nazwę.

– Tym lepiej. Czy wolno wam odbywać te zebrania? Gdyby Lewis...

– Wszystko w porządku. Zamówiliśmy salę w imieniu Klubu Szachowego.

Zaczyna iść obok mnie.

– Więc widział się pan z nim, panie profesorze?

– Z nim?

Price ruchem głowy wskazuje wiszący kwadrat światła.

– Wiedziałeś?

– Wszyscy wiedzieli.

– Tak, widziałem się z nim. Jeśli chodzi o ścisłość, piłem jego whisky.

– Więc dostał pan kopa?

– Jak myślisz, Price?

– Moglibyśmy zorganizować protest, panie profesorze. Wysłać petycję do władz oświatowych. Napisać do tej zasranej miejscowej gazety...

– Czuję się zaszczycony. Ale...

(Ale skąd ta nagła troska? Ta solidarność? To pełne szacunku „panie profesorze”. Akurat od ciebie...)

– Ja chcę tylko powiedzieć, panie profesorze, że my wszyscy, cała klasa... że naprawdę jest nam bardzo przykro z powodu tego wszystkiego.

– Cóż, nie przejmujcie się, Price. Nie wyrzucają mnie. Mam przejść na emeryturę.

– I jeszcze... Chodzi o te nowe lekcje, które pan prowadził. To naprawdę coś.

Historyjki, Price. Bajki.

– Przykro nam także z powodu pani Crick.

– Też się nie przejmujcie. Słyszała o tobie, czy wiedziałeś o tym? Mówiłem jej o tobie. Należysz do uczniów, o których nauczyciel opowiada żonie.

– Jak pana żona się czuje, panie profesorze?

Nauczyciel nie odpowiada.

Dochodzimy do bramy. Nauczyciel staje na chwiejnych nogach.

– Słuchaj, Price, musisz iść prosto do domu? Będą się martwili, co się z tobą dzieje? Właśnie wypilem trzy filiżanki szkockiej. Chyba muszę się jeszcze napić. Chodź i napij się ze mną.

– Dobra – (z pewną rezerwą) – w porządku. Ale czy on naprawdę ma tam u siebie zapas gorzały?

– To nie zbrodnia. Wasz dyrektor potrzebuje opieki. Lubi być waszym Lordem Protektorem, ale to on potrzebuje... Nie powinienem tego mówić.

– Tak... „Pod Głową Księcia”, panie profesorze? Pan wie, że nie mam osiemnastu lat?

– Price, czy naprawdę chcesz mi powiedzieć, że ty nigdy...?

„Pod Głową Księcia”. Sztuczne ciepło w zimny wieczór. W tle bulgoty „Space Invaders” i czkawka jednorękiego bandyty. Stół w narożniku. Na wpół pijany nauczyciel oraz uczeń z twarzą jak śmiertelna maska. Trunki: dla pierwszego duża szkocka, dla drugiego (powinien był przewidzieć ostentacyjny gust Price’a) wolno pociągana Krwawa Mary.

„Kolejny skandal w południowolondyńskiej «Szkole Skandalu».2 Uczniowie zachęceni do picia po lekcjach”.

– Więc co on panu powiedział?

– Lewis? Nieważne. Opowiedz mi o tym Klubie Zagłady czy jak tam?

– Jeśli pan chce... – Waha się trochę, jakby w obawie, że uznam to za dziecinadę. – To tylko taka idea. To nie grupa protestacyjna. Wierzymy w siłę strachu.

– Strachu, Price?

Strachu?

– Nie każdy z chłopaków w tej szkole pójdzie zaraz i przyłączy się do protestu. Ale mogą mieć cykora. Chcemy wykorzystać strach. Powiedzieć ludziom, żeby go nie ukrywali. Wydobyć go na wierzch. Chcemy powiedzieć: w porządku, pokaż, że się boisz, dodaj swój strach do naszego.

– Ale w jaki sposób chcecie...

2 Aluzja do tytułu sztuki Richarda Sheridana „The School for Scandal” przełożonej na polski przez Cecylię Wojewodę jako „Szkola Obmowy” (przyp. tłum.).

– Myśleliśmy, żeby założyć pismo. Namówić ludzi, żeby opisali swój strach. Wie pan, jak sobie wyobrażają koniec świata. Ostatnie minuty, ostatnie myśli, jak to będzie z tymi, którzy nie zginą od razu...

Podnieca się. Pociąga łyk krwi.

– Pan wie, skąd wziął się pomysł, panie profesorze?

– Nie.

– Nie? Naprawdę nie? Z tej lekcji. Pamięta pan, kiedy wszyscy opowiadaliśmy nasze sny...

– A tak. – (Więc moje lekcje nauczyły czegoś: jak się bać). – Ta lekcja.

Patrzy na mnie.

– Panie profesorze, przepraszam, że przeszkadzałem na pana lekcjach. Przepraszam, że narozrabiałem.

Ależ na tym polega istota edukacji, Price. (I nie patrz tak bojaźliwie. Gdzież podział się rewolucyjny ogień? A może przestaje płonąć, kiedy tyrana spotyka upadek innego rodzaju? Kiedy okazuje się on, mimo wszystko, trochę żalostną figurą?)

Istota nie polega na pustych umysłach oczekujących wypełnienia ani na wypuszczaniu pary przez nadętych nauczycieli. Istota polega na opozycji nauczyciel – uczeń. Na tym, co się ściera w wyniku oporu jednego i oporu drugiego. Jest to długa, twarda walka przeciwko naturalnemu oporowi (ponieważ historia naturalna nigdy nie chce przyjąć do wiadomości...). Powolny, nie kończący się proces. Wymaga dużo flegmy. Nie wierzę w szybkie rezultaty, w czarodziejską różdżkę, w cuda. Nie wierzę nawet, jakby to ujął Lewis, w przygotowanie do życia w dzisiejszym realnym świecie. Ale wierzę w edukację.

„Zwolniony nauczyciel, mąż kidnaparki, mówi: Wierzę w edukację...”

Czy wiesz, dlaczego zostałem nauczycielem, Price? Zgoda, miałem tego bzika na punkcie historii. Mój konik. Ale czy wiesz, co pchnęło mnie, żeby nauczać? To wtedy, kiedy byłem w Niemczech w 1946. Wszystkie te gruzy. Całe tony. Widzisz, nie trzeba było wiele. Kilka zrównanych z ziemią miast. Żadnych dodatkowych lekcji. Żadnego zwiedzania obozów śmierci. Powiedzmy po prostu, że dokonałem odkrycia, iż ta rzecz zwana cywilizacją, ta rzecz, dla której pracowaliśmy przez trzy tysiące lat, tak że od czasu do czasu bywaliśmy już nią znudzeni i nawet się z niej wyśmiewaliśmy, jak dzieci w szkole, ponieważ niekiedy przybierała postać nadętego nauczyciela – jest cenna. Makieta, tak łatwa do obalenia, niemniej cenna.

Było to trzydzieści cztery lata temu. Nie wiem, czy świat jest lepszy, czy gorszy niż w roku zerowym. Są mity postępu i mity upadku. I marzenia o rewolucji... Nie wiem, czy trzydzieści dwa lata, które przepracowałem jako nauczyciel, stanowią jakąkolwiek różnicę. Ale wiem, że perspektywy rysowały się ponuro wtedy i rysują się ponuro teraz. W 1946 roku miałem wizję świata w ruinach. (Moja przyszła żona, z tego, co wiem, też miała wizje – ale zostawmy to). I teraz ty, Price, siedzisz tu, w roku 1980, z twarzą jak trupia czaszka i tym twoim Klubem Zagłady, i powiadasz, że, być może, świat nie potrwa dużo dłużej – a nie jesteś wiele młodszy, niż ja byłem wtedy.

– Ale chcesz wiedzieć, co mi Lewis powiedział? Pozwól, że ci powiem coś, co powiedziałem jemu; powiedziałem: Lewis, czy ty wierzysz w dzieci?

– Nie rozumiem, panie profesorze. Chce się pan jeszcze napić?

– Lewis też nie rozumiał. Powiedziałem: Uczymy je. Czy w nie wierzysz? W to wszystko, czym podobno są. Spadkobiercami przyszłości, siedliskiem nadziei. Czy raczej uważasz, że szybko dorosną, staną się tacy jak ich rodzice, będą popełniać te same błędy co rodzice, że ta sama stara historia powtórzy się od początku? A Lewis zapytał: A ty jak uważasz? Odpowiedziałem: Ja uważam, że to drugie. Na to Lewis: Czy tego uczysz na swoich lekcjach? Odpowiedziałem: To im mówi historia: pewnego dnia będziecie tacy sami jak wasi rodzice. Ale jeśli stając się tacy jak ich rodzice, walczyli, żeby się takimi nie stać, jeśli próbowali (widzisz, Price, dlaczego uczeń musi buntować się przeciwko nauczycielowi, dlaczego młodzi nie mogą ufać starym), jeśli próbowali i w ten sposób powstrzymali upadek? Jeśli nie dopuścili, żeby świat stał się gorszy? I wiesz, co Lewis powiedział?

– Nie.

– Że to diagnoza zmęczonego starego cynika, który za długo uczył.

Dobrze więc, to tylko walka o zachowanie makiety. To tylko walka o to, aby świat nie wydawał się pozbawiony znaczenia. To tylko walka przeciwko strachowi. Boisz się, Price. Nie trzeba aż zakładać klubu z tego powodu. Zobaczyłem to w twojej twarzy.

A myślisz, że ja w tej chwili to co? Czemu, jak myślisz, służy ta cała moja pusta gadanina, po co, jak myślisz, te wszystkie historyjki, stanowiące finał mojej nauczycielskiej kariery, które – jak mi teraz mówisz – nie pozostały nie docenione? To pomaga odpędzić strach. Nie obchodzi mnie, jak to nazwiesz – wyjaśnieniem, unikaniem faktów, stwarzaniem znaczeń, patrzeniem w szerszym kontekście, nadawaniem rzeczom właściwych proporcji, uchylaniem się przed Tu i Teraz, edukacją, historią, bajkami – to pomaga wyzbyć się strachu. A dlaczego, jak myślisz, siedzę teraz tutaj z tobą i chcę ci powiedzieć jeszcze więcej? Nie musisz już iść, co, Price? Mama i tata nie będą się martwić? Tak, napiję się jeszcze. Tak, wiem, że jestem pijany. Pozwól mi opowiedzieć jeszcze jedną. Pozwól mi opowiedzieć...

Price wstaje, żeby przynieść następną kolejkę. Barman, zbierając kieliszki, zatrzymuje go. Przygląda mu się podejrzliwie. Potem pyta:

– Czy on ma osiemnaście lat?

– Tak.

Barman patrzy nie przekonany.

– Ja chyba wiem lepiej. To mój syn.

...pozwól mi opowiedzieć (nawet pod trupim makijażem widać, jak Price nagle się rumieni), pozwól mi opowiedzieć

O Pięknej i Bestii

Żaden zbawca świata. Kapuściany głąb. Żadna nadzieja dla przyszłości. Bezmózgowiec z tępym, pustym spojrzeniem ryby...

I nie da rady go nauczyć. Nie umie czytać ani pisać. Jego mowa przypomina dziecinne gaworzenie, jeśli w ogóle się odezwie. Zapomni jutro, co mu się powiedziało dzisiaj. W wieku czternastu lat wciąż siedzi w młodszej klasie wiejskiej szkoły w Hockwell, z opadającą dolną szczęką, patrzy oczami bez wyrazu, codzienne pośmiewisko innych dzieci: – Dick Crick – świergocą – Dick Crick, Dick Crick. – Imię jak z dziecięcej rymowanki; swoją drogą, co strzeliło do głowy bezmyślnym rodzicom, żeby go nazwać Richard?

Pan Ronald Allsop, kierownik szkoły, człowiek wytrwały, wyznaje wreszcie ojcu: – Zrobiłem, co mogłem. - I znajduje ucieczkę w wypróbowanej formule pokonanego pedagoga: – Ale ręce ma zręczne... i silne ramiona, to przecież żaden wstyd, uczciwa praca fizyczna...

Dziwne, że ojciec wydaje się zadowolony, jakby ten smutny werdykt sprawił mu ulgę.

A co dziwniejsze, że kiedy młodszy brat Dicka, Tom – który przeciwnie, jest w szkole gwiazdą, który zdobywa stypendium Gildseyowskiego Gimnazjum Męskiego, który zajdzie daleko i z którego ojciec będzie dumny (ale nie matka, ponieważ matka nie żyje) – próbuje powodzenia tam, gdzie wiejska szkółka w Hockwell poniosła klęskę; kiedy pewnego letniego dnia bierze książki, ołówek i papier – bo nie chce bałwana za brata, bo myśli o tym, o czym brat nie myśli, mianowicie że brat jest bezmyślny; bo chce go uratować od zagrażającego mu matołectwa (ach, zwróćcie uwagę, dzieci, na te wczesne pedagogiczne zapędy) – i siada wraz z Dickiem na skraju ścieżki holowniczej, ojciec szybko przerywa tę improwizowaną lekcję i z oczyma szeroko otwartymi w przerażeniu oraz niezwykłą u niego gwałtownością rzuca swojemu drugiemu synowi: – Zostaw go! Nie ucz go czytać!

Tak więc Dick wzrasta – ręce ma zręczne, ramiona szerokie, ciało sprężyste, choć nie umysł – nad brzegiem rzeki Leem. A w swoim czasie zaczyna pracować na pogłębiarce na Ousie, „Róży II”, i w ten sposób, dzięki zaoszczędzonym zarobkom za swój codzienny trud, może kupić używany motocykl, velocettę 350, który – ktoś mógłby zauważyć – pośród wszystkich rzeczy na świecie jest rzeczą przez Dicka rozumianą najgłębiej i pielęgnowaną najczulej; motocykl przez swoją bezmózgą funkcjonalność, przez swoje mechaniczne ożywienie odznaczający się dość bliskim podobieństwem do samego Dicka.

Ale nawet kapuściany głąb musi chwilami zastanowić się i pomyśleć. Nawet bezmózgowiec musi chwilami rozważyć to wielkie, dręczące zagadnienie: Co to jest życie? Z czego się składa? Skąd się bierze i po co jest?

Weźmy na przykład ten czas, kiedy jego matka zniknęła bez wyjaśnienia i nigdy już nie wróciła. Przecież zawsze była. Dawała czystą odzież i regularne posiłki. Choć był głąbem kapuścianym, otulała go w łóżku i całowała na dobranoc, ba, obdarzała go specjalną – albo tak się wydawało śledzącemu ją ciekawie i zazdrośnie, tak, zazdrośnie, małemu Tomowi – macierzyńską czułością, jakby proporcjonalnie większą, bo nie odwzajemnioną. Ale pewnego dnia sama położyła się do łóżka i niezadługo już jej nie było. No i gdzie się podziała?

(Naprawdę nie wiesz, Dick? Nie widziałeś? Jest w tej drewnianej skrzyni, którą złożyli do twardej od mrozu ziemi w Hockwell. Wszyscy staliśmy naokoło, nie pamiętasz? To była ona. Jest pod tym małym wzgórkim w trawie, tam gdzie ojciec chodzi i składa kwiaty – nie zauważyłeś, Dick, że zaczął hodować kwiaty obok tych swoich warzyw? – a czasami można zobaczyć, jak położywszy kwiaty klęka, przyciska czoło do ziemi i wypłakuje oczy. Ona jest pod ziemią, Dick, już na zawsze).

Ale Dick nie chce wierzyć, że udała się tam, skąd nie ma powrotu. Może schowała się gdzie indziej. Jeśli zabrali ją w jednej skrzyni, może wróci w drugiej. Może skuliła się w tym starym kufrze na strychu. Czy nie dała mu klucza – tuż przed tym, jak zniknęła? A jeśli nie ma jej w kufrze (bo nie ma), to może jest w tych butelkach – ponieważ poza tym nie ma nic oprócz starych worków i jakichś nieważnych bazgrołów. Albo może to, co jest w tych butelkach, sprawi, że ona wróci...

Bo pewnego dnia, wkrótce po nagłym i nie zaplanowanym odejściu mamy, Dick bierze jedną z butelek, wędruje tam, gdzie Rów Stotta zbiega się z południowym brzegiem Leemu, i uroczyście wypija zawartość...

A dlaczego Rów Stotta?

Ponieważ tutaj co wieczór, po uprzednim zastawieniu ich rankiem, tata wydobywał swoje wiklinowe samołówki, które prawie niezawodnie wynurzały się pełne pulsującej i połyskującej masy węgorzy. Musiało być coś szczególnego w tym mrocznym zbiegu kanału i rzeki, coś szczególnego zarówno dla węgorzy, jak i dla taty. Ponieważ to tutaj wiosną i latem po dezercji mamy tata zaczął przychodzić po zachodzie słońca, zamieniwszy swój ustalony tryb połowu węgorzy na nocną wachtę przy świetle księżyca albo lampy sztormowej, odmierzaną liczbą wypalonych papierosów. My, jego synowie, chodzimy z nim i uczymy się łapać węgorze. Czasami spędzamy tam całą noc, podczas gdy ojciec łamie sobie głowę w poszukiwaniu jeszcze jednej historyjki, jeszcze jednej mądrej maksymy i powiedzenia (choć Dick nigdy nie słuchał, tylko patrzył tam, gdzie zapuszczono samołówki), ponieważ nie chce wracać do pustego domu, do pustego łóżka, w którym nie ma matki.

Tutaj również, kiedy jest już starszy i jeździ motocyklem, będzie przyjeżdżać Dick co drugi wieczór w tygodniu, wracając z „Róży II”, jako że nałożono nań teraz (przywróciwszy ranne zastawianie samolówek) zaszczytny obowiązek samodzielnego wydobywania naszego połowu. Kiedy jedzie do domu drogą na Hockwell, na jego plecach kołysz się ociekający wodą, wiercący się worek. Tak, jest coś szczególnego także i dla Dicka w tych czarodziejskich samolówkach, które, puste i jałowe, gdy się je zapuszcza, wynurzają się na powierzchnię pełne śliskiej gibkości. Może rzeka potrafi powiedzieć, dokąd odeszła mama i w jaki sposób mogłaby wrócić. Może rzeka potrafi wyjaśnić tajemnicę życia. Może pewnego dnia, kiedy wyciągnie się samolówki na brzeg...

Dick przykłada butelkę (smukłą butelkę, ciemnobrązową, z wąską szyjką) do ust i pije. Skąd wiem? Bo tkwię po drugiej stronie rzeki, kryjąc się za grzbietem przeciwległego brzegu. (A dlaczegóż to mały braciszek z takim zapalem uczy się szpiegowania, skąd ta ambicja detektywa?) Dick pije – całą butelkę jednym haustem. Ale to, co wypił, nie sprawia, że matka wyłania się z rzeki, wijąc się i sunąc, żywa-żywiusieńka. Chociaż skutki są dostatecznie zadziwiające...

Albo pamiętacie, jak nad brzegiem kanału Hockwell po pewnych rekordach w pływaniu pod wodą, po pewnych nadzwyczajnych reakcjach fizjologicznych Freddie Parr wziął węgorza (tak, jest coś w tych śliskich stworzeniach) i... A Dick popatrzył na Mary, a Mary popatrzyła na Dicka... Czy ta chwila zapadła bez śladu w bagno Dickowej niepamięci? Nie, tkwi w podświadomości, powraca echem. Bo co zaczyna robić Dick od tego pamiętnego lipcowego dnia 1940 roku? Zaczyna krążyć wokół Mary Metcalf, aczkolwiek w niejakiej odległości. Czatuje w wiosce Hockwell, w pobliżu stacji, kiedy o szesnastej dwadzieścia cztery ma nadjechać pociąg z Gildsey, przywożąc swój ładunek powracających dzieci szkolnych, łącznie z tą, która nosi rdzawy mundurek i na lewej piersi czerwone najświętsze serce. Pojawia się na trasie, jaką pewna osoba przemierza z Hockwell do Polt Fen. A dopuszczony do grona hockwellowskiej młodzieży (bo od tego dnia nad kanałem Hockwell pojawiła się tendencja traktowania Dicka już nie z tolerancyjnym pobłażaniem, ale z podejrzliwym, ostracyzującym szacunkiem), obdarza Mary, jeśli jest obecna, znowu tymi długimi, wyprowadzającymi z równowagi spojrzeniami.

Tak więc w okresie, kiedy niewątpliwie rozkwitająca, acz nadal niewinna namiętność małego Toma do Mary przebija się przez nieśmiałość, wczesne etapy z przedziału kolejowego, inna dusza, i to rodzony brat (ach, trudno nie być zazdrosnym), także wzdycha i tęskni. Tyle że gdy mały Tom doskonale wie, co go krępuje, choć ta wiedza nie pozwala mu być ani odrobinę śmielszym, niedola Dicka jest mniej uświadomiona i trudniejsza do uleczenia. Biedny chłopak nie wie, dlaczego cierpi.

Jeśli cierpi. Bo w ciągu tych samych miesięcy, tego okresu podatności i kształtowania, nie widzę żadnego dowodu na rzekome strapienie Dicka. Tak jest, zdarza się czasami, że wałęsa się koło stacji w Hockwell, kiedy ja (z Mary Metcalf) wracam ze szkoły. Ale w tym nie ma nic nadzwyczajnego. To Mary mówi mi o żalonym położeniu Dicka. A ściślej biorąc, mówi mi o tym dopiero wtedy, kiedy nasza zażyłość osiąga fazę, w której taka szczerość jest możliwa, kiedy osiąga pełnię, stadium wiatraka. W tym czasie Dick jest już matem na „Róży II” i wydaje się świata nie widzieć poza swoim motocyklem. Tak więc przez okrągły rok, a nawet więcej, albo to Dick zachowuje się tak dyskretnie i oględnie, że aż trudno uwierzyć, albo – czy jednak naprawdę przychodzi mi to do głowy, kiedy Mary snuje swoją opowieść o potajnym życiu mego brata – może prawda nie wygląda tak, jak to przedstawia Mary, lecz całkiem inaczej. Może to nie Dick uparcie, na oślep ugania się za Mary, ale Mary, obdarzona znacznie większą chytrą, chce się lepiej zaznajomić z Dickiem.

– Pamiętasz, jasne, że pamiętasz, w ten dzień, kiedy Freddie złapał tego węgorza i...

(Gdy duże błękitne oczy nieba spoglądają na nasze gniazdko miłości, gdy słońce pada na miedziane włoski...)

– Duży był, co? Nie, nie węgorz. – (Złośliwie, z zainteresowaniem). – Musiał być ze dwa razy większy od tego...

(Gdy brzęczenie owadów miesza się z odgłosami pasącego się bydła...)

– Jaki on jest? Nie, naprawdę. Czy twój tata albo mama nigdy... Ale on jest dziwny, nie? Czy nigdy nie jest ci go żal...?

(Gdy topole szumią...)

– Biedny Dick.

– Tak, biedny Dick.

To prawda, że mnie wzrusza – wzrusza mnie tak, jak tylko może wzruszać młodszego syna z prawem pierworództwa do fortuny, jak tylko może wzruszać kochanka bezpiecznego (bezpiecznego?) w swojej miłości – ten obraz mego samotnego i pogrążonego w mrokach brata. Pozbawiony nie tylko mózgu i edukacji, ale tego dodatkowego błogosławieństwa pod strażą wiatraka. Musi się dowiedzieć, musi się nauczyć. Jeśli nie tego, jak połączyć ze sobą słowa na stronie i przemienić je w mowę, to tej innej magii.

Ach, miłość, młoda miłość. Nie potrafi pozostać prosta i niewinna. Chce rozprzestrzeniać się i głosić swoją ewangelię. (A później kurczy się i marnieje. Później staje się ostrożna i czepia się samej siebie, jakby miała zniknąć...) Ale młoda miłość, nowa miłość, pierwsza miłość... Chce wszystko przygarnąć, lituje się nad wszystkimi pozbawionymi tego prostego lekarstwa...

A zatem jak mogłem w naszym buduarze nad kanałem Hockwell, kiedy gdzieś daleko świat spisywał kronikę wojny, kiedy Mary mówiła mi o swoim owdowiałym ojcu i siostrach od św. Gunnhildy (jak trudno być małą Madonną), a ja opowiadałem Mary o swoim ojcu kuternodze, również owdowiałym – jak mogłem uniknąć dopuszczenia do głosu żalostnej wersji mego brata? (Ach, jak zazdrość pod wpływem skruchy staje się miłosierna). I jak Mary mogła uniknąć wyznania, że nawet przed tym dniem nad kanałem Hockwell, jeśli ma powiedzieć szczerą prawdę, była... ciekawa? A połączywszy tę litość z tą ciekawością, jak mogliśmy uniknąć stworzenia planu?

– Tak, biedny Dick.

– Biedny Dick, ma tylko swój motocykl.

A jeśli do litości i ciekawości dodać odrobinę strachu – bo Mary wyznała także, nie bez dreszczu rozkoszy, że niezależnie od tego, iż jest ciekawa, jest też ciut ciut... a ja powiedziałem (z jaką pewnością siebie!): Dick nie skrzywdziłby muchy – wtedy macie już coś więcej niż plan, wtedy macie poplątaną materię, z której tworzy się opowieść.

Jest więc to opowieść o tym, jak Mary, wspomagana i podżegana przez Toma, podjęła się edukacji Dicka, tak brutalnie przerywanej w przeszłości. To jest jego edukacji sentymentalnej, wyszkolenia w sprawach serca. Jest to historia o tym, jak Mary próbowała uczyć to nieme bydlę – mojego brata.

Albo, inaczej, jak ciekawość Mary...

Albo, inaczej, jak troszkę wiedzy...

To opowieść Mary. Przedstawiana mi w poniedziałkowe i czwartkowe popołudnia, w odcinkach, przez całe lato 1943. Podczas kiedy w środowe i sobotnie wieczory, a czasami także w niedzielę...

To opowieść Mary, zebrana i ułożona przeze mnie. Więc jak mogę być pewnym, co naprawdę?...

Z relacji naocznego świadka wynika, że kiedy co drugiego wieczoru Dick wracając z pracy zjeżdżał z szosy Gildsey-Hockwell na trakt biegnący na północ wzdłuż Rowu Stotta, by w postaci worka żywych węgorzy przywieźć do domu to, co w tamtych wojennych czasach stanowiło nie tylko nasze główne pożywienie, ale również źródło cichego dochodu, nie ograniczał się do wyjęcia samolówek i wpakowania zawartości do worka. Ta śliska operacja zabierała mu sporo czasu. Nawet ją przerywał (velocetta stała na straży nieopodal), żeby usiąść i popatrzeć na rzekę u swoich stóp, pogrążając się w czymś, co można tylko określić jako stan medytacji czy też całkowitego wyłączenia. Jak gdyby ciągle myślał – choć nie żyła już od sześciu lat – o swojej zaginionej matce lub, co niewykluczone, o innym obiekcie, też rodzaju żeńskiego i też zwodniczym.

Naoczego świadka? Owszem, ponieważ pewnego wieczoru, z początkiem maja, ktoś go obserwuje. Nie, nie młodszy braciszek, nie tym razem. Ani też zmartwychwstała matka. To Mary. Natomiast ja dałem jej cynk o możliwościach, jakie stwarza drugi brzeg, skąd widzisz, nie będąc widzianym. Obserwuje niezauważona. Ale trzeciego wieczoru znowu obserwuje i tym razem się nie kryje. Siedzi doskonale widoczna na nie osłoniętej pochyłości rzecznego brzegu (kolana podciągnięte, ręce oplatające łydki, jeden policzek oparty na kolanach), ale tak czujna i nieruchoma, że Dick, zajęty przekładaniem węgorzy z samolówki do worka, nie od razu ją dostrzega.

A kiedy ją dostrzeże (przynajmniej tak sobie to wyobrażam), zastyga bez ruchu, wstrząśnięty i pełen niedowierzania, na sposób ludzi, których myśli przybrały nagle materialny kształt.

Mary woła przez wodę:

– Hej, Dick!

Dick nie odpowiada. Następnie, po tym, jak już masa wody, której nigdy nie da się wyliczyć, przetoczyła się między nimi:

– Hej.

– Dużo masz?

– D-dużo?

– Węgorzy.

Ciężka sprawa. Jako że pośrednio Dick jest proszony, żeby policzył. Żmudny proces w najlepszym wypadku. Potrafi policzyć szybko do dziesięciu, przy odrobinie szczęścia, zacinając się, do dwudziestu. Nawet w idealnych warunkach węgorze splątane razem na dnie worka niełatwo dają się policzyć. A pod tym badającym spojrzeniem...

Kiwa więc głową. Rzuca sprytną odpowiedź:

– T-trochę.

Mary unosi policzek znad kolan.

– Bo widzisz, gdybyś mógł parę odstąpić... Mój tata bardzo lubi węgorze. Ja także. Jadamy rybę w piątek, jak wiesz. Mógłbyś odstąpić ze dwa? Nawet jeden duży wystarczy... – Pociera brodą o kolana. – Nie masz dla mnie jakiegoś ładnego węgorza?

To Dick rozumie albo myśli, że rozumie, gdyż samo rozumienie zbija go z tropu. To znaczy, rozumie nie tylko prostą treść prośby, ale coś zasadniczego, zadziwiająco głębszego. Rozumie, że on, Dick, proszony jest, żeby ofiarował jej, Mary – tak, to albo Mary, albo fatamorgana – prezent. To coś, czego nikt (jeśli wyłączyć rodzinne obrzędy urodzin, kiedy Dick – zręczny w rękach – robił dla mamy takie cudenka, jak szkatułkę na pieniądze z puszki po kakao) nigdy przedtem się od niego nie domagał. Prezent. Coś jego własnego, co ma wartość dla drugiej osoby. A tak doniosła jest ta idea, że Dick absolutnie nie daje rady wprowadzić jej w czyn.

Siedzi na brzegu rzeki, ściskając kolanami ruszający się worek. Rzeka płynie jak gdyby nigdy nic.

– Nieważne – mówi w końcu Mary, podnosząc się i otrzepując spódnice, uszytą w tych wojennych czasach z materiału na zasłony. – Może innym razem.

I zapewne rzucając to swoje uważne, rozumiejące spojrzenie, którego nie osłabia cała szerokość rzeki:

– Przecież mogę znów przyjść, nie? Będziesz tu w piątek, co?

Do Dickowego obrazu rzeczy dochodzi jeszcze jedno doniosłe pojęcie. Ponieważ oznacza to nie tylko, że istota na przeciwległym brzegu interesuje się nim i śledzi jego poruszenia (a czyż Dick nie śledził jej?), ale oznacza również coś jeszcze bardziej zdumiewającego i nie mającego precedensu, tak zdumiewającego, że aby to docenić, Dick musi jednocześnie odkryć dla siebie niewyobrażalny uprzednio obszar myślowy.

To przecież coś, co inni ludzie nazywają (choć Dick nigdy nie słyszał tego słowa) umówieniem się. Odślania to magiczny teren, znany nieprzebranej rzeszy wtajemniczonych (łącznie z młodym Tomem), gdzie hasłem może być, wymówiony odpowiednio, z przydechem, zwrot tak niewinny, jak: „Spotkaj się ze mną...”, „Zobaczymy się...”, „Będę, jeśli...”

Coś, czego motocykl nie może dostarczyć.

– T-tak – odpowiada. – T-tu.

Ona odchodzi, rzucając mu szybki uśmiech, zanim on zdoła powiedzieć coś jeszcze.

Jest coś dziwnego w jej odejściu. Odchodzi, ale odchodzi nie całkiem. Coś zostaje. Uczucie. Wspaniałe uczucie. Obecne, kiedy Dick jedzie do domu, szosą z Hockwell, z workiem węgorki na grzbiecie, którym sytuacja nie pozwala na doznawanie wspaniałych uczuć. I obecne owego wieczora w naszym domku (zauważam, ale nie mówię Mary), kiedy Dick, trzepocąc gwałtownie rzęsami, dziobie i rozdlubuje węgorka podanego na kolację, aż ojciec pyta:

– Co się dzieje, Dick? Dick? Co się stało, źle się czujesz?

Bo naprawdę, czy kiedy Dick nie miał apetytu albo dostrzegł coś szczególnego w majowym wieczorze?

Znowu (zaraz w piątek) Dick śpieszy do samolówek nad Rów Stotta. Znowu pojawia się tamta istota, niby jakaś wywołana zjawą, na drugim brzegu. Znowu rzeka milcząco płynie między nimi, przywołując niedolę Hero i Leandra. Istota znów prosi swoim panieńskim, niosącym się po wodzie głosem, żeby jej dać węgorka. Tym razem przyniosła coś ze sobą. Wiadro. Wiadro do udoju (w które przedtem, nim karcąca ręka Harolda Metcalfa trzepnęła jej własną za zniżanie się do tak niegodnych zajęć, Mary usiłowała wycisnąć pieniące się mleko z ojcowskich fryzyjek).

Teraz najwyraźniej przyszła w interesie. Przyszła po swego węgorza. Ponieważ przyniosła ze sobą coś, w czym może go zabrać do domu...

– O ten – mówi Mary – ten jest ładny.

A Dick, jak gamoniowaty sprzedawca ryb, podnosi sztukę po sztuce ze swego worka.

– Ch-chcesz?

– Tak, proszę cię, jeżeli można. Proszę.

Chociaż, jak podać węgorza przez rzekę? Bo z pewnością ostatnią rzeczą, jakiej można od niego oczekiwać, to żeby przepłynął na drugą stronę i sam siebie dostarczył.

Dick, z prezentem w ręku, patrzy na Mary.

Ale Mary ma gotową odpowiedź. Liczyła na to. Stawia wiadro na ziemi. Usadawia się w swojej pozycji z kolanami pod brodą.

– Możesz przyплыnąć. Widziałam już, jak pływasz.

I – jeśli nawet całkowicie zapadło się w Letę Dickowego umysłu – teraz powraca, wynurza się na powierzchnię w całej okazałości i ostrości owo wspomnienie, które zakłóca i mąci, podsycza i rozjątrza tamto wspaniałe uczucie. Inny węgorz, znajdujący się w intymnej bliskości...

Co najmniej sześć razy chmara majowych muszek przelatuje nad wodą, co najmniej tuzin jaskółek buja nad powierzchnią Leemu jak grupka amorków, gasząc wieczne pragnienie i wypinając pierś cheruba do wieczornego słońca, podczas gdy zastygli w bezruchu Mary i Dick patrzą wzajemnie na siebie. Podczas gdy bynajmniej nie zastygły w bezruchu wybrany węgorz (nie za duży, ale z pewnością nie ułomek) skręca się i pręży w uścisku Dicka. I podczas gdy, jeśli ma się powiedzieć prawdę, Mary pod spódnicą też się kręci i odrobinę tężyje (jako że obdarzona jest znakomitą pamięcią). Bo choć może to nie wynika z jej obecnego zachowania, ale Mary nie za bardzo lubi węgorze. Przestała je lubić, odkąd...

Nigdzie jednak nie jest powiedziane, że nie może nas pociągać, a nawet wzbudzać naszego pożądania to, na myśl o czym się wzdrygamy...

W końcu Mary się otrząsa. Odwraca głowę gestem zniecierpliwienia i rozczarowania, jak gdyby zamierzała sobie pójść. Ale na ten widok Dick wolną ręką zrywa gumiaki i rzuca się niczym torpeda do rzeki. Mało że się rzuca, ale natychmiast wyłania się po drugiej stronie, ani razu nie naruszywszy powierzchni, i wdrapuje się na brzeg, ociekający wodą, ubłocony, jak jakiś stwór z czasów potopu, co więcej, wciąż dzierżąc w prawej ręce całkowicie ogłupiałego węgorza (co za chwyt, który pozwala nie tylko utrzymać węgorza, ale jeszcze utrzymać go pod wodą), tak że Mary podskakuje, wydaje pisk, robi krok w tył, potem krok do przodu, chichocze, rozbawiona własnym piskiem, i dopiero odzyskuje uprzednią równowagę.

Ale teraz Dick musi wręczyć prezent, a Mary musi go przyjąć. Dick unosi wiadro (tak, odgaduje jego przeznaczenie), u brzegu rzeki napełnia je do połowy i wpuszcza węgorza. Po czym bijąc rękami tak intensywnie, że krople spływające z jego włosów przemieniają się w wodny pył, podaje wiadro Mary.

Mary je bierze, zagląda do środka.

Następuje dziwna rzecz. Bo mimo niepokoju, jaki w niej budzą węgorze, który ma swoje głęboko uzasadnione powody, musi przyznać, że powrócony rodzinnemu żywiołowi, już nie wijący się ani skręcający, ale zwinięty biernie na dnie wiadra w stanie lekkiego szoku, węgorz jest stworzeniem nie pozbawionym urody. Jest lśniący, o gładkiej skórze. Ma połyskujące bursztynowo oczka, które mogą być przecież okienkami malutkiej węgorzowej duszyczki. Ma małe poruszające się skrzela, a za nimi delikatne trzepocące płetwy piersiowe, które trochę przypominają trzepocące rzęsy Dicka...

Mary pochyła się nad wiadrem. Dick też się pochyła, przysuwa się bliżej.

– Dziękuję – mówi Mary – Dziękuję. Jaki piękny.

Jak gdyby miała zamiar wziąć go do domu i karmić w akwarium najbardziej wyszukanyimi smakołykami.

– Pie-kny – mówi Dick, patrząc na Mary. Słowo, którego przedtem nigdy nie używał.

I w ten oto sposób Dick zaczął chodzić na zaloty nad kanał Hockwell. Albo, jeśli wolicie, w ten oto sposób Mary zainaugurowała kursy nauczania...

(Nie wchodźmy w szczegóły, jak to Dick tego samego wieczoru chciał wracać z Mary na farmę Polt Fen. Ale Mary powiedziała nie – cały mokry? I bez gumiaków? Obiecała jednak spotkać się z nim następnego dnia. Albo jak to po odejściu Mary Dick nie miał innego wyboru, tylko przepłynąć z powrotem, w taki sam sposób, jak przybył, ów fenlandzki Hellespont, do swojego porzuconego i – kto wie – zazdrosnego motocykla, a zmuszony później wytłumaczyć, dlaczego wraca w stanie takiego przemoczenia, wyjaśnił, że zjechał do rowu, żeby uniknąć zderzenia z jadącym po złej stronie chłopskim wozem – historyjka, która mogłaby się wydać bardziej wiarygodna i ujawnić nie znaną dotąd chytryść, gdyby tylko motocykl był tu i ówdzie również ochlapany błotem. Albo jak to Mary, rozstawszy się z Dickiem, pomaszerowała z wiadrem w ręce w kierunku Polt Fen, a Dick odprowadzał ją wzrokiem, ale ledwie tylko zniknęła z jego pola widzenia, zatrzymała się przy jednym z rowów łączących się z kanałem Hockwell i dyskretnie wpuściła do niego węgorza, który niewątpliwie, wróciwszy do siebie po odegraniu głównej roli w ludzkiej intrydze, prowadził tam dalej swoją pozostającą w cieniu i anonimową węgorzową egzystencję...

Ale jak Dick się uczy? Czy robi postępy? Czy jest uczniem pilnym i wdzięcznym? A czy Mary okazuje się dobrą nauczycielką?

A tymczasem skoro środowe i sobotnie wieczory tak wielkodusznie i taktownie odstąpił Dickowi, czekając na pojawienie się nowego, ulepszanego brata, jak wykorzystuje swój dodatkowy wolny czas mały Tom? Zgadłyście, dzieci, na własne studia. Ściśle biorąc, tamtego rozkwitającego lata 1943 roku, kiedy ważą się losy wojny (zwycięstwo w Afryce, cofanie się wojsk niemieckich na wschodzie), czyta po raz pierwszy „Rewolucję Francuską” starego Carlyle’a.

Czy Dick czyni pozornie nie zainteresowanemu, zagrzebanemu w książkach bratu zwierzenia na temat owego pouczającego związku? Czy, podczas gdy wygrywamy wojnę, dostarcza własnych elektryzujących biuletynów? Nie. Ale co środy i soboty wieczorem wykonuje ścisły program czynności, o który przedtem nikomu nie śniło się go podejrzewać. Bierze kąpiel. W naszej starej, białej, emaliowanej wannie przed piecem kuchennym atakuje ciało pianistą od mydła wodą i szczotką do szorowania. W kłębach pary, chlapiąc na wszystkie strony, z determinacją usiłuje usunąć ze swej osoby, niczym oskarżające piętno, wszelki ślad upartego i degradującego zapachu szlamu...

Widzicie, co się dzieje, kiedy się zaczyna eksperymentować z edukacją...

Na próżno jednak. Bo żeby nie wiem jak szorował i skrobał, pozostaje zawsze – wyczuwalne dla innych – osiadłe tchnienie z dna rzeki, a chociaż po tych energicznych ablucjach wkłada czyste ubranie, wchodzi tylko w starą skórę. Ponieważ pani Forbers, matrona z Hockwell, która za tygodniowym wynagrodzeniem bierze pranie Cricków, nigdy nie daje rady, choć przecież nie żałuje płatków mydlanych ani wody do płukania, uwolnić całkowicie odzieży Dicka z tego zdradzieckiego odoru...

Jednakże w swoim pojęciu czysty i odświeżony, z włosami wyszczotkowanymi, przygładzonymi, a nawet wysmarowanymi brylantyną, z pośpiesznie przełkniętą kolacją w żołądku, Dick siada na motocykl i odjeżdża bez słowa w każdy środowy i sobotni wieczór. Ojciec patrzy. Odczytuje te znaki właściwie, nawet wita je z pewnym zadowoleniem (więc mimo wszystko pod tym względem jest normalny...). Ale ojciec nie wie, na całe szczęście, do kogo Dick chodzi w konkury podczas tych wypadów dwa razy w tygodniu. Nie wie też, iż powodem, dla którego młodszy syn nigdy nie widuje Mary Metcalf po powrocie Dicka z pracy, jest edukacja Dicka...

A więc uczy się? Bo jeśli się uczy, czy te lekcje nie powinny zmierzać do jakiegoś finału? Jak długo jeszcze będzie to trwało? Jaki poziom zaawansowania i biegłości jest przewidziany? A jeżeli to wcale nie jest taki prosty przypadek nauczycielki i ucznia; a jeżeli Mary też chce nauczyć się paru rzeczy? (Ach, jak miłosierdzie znowu przeobraża się w zazdrość...)

A skoro się uczy, skoro posuwa się naprzód, to skąd ten wyraz z troskania i zawodu? Bo zaczyna się on pojawiać, w miarę kontynuowania nauki, na pustej i obojętnej twarzy Dicka, która przedtem raczej nie rejestrowała takich uczuć. Najdelikatniejszy cień, prawie niezauważalna bruzda. Ktoś obcy mógłby nic nie dostrzec. Co innego brat. A kto jest w stanie powiedzieć, jaki wewnętrzny zamęt mogą u takich jak Dick znamionować najlżejsze zmarszczenia na powierzchni? Czyżby się uczył, że nauka przychodzi trudno? Czy jest coś, czego nie rozumie? Czyżby się dowiadywał, że gdyby nigdy nie zaczął się uczyć, nie dowiedziałby się, że to wszystko jest poza jego zasięgiem?

Dlaczego spuszcza głowę i wpatruje się w ziemię? Dlaczego, wracając w te długie letnie wieczory, jak dawniej zatrzymuje się przy swoim motocyklu koło przybudówki, coś tam dłubie, coś szepce, jakby jakiemuś chromowanemu spowiednikowi?

Czy to możliwe, że światło wiedzy istotnie zaświtało i że Dick, tyle czasu nawet nieświadomy tego faktu, zdał sobie sprawę, iż nie jest taki jak inni? Jest wadliwie skonstruowany, jest partacką robotą. A skoro tak, może czas stawić czoło prawdzie. Może czas (zwierza się swoje cierpliwej velocetcie), żeby znaleźć coś lepszego, co zastąpiłoby nieudany eksperyment, któremu na imię Dick Crick...

Jednak chyba się uczy lub też uczy się i zarazem nie uczy, a cały ten kurs jest poważniejszy i zarazem bardziej niebezpieczny, niż to sobie wyobrażaliśmy. Ponieważ któregoś dnia przy kolacji (nie węgorsze tym razem, ale naleśniki z farszem z puszki) Dick zapytuje, jak gdyby chciał zweryfikować coś, co powiedziała Mary:

– S-skąd się b-biorą d-dzieci?

Panika w oczach taty. Patrzy na Dicka. Patrzy na mnie; pytające, niemal oskarżające, a jednak dziwnie błagalne spojrzenie. Na dworze, za oknem kuchennym, nawisie deszczowe chmury przesuwają się po widnokręgu.

– Skąd się biorą? – powtarza, nie patrząc teraz ani na mnie, ani na Dicka, ale gorączkowo rozglądając się po kuchni, jakby w poszukiwaniu natchnienia (piecze się je w piekarniku... wyjmuje pewnego ranka z pojemnika na chleb...).

Wreszcie, odkładając nóż i widelec, przełykając kawałek konserwy, który spoczywał chwilowo w zagłębieniu policzka, mówi z wyrazem uroczystej rezygnacji (żadnych zmyśleń tym razem, żadnych bajeczek o bocianach czy krzakach agrestu):

– Biorą się z miłości, Dick. Powstają dzięki... miłości.

Wypuszcza mistyczne słowo, po czym ciasno zaciska wargi – jak gdyby chciał, żeby przebyło o własnych siłach zawrotną przepaść do Dicka i nie wracało, trzepocąc, po pomoc.

Ale Dick chce odpowiedzi, nie jeszcze jednej zagadki.

– Miłość – mówi (słyszał to pojedyncze małe słówko przedtem, lecz nigdy...). – Co to jest mie-ość?

Na co zaciśnięte wargi taty otwierają się, tworząc przez chwilę dawne rozdziawione zero.

– Miłość, Dick, to uczucie. Dobre uczucie. Jak to, co czułeś do twojej biednej mamy. Jak to, co ona czuła do ciebie.

Patrzy na swój talerz. Wydaje się, że talerz odsyła gwałtowne sygnały alarmowe.

– To znaczy... to bardzo ważna rzecz. To wspaniała rzecz. Najwspanialsza rzecz, jaka może być.

Nagły plusk deszczu. Pierwsze grube krople, zwiastujące majową ulewę, spadają ciężko na grządki warzywne i łzawo ześlizgują się ukosem po szybie. Tego wieczoru tata przy pomocy Dicka podniesie zastawki jazu, gwałtowniej niż zwykle wprawiając w ruch maszynę.

Dick siedzi przy zastawionym stole. Jego duże ręce, jego dwadzieścia lat zadają kłam wyrazowi zagubionego małego chłopca, jaki ma na twarzy.

– Mie-ość – powtarza. Jeszcze jedno trudne słowo.

Kto powiedział?

Pan to sobie chyba jednak żartuje, panie profesorze. Całe to trucie, że „pewnego dnia będziecie dorośli”, te pierdułki, że „pewnego dnia będziecie tacy jak wasi rodzice”. Nawet jeśli taka jest prawda, kto powiedział, że w ogóle zdążymy być rodzicami?

„Pod Głową Księżycy”. Czerwony pseudoaksamit. Pseudotudorowski dąb stanowiący oprawę dla pseudogeorgiańskich fanarów. Wśród tego pomieszania stylów elektroniczne stękanie, piski gier telewizyjnych. Jak idziemy naprzód... Jak ciągle potrzebujemy grzechotek...

I jak nasz chwilowo litościwy i zgodny Price znowu odzyskał dawną bojową werwę. Wystarczyła jedna Krwawa Mary. Wypija duszkiem. (Co stało się z piwem i radością?)

– A kto mówi, że jeśli dożyjemy, to w ogóle będziemy chcieli mieć dzieci, jak tak popatrzeć, do czego to wszystko idzie? Kto powiedział, że będzie w ogóle jakiś świat, na który by je można sprowadzić?

(Ale jeżeli nikt nie będzie mieć dzieci, to i tak nie będzie świata...)

– Kto powiedział, że w ogóle chcemy sprowadzać dzieci na jakikolwiek świat?

Patrzy na mnie, prezes-założyciel Klubu Zagłady, gniewny, przestraszony i oskarżający dzieciak.

(Tak, tak, to nasza wina, Price. Nas, starych. Nie byliśmy czujni. Pozwoliliśmy światu się wymknąć. Powinniśmy go byli uratować).

– Przypuśćmy, że mógłby pan mieć teraz dzieci, panie profesorze, tylko przypuśćmy... Chciałby pan?

Zapomina. I natychmiast pamięta. Czerwieni się, najwyraźniej jest zmieszany, przerażony, czuje się winny. Wyciera ślad soku pomidorowego z ust. Jednoręki bandyta wymiotuje. „Space Invaders” okrążają.

– Przepraszam. Ja...

34

Za duży

W porządku, Price. Bo widzisz, miałem kiedyś dziecko. Nie, mówię dosłownie. Nie mówię o tym, co teraz, mówię o roku 1943 (no i co, uważałbyś go za szczególnie obiecujący rok dla cywilizacji?). I może lepiej będę się wyrażał ściśle: kiedyś Mary miała dziecko. Jej cykl miesięczny, z którego była taka dumna i z którym tak się obnosiła, zatrzymał się, nie miała kolejnego okresu i wtedy pomalutku zaczęły się u niej w środku dziać różne rzeczy, jak to jest przewidziane. Zatem w wieku lat szesnastu, w roku 1943, wraz z tymi wszystkimi, nie tak znów wiele starszymi ode mnie żołnierzami, marynarzami i lotnikami, którzy pośpiesznie zasiewali swoje ziarno i zostawiali coś dla potomności w tamtych czasach uniwersalnego kryzysu (jak natura pobudza instynkt rozmnażania, kiedy gatunek jest zagrożony), i ja stanąłem wobec perspektywy przedwczesnego ojcostwa.

Lub stanąlbym. Gdyby Dick ponad stołem kuchennym nie rzucił pewnego pytania... Bo skąd miałem wiedzieć, znając to tylko z relacji Mary, jak daleko zaszły lekcje ze środowych i sobotnich wieczorów?

On chce jej dać następnego węgorza. Następnym prezentem od niego dla niej. Ciągłe pyta, wyszorowany, z błyszczącymi włosami, kiedy będzie chciała następnego węgorza? Tak że wreszcie Mary zmuszona jest powiedzieć, iż są inne rzeczy poza węgorzami... Ale – skoro już mowa o węgorzach (a Dick jest tu po to, żeby się uczyć) – czy Dick się kiedyś zastanawiał, dlaczego nigdy ich nie brakuje, jak to jest, że wyciąga się z rzeki samolówki pełne węgorzy, a przecież ciągle przybywa nowych? Innymi słowy, skąd się biorą te wszystkie małe węgorze?

Na co Dick nastawia uszu. A Mary zaczyna wyjaśniać. Ale szybko się orientuje, że wybrała zły przykład, bo wyszedłszy poza to, że istnieją węgorze-mamusie i węgorze-tatusie (choć jak odróżnić jedno od drugich?), zaczyna tracić grunt pod nogami. Ponieważ tak naprawdę nikt nie wie dokładnie, jak... Mary natrafia na zoologiczną zagadkę, z którą borykali się dawniej uczeni mężowie.

I w ten sposób ja w swoim czasie zawieram znajomość (szperając w Gildseyowskiej Bibliotece Słowników i Encyklopedii) z nieustraszonym Johannesem Schmidtem...

Więc Mary decyduje, iż nie ma co obwijać w bawełnę. Zaczyna mówić o dziurkach i rurkach.

Ale Dick nie chce lekcji biologii. Chce mie-mie-miłości. Chce Wspaniałej Rzeczy. Bo pytał taty. A tata nie mówił nic o dziurkach i rurkach. A Mary mówi: przecież one są częścią (robi się to skomplikowane) Wspaniałej Rzeczy. A Dick mówi, co w tym wspaniałego, że się coś włoży w dziurkę. A Mary mówi: nie chciałby spróbować i się przekonać? Gdyby pokazał jej swój...

A w rezultacie tego wszystkiego, po wielu usilnych namowach – jako że Dick z początku nie chce się zgodzić na taką dziwną operację, a nawet kiedy już niezaprzeczalnie czuje ogień płonący między nogami, ma ochotę, jak już raz przedtem, skoczyć do najbliższej wody, żeby go ugasić – w rezultacie okazuje się, że jest za duży.

W każdym razie tak wygląda opowieść Mary. Bo pierwsza jej wersja brzmiała następująco:

– Nigdyśmy... Ja tylko chciałam...

Więc Mary powiada, że Dick nie powinien się martwić... że jest za duży. To nie jego wina i nie katastrofa. Bo czy nigdy nie przyszło mu do głowy, że, być może, to ona jest za mała? Pewnego dnia Dick – teraz, kiedy już wie na ten temat wszystko, teraz, kiedy dysponuje w tej materii pełną wiedzę – znajdzie może kogoś, kto będzie... w sam raz dla niego.

To jednak nie tylko nie uspokaja Dicka, nie tylko nie wyprowadza go na właściwą drogę, kładąc wreszcie kres temu kursowi nauczania, ale odkrywa przed nim niespodziewane problemy. Bo czyżby coś tak prywatnego można było robić więcej niż z jedną osobą? Tak Wspaniała Rzecz – tak przypadkowa i zmienna? Czy to możliwe, że inni...? Że Mary...?

Więc ona go nie chce. Jest wadliwie skonstruowany, do niczego.

Rzęsy zaczynają mu trzepotać. Palce się zaciskają. Protestuje, językiem ułomnym i zajakliwym usiłuje przekonać swoją najwyraźniej obojętniejącą kochankę; protest, który wyłożony prostymi słowami sprowadzałby się mniej więcej do bezkompromisowego stwierdzenia: Dobrze, wyjaśnijmy to sobie, jesteś jedyną, którą kocham. A ponieważ jesteś jedyną, którą kocham, daj mi dziecko. Ponieważ po to jest miłość, no nie? Tata tak powiedział. I ja tego chcę. I żadnych idiotyzmów, że trzeba rurki wkładać w dziurki.

Dla wzmocnienia efektu potrząsa ją mocno za ramiona wielkimi, oszołomionymi rękami...

A cóż ma powiedzieć Mary? Że nie jest w stanie obdarzyć go miłością (coż dopiero dzieckiem)? Ponieważ właśnie miłością obdarza teraz jego młodszego braciszka? On jest jedynym, którego ona... Nie tylko miłością, ale (choć jeszcze nie jest pewna) także i dzieckiem. Przestraszyło ją to potrząsanie. A to jeszcze nie koniec. Tak, tak, oczywiście, nic podobnego nie miała na myśli. Będą się kochali, tak, i mieli dziecko.

Twardy rozkaz. Będzie musiała udawać, że istnieje coś takiego jak niepokalane poczęcie (a może istnieje: wygląda, że się sprawdza w wypadku węgorzy). Ale ryzyko jest niewielkie, ponieważ naprawdę jest za duży, nie ma sposobu, żeby to – żeby ta rurka... A prędzej czy później Dick będzie musiał sobie zdać sprawę, będzie musiał pogodzić się z faktem, że dziecko się nie zjawia.

Tak więc teraz za każdym razem, kiedy Dick udaje się w konkury, to choć nie może włożyć swojej rurki do środka, otacza kochającymi ramionami Mary i próbuje ze wszystkich sił mieć dziecko. Kładzie kochające ręce na brzuchu Mary, który według niej jest miejscem, gdzie najpierw wyczuwa się obecność dziecka. A po tamtym potrząsaniu (choć czasem jego wolna dłoń niepokojąco przybliżyła się do ramienia Mary, do szyi Mary), jest łagodny i ufny jak baranek, oczekując przyjścia swego dziecka.

I dziecko się pojawia...

Tak w każdym razie wygląda opowieść Mary. Bo skąd ja mogę wiedzieć, skąd mogę mieć stuprocentową pewność, że kiedy Mary mówi, że Dicka był za duży, to rzeczywiście był za duży? I że Mary nie przekonała się, że wcale nie jest za duży, że naprawdę jest w sam raz, już na samym początku naszego drobnego naukowego eksperymentu?

A przypuśćmy, że ono – to znaczy dziecko, to dziecko, którego nie można jeszcze ani zobaczyć, ani dotknąć, które tymczasem jest niewyraźnym odczuciem, jakiego doznaje Mary w środku – jest moje, co Mary zamierza powiedzieć Dickowi? Ponieważ dziecko trudno ukryć, nawet przed matolem. I co zrobi Dick? A zakładając, że cały czas mogłoby to być – niewykluczone, że mogłoby – w rzeczywistości dziecko Dicka, co, na miłość boską, ja mam zrobić?

Ale Mary przysięga, zaklina się z ręką na sercu, że niech skona, jeśli to Dicka. A w naszym gniazdku nad kanałem Hockwell nadal przywieramy do siebie, tulimy się i wzdychamy. Więc zmajstrowaliśmy malca. Jest w drodze. Ale przecież się kochamy. Tak, kochamy się. A miłość idzie swoim naturalnym biegiem, prawda? Oznacza to, że będziemy musieli powiedzieć światu i ponieść konsekwencje, ot i wszystko. Po czym się pobierzemy. Nie my pierwsi, nie ostatni. To stara, stara historia...

Tak, jest przekonany, jest uspokojony, jest ośmielony i, przyznajmy, nawet jest odrobinę dumny wasz nauczyciel historii z tego, co (to znaczy, zakładając...) potrafi zdziałać.

Ale prędzej czy później, bo niedługo zacznie być widać – i mniejsza o powiedzenie światu – ktoś będzie musiał rozmówić się z kimś.

Wiemy, kto rozmówił się pierwszy i z kim. Wiemy, co powiedziała. Wiemy, że pominąwszy obydwu zakochanych braci posłużyła się bez wahania wygodną osobą trzecią, nazwiskiem Parr. I wiemy, że zrobiła to, aby mnie osłonić.

Wiemy, co zrobił Dick. Poszedł, upił Freddiego, następnie zepchnął do rzeki, przedtem walnąwszy go w głowę butelką.

Wiemy też, co zrobił mały Tom, którego inicjatywa w całej sprawie tak rzuca się w oczy przez swoją nieobecność. Obserwował, badał materiał dowodowy. Gromadził fakty. Dostrzegł nowy siniak na starym siniaku. Wyłowił butelkę. O tak, już teraz przepadł, stało się to poważne; historyczna metoda, pogoń za wyjaśnieniem. Sposób na dotarcie do prawdy albo, jakbyś ty powiedział, Price, sposób na wyprodukowanie jeszcze jednej opowieści, sposób na unikanie rzeczywistości...

W krainie nad Leemem minął już jednak czas opowieści. Rzeczywistość zdołała już wtargnąć w postaci obrzmiałych zwłok. A stanie się jeszcze bardziej natarczywa, jeszcze bardziej namacalna...

Nie należy odnosić wrażenia, jakoby nasz mały bystrooki detektyw, nasz młodszy śledczy w sprawie przyczyny i skutku był chłodny, opanowany i miał podejście naukowe. Wiemy, że nie. On się boi. Zamyka się na klucz przed bratem. Doznaje nie milego ściskania w dołku.

Wiemy też, co robi, wbrew dowodom, jakie zebrał (ach, zdrajca własnej metody), tego dnia, kiedy w Urzędzie Koronera dla Miasta Gildsey zapisano to szczęśliwe słowo: „wypadek”, a on, pędząc z radosną nowiną, spotyka Mary, której pojmowanie przyczyny i skutku okazuje się mniej elastyczne niż jego.

Dostaje napadu złego humoru (wrywa trawę). Wychodzi – i chce wyjść – z siebie.

Dlaczego wszystko nie może dziać się przez przypadek? Żadnej historii, żadnej winy, żadnego oskarżenia. Tylko przypadki. Przypadki...

Ale Mary nie planuje żadnej ucieczki od siebie samej. Siedzi, nieruchoma jak kamień, pod starym wiatrakiem, całkowicie pogrążona w sobie. Tak dalece pogrążona w sobie, że może już nigdy nie pojawić się na zewnątrz. A w środku Mary, siedzącej i pogrążonej w sobie, siedzi jeszcze inna istotka.

I nagle z głębi tych podwójnie wewnętrznych i niedostępnych obszarów Mary odzywa się:

Wiem, co zrobię.

Nieznany kraj

Więc pewnego dnia, po lekcji o Rewolucji Francuskiej, przychodzę do domu i odkrywam, że moja żona dokonała rewolucyjnego – cudownego – aktu...

Obracam klucz w zamku. Słyszę coś, co przypomina płacz dziecka. Myślę: nasz złoty spaniel, Paddy, skarży się płaczliwie z powodu jakiejś psiej dolegliwości. Ale znowu słyszę. Wchodzę do saloniku. A tam ona o wpół do piątej po południu w piątek, oczekując mego przybycia, siedzi na kanapie z dzieckiem na ręku.

– Powiedziałaś ci. Popatrz. Powiedziałaś ci, prawda? Proszę! Powiedziałaś, że będę miała dziecko.

Nie wygląda przy tym jak podła kidnaperka, nie wygląda jak niebezpieczna przestępczyni. Wygląda jak młoda matka, która nigdy przedtem nie była matką. Z twarzy jej spadły kolejne maski (klimakteryczna żona, była działaczka z opieki dla starszych, wieloletnia, cierpliwa towarzyska życia nauczyciela historii), jest uosobieniem niewinności i dziewictwa. Madonna z dzieciątkiem.

– Chryste wszechmogący!

Uwaga, stąpaj ostrożnie, nauczycielu historii. Może to nie twój teren. Może tutaj historia się rozpada, chronologia się cofa. Tam siedzi twoja żona, wiesz, Mary, którą myślałeś, że znasz. Ale może to nieznany kraj.

– Mary, co na litość...

– Powiedziała ci...

Trudno zaprzeczyć, jest cudownie pogodna, seraficzna. Pięćdziesiąt dwa lata. Jest piękna.

– Popatrz. Chodź i popatrz.

– Skąd je masz?

– Od Boga. Mam je od Boga.

– Mary, czy ty się dobrze czujesz?

– Spójrz.

Wasz nauczyciel historii stoi w drzwiach, przyjmując przed tą dziwną szopką postawę zdjętego wciąż pasterza. (Na dworze trzódka jego uczniów rozchodzi się w noc, dowiedziawszy się o świtaniu nowej ery). W prawej ręce – zamiast pastuszego kija – klucze od frontowych drzwi, w lewej ręce – zamiast latarni – znoszona i wytarta nauczycielska teczka, skromny symbol jego zawodu.

Postępuje krok w przód. Zbliży się do kanapy. Nie pochyla się jednak nad opatulonym w koc zawiniątkiem (różowa pomarszczona twarzyczka, szukające czegoś po omacku rączki), nie klęka, nie składa dłoni, a w jego oczach nie maluje się nabożna cześć.

W jego oczach maluje się niedowierzanie. Niemowlę ryczy. Jest prawdziwe.

- Mary, lepiej wyjaśnij.
- Rozpłakał się przez ciebie.
- Skąd je...?
- Powiedziałam ci.
- To... to kompletny nonsens.
- Dobrze, dobrze, teraz sz-sz-sz...

Dziewczynka z lalką.

Patrzy na męża szeroko otwartymi, rozmarzonymi oczami...

Teraz następuje zdumiewająca scena, przekreślająca wszelkie podobieństwo do pseudoadoracji. Zasługująca raczej na uwagę Krajowego Towarzystwa do Walki z Okrucieństwem wobec Dzieci. Mąż usiłuje wyrwać dziecko. Żona przyciska je – wrzeszczące teraz wniebogłosy – do piersi. Nie osiągnąwszy swego celu, mąż zaczyna potrząsać żoną. Kołyszący ruch mimowolnie wpływa na uciszenie dziecka, ale teraz żona zaczyna krzyczeć.

– Musisz mi to wyjaśnić.

Ale to nie jest droga do uzyskania wyjaśnień – wytrząsanie ich siłą.

Ręce męża znowu sięgają po dziecko. Ciągnie. Żona przestaje krzyczeć, ciągnie w drugą stronę.

– Daj mi je!

– Nie!

– Ono jest czyjeś. Musiałś je porwać.

– Nie. Jest moje. Nasze.

Obserwujcie, dzieci, waszego nauczyciela w akcji. Tak jest – mimo całego jego mendzenia, przelewania z pustego w próżne – w akcji spontanicznej. Obserwujcie go ogarniętego pierwotną gwałtownością. Zwróćcie uwagę, dla kontrastu, na wypieszczone wnętrze, które stanowi tło dla tej trąby powietrznej: pokój zachowujący jeszcze wystrój późnej regencji, zarządzany ze smakiem przez trzydzieści lat odpowiednio dobieieranymi przedmiotami: stara porcelana, skórzane oprawy, ryciny Cruickshanka. Prawdziwe muzeum. Zwróćcie uwagę na wazę w stylu Chelsea na stoliku w stylu Sheraton, która potracona przez kanapę, potraconą wcześniej w tej rozpaczliwej szarpaninie, spada ze swego poczesnego miejsca i rozbija się w drobny mak na podłodze. Zwróćcie też uwagę na złotego spaniela, który podniósłszy się ze swego ulubionego miejsca drzemki w kącie kuchni, wpada do pokoju i dołącza się jazgotliwym ujadaniem do ogólnej kakofonii wrzasków, niemowlęcego zawodzenia i podzwaniania antyków.

Żona ciągnie. Mąż ciągnie. Kocyki dziecka się odwijają. Pies szczeka, chcąc przyłączyć się do zabawy. Twarz żony się kurczy, podobnie jak twarzyczka dziecka. Mąż ciągnąc nie może pozbyć się uczucia, że odrywa część żony. Wyszarpuje z niej życie.

I być może tak jest. Gdyż zmuszona w końcu oddać dziecko w jego silniejsze ręce, żona załamuje się, pada na kanapę, chowa twarz w poduszki na siedzeniu, szlocha, odwraca głowę, sięga jedną ręką, zawodzi:

– To moje dziecko, to moje dziecko...

Na co mąż, występujący już nie w roli zadziwionego pasterza, ale bezlitosnego Heroda, łapie się na refleksji:

– Cóż, przypuśćmy, tylko przypuśćmy...

Trzyma dziecko. Bezmyślnie, instynktownie kładzie kojąco rękę na jego czole. Sz-sz-sz... Trzyma dziecko, ale chce trzymać żonę. Nie może trzymać żony i dziecka równocześnie. Jeśli jednak zostawi dziecko, żeby objąć żonę, żona może dziecko pochwycić.

Kładzie dziecko na wysuwanym blacie sekretarzyka z różanego drzewa, poza zasięgiem tak żony, jak ujadającego psa. Siada na kanapie, podnosi żonę, ścisza ją w objęciach, zaczyna mówić rzeczy przedziwne:

– Ty jesteś moim dzieckiem. Ty jesteś moim dzieckiem...

Możecie sobie to wyobrazić, dzieci? Wasz uczony i roztropny Cricky wypowiadający coś podobnego? Ale przyjrzyjcie się bliżej, dzieci, wasz Cricky płacze.

Kołysze ją, to swoje dziecko, tę dawną opiekunkę swoich przedłużonych dni szkolnych.

– Mary, wyjaśnij...

Złoty spaniel, pozostawiony na boku, ociera łeb o kanapę, szczeka, warczy. Wasz nauczyciel historii wymierza mu mocnego, nagłego, okrutnego kopniaka.

– Jak? Dlaczego? Dlaczego?

– Bóg mi kazał. Bóg...

Ale Bóg nie przemawia już więcej. Nie wiedziałaś o tym, Mary? Dawno przestał mówić. Nawet już nie patrzy stamtąd z góry, z nieba. Wyrośliśmy i już Go nie potrzebujemy, naszego Ojca w Niebiesiach.

Sami sobie potrafimy dać radę. Pozwolił nam robić ze światem, co nam się podoba. W Greenwich, pośród rozległego miasta, gdzie kiedyś wybudowano obserwatorium właśnie po to, aby patrzeć na Boga, nawet się nie dojrzy w nocy przez poświatę ulicznych latarni zawieszonych przez Boga gwiazd.

Bóg jest dla prostych, zacofanych ludzi w zapomnianych od Boga miejscach.

– Mary, czyje to dziecko?

– Powiedziałaś ci.

– Skąd je wzięłaś?

(Nie przestając kołysać, podczas gdy stłuczona porcelana zaśmieca podłogę, podczas gdy na kominku zegar podróżny wybija wpół do piątej, podczas gdy pies skamle z rozwaloną żuchwą, a dziecko zawodzi i wierci się niebezpiecznie na sekretarzyku).

– On mi kazał...

– Mary!

– Już dobrze, dobrze. Zabrałam go z supermarketu. Zabrałam go z supermarketu w Lewisham.

O niczym

Nie przepraszaj, Price. Lepiej wypijmy i chodźmy. Mimo wszystko pijaństwo nie pomaga, co? Wiem, co czujesz. Tak, koniec świata jest znowu w planie – może tym razem rzeczywiście nastąpi. Ale uczucie nie jest nowe. Znali je saksońscy pustelnicy. Znali je ci, którzy wznosili piramidy, aby dowieść, że jest fałszywe. Mój ojciec poznał je w błotach pod Ypres. Znał je mój dziadek i ugasił samobójczym piwem. Znała je Mary... Stare jak świat uczucie, że wszystko w sumie może się sprowadzać do niczego.

Le Jour de Gras

Gilotyny syczą na Place de la Révolution. Syczą już od miesięcy i będą syczały przez parę następnych. Kto uciszy ten syk? Kto pohamuje ich nienasycony apetyt? I kto sprawi, że z twarzy w tłumie, który patrzy, oblizuje wargi, szydzi i wiwatuje, zniknie głodny wyraz? Tak, dzieci, ten fakt z Rewolucji Francuskiej znany jest każdemu uczniowi. Że najważniejsze były gilotyny. Dzięki temu nawet najbardziej znudzony i obojętny chłopak zaczyna trochę interesować się Historią. Dzięki sykowi spadającego ostrza. A tak, stare szczerbate babska naprawdę siedziały pod gilotyną, robiąc na drutach, a tak, zanotowano kilka przypadków wicia się, kopania, wywracania oczami, poruszania wargami, krzyku, już po tym, jak głowa oddzieliła się od ciała.

Chcecie popatrzeć, dzieci? Nie rzucić okiem raz, żeby zobaczyć, jak to wygląda, ale patrzeć wciąż i wciąż, całymi miesiącami? Chcecie popatrzeć, jak rośnie stos głów w koszach? Czy już zaczyna wam się robić niedobrze? Czy zaczynacie dochodzić do wniosku, że historia staje się nonsensem z powodu tego ssania w żołądku, tego mrowienia w czubkach palców, tego zawrotu głowy i podcięcia kolan? To się nazywa terror, dzieci. Uczucie, że wszystko jest niczym. Oto wasz przedmiot, nasza dzisiejsza lekcja.

Czy też wolicie odwrócić się plecami i odejść? Może zostawimy gilotyny, niech sobie funkcjonują bez nas, może zostawimy historię jej własnemu losowi, a wy zamiast tego może byście jednak woleli bajkę?

Pozwólcie mi więc opowiedzieć (mam nadzieję, że nie będzie wam się kojarzył z tym strasznym sykiem w oddali).

O wschodnim wietrze

Rodzi się na Morzu Arktycznym, na północ od Syberii. Przekrada się za północnym krańcem Uralu, pędzi bez opamiętania przez Nizinę Północnoeuropejską i Fińską, ponownie zwiera szeregi na Bałtyku, próbuje uciąć szyję Danii, po czym (jeśli do tego czasu stępił nieco swoją scytyjską ostrość, przywróciły mu ją fale Morza Północnego) atakuje wschodnie wybrzeże Anglii. Niektórzy mówią nawet, że zatoka Wash, ta otwarta rana w grzbiecie Wielkiej Brytanii, nie jest dziełem przypływów, rzek i geologii, ale pierwszym ukąszeniem wschodniego wiatru, wbijającego wyostrzone na krach lodowych kły w bezbronną linię brzegu.

Wschodni wiatr wiał szczególnie przejmująco w styczniu 1937 roku. A przyniósł ze sobą nie tylko oddech Arktyki i połowy zamarzniętej Europy, lecz także influencę, zwaną przez tych, którzy uważali się za poinformowanych, influencą azjatycką lub rosyjską, albo, perwersyjnie w stosunku do tak zimowej choroby, hiszpanką, natomiast przez większość, łącznie z tymi, których wcale nie było tak mało, a którzy na nią zapadli i umierali, krótko i po prostu grypą.

Rozłożyła kilku uczniów wiejskiej szkoły w Hockwell, z których jeden, biedny Robert Pearce, już nie wyzdrowiał. Zaatakowała Waltera Dangerfielda, właściciela sklepu wielobranżowego, i panią Finch, właścicielkę gospody „U Ochotników”. Złapał ją Jack Parr, a jego krzepka żona za pomocą dużej ilości gorącej whisky wyciągnęła go z tego. Dwoje starych ludzi w Apton zachorowało i zmarło w ciągu tygodnia. Także jedna osoba w Wansham, a jedna w Sudchurch. Gildseyowski Szpital Chorób Wewnętrznych otworzył naprędce specjalny oddział, podobnie szpital w Kessling Hall, przeznaczony wszakże dla chorych umysłowo. Doktorzy Fry z Apton i Bright z Newhithe, żeby wymienić choć dwóch z tej przeciążonej profesji, mieli pełne ręce roboty, nie wspominając już o trudach okręgowych pielęgniarek. I by pokazać, że stan lekarski nie gwarantuje odporności, doktor Fry, biedny, przepracowany człowiek, który już dawno powinien był przejść na emeryturę i przenieść się do Bournemouth czy Torquay, ciężko się przechorował, co pozostawiło trwałe ślady w jego płucach.

Henry Crick jej uniknął. Dick Crick jej nie złapał (a jeśli złapał, to nikt o tym nie wiedział). Ale waszego nauczyciela historii posłano do łóżka pewnego piątku, skąd wstał dopiero w środę następnego tygodnia, a w trakcie tej przerwy historii, które mu w swój niezrównany sposób opowiadała matka, żeby go ukoić i pocieszyć, nie odnosiły zwykłego skutku. Nie tylko nie przekazywały mu za pośrednictwem matki swojego balsamicznego działania, ale w dodatku wydawały się podnosić jak mgła, otaczając ją i pochłaniając, rozsiewając wokół niej groźne miazmaty, tak że w godzinach gorączki starał się otworzyć przejście do matki, coraz mniej rzeczywistej, coraz bardziej zagarnianej przez fikcję. Ale nie mógł, ponieważ opowieści te uzyskały władzę nad częściami jego własnego ciała i niewyobrażalnie zdradzieckiej pościeli, nadawały zaszyfrowane informacje jego arteriami i przedstawiały nie kończące się wersje samych siebie pod jego czaszką, tak że i jemu zaczynało grozić, że stanie się zmyśleniem... Aż w poniedziałek rano obudził się i zobaczył, że matka, absolutnie rzeczywista i namacalna, w dodatku uśmiechająca się z ulgą, siedzi na łóżku i ma właśnie zamiar namówić go na lekki posiłek, podczas kiedy za oknem, za oszronioną szybą (bo chyba wraz z jego gorączką ustał ten złośliwy wschodni wiatr), po drugiej stronie pokoju, którego zewnętrzny chłód stanowi przyjemny kontrast z przytulnymi teraz i godnymi zaufania kocami, poranne słońce świeci na płaski i stabilny świat,

również promiennie rzeczywisty i jasny. Widać daleką wieżę w Ely i słycać dalekie sapanie – zachrypnięte w mroźnym powietrzu – pociągu ósma dwadzieścia pięć do Lynn. I trudno mu uwierzyć, że tak zdecydowanie niematerialne rzeczy jak opowieści mogą okazać się takie drapieżne i osaczające...

Ale. Ale. Teraz na matkę przyszła kolej położyć się do łóżka. Grypa przeleciała od niego do niej. A wiatr, po jakimś tygodniu szklanej ciszy, znów ożył i podwoił swoją siłę. Wyje w kominach, grzechoce o szyby, wyostrza sopte pod oknami, zrywa powierzchnię Leemu i rzuca na betonową ścieżkę holowniczą, gdzie przemienia ją w twardą i niebezpieczną powłokę, posyła przeszywające zimnem do szpiku kości pociski przez każdą szczelinę i szparę domku. Jednak wśród tego wszystkiego, podczas tego gwałtownego ataku zimna, matka poci się i rzuca, zupełnie jak on przedtem. I teraz, gwoli sprawiedliwości, to on z kolei powinien siedzieć przy niej, pocieszać i uspokajać. Ale to by nic nie pomogło. Ponieważ, choć nikt jeszcze tego nie wie, matka już z łóżka nie wstanie. Ponieważ, krótko mówiąc, umiera.

Choć nikt jeszcze tego nie wie. Gorączka ma normalny przebieg. Kiedy jednak mija, nie pozostawia odrodzonej, dobrze znanej matki, wyrzuconej na bezpieczny brzeg wyzdrowienia i mającej nawet ochotę na trochę owsianki z mlekiem i sporą łyżką melasy. Zostawia zmienioną, wychudłą kobietę, całkiem niepodobną do tej sprzed choroby. Ponadto wiatr, który ogłosił wyzdrowienie waszego nauczyciela historii, cichnąc i pozwalając, by słońce zaświeciło nad błyszczącą zimową błogością, dla niej nie cichnie. Nie przestaje jęczeć i zawodzić. Przerazający wiatr.

I ponieważ wiatr nie przestawał wiać, choć przestał dla niego, ponieważ nie odchodził, choć gorączka odeszła, wasz nauczyciel historii, mimo że nikt mu nic nie mówił i mimo że był tylko dziewięcioletnim dzieckiem, wiedział.

Może wiatr nie przestanie, aż ona...

Było też oczywiste, że tata wie. Z powodu tej jasności w jego twarzy. Bo w owych dniach stopniowego odchodzenia mamy, niezmacona pogoda ducha przebijała w jego rysach, łagodny uśmiech wyginał wargi, światło błyskało w oku. Jak gdyby przyjęcie przez niego dostatecznie konsekwentnie i zdecydowanie postawy optymizmu mogło skłonić rzeczywistość do pójścia za jego przykładem; jak gdyby dzięki temu, iż on nie ujawni nigdy, że jest świadom prawdy, prawda może w końcu wcale nie okazać się prawdą.

Kto jednak wie, co robił z tą sztywną maską podczas długich godzin, kiedy siedział, nie widziany przez nas, obserwujący i czekający, za zamkniętymi drzwiami sypialni? Bo niezależnie od tego, czy małemu Tomowi pomogłoby coś czy nie, gdyby też siedział przy matce – kojąc ją czy nie leczniczymi opowieściami – tata monopolizuje funkcję czuwania. Czuwa przez cały dzień, gdy tymczasem na dole Dick, blisko czternastoletni, ale jak jego brat zwolniony ze szkoły ze względów ludzkich, odłupuje lód z bramy śluzy palcami, które zdają się nie czuć zimna, nadzoruje, z tępą sprawnością, przepływ oszronionych barek, ale na pytania przemarzniętych do szpiku kości majtków, którzy słyszeli, że z panią Crick jest naprawdę niedobrze, wzrusza niezachęcająco ramionami, pozwalając, aby jego poza tym beczynny brat (opatulony w dwa płaszcze, w szaliku, rękawicach i za dużej kominiarce ojca, usiłujący nie chlipać) wypowiadał szlachetne kłamstwa:

– Nie tak źle, proszę pana, dziękuję. Wydaje nam się, że czuje się lepiej...

Czuwa przez całą noc; podczas gdy w naszym pokoju Dick chrapie, ja zaś leżę nie śpiąc i nasłuchując dźwięków z przeciwnej strony korytarza, i modląc się (tak, modląc: Boże, proszę Cię, niech to się nie stanie... proszę Cię, Boże, jeśli nie dasz mamusi umrzeć, to ja... to ja...), a wiatr przychodzi i odchodzi, wyje i szlocha, ale nie ustaje, a domek, skrzypiący i jęczący, przypomina coraz bardziej statek daleko na morzu, który utracił ster.

Tylko z rzadka i ostrożnie, jak gdyby odczuwał jakąś szczególną formę zazdrości, pozwala nam wchodzić do pokoju chorej. Wprowadza nas czasami, trzymając palec na ustach, jakby miał ukazać naszym oczom coś niesłychanie rzadkiego i cennego, jak klejnoty królewskie. Uśmiecha się niezmiennie. Uśmiecha się dokładnie tym idiotycznym uśmiechem, jakim ojciec uśmiecha się na widok nowo narodzonego dziecka. I właśnie tak wygląda mama – jak małe, bezradne dziecko, opatulone w pościeli. Małe dziecko o głosie starej kobiety. Co stało się z moją piękną, dorosłą mamusią? Siedzimy po obu stronach łóżka, Dick po lewej, ja po prawej, tata w fotelu ustawionym w samych nogach, jedną ręką ujmując przez koc kostkę mamy. Ona chrypi, po długiej pauzie, podczas której wydawało się, że nigdy nie starczy jej oddechu, żeby przemówić: – To dopiero... ładne rzeczy... co? – z miną prawie żartobliwą. Ale jej oczy wyrażają co innego. Mówią: Słuchajcie, dzieci, wasza matka umiera. Już niedługo jej tu nie będzie. Jest to wydarzenie jedyne, wyjątkowe. Jedyne i wyjątkowe, żeby nie powiedzieć niespodziewane, także dla waszej matki. Zdarza się tylko raz, już się dla was nie powtórzy. Zapamiętajcie, patrzcie.

I patrzyłem, dzieci, bardzo uważnie. A choć rzeczywiście zdarzyło się to tylko raz, to powtarzało się, jak powtarzają się rzeczy jedyne i wyjątkowe, w nieskończoność, dopóki istnieje pamięć, w której się mogą wydarzyć...

Dick siedzi nieporuszony przy łóżku, jego rzęsy trzepoczą. Ale ja obracam się, żeby spojrzeć na tatę. Którego twarz odsyła mi promienny uśmiech, którego oczy mrugają porozumiewawczo: Czy nie jest śliczna? Czyż nie jest wspaniała? Czy nie jest pięknym dzieckiem?

(Kiedy ta maska spadnie? Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz).

Wymaszerowujemy. Wmaszerowujemy znowu. Między naszymi odmierzonymi wizytami tata pozostaje na stanowisku, pielęgnując tę kobietę, która kiedyś przed laty pielęgnowała jego; pojawiając się tylko, żeby zejść do kuchni, przygotować zupę i gorące napoje i zmienić wodę w termoforze albo żeby znieść naczynie innego rodzaju – matczyne biedne ostatnie skąpe odchody – i wylać jego zawartość do ubikacji.

Myślę: Czy to może trwać wiecznie? To napięcie. Ten trans taty. Ten wiatr. Słuchanie, jak matka mówi: – Ładne rzeczy, co? – Kiedy jest wręcz przeciwnie.

Modłę się do Boga: Proszę Cię, Boże, nie pozwól, żeby to trwało wiecznie. Proszę Cię, Boże, skoro ma tak być, niech już mamusi nie będzie. Niech to się już skończy, miejmy to już poza sobą...

Jak mogę się tak modlić, kiedy jeszcze tak niedawno modliłem się...?

Ale to nie trwa w nieskończoność. Fakt, że nie będzie trwało wiecznie, zostaje potwierdzony, po pierwsze przez doktora Brighta, który podczas jednej ze swoich lekarskich wizyt nie wrzuca, jak to ma w zwyczaju, stetoskopu na powrót do torby, zostawiając kilka poważnie brzmiących, ale spokojnym głosem wypowiedzianych instrukcji, i nie ucieka od razu z miną człowieka, którego pośpiech jest uzasadniony. (Czy pan nie wie, że mam odwiedzić jeszcze innych pacjentów? Czy pan nie wie, że jest epidemia grypy?) Tym razem ociąga się z odejściem. Przyjmuje zaproszenie ojca na filiżankę herbaty w kuchni. Ja celebрую naparzanie. Doktor wciąga tatę albo usiłuje wciągnąć w rozmowę. Nie lekarska diagnoza, uwaga (chyba że coś zostało już powiedziane na górze w sypialni), ale żmudny wysiłek nawiązania obojętnej pogawędki.

Na przykład, pomieszawszy herbatę o wiele więcej razy niż to konieczne, następnie rzuciwszy okiem, przez okno kuchenne, na kurnik:

– Niosą się jednak i w taką pogodę?

Tata:

– Niosą, a jakże. Nie za dużo, ale się niosą, Bogu dzięki.

(Jeden z moich obowiązków w czasie pielęgniarskich dyżurów taty: wsypać codzienną porcję pokarmu do kurnika i wybrać zimnymi palcami spod zrezygnowanych i najwyraźniej nieczułych na mróz kur dziwnie ciepłe jaja. Ciepłe. Niewiarygodnie ciepłe...)

Ale jest coś właśnie w przypadkowości tej rozmowy, jest coś w zgarbieniu ramion doktora Brighta i fakcie, że jego stetoskop, najwyraźniej zapomniany, wciąż mu dynda na szyi, jakby doktor miał go w każdej chwili użyć, zamiast tej sfatygowanej łyżki, do pomieszania herbaty, jest coś w tym, że tata bezwiednie zaczyna pocierać kolano, tak że doktor z wdzięcznością czepia się znów profesjonalnego tematu, jest coś w tym, że tak zadziwiająco dużo uwagi poświęcają temu kolanu, podczas gdy tam na górze mama... Jest coś w tym wszystkim, co nie oszuka nawet dziewięcioletniego Toma (...i znowu jesteśmy w gotowości bojowej, co, młody żołnierzyku? – kiedy doktor Bright wreszcie chowa swój stetoskop), co napełnia go myślami niewiele mającymi wspólnego z przypadkowością.

Tata odprowadza doktora Brighta do samochodu, dróżką za domem, naokoło zagonu warzywnego, aby uniknąć zdradzieckich gór lodowych na ścieżce holowniczej. Z okna kuchni obserwuję, jak wraca. Maską spadła. Jego twarz nie ma żadnego wyrazu. Przystaje na ścieżce, nie wiedząc, że jest obserwowany, najwyraźniej niepomny na przenikliwe zimno. Ramiona zaczynają mu drgać. Głowę ma odwróconą. To nie dreszcze. Nie skutek lodowatego wiatru. Krótki urywany spazm chwyta go za gardło.

Cofam się od okna. Wbiegam po schodach i otwieram drzwi do pokoju, gdzie leży mama. Jej oczy się poruszają. Otwierają. Patrzą na mnie. Ale, dziwna rzecz, mówi:

– Dick?

A po drugie zostaje potwierdzony przez wejście ojca o późnej porze tej samej nocy do naszego pokoju i potrząsanie Dickiem, żeby go obudzić. Dużo czasu trzeba, żeby wyrwać Dicka z jego nieprzytomnego snu i gdy to budzenie się odbywa, ja udaję, że także śpię. Niemniej otwieram do połowy jedno oko i w smudze światła z otwartych drzwi odczytuję czas na wiszącym w naszym pokoju ściennym zegarze – dość wymyślnym interesie z drewnianą tarczą przypominającą tłustą, przycupniętą sowę (wiecznie ściganą przez drapieżnego, choć martwego szczupaka o trzy stopy dalej na tej samej ścianie). Wskazówka godzinowa znajduje się dokładnie między oczami sowy. Jest dziesięć minut po północy, zaczyna się 25 stycznia 1937 roku.

– Dick, matka chce cię zobaczyć. Dick...

Nie pozwala Dickowi wśliznąć się z powrotem w kokon snu. Potrząsa nim, ściąga koc. Wypycha w piżamie na lodowaty przeciąg pokoju. Zdejmuje jego szlafrok z wieszaka koło drzwi.

– Twoja matka chce cię widzieć. Cicho, bądź cicho.

Zostawia Dicka, żeby podejść na chwilę do mojego łóżka. Czuję, jak się nade mną pochyla. Udaję głęboki oddech niezakłóconego snu. Na zewnątrz wiatr łapie własne niespokojne oddechy. Tata wraca do Dicka i już bez słowa wypycha go z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Więc to jest godzina śmierci mojej matki. Ale dlaczego tylko Dick? Dlaczego Dick, a nie ja...?

Nie może to być jednak godzina śmierci mojej matki. Ponieważ parę sekund później słyszę, jak drzwi po drugiej stronie korytarza znowu się otwierają, następnie zamykają, oraz kroki schodzące na dół. To kroki taty. Więc Dick jest z mamą sam.

Wiatr jęczy i jodłuje za oknem, głuszac wszystkie inne dźwięki. Wasz nauczyciel historii wyłazi z łóżka, na palcach przechodzi przez pokój, kuca przy drzwiach, nie zwracając uwagi na lodowate dotknięcia muskające jego palce u nóg. Słyszy słaby, wysilony głos matki, ale trudno mu rozróżnić choćby pojedyncze słowa. Nie są to tony pożegnalne, brzmi to raczej jak uroczyste napomnienie. Wyławia (Czy rzeczywiście? Czy uzupełnia je sobie po sześciu latach?) słowa: „otwórz” i „osiemnaście”. Słyszy, jak Dick – bo nie może to być matka, nie mogłaby w tak cudowny sposób znowu stanąć na nogach – przechodzi przez pokój i (przynajmniej takie czynności podkłada pod dźwięki) wyciąga szufladę w komodzie, która znajduje się w dalszym rogu sypialni rodziców, grzebie w niej, po czym powraca do łóżka matki. Głos matki staje się jeszcze cichszy, nawet w porównaniu z poprzednim ochryplym szeptem (Dick przez cały ten czas chyba nie mówi nic), potem znowu się podnosi w nagłej rozpaczliwej żarliwości:

– Dick... Dick... kochany Dick...

Ze strony Dicka pojedyncze, tępe, z lekka pytające:

– Mamusiu?

Ale dlaczego Dick? Skąd to imię – nawet kiedy jego brat Tom otworzył drzwi?

Nie ma jednak czasu na dalsze rozmyślenia nad tą sprawą. Nie ma czasu – jak to oszołomiony podsłuchiwaniec prawie zamierzał zrobić – otworzyć gwałtownie drzwi, przebiec korytarz, rzucić się na kruchy kształt matki i domagać się odpowiedzi, dlaczego nie on? Skąd to wyłączenie? Jakies ostatnie słowo może i dla niego?

Ponieważ słyszy, jak podnosi się klamka w tamtych dalszych drzwiach: Dick wychodzi. W tej samej chwili dociera do jego uszu stąpanie taty u stóp schodów. Więc cały czas tam krążył? Zapewne także usiłując coś podchwycić?

Pędem wraca do swego łóżka i niemal w tej samej sekundzie, kiedy Dick otwiera drzwi i wchodzi, daje nura pod koce i układa się w pozycji (choć z biciem serca, jakiego żaden śpiący nigdy nie doświadczył) sugerującej niezakłócony sen.

Niemal jednocześnie z pojawieniem się Dicka rozlegają się spieszne kroki taty na schodach i tata powtórnie wchodzi w drzwi, których Dick nie zdołał jeszcze zamknąć. Prowadzi Dicka z powrotem do łóżka, tak samo zdecydowanie, jak go przedtem budził. A Dick, który podczas całej tej przedziwnej sceny musiał pozostawać w stanie granicznym z somnambulizmem, tak że z nadejściem dnia wszystko zapewne wyda mu się snem, nie ma siły opierać się nakazowi taty albo zapytać (Dick, który w życiu nie zadawał pytań – aż zadał jedno istotne i fatalne), co to wszystko oznacza.

Jednak tata, skrupulatnie otulając Dicka kocami, ma wyraźnie minę człowieka, który chciałby zadać kilka pytań, który chciałby się co do czegoś upewnić. Niemniej powstrzymuje się, dochodzi do wniosku, że lepiej nie... Lepiej zdać się na to senne otępienie, lepiej się zdać na tę niepoprawną ignorancję:

– Teraz śpij, Dick. Śpij...

Jakby mówił: I zapomnij o wszystkim, zapomnij o wszystkim...

Jest coś, co Dick wie, a czego może wiedzieć nie powinien. Jest coś, o czym Dick się dowiedział, a tata wolałby, żeby tego nie wiedział.

Istotnie. Ponieważ po wyjściu taty – upewniwszy się najpierw jeszcze raz, że mały Tom śpi – Dick kładzie coś, co pobrząkuje metalicznie, coś, co cały czas musiał chować w jednej z tych swoich za dużych dłoni, na szafce nocnej.

Mosiężny klucz.

Czekam, żeby znów usłyszeć rytm Dickowego chrapania. Cichuteńko wykradam się z łóżka i w wywołującej dreszcz ciemności macam ów tajemniczy przedmiot na szafce nocnej. Klucz. Tak jest, klucz. Wracam do łóżka. Leżę nie śpiąc. Nie zasnę już tej nocy. Nadśluchuję wiatru. Słyszę niesiony jego podmuchami i przez to jakby rozstrojony i przypadkowy, niczym głos dzwonu rozpływający się w powietrzu, dźwięk sygnaturki z kościoła w Hockwell. Delikatny opar światła przenika do pokoju przez szparę pod drzwiami. Więc światło się świeci po drugiej stronie korytarza, gdzie tata siedzi przy mamie. Wydaje mi się, że słyszę – ale to na pewno jakaś sztuczka mąjącego umysł wiatru – stłumiony ludzki szloch.

Ach, obłąkany, bezlitosny wiatr, wiejący nad ranem 25 stycznia 1937 roku. Podczas takiego wiatru święta Gunnhilda padłaby na ziemię w swojej lepiance, słysząc ryk Diabła. Podczas takiego wiatru stary Jacob Crick przycupnąłby w jednym ze swoich wiatraków (skrzydła zdjęte, wał rzucony na ziemię) oczekując, że lada chwila cała skrzypiąca budowla pofrunie do królestwa niebieskiego...

Nadchodzi świt 25 stycznia. Dick – który tak jak niezawodnie śpi głęboko w nocy, tak równie niezawodnie budzi się o pierwszym brzasku – porusza się. Jego mocno zamknięte oczy otwierają się. Patrzą na mosiężny klucz. Więc to nie był sen, to się naprawdę wydarzyło. Następnie patrzą na mnie, który, obudzony, leżę w drugim łóżku i też patrzę na klucz i na Dicka patrzącego na klucz. A natychmiast gdy tylko spojrzenie Dicka podchwytuje moje, ręka wysuwa się spod koców, łapie klucz i usuwa go z pola widzenia – jak gdyby sama szybkość tego ruchu miała sprawić wrażenie, że nigdy nie został wykonany i że przede wszystkim nigdy nie było tam żadnego klucza.

Gdyby Dick mnie nie przyłapał na tak intensywnym przyglądaniu się kluczowi, być może nigdy nie doszedłby do wniosku – czy przynajmniej nie zdradził tak wyraźnie, że do niego doszedł – że ten klucz musi być kluczem specjalnym.

Ale ja nie zamierzam tak sprawy zostawić. Wstaję z łóżka. Jak gdyby w obronie swojego terytorium Dick również wstaje z łóżka. Klucz jest albo schowany w jego zaciśniętej pięści, albo też zagrzebany w jakąś fałdę poduszki czy prześcieradła. Oczy mu się poruszają. Mam właśnie powiedzieć – tonem ani zbyt natarczywym, ani też zbyt obojętnym: Dick, co to za klucz?

Ale nie mówię. Bo właśnie w tej chwili tata otwiera drzwi i, ponieważ widzi nas obydwu na nogach i dostatecznie blisko jeden drugiego, byśmy się mogli zmieścić w zasięgu jego ramion, obejmuje nas tym miażdżącym uściskiem nie-do-zapomnienia, który można tylko nazwać macierzyńskim i z twarzą już wilgotną, a teraz znów gwałtownie się rozpływającą, mówi:

– Dzieci – (owszem, tak nas nazwał) – wasza matka odeszła. Ona odeszła. Odeszła.

Odeszła.

Jak również – ponieważ wbrew temu wstrząsającemu oświadczeniu wszystko wokół nas jest zadziwiająco nieruchome i ciche: Leem płynie sobie spokojnie, gładkie niebo za oknem ma kolor różowej konchy – skończył się wiatr.

Pochowaliśmy więc mamę na przykościelnym cmentarzu w Hockwell. Tata zaczął hodować w rogu grządki warzywnej kwiaty, które składał na jej grobie. Chociaż, z kwiatami czy bez, nie było właściwie dnia w ciągu następnych miesięcy, żeby nie odwiedził falistego skrawka trawy za kościołem i nie przesiadywał tam, zaniedbując swoje obowiązki dozorca śluzu dla obowiązku, który uważał za bardziej absorbujący i ważniejszy. Czasami szedłem z nim, śledziłem go z pewnej odległości, tego obcego człowieka, który był zarazem moim ojcem. A podczas tych smutnych wypraw taty Dick – teraz już właściwie na stałe zwolniony ze szkoły, i ze względu na brak postępów w nauce, i na świeżą stratę w rodzinie – przyzwyczajał się, jak to już zaczął od chwili, kiedy mama zachorowała – sprawować pieczę nad śluzą. Przyswajając sobie (nikt mu nic nie mówił, przyszło to instynktownie) chwyt i sposoby potrzebne w tym fachu; zawiadywać galarami i barkami, utrzymywać chwiejną, ale bezwzględnie konieczną zależność pomiędzy rzeką a śluzą. Właśnie w tym okresie nie tylko cmentarnych medytacji, ale również łapania węgorzy w świetle księżyca oraz bezsennego wałęsania się po ścieżce holowniczej i tak cieniutka warstwa edukacji Dicka zbladła i starła się do reszty, a kierownik szkoły Allsop i Henry Crick zgodzili się, że choć z mózgiem nietęgo, to nie brak pożytecznej siły mięśni; jak również nawiązała się pomiędzy tatą a Dickiem, teraz, kiedy dzielili

razem ten sam trud, pewna szczególna więź, ale więź, jeśli przyjrzeć się jej z bliska, oparta nie tyle na zaufaniu i współpracy, ile na pragnieniu pierwszego, by mieć w pobliżu i nie spuszczać z oka drugiego.

W ten sposób, ponaglany zarówno własną skłonnością, jak ojcowskim baczeniem, Dick wyrósł na nieodrodnego potomka (mógłby ktoś powiedzieć) Cricków, swoich upartych, poskramiających wodę, chroniących ziemię przodków.

Tylko że Dick...

Ale to wszystko oznacza wybieganie naprzód z pominięciem bezpośrednich skutków tamtego straszliwego styczniowego świtu.

A więc tata, co należy zauważyć, ściskając nas tak żarliwie w ramionach, nie wymówił słowa „umarła”. Użył słowa „odeszła”. I w ciągu kolejnych dni, mimo że doktor Bright przybył wystawić świadectwo zgonu, mimo że mamę przeniesiono z łóżka do trumny, a następnie, z towarzyszeniem obowiązującego obrządku, do grobu, nigdy nie pozwolił, aby przez jego usta przeszło słowo „umarła” albo słowo „śmierć”.

I choć wiele przemawia za użyciem eufemizmu „odeszła” wobec dwóch synów, z których jeden wydaje się za mały, a drugi za głupi, żeby zrozumieć, wiele też przemawia przeciw. Bo „odeszła” w takich okolicznościach jest słowem o wiele bardziej zwodniczym. Dla małego Toma, którego całe życie mogłoby przebiec inaczej, gdyby ojciec powiedział mu to, na czego przyjęcie dziecięce serce Toma już się przygotowało – że jego rodzona mamusia umarła, nie ma jej, skończyło się, już jej nigdy nie zobaczy – słowo „odeszła” zawierało sugestię jakiejś świadomej, wręcz perfidnej decyzji ze strony matki, jak gdyby nie przestała istnieć raz na zawsze, ale przebywała gdzieś daleko, niedosiężna, niewidoczna, ciągle jednak tutaj.

„Odeszła”, innymi słowy, kryło tajemnicę. Podczas gdy „umarła” jest brutalnym słowem na określenie brutalnego i naturalnego zjawiska. „Odeszła” – budzące lęk, wieloznaczne – prosiło się o wyjaśnienie.

Ono sprawiło, że dziecięcy umysł waszego nauczyciela historii – przywykły do „co” i „jak” – podchwycił pierwsze rytmiczne uderzenia gongu „dlaczegodlaczegodlaczego”. (A wiemy, co z tego wynikło). Sprawilo, że zaczął próbować, sposobami, których nie bardzo był świadom i nad którymi nie miał prawie żadnej kontroli, ożywić choćby w jakiejś nowej formie (ach, nieśmiało, tęskne podróże pociągami) wizerunek swojej utraconej mamusi.

I tak reakcja małego Toma na śmierć matki, mimo wszystkich długotrwałych następstw, prawdopodobnie nie różniła się w istocie od prymitywnej reakcji jego brata, która, gdyby kiedykolwiek została wyrażona słowami – przy oszołomionym trzepotaniu rzęs – prawdopodobnie sprowadziłaby się do: Dobrze, jak odeszła, to kiedy wróci?

A jeśli chodzi o tatę: czy użył słowa „odeszła” tylko przez wzgląd na dzieci? Bo jeśli rzeczywiście sam wierzył, że mamy już nie ma i nie ma możliwości kontaktu z nią, choćby na największą odległość, to po co wciąż ponawiał wycieczki na cmentarz i stał tam, poruszając wargami, jakby mówił do kogoś, a w dodatku opowiadał nam o dalekim miejscu zwanym Niebem?

Tak więc wszystkich trzech pozostałych przy życiu mieszkańców domku przy Nowym Atkinsonie jednoczyła, być może, wspólna wiara, że mama, która umarła, naprawdę wcale nie umarła, że z jakiegoś ukrytego punktu obserwacyjnego nadal nad nimi czuwa i sprawuje opiekę nad domkiem.

Ach, fenlandzkie przesady. Chyba umarli to umarli, nie? Chyba nie ma powrotu do przeszłości?

Ale czasami istnieją sposoby otwarcia tej zapieczętowanej strefy, wystawienia jej zawartości na niszczący wpływ powietrza. A Dick miał klucz.

Który ukrył. Ponieważ kiedy po tym złowrogim, choć nierozważnym oświadczeniu ojciec poprowadził nas obydwu korytarzem na piętro – bo nie odmówiłby nam ani nie oszczędził tego ostatniego przywileju – abyśmy mogli jeszcze raz popatrzeć na mamę, mały Tom tak się rozszlochał i rozmazgał – co nie pomagało tacie powstrzymać wzbierających cały czas łez – że zupełnie zapomniał o tym pośpiesznie usuniętym z pola widzenia kluczu. A zanim żalność pozwoliła mu na przypomnienie, Dick już najwyraźniej powziął kroki, żeby klucz ukryć. Bo gdy tata z doktorem Brightem odbywają żalobną konferencję, a Dick zajmuje się odłupywaniem następnych kawałków lodu z wrót śluzy, Tom przeprowadza gorączkową, acz skrupulatną rewizję w łóżku Dicka i jego najbliższym otoczeniu. Maca poduszkę i koc w poszukiwaniu wypukłości, podnosi materac, bada cal po calu podłogę pod łóżkiem, zapoznaje się ze skromną zawartością (kilka puszek po kakao, czaszka wodnego szczura) rozklekotanej szafki nocnej Dicka, sprawdza wewnątrz szafy i bieliźniarki.

Nie ma klucza.

Jednak pewnego dnia – mówiąc ściślej pięć dni po śmierci matki, a tylko dwa po jej internowaniu na przykościelnym cmentarzu w Hockwell, kiedy już słowo „odeszła”, które w chwili pożegnalnego spojrzenia na mamę nie miało zapewne dla Dicka żadnych łzawych skojarzeń (Odeszła? Ale przecież jest tutaj. Zdecydowała się tylko poleżeć przez chwilę spokojnie), zaczyna oddziaływać – słyszę Dicka wchodzącego po schodkach prowadzących na strych. Słyszę Dicka i słyszę wiatr. Bo wiatr wrócił. Ale nie wiatr wywołuje to skrzypienie. Nasłuchuję u stóp głównych schodów tych zdradzieckich dźwięków, które dane mi będzie słyszeć wiele lat później za zamkniętymi na klucz i zabarykadowanymi drzwiami. Dick schodzi. Wchodzę na główne schody, udając, że akurat muszę wstąpić po coś do sypialni. Ręce Dicka są puste. Ale powieki mu drgają, chyba nawet nie tyle z powodu zetknięcia się ze mną twarzą w twarz (nawet powieki mają swoje niuanse), ile z jakiegoś wewnętrznego powodu – zdziwienia czy rozczarowania.

A pewnego dnia po szkole, znowu wchodząc do sypialni, zastaję w niej nie kogo innego, tylko tatę, który mnie wita niewyraźną miną, jak gdyby przyłapany na gorącym uczynku, jak gdyby czegoś szukał, i żeby pokryć zmieszanie, a także mając niewątpliwie na uwadze inny cel, mówi:

– Myślę właśnie. Może już czas, żebyś miał osobną sypialnię. Może już czas, żebyśmy cię przenieśli do pokoju na tyłach.

Następnie (teraz upłynęło już blisko trzy tygodnie, jak mama odeszła i nie wraca) Dick ponownie udaje się na strych. Powinien w tej chwili pilnie przykładać się do swoich obowiązków świeżo mianowanego dozorcę służby. Bo tata znowu powędrował przez wioskę Hockwell (gdzie uchyla się firanki i będą mówili: O, idzie znowu ten biedny Henry Crick) na swoje *rendez-vous* na cmentarzu. Ale ledwo tata znika z oczu, Dick opuszcza powierzone mu stanowisko i z wyrazem zdecydowania wchodzi do domku i wspina się po schodach.

Ja kryję się tymczasem w kuchni z rękami upudrowanymi mąką. Bo jeśli Dick może zastępować tatę przy służbie, ja mogę włożyć fartuch mamy. W to chłodne sobotnie popołudnie usiłuję upiec placuszki, takie jak kiedyś piekła mama. Zagłębam się w kulinarną czarną magię. Za pomocą opatulającego fartucha, za pomocą dzieżki, którą ona kiedyś trzymała w zgięciu łokcia, za pomocą drewnianej łyżki, którą ona kiedyś... usiłuję wywołać, wchłonąć w siebie ducha mojej zmarłej mamusi. Tak że kiedy tata wróci, przemarznięty po tym wystawaniu na cmentarzu, ugryzie ciepły placuszek i...

Ale przecież próbowałem już tego lekarstwa. Moje kuchenne parodie przyprawiały tylko ojca o ból serca. A także brzucha. Kiedy dziękuje mi słabym uśmiechem za czuły gest, moje ciężkie jak z ołowiu, nieszczęsne placuszki stają mu w i tak już ściśniętym gardle...

Dzisiaj zresztą i tak nie będzie placuszków – ani takich, jakie piekła mama, ani żadnych innych. Ponieważ Dick zbiega na dół i zastając mnie, całego zmienionego w słuch, u wejścia do kuchni, chwyta mnie za ramiona i popycha przez hall do drzwi frontowych. Zimne powietrze uderza moją rozgrzaną od pieca twarz.

– Ty rób – mówi Dick, szybkim ruchem ręki wskazując służę. – Ty rób. Ja idę.

Z czego wnoszę, że Dick mnie z kolei przekazuje władzę przekazaną jemu. Chce, żebym pilnował służy, ja, z moimi umoczonymi rękami – on ma najwyraźniej własną sprawę do załatwienia.

– Tak, Dick – mówię. – Dobrze. – Bardziej z zamiarem niepokazania, jakobym kwestionował ten dziwny rozkaz, niż wykonania go. Bo w głosie Dicka jest niewątpliwie nacisk, w dodatku coś – wystającego i twardego – kryje się pod jego granatowym swetrem, podtrzymywane zwiniętą dłonią. Dostrzegam, co to jest, kiedy on – ja tymczasem udaję zajętego w kuchni, zdejmując matczyne fartuch – szybko przerzuca to najpierw na stoliczek w hallu, a potem, włożywszy płaszcz, do jego kieszeni.

Butelka. Kto by pomyślał – butelka. Brązowa butelka...

Zapinając płaszcz lewą ręką, wkładając prawą do już obciążonej kieszeni, tak że ładunek nie będzie widoczny, schodzi na ścieżkę holowniczą i kieruje się, bez dalszych słów, w dół rzeki.

Ja też wychodzę na ścieżkę holowniczą i patrzę, jak on podąża południowym brzegiem, z lekka przygarbiony, trochę ciężkim krokiem kogoś, kto idzie w głębokim zamyśleniu – co bynajmniej nie jest normalnym sposobem chodzenia Dicka.

Spojrzenie za siebie. Przybieram wyraz niechętnie podejmowanej odpowiedzialności.

Ale mało mnie obchodzi nieformalnie mi przekazane, a dla dziesięciolatka fetyszyzującego matczyne fartuch i tak nieodpowiednie zadanie.

Tego popołudnia (zimno, mglisto, nie puszczający mróz) nie było nikogo w domku przy Nowym Atkinsonie. Ani dozorca śluzy, ani synowie dozorczy śluzy nie zajmowali się nią – chociaż każdy na swój sposób był pilnie zajęty. Gdyby flisacy z Gildseyowskiej Spółki Węglowej wybrali tę porę, żeby żądać przepuszczenia przez służbę, musieliby sobie radzić sami. A gdyby pani Crick rzeczywiście nadal krążyła niewidoczna wokół swego domu – chociaż jak mogłaby być w trzech miejscach naraz: w domku, na cmentarzu i w tej butelce, którą niósł Dick? – poczułaby swoimi duchowymi nozdrzami, stanowiącymi odpowiednik nozdrzy pewnej wężącej ogień prababki, swąd (bo zapomniałem o jednym drobiazgu) spalonych, niemal płonących płacuszków.

Jaka jest szansa ukradkowego działania na płaskiej ziemi? Jaka jest szansa pracy detektywa na pozbawionych rzeźby terenu Fenach? Jaką ma szansę nawet mierzący cztery stopy wzrostu dziesięcioletni detektyw w tym płaskim kraju, gdzie wszystko rzuca się w oczy i nic nie ukryje się przed Bogiem...? Gdyby nie fakt, że osuszony grunt się zapada i poziom rzek się podnosi, a to oznacza wysokie brzegi.

Bo kiedy Dick idzie, tym krokiem, który nie jest jego zwykłym krokiem, grzbietem południowego brzegu Leemu, kto równocześnie idzie brzegiem północnym? Chociaż nie grzbietem, ale, zasłonięty, zboczem od strony lądu – przekroczywszy najpierw rzekę przez służę i jaz i, dzięki wykonaniu pośpiesznego sprintu, zrównawszy się z bratem. Kto włązi od czasu do czasu po oszronionym północnym stoku tegoż północnego brzegu, wystawia ukradkiem głowę ponad wzniesienie, żeby sprawdzić, dokąd tamten doszedł, po czym złązi, ześlizguje się, zjeżdża z powrotem? Kto, kiedy jego brat po stronie południowej zatrzymuje się przy pewnym wodnym skrzyżowaniu, mianowicie u ujścia Rowu Stotta, także się zatrzymuje po swojej stronie; nie tylko się zatrzymuje, ale na dodatek, prawdopodobnie w tym samym miejscu, skąd sześć lat później Mary Metcalf będzie przeprowadzała swoje obserwacje tegoż brata, wdrapuje się prawie na samą górę po tej zwróconej ku północy pochyłości i kładzie się na brzuchu, niczym snajper, na ocukrzonej szronem trawie – pozycja chyba niezbyt godna zalecenia dla chłopca, który niedawno wstał po grypie? Ale jest tak rozgrzany biegiem i wspinaczką, jak również ciekawością, a zresztą tak obojętny na wszelkie niewygody tego świata po stracie matki, że nie odczuwa ani zimna, ani wilgoci.

Dick przygląda się wodzie. Rozgląda się wokół po zimowym krajobrazie, jakby chciał się upewnić, że jest zupełnie sam. Po czym wyciąga butelkę z kieszeni płaszcza i przygląda się także jej.

Po drugiej stronie rzeki, podczas gdy lód topi się pod nim, jego brat myśli: Więc tajemniczy spadek, jaki mama pozostawiła Dickowi, to tylko kilka starych butelek... Więc ten kufer na strychu to tylko cudaczna skrzynka na piwo...

Tylko? Dick odkręca nakrętkę, podnosi butelkę do ust. W całym swoim życiu, o ile mi wiadomo, Dick nie wypił butelki piwa. Nawet butelki zwykłego piwa...

Przełyka, ociera usta. Kuca na brzegu. Wpatruje się w rzekę. Znów przełyka, osusza z nagłą żarliwością całą butelkę. Wpatruje się. Raptem próbuje wstać, ale znów kuca. Próbuje jeszcze raz, przewraca się, wreszcie jakoś udaje mu się stanąć na nogi. Wybuch nagle dzikim śmiechem, który przechodzi w zawodzącą, niemelodyjną pieśń bez słów. Wykonuje coś w rodzaju tańca, powolnego, niezgrabnego walca z samym sobą. Znów się śmieje, pohukuje, gdacze. Wtem, przerywając taniec, przestaje pohukiwać i gdakać, osuwa się na kolana, kładzie rękę na brzuchu, maca swoje ramiona, nogi, głowę, jakby chciał się przekonać, czy jeszcze są. Jego powieki nigdy tak nie trzepotały. Wyraz niedowierzania, winy, przerażenia pojawia się na jego twarzy. Wyraz nie tak różny od tego, jakim zareaguje pewnego dnia nad kanałem Hockwell, kiedy pod jego wełnianymi kąpielówkami coś się poruszy ni z tego, ni z owego. Siedzi, ale nie może usiedzieć spokojnie, jak gdyby nigdy nie podejrzewał, z jakiego niebezpiecznego materiału jest zrobiony, i musiał się wyzwolić. Ale jedyny sposób, żeby się wyzwolić, to wyskoczyć z własnej skóry. Szarpie się i podskakuje, kręci się i wywraca oczyma (po drugiej stronie rzeki młodszy brat też z trudem zachowuje spokój i oczy mu także wychodzą na wierzch ze zdumienia). Wtem zdaje sobie sprawę, że ciągle ściska butelkę. To wcale nie on, to ten płyn w butelce. Ale jak mogła jego matka...? Jako ostatni pożegnalny podarunek...? Z okrzykiem

wyrażającym pomieszanie i udrękę – jak gdyby mimo całego przerażenia odrzucał jakąś potencjalną dawkę błogości, jakąś część własnego nie wypróbowanego ciała – ciska butelkę wysokim łukiem w rzekę. Gdzie unosi się ona przez chwilę na powierzchni, przechyla, powoli wymienia swoją poprzednią mocną zawartość na zwykłą wodę z rzeki – i tonie...

Dlatego Dick nie brał nigdy w usta kropli niczego z butelki, włączając w to kradzioną whisky, którą puścił w kurs Freddie Parr. I dlatego zapewne, choć nadal posiadał klucz, nigdy już nie otworzył niezwykłego kufra. Aż zrozumiał, w jaki sposób jego zawartość może mu być pomocna.

Bez butelki Dick nadal chwieje się i zatacza, ciągle nie może się zdecydować, czy usiąść, czy stanąć, czy iść tędy, czy tamtędy. Na tle bezbarwnych pól buraczanych, na tle zamglonej perspektywy Rowu Stotta, na tle szarej neutralności zimowego nieba stanowi widok dziwaczny, przykuwający... Ale uwaga, mały detektywie. Chyba widziałeś już dosyć. Czas wykonać dyskretny odwrót. Czas wślizgnąć się cichaczem do domku, zanim powróci tata albo Dick, żeby żaden nie miał podejrzeń.

Tak też robi – ślizga się dosłownie, wspomagany przez owe skupiska szronu, które przyspieszając jego zstępowanie po pochyłości niemal stają się przyczyną wywichnięcia nogi w kostce – i w ubraniu wilgotnym od leżenia w zimowej trawie oraz z mętlikiem w głowie od tego wszystkiego, czego był świadkiem, wraca ścieżką u podnóża północnego brzegu.

Ale coś jeszcze się wydarza po przedziwnych wyczynach Dicka z butelką. Coś jeszcze zaczyna dawać o sobie znać, początkowo bardzo delikatnie, niemal niedostrzegalnie, po tym jak owo naczynie z brązowego szkła pogrążyło się, udając Excalibur, w rzece. Podnosi się lekki podmuch. Z każdą minutą staje się silniejszy. Rozprasza mgłę. Marszczy powierzchnię Leemu. Bez wątpienia szeleści w ostrokrzewach na cmentarzu w Hockwell i porusza bluszcz na wieży tamtejszego kościoła. Dmucha już mocno, rozniecając na nowo żar z popiołów zachodniego nieba, kiedy wchodzi do domu, żeby wyjąć z pieca, nim i one zajmą się ogniem, dwanaście poczerniałych placuszków.

Wschodni wiatr.

39

Głupi

Aten sam wschodni wiatr – lub raczej nie ten sam, ale jego letni odpowiednik, jego wesoła siostra o gorącym oddechu (bo jak wam powie każdy fenlandczyk, wschodni wiatr to nie jeden wiatr, to bliźnięta, a jedno bliźnię zabija, drugie zaś przyśpiesza dojrzewanie) – wiał pewnego czwartkowego popołudnia w sierpniu 1943 roku, wiał widocznymi falami przez pstre od maków pola pszenicy na farmie Polt Fen, wiał w topolach nad kanałem Hockwell, sprawiając, że suche liście błyskały i dzwoniły, podczas gdy ja znajomą trasą podążałem raz jeszcze do naszego ściętego młyna.

Ponieważ, choć nie umawialiśmy się na spotkanie, choć kiedy widzieliśmy się ostatnio, Mary odeszła tak, jakby nasze schadzki w wiatraku skończyły się raz na zawsze, a od tego czasu minął już cały tydzień – cały tydzień od oficjalnego ustalenia przyczyny zgonu Freddiego Parra – wciąż miałem nadzieję, że zastanę tam Mary. Poza tym musiałem mówić. Ponieważ od trzech dni grałem z Dickiem w tę grę strachu, tę grę w butelkę i nie wiedziałem już, czy Dick bardziej się boi mnie, czy ja jego. Dłużej tak nie mogłem. Więc czy powinniśmy powiedzieć? Przyznać się? Iść na policję? Ponieważ prędzej czy później nasze małe sekrety wyjdą na jaw, no nie? Czy powinniśmy powiedzieć, Mary? Co, Mary?...

(Zwróćcie uwagę, dzieci, na wyraźną już wtedy, uprzykrzoną wadę historyka: jak rozważa ewentalności, jak się nie sprawdza w działaniu).

I jeszcze jedno, skoro mowa o sekretach: butelka pochodzi z kufra, ze starego kufra na strychu, który należał do mojego dziadka, a tylko Dick ma...

Na razie zatrzymuję się na skraju topolowego zagajnika. Bo chociaż minęła godzina piąta, chociaż jest późno jak na tę magiczną przerwę – od trzeciej do wpół do szóstej – kiedy to w czasach które-nigdy-nie-powrócą, spotykaliśmy się regularnie, Mary rzeczywiście jest przy wiatraku. I robi coś bardzo dziwnego.

Stoi na samym skraju ceglanego podmurowania, jakieś pięć stóp nad miejscem, gdzie stara czerparka kołowa utknęła na końcu zarośniętego trawą rowu. Stoi, z włosami rozrzuconymi przez wiatr, i raptem, wyrzucając ramiona w przód i w górę, skacze. Spódnica się nadyma, błyskają opalone kolana. Ląduje jakby w naumyślnie niezgrabnej pozycji: sztywny tułów, rozstawione nogi wydają się nie amortyzować skoku, ale w nim przeszkadzać. Po czym rozluźniając ciało kuca na trawie i obejmuje rękami brzuch. Wstaje i powtarza wszystko od początku. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Czaję się w drżącym topolowym zagajniku, próbując zrozumieć ten dziwny rytuał. Czy to jakiś rodzaj gry w pojedynkę? Jakiś zestaw ćwiczeń? I czy nie powinna uważać? W końcu... z tym dzieckiem w środku?

Przecinam klin pastwiska między zagajnikiem a wiatrakiem. Powietrze tchnie ciepłą wonią tawuli. Wiatr znosi mój pierwszy okrzyk, tak że Mary uświadamia sobie moją obecność, kiedy już się szykuje do następnego skoku.

– Mary, co ty...?

Nie spodziewała się, że się zjawię. Widzę to na pierwszy rzut oka. Lekki grymas irytacji ściąga jej rysy. Przyszła sama do wiatraka. W sprawie prywatnej.

– Lepiej idź sobie, Tomie Crick. Lepiej się stąd zabieraj.

– Co to za skakanie? Coś sobie zrobisz.

– Głupi. Idź stąd.

– Przyszedłem porozmawiać...

Znowu skacze, nie zwracając na mnie uwagi, jak gdyby musiała coś porządnie przećwiczyć, wyrzucając ramiona, mrużąc oczy z wyrazem zdecydowania, jakby nie miała zamiaru dać się odwieść, jakby to skakanie było ważniejsze niż wszystko inne. Znowu ląduje twardo, chwiejnie, po czym przysiada na piętach.

Biegnę na pomoc. W trawie jest małe ubite miejsce po jej kolejnych lądowaniach, jak gdyby tak skakała już dobrą chwilę.

– Dlaczego? Czy to nie niebezpieczne? Przecież...

– Głupi. Idź stąd.

I wtedy, gdy Mary odwraca głowę, widzę, że jej twarz mimo tygodni letniego opalania jest blada i błyszcząca od potu. Nie jest to pot spływający strużkami, wywołany ruchem i gorącem, ale rosa potu, sprawiająca wrażenie chłodnej. Co więcej, w kącikach oczu Mary błyszczą jasne, niecierpliwe krople, które bynajmniej nie są potem.

– Głupi! Głupi!

Jak gderliwa, opędzająca się matka. Jak...

Rozumiem.

(Ach, dzieci, wasz nauczyciel historii na początku kariery. Tak przenikliwy w analizowaniu wydarzeń. Tak bezbłędnie rozpoznający prawdę...)

– Więc chcesz...?

– Tak. Głupi. Z drogi.

– Więc rzeczywiście masz zamiar...?

(Tak mało świadomy, aż dotąd, że Mary może być prawdziwą mamusią, że ta rzecz w brzuchu Mary jest tam naprawdę. Ale może. Ale jest. On się przekona).

Mary, ciężko dysząc, gramoli się znowu, obok zadławionego zielskiem przepustu, na ceglane podmurowanie.

Ja jej nie przeszkadzam. Nie wyciągam wstrzymujących rąk, nie wykrzykuję pełnych oburzenia słów. Bo kiedy po raz drugi w przeciągu dwóch tygodni rzeczywistość wychodzi mi naprzeciw, tak jak ziemia naprzeciw spotkaniu z Mary, i przyprawia mnie o oszłamiający wstrząs, i kiedy ziemia, wychodząc naprzeciw spotkaniu z Mary, jednocześnie usuwa się spode mnie, sprawiając, że świat wiruje mi w oczach, a żołądek się wywraca – jaka myśl, twarda i ostra, mimo wszystko przychodzi mi do głowy?

Musi być Dicka. Jeśli chce zabić, jeśli chce się pozbyć. Musi być Dicka. Ponieważ nie chce dziecka... Ponieważ nie zabiłaby naszego...

I kiedy Mary znów zwraca ku mnie woskową, błyszczącą twarz, chwytam ją za ramię i nagle wybucham:

– To Dicka, prawda? Od samego początku wiedziałaś. Dicka. Dicka!

– Czemu sobie nie pójdziesz?

Jeszcze raz kieruje się w stronę swojej skoczni.

– Mary, nie! Nie rób tego!

Tak mówi się do samobójcy.

– Nie skacz!

Skacze. Przypada do ziemi. Chrząka. Znow idzie skakać.

Łapię ją za ramię.

– Przestań! Przestań to robić!

Strząsa moją rękę. Twarz ma dziką, zęby zaciśnięte.

Burzone wiatrem włosy smagają ją po oczach.

– To Dicka, prawda? Dicka, Dicka!

Wraca na podmurowanie.

– Więc dobrze. Dicka.

(No i co, niedoszły mały tatusiu: zadowolony?)

Przesuwa się na skraj, żeby znow skoczyć.

– Mary, on chyba wie, że ja wiem. Mary, odezwij się do mnie. Och, Chryste, przyszedłem tutaj, żeby ci powiedzieć. Myślę, że powinniśmy... ten kufer...

(Mary, czy możesz przestać...)

Ale Mary nie słucha. Bo zanim mogłaby znowu skoczyć, zanim następny wstrząs mógłby dokonać dzieła, nogi nagle się pod nią uginają, maca smołowane deski wiatraka, szukając oparcia. Kuca, spuszcza głowę.

Drapię się na podmurowanie. Przysiadam obok niej. Obejmuję ją ramieniem. Ten dziwny chłód i napięcie jej skóry. Niemal czuję przekazywane mi od niej drgania zakończeń nerwowych.

– Coś się stało – mówi, podnosząc głowę i wydając krótki zduszony śmiech. – Jednak działa.

Po czym mówi, a łyzy napływają jej nagle do oczu:

– Nie Dicka. Nasze. Nasze. Rozumiesz?

Wiatr wieje, poruszając liście topoli, szkarłatne maki i orzechowobrzazowe włosy Mary. Wieje, przyspieszając dojrzewanie wschodnioangielskiego zboża i podmuchami buchającymi jak żar z pieca nadając polom fenlandzkiej pszenicy kolor bochnów, którymi pewnego dnia się stanie. Ale chociaż to ciepły wiatr, chociaż teraz i tak słabnie, ponieważ zbliża się wieczór, mógłby być równie dobrze tamtym lodowatym, nieustępliwym zimowym wichrem...

Wpełzamy w skorupę starego wiatraka. Tam gdzie kiedyś zasialiśmy miłość (Mary – taka twarda sprawiedliwość?), czekamy na jej strącony owoc. Opieram się o wyschlę deski. Mary opiera się o mnie, otaczam ją ramionami. Podciąga spódnicę.

– Niedużo krwi. Coś na razie stało się w środku. Trzeba czekać... Zobaczymy.

Nie może wstać. Robi jej się niedobrze.

Czekamy (szepty i skowyty, delikatne uderzenia wiatru, pisk jaskółek) godzinę albo i więcej. I nic.

Zdobywam się na odwagę.

– Mary, może wszystko w porządku. Może nic się nie stanie.

(Ale przecież na to czekamy. Żeby Nic się stało. Żeby coś się odstało.)

Potrząsa głową. Majtki splamione krwią, opuszczone do kolan. Już się dokonało. Nie do odrobienia.

– Czy ty... rozumiesz?

Tak, rozumiem. Ponieważ gdyby to dziecko nie... Wtedy Dick nie... I Freddie... Ponieważ przyczyna, skutek... Ponieważ Mary powiedziała, wiem, co zrobię...

Rozumiem, ale nie rozumiem tego spokojnego sierpniowego słońca, tego słodkiego zapachu tawuli i wyżej, nad nami – gdzie kiedyś, w czasach Thomasa Atkinsona, obracały się drewniane skrzydła, osuszając, osuszając – tego okrutnego kręgu chabrowego nieba.

Wieczór zapada. Wieczór cichnie.

Tuląc Mary w ramionach, przywołując w pamięci głos mamy z opowieści na dobranoc (ale ja jestem dzieckiem, a ona...), zaczynam mówić niepewnym tonem dorosłych, którzy pośród katastrofy usiłują udawać przed dziećmi, że wszystko jest w porządku:

– Pamiętasz, Mary, kiedy przyszliśmy tu pierwszy raz, kiedyśmy, kiedy...?

(Pamiętasz, Mary, dawno, dawno temu? Kiedy nie było telewizorów ani wieżowców, rakiet na Księżyc, pigułek antykoncepcyjnych, środków uspokajających i kalkulatorów kieszonkowych, supermarketów i szkół zbiorczych, pocisków nuklearnych... Kiedy były pociągi parowe i baśnie... Kiedy galary pływające po Leemie wciąż miały na dziobach, jak za dawnych czasów, dwa skrzyżowane żółte kłosa jęczmienia? Pamiętasz ten wiatrak? Naszą wyprawę do jeziora Wash Fen...?)

Ale Mary nie jest zainteresowana. Twarz ma białą, lepłą. Mocno zamyka oczy. Opowieści jej nie interesują. Nie jest ciekawa.

Kryjówka w wiatraku. Schron w wiatraku. Jak mogłyby jego już zrujnowane ściany osłonić nas teraz? Jak mógłby jego drewniany uścisk nas pocieszyć?

Ale leżymy tam, czekamy, owego złotego sierpniowego wieczoru, jakby było to ostatnie miejsce na ziemi. Ponieważ to właśnie myślałem, mimo pól pszenicy i maków, i chabrowego nieba: wszystko się kończy.

O współczesnych koszmarach

I wszyscy wsiadają do samochodów, panie profesorze, i wyjeżdżają na ulicę. Myślą, że uda im się uciec w jakieś bezpieczne miejsce. Tak myślą, chociaż powiedziano, że to bezcelowe. Moi rodzice wpychają mnie i moją siostrę do samochodu. Nie myślą o żywności, ubraniach czy czymś takim. A jak tylko wyjeżdżamy na główną ulicę, okazuje się, że jest zablokowana samochodami. Ludzie naciskają klaksony, wrzeszczą i lamentują. Mnie się wydaje, że tak się to skończy: zginiemy w jednym wielkim korku ulicznym...

– ...i śni mi się, że kiedy padają ostrzeżenia, jestem daleko od wszystkich, których znam. Muszę się do nich dostać. Chcę ich zobaczyć, zanim... Ale...

– ...ogłaszają to w telewizji: Macie cztery minuty... Coś w tym stylu... Ale nikt jakby nie zwraca uwagi. Nikt się nie rusza. Tata chrapie w swoim fotelu. Ja krzyczę ze wszystkich sił. Mama siedzi sobie jakby nigdy nic i dziwi się, dlaczego nie ma następnego odcinka serialu...

– ...wszystkie budynki robią się czerwone jak rozpalone żelazo, a potem robią się białe, a wszyscy ludzie też najpierw są czerwoni, potem biali...

(– Nie mógłbyś tego widzieć, już byś nie żył. Głupi).

– ...mój maleńki braciszek wije się cały popalony, i w ogóle, a ja wiem, że będę go musiał zabić...

– Samobójcze pastylki, panie profesorze. Siadamy naokoło i wszyscy naraz zażywamy...

– ...i nikt nie chce pierwszy wyjść ze schronu...

– Dziwna rzecz, w moim śnie jestem jedynym, który ocalał. Nic mi się nie stało. Ale wszędzie jest tylko pył. A ja chodzę i myślę, to nie może się stać, to niemożliwe...

Ściskanie w dołku

Ale wszystkie historie były kiedyś prawdziwe. I wszystkie wydarzenia historyczne, bitwy i sceny kostiumowe kiedyś naprawdę miały miejsce. Wszystkie opowieści były kiedyś ściskaniem w dołku. Mnie właśnie ściska w dołku, Price... Nie, nie chcę już więcej pić. Czy nie lepiej będzie, jak już pójdziemy? Ciebie też ściska? Z powodu Niczego. A Mary z pewnością ściskało tamtego sierpniowego wieczoru...

Pewnego dnia, Price, pewnego dnia w przyszłości powiesz: Był sobie kiedyś ten nauczyciel historii, który prowadził te zwariowane lekcje i którego żona... Pozostałe realia uzupełnią się same.

Ale kiedy świat będzie zbliżać się do końca, nie będzie już rzeczywistości, tylko opowieści. Wszystko, co nam zostanie, to opowieści. Opowieści będą naszą jedyną rzeczywistością. Usiądziemy sobie w naszym schronie i będziemy opowiadać jakiemuś sułtanowi Szahrijarowi, w nadziei, że...

Skuleni w naszym wiatraku. Szepty. Skowyty. Wiatr cichnie, wydłużają się cienie topoli. Lekkie kurcze – nie tak znów lekkie kurcze – w brzuchu Mary. Wreszcie Mary mówi, ponieważ to nie działa, ponieważ nic się nie dzieje:

– Musimy iść do Marty Clay.

Zatem, dzieci, skoro baśnie nie zawsze są słodkie i kojące (wystarczy zajrzeć do braci Grimm), skoro żadna baśń nie obejdzie się bez niej, pozwólcie mi opowiedzieć

O czarownicy

Która nazywała się Marta Clay. Która była żoną Billa Claya (w każdym razie tak mówiono). Która mieszkała w chatce Billa Claya po drugiej stronie jeziora Wash Fen. Która robiła wywary i przepowiadała przyszłość (w każdym razie tak utrzymywano). Która także usuwała dzieci miłości...

Ale najpierw, zanim opowiem wam o Marcie, pozwólcie mi opowiedzieć o naszych fenlandzkich gęsiach...

Nie chodzi mi o te z gatunku upierzonych, z dziobem i błoniastymi nogami. Ani o bernikle kanadyjskie. Ani o gęgawy, gęsi krótkodziobe czy białoczelne, szybujące znad Morza Arktycznego, popychane do odlotu instynktem nie mniej tajemniczym niż w wypadku ich wodnego kolegi-wędrownika, *Anquilla anquilla*. Nie o te krzyczące, gdaczące, formujące klucze w kształcie litery V, które od niepamiętnych czasów dążyły do sanktuarium Fenów i którym fenlandczycy zawdzięczają swój pradawny znak powitalny – rozszczepione gęsie pióro. Nie. W sierpniowy wieczór 1943 roku takich gęsi nie było widać, bo porą gęsi jest zima. Zresztą w 1943 mieliśmy nowy gatunek gęsi. Też hałaśliwych i latających w szyku, podążających własnymi przelotowymi ścieżkami przez Morze Północne, gęsi z aluminium, stali i pleksiglasu, z drewnianymi zastrzałami, mających zwyczaj składania wybuchowych i zapalnych jaj jeszcze w powietrzu.

Wzbijały się do lotu, te dwudziestowieczne stada, opuszczając swoje rozproszone gniazda i tworząc, jak to gęsi, czarne romantyczne sylwetki na tle płomieni zachodzącego słońca, kiedy wraz z Mary (Mary z białą twarzą, ścierpłymi wargami chwytającą co trzeci oddech) podążaliśmy od kanału Hockwell do jeziora Wash Fen. Ale prawie nie zwracaliśmy na nie uwagi, mając myśli zajęte czym innym, zresztą zdołaliśmy już przywyknąć do tych warkoczących nocnych lotów, jakby były naturalnym zjawiskiem, jakby chodziło o prawdziwe gęsi. Kiedy Mary i ja udawaliśmy się do Marty Clay, one wyruszały w kierunku Hamburga, Norymbergi czy Berlina. A wszyscy piloci i nawigatorzy, strzelcy pokładowi i bombardierzy mieli serca i kiedyś ssali mleko matki.

Ach, dzieci, ta sztuczna materia, ta materia będąca dziełem człowieka. W 1793 apokalipsa nawiedziła Paryż (tylko kilka tysięcy głów), w 1917 nawiedziła bagna Flandrii. Ale w sierpniu 1943 (tak, historia trzeźwo odnotowuje, że mimo wcześniejszej krwawej łaźni, żniwo śmierci w pierwszej wojnie światowej było mniejsze niż w drugiej i obejmowało niewielu cywilów) nawiedziła, pod postacią wybuchających z hukiem gęsich jaj Hamburg, Norymbergę i Berlin...

Ale temu wszystkiemu nie poświęciliśmy ani jednej myśli (zmuszeni stawić czoło naszemu własnemu końcowi świata) tamtego sierpniowego wieczora.

Miłość. Mie-ość. Mie-mie-ość. Czy strzeże od złego? Czy jej magiczne słowo odsuwa związek między przyczyną a skutkiem w nieskończoność? Czy pomoże tym mieszkańcom Hamburga i Berlina, którzy w przewidywaniu ściskają swoich ukochanych i szepczą miłosne słowa w lichych piwnicach i podwórkowych bunkrach? Czy rozproszy tę szalejącą w mózgu burzę – kanonadę samooskarżeń: – Twoja вина, nie doszłoby do tego, gdyby... To nie przypadek, sam piekielski swóją gęś...

Po fenlandzkich tropach, przez fenlandzkie groble, przez wierzbowe gaje i żółtawe kępy, po ścieżkach, skrótach i kładkach, znanych tylko nam, dzieciom Fenlandii. Jak Hereward i Torfrida (ach, te późne lektury, przyprawiające o dreszcz w ciepłym łóżku) w ucieczce przez moczary po upadku Ely. Ich także miłość, jak głosi opowieść, podtrzymywała w godzinie nieszczęścia. Ale to nie opowieść...

Długa jest droga do chaty Marty. Południowym brzegiem jeziora, na północ ku przesmykowi łąki między jeziorem a wydłużoną w kierunku wschodnim pętlą, jaką zatacza Ouse poniżej Newhithe. Na lewo płonące stopy zachodzącego słońca. Na prawo najeżone wojska trzcin. Pośrodku jeziora dym z lepianki Billa Claya. Więc Bill Clay jest tam, swoim letnim obyczajem. Więc Marta jest sama. Dwie wstążki krwi nagle rozwijają się po nodze Mary, jedna szybsza od drugiej, rozmazane smagnięciem długiej trawy. Stajemy, robimy przerwę na grymasy bólu, ciężki oddech i krzyżowanie się spojrzeń. Wizja: wyciekłe na bagienną trawę, krwawa kijanka, cikliwe owcze serduszko. Czy rzeczywiście miałoby... Teraz? Chryste, Mary, jeśli utkwimy tu w ciemnościach... Gęstniejący zmierzch. Pora sów i błędnych ogników. Właściwa pora, żeby się wybrać do czarownicy. Weź mnie za rękę, Mary. Trzymaj się, Mary. Kocham cię, Mary. Kocham cię, Mary. Chodź, nie przystawaj, Mary. Przecież musimy tam dojść. (Czy chcemy tam dojść?)

Ale dochodzimy. I poznajemy Martę Clay.

Bez spiczastego kapelusza, bez miotły, bez szczerzącego zęby czarnego kota na ramieniu (tylko ujadający, toczący ślinę, naprężający powróż szarobury koszmarny pies, który anonsuje nasze przybycie i sprowadza Martę na próg z lampą w ręku). Widzę drobną kobietę z dużą, okrągłą głową. Widzę kobietę noszącą zabłocone gumki. Noszącą ciężką szarą spódnicę, która kiedyś może została uszyta z końskiej derki. Noszącą szereg halek, z których widać tylko wyszargane rąbki, niegdyś zapewne białe, dziś w kolorze starych zębów. Noszącą wyplamioną bluzkę, sztywną i lepłą, jak podniszczone płótno żaglowe, z rękawami zawiniętymi po łokcie. A na bluzce i szarej spódnicy – jak gdyby między występami jako czarownica najmowała się w charakterze posługaczki – spłowiały, kwiecisty, długi fartuch.

Poznając Martę, poznajemy jej zapach...

Ale dosyć o kostiumie Marty. (I dosyć o tym zapachu!) Ta twarz! Małe, wilgotne, świdrujące oczka. Skórzana sakiewka zamiast ust. Nos: ostry (ale w żadnym wypadku nie haczykowaty). Czoło: gruzłowato-świecące, koloru tytoniu. Włosy: pożółkłosiwie, mocno ściągnięte do tyłu w węzeł na karku i przebite dwoma dudkami gęsich piór. A te policzki. Te policzki. Żeby to tylko okrągłe i czerstwe, żeby to tylko czerwone. Mało, że sugerują stałe wystawianie się przez kilkadziesiąt lat na przemian, bez żadnych stadiów pośrednich, na zimowe wichury i na palące słońce. Są pęcherzami ognia. Są mięsistymi paprykami. Są przejrzalymi pomidorami.

A jeśli mowa o przejrzalości, ten zapach...

– No, no. – Unosi lampę naftową. – Co was sprowadza do starej Marty? Marta nie ma dużo gości o tej porze. Marta w ogóle nie ma dużo gości. Co was sprowadza do starej Marty?

Cały czas świadoma poplamionej krwią spódnicy Mary, jej znękanego wyglądu...

Postanawiam być śmiałym rzecznikiem:

– Chcemy, żebyście...

– Chłopak Henry'ego Cricka, nie? Tom Crick. Brat Dicka. Koleżka Freddiego Parra, nie?

– Myśmy...

– A to córka Harolda Metcalfa, nie? Co to chodzi do szkoły klasztornej. Wszystko cacy-cacy. No więc, co was sprowadza do starej Marty?

– Mary jest...

– Bo Marta nie ma dużo gości.

– Słyszeliśmy, że wy...

– Nie trać dechu po próżnicy, kawalerze. Mam oczy w głowie. Chcesz powiedzieć, że panienka ma coś, czego rada by się pozbyć. A cosik mi się widzi, że już chyba i próbowała. Może nie to chciałeś powiedzieć?

Kiwam głową.

– No, dobrze. Dobrze. Pewne jezdeśmy? Nie mylimy się aby? Bo widzicie, jak Marta ma wiedzieć, czy to czasem panience nie trafił się ciężki miesiąc. Że to nie tylko krwawiączki-miesiączki. Bo niejedna tak myśli. Młode dziewczynki. Z klasztoru. Kropelka krwi i zaraz myślą, że zrobiły Bóg wie co. Zaraz w strachu, że będą miały dzieciaka. Nie wiedzą, skąd się dzieciak bierze, ale i tak lecą z płaczem do Marty.

Popatruje kpiąco najpierw na Mary, potem na mnie i znowu na Mary.

– No to pytam was, młodzi, pytam, skąd niby wiecie, co?

– Bośmy to zrobili – wyrzuca Mary załamującym się głosem. – Bo robiliśmy to razem. To co się robi...

– Aha. To co innego – wydaje długotrwały, zadowolony chichot. – Więc Tom Crick i Mary Metcalf. To co innego. Zamknij jadaczkę, Cuff! – (Do ujadającego, szarpiącego się na powrozie psa). – Więc robiliśmy to razem, tak, we dwoje?

Mary wydaje mimowolny jęk. Łapie się za brzuch.

– Wiecie, mój stary Bill gada, że młody Freddie już coś nie przychodzi. Niby po ptaki. Z butelkami. Mojemu staremu brak tych butelek.

Mary stęka.

– Nie mamy ze sobą nic w prezencie – mówię. – Ale moglibyśmy wam coś przynieść, wszystko, co chcecie. Proszę, proszę, Marto.

– Pro-oo-oszę, Marto. Proo-ooszę. Dla ciebie pani Clay, kawalerze. Jak cię wychowali? Pani Clay.

Mary osuwa się na kolana.

– Bardzo słusznie, dziewczyno, ty najlepiej zemglej. Zemglej na ament, jeśli ci się uda. Nie taka będzie frajda wyjmować, jak się wkładało. No co, kawalerze, chyba bierzemy ją do środka, nie?

Dzieci, czy zdarzyło wam się kiedyś wstąpić w inny świat? Czy zdarzyło się wam skręcić za róg, gdzie Teraz i Dawno Temu są jednym i tym samym, a czas wydaje się iść naprzód w jakimś innym miejscu? Jeśli kiedykolwiek wybierzecie się do Muzeum Ziemi Fenlandzkiej w Gildsey (otwartego w 1964 na ulicy Rynkowej, w miejscu, gdzie dawniej znajdowała się Gildseyowska Giełda Zbożowa), zobaczycie naturalnej wielkości atrapę starej fenlandzkiej chaty. Ale to wam nie powie, nie da wam najłżejszego wyobrażenia...

Wierzbowe witki i glina obrzucone białą niegdyś zaprawą. Twardo ubite klepisko. Podsycany torfem ogień w ceglany palenisku. Zapach dymu torfowego zabijający nawet zapach Marty, na który zresztą w znacznej mierze składa się ów torfowy dym. Żelazny ruszt, rożen, patelnie, rondle, trójnogi, olbrzymi kocioł. Wpuszczony w palenisko prymitywny piekarnik. Dwa drewniane krzesła z pełnymi oparciami oraz stół na kozłach. Brudna, do połowy zaciągnięta zasłona, oddzielająca kawałek izby i częściowo maskująca łóżko nakryte kożuchem. Kredens z surowego drewna. Lampy. Okapane świece na spodkach. I to wszystko. Ponieważ reszta wcale nie przypomina domu. Pełno rzeczy, których ludzie w domu by nie trzymali albo których w ogóle by nie trzymali. Dwie skałkówki o olbrzymich lufach, do polowania na ptaki, wiszą na hakach na ścianie nad paleniskiem. Sieci, szpadle, tyki, kosy, sierpy, wiadra. Para długich skórzanych biodrówek, zwisająca z belki u sufitu, jak amputowane, zmumifikowane nogi. Ale spójrzcie na ten sufit! Popatrzcie, czym jeszcze jest obwieszony. Obwieszony jest martwym ptactwem. Dzika kaczka – samiec i samica – cyranka, siewka, bekas. Obwieszony jest pasmami futra i węgorzowej skóry; szczur wodny z okrwawionym pyskiem dynda na włochatym ogonie. Obwieszony jest pękami znanych i nie znanych liści, traw, korzeni, strąków w każdym stadium świeżości i wysuszenia. Bezkształtnymi przedmiotami, poczerniałymi

od dymu, co do których lepiej nie pytać, czym są. Przeróżnymi torebkami i woreczkami, w których lepiej nie pytać, co jest.

Na kredensie przedmioty zgoła nie licujące z tym wnętrzem – aluminiowe garnki, sól kuchenna Cerebos, pożółkła fotografia z gazety, przypięta na brzegu półki: Churchill z wojowniczym cygarem. Niewyobrażalni intruzi, zabłąkane eksponaty z jakiejś wystawy odległej przyszłości...

Ale wstąpiliśmy już w inny świat. Taki, w którym wszystko się zatrzymuje, w którym przeszłość trwa przez cały czas...

– Lepiej kładź się na łóżko, dziewczyno. I ściągnij te majtasy...

Nie tam! Nie na to wyro śmierdzących skór!

– A ty nie stój tak, kawalerze, rusz się. Gorącej wody. Dalej! Widzisz kociołek. Podłóż do ognia. Przynieś więcej wody ze studni.

Ręce Marty: paznokcie jak zaśnieżona cyna.

Mary idzie chwiejnie, potykając się, w kierunku łóżka. Marta za nią. Nie zaciąga zasłony. Odwracam głowę.

– Racja, kawalerze. Nie patrz. Cosik mi się widzi, że nie byliśmy tacy bojący, jak robiliśmy to razem, nie? Tera, dziewczyno, lepiej powiedz Marcie, coś ty zrobiła, żeby tak się urządzić. Dźgałaś się czym? A może tylko skakałaś i próbowałaś z siebie wytrząchnąć?

Wychodzę z wiadrem i dzbankiem szukać pompy. Pies szczeka. Jest prawie ciemno. Zostaniemy tu całą noc. Zostaniemy tu na zawsze. Kiedy wracam, Marta trzyma nasiąkniętą krwią, zwiniętą majtki Mary, jak kawał flaka.

– O co chodzi, kawalerze?

Mija mnie i staje u wejścia.

– Naści, Cuff, pożuj se.

Rzuca krwawe zawiniątko w mrok.

– No, kawalerze, zagotuj wody.

Podchodzi do kredensu i z jednej z szuflad wyciąga butelkę, szmatę, miskę i kawał zwiniętej w rulon ceraty. Następnie bierze garnek stojący obok paleniska i ze słoików na kredensie wpuszcza do niego po parę kropli tego i parę kropli tamtego, a z pęczków zawieszonych u sufitu wysypuje garść tego i garść tamtego.

Żadnych czarów, żadnych zaklęć.

Stawia garnek przy palenisku. Zbliża się do łóżka i rozkłada ceratę na kozuchu.

– No, dziewczyno, wsuń se pod dupcię. Teraz wypij trochę. Lekarstwo Marty. Nie ma zmartwienia, jak ci nie będzie smakowało.

Podaje butelkę. Mary pije, krztusi się, pije. Dwoje wyskakujących z orbit oczu patrzy na mnie nagle ponad szyjką butelki.

– Do samego dna. Tak jest. Patrz na Martę, patrz prosto na Martę. Śliczności dziewucha. Do samiusieńkiego dna. Lekarstwo Marty. Pomoże ci. Patrz na Martę.

Mary wiotczeje, oddaje butelkę w ręce Marty. Jej oczy pozostają otwarte. Przez chwilę myślę: Marta ją otruła. Zabiła ją. Teraz zbliża się do mnie – rozprawić się z małym Jasiem, który przypadkiem znalazł się poręcznie w pobliżu pieca.

– No, co tam z tą wodą, kawalerze? O nią się nie martw. Pomóż mi przysunąć stół do łóżka.

Przenosimy stół. Mary się nie rusza. Krew na ceracie. Marta zapala lampę szczapą z paleniska, następnie stawia lampę, a potem świecę z podstawką na stole. Wraca do paleniska, nalewa wody z kociołka, który już teraz z lekka syczy, do garnka z tajemniczą mieszanką, po czym zarówno kociołek, jak i garnek odstawia z powrotem na żelazny ruszt. Bierze kubel i stawia w nogach łóżka. Sięga po jeden ze skórzanych worków, które zwisają z sufitu. Znajdują się w nim jakieś przedmioty owinięte w płótno. Przedmioty, które przypominają długie łyżki, szczypce, pędzle do mycia butelek, łyżki do butów.

– Torba z narzędziami Marty. Zdziwiłbyś się, kawalerze. Zdziwiłbyś się, ile ich przychodzi.

Wykłada te przedmioty na stół, niczym chirurg. Kociołek już się gotuje. Marta każe mi wlać zawartość garnka do miski, dolać wody z kociołka i postawić miskę na stole. Przynoszę parujący bulion koloru herbaty, w którym pływają jakieś resztki. Marta każdą sztukę po kolei wkłada do miski. Następnie przesuwa zapaloną świecę z podstawką na koniec stołu, blisko głowy Mary. Unosi rękę Mary i kładzie ją na stole obok świecy. Ręka Mary nie stawia oporu. Następnie Marta nachyla się i mówi coś Mary do ucha. Mary się nie rusza, nie zmienia też kierunku spojrzenia, ale mruga oczami, kiedy Marta mówi.

– Słuchaj, dziewczyno, Marta nie chce ci zrobić krzywdy. Marta chce ci pomóc. Ale jakby cię zabolalo, tylko wyciągnij rękę nad świecę. Tuż nad płomieniem.

Mary mruga oczami.

Marta podnosi głowę, wacha parę unoszącą się nad miski, zanurza w niej rękę, po czym patrzy na mnie.

– A ty, kawalerze, zmykaj stąd. Siedz sobie na dworze i nie zawadzaj Marcie. I przestań smarkać.

(Ponieważ ja smarkam).

– Masz.

Podaje mi butelkę, z której pila Mary. Potrząsam głową. W następnej chwili butelka zostaje wepchnięta między moje wargi. Przelykam mimo woli.

– Nuże. Nie próżnuj. Umiesz skubać? – Ruchem głowy wskazuje galerię ptactwa zawieszoną u sufitu. Przytakuję jak zahipnotyzowany (nieopodal drzwi kuchennych, po cierpliwych wskazówkach mamy – oskubuję z brunatnego pierza – po tym, jak tata ukręcił jej szyję – starą kure, która przestała się nieść).

– Weź którego ptaka i oskub dla Marty. Nie ma to jak se trocha poskubać. Może nie?

Podchodzę do belki i chcę zdjąć kaczora ze szmaragdowym łebkiem.

– Nie, kawalerze. Ty bierz kaczkę. – Chichocze, zaciąga zasłonę. - Ty bierz kaczkę!

I tak, gdy w chacie Marta Clay zajmuje się Mary, tak jak tylko ona potrafi, wasz przyszły nauczyciel historii siedzi na dworze i posłusznie skubie kaczkę. Jest bezksiężycowa sierpniowa noc. Ławice gwiazd, srebrne gęsi, płyną przez niebo. W głowie zaczyna mu się kręcić. Kaczka, którą trzyma w ręku, to nie kaczka, ale kura. Siedzi w słonecznej przestrzeni między kurnikiem a kuchennymi drzwiami, w których stoi mama w fartuchu. Ale kura nie jest martwa, żyje jeszcze. Zaczyna machać skrzydłami, a także znosić jaja (więc jednak nie przestała się nieść). Obfity, nie kończący się strumień jaj, tak ich dużo, że musi je zbierać z pomocą mamy i jej fartucha. Ale mama mówi, że naprawdę to nie jajka, tylko gwiazdy, które spadły. I to są gwiazdy, błyszczące i mrugające na ziemi. Zanoszę te spadłe gwiazdy do kurnika. Który wcale nie jest kurnikiem. To ruina starego drewnianego wiatraka nad kanałem Hockwell. A w środku leży naga Mary z uniesionymi kolanami. Mama wycofuje się dyskretnie. A Mary zaczyna rozprawiać o swoim cyklu miesięcznym i dziwach w jej dziurce, i jak to się dzieje, że rodzą się dzieci. Mówi: – Wiesz, ja mam jajeczka. – A on, nieświadomy, ale chętny do nauki, pyta: – Co, jak kura? – A Mary śmieje się. A potem krzyczy, a potem mówi, że jest Matką Bożą.

Upuszczam kaczkę, którą trzymam (jednak to kaczką). To nie sen. Kiedy trwa po przebudzeniu, nie może być snem. Jest ciemno. Jestem tu, jestem teraz. Siedzę (z głową sennie pochyloną) na ławce przed chatą, gdzie Marta Clay, uchodząca za czarownicę...

I Mary. Mary też się przebudziła z tej nie wiedzieć jakim domowym sposobem sprokurowanej narkozy, z tej nie wiedzieć jakiej hipnozy, wywołanej czarami, w której była pogrążona, w sen, który nie jest snem – i odmawia modlitwę. Modli się ze straszliwą, jakby niezależną od woli uporczywością.

Pędzę do drzwi. Waham się. Zamiast wejść podchodzę do okienka, które musi się znajdować na wprost ukrytego za zasłoną łóżka. Dzieci, zdarzają się rzeczy na jawie, które powinny wydarzać się tylko w snach. Fujarka, nie, kawałek turzycy, pusta trzcina tkwi w dziurce Mary. Drugi koniec znajduje się w ustach Marty. Nisko przykucnięta, z głową między zakrwawionymi kolanami Mary, z oczyma zamkniętymi w skupieniu, Marta ssie z całej siły. Jej policzki – te krwiste worki – pracują jak miechy.

Wbiegam do chaty. Odsuwam brudną zasłonę. Marta chyba coś właśnie wypłuwa do kubła. Wykrzykuję: – Mary! – Ale Mary mnie nie słyszy. Jej imię wraca do mnie echem. Ona mnie nie poznaje. Jest małą dziewczynką w klasztorze, żarliwie odmawiającą pacierz:

—

ŚwiętaMarioMatkoBożaŚwiętaMarioMatkoBożaŚwiętaMari
o...

Świeca filuje pod ręką Mary. Niemal potykam się o
kubel. W kuble to, z czego zrobiona jest przyszłość.
Wypadam znowu na dwór, zwymiotować.

Jeszcze nie finał

Chce wyciągnąć rękę, żeby mi pomóc wyjść na ulicę. Jest zażenowany, jest troskliwy. Jego nauczyciel pijany... (A jakim sposobem nasz wywrotowy Price zachowuje taką trzeźwość i powściągliwość?) Kiedy ja kuszę się na jeszcze jednego, on prosi o czysty sok pomidorowy. Nauczyciele nie powinni być pijani. Powinni być prawi, wzorowi, mentorscy oraz trzeźwi. I przez to śmieszni. A nie przez to, że odgrywają kłownów. Uczeń nie powinien być zmuszony do prowadzenia mistrza. Przyszły rewolucjonista nie powinien być zmuszony do podpierania swojego zastępczego tyrana...

Jak wtedy zło wydaje się nie takie... Jak wtedy rzeczywistość... Moi przodkowie ze strony matki, Price, zbudowali imperium na mocnym trunku...

– *A propos*, Price, ucieszysz się, jak ci powiem, że on chce się pozbyć historii. Nie tylko mnie, w ogóle przedmiotu. Pozbyć się tego całego kramu...

Szeroki, pełen rozmachu i pozbawiający równowagi gest w kierunku niewzruszonych dwudziestowiecznych ulic południowo-wschodniego Londynu.

– Chyba nie powinienem prowadzić, jak myślisz, Price? Nie? Wybacz, że cię nie podwożę. Złapię autobus. Zostawię samochód przed szkołą.

– I tak brama byłaby już zamknięta. Odprowadzę pana na przystanek.

Drepczemy po chodniku.

– Ostrożnie.

Na przystanku ja peroruję: – Całego tego kramu, całego... – on jest jeszcze bardziej skrupowany i poważny. Kiedy nadjeżdża mój numer 53, żeby mnie zgarnąć, sztywne:

– Do widzenia, panie profesorze. Proszę na siebie uważać, panie profesorze.

– Do widzenia.

– Hej, Price, jeszcze nie finał. Nie tak uroczyście. Jestem do końca trymestru. I musimy przecież skończyć Rewolucję Francuską, zapomniałeś? Hej, Price – z platformy autobusu, który mnie unosi – nie daj mu tego zrobić!

Historia ledwo znajduje czas na wzmiankę, że w przededniu Rewolucji Francuskiej Ludwik XVI opłakiwał swego pierworodnego.

Od początku

Bierzemy dziecko do samochodu. Jakimś cudem śpi. Nawet się nie zmoczyło. Przez chwilę myślę: wstrząs je zabił. Mary siedzi z tyłu, mocno je trzyma, ja prowadzę. Następuje coś w rodzaju parodii tych szaleńczych jazd do szpitala, kiedy młodzi mężowie wiozą żony w gwałtownych bólach przedwczesnego porodu. Tyle że w naszym przypadku dziecko już mamy i pędzimy, aby je zwrócić.

Na tylnym siedzeniu Mary rozpoczyna pośpieszną spowiedź:

– To było łatwe. Łatwe. Widziałam, jak weszła. Zostawiła wózek niedaleko kas. Chyba nie jest bez winy, co? Ja stałam przy stoisku z owocami, twarzą do wyjścia. Był tłok. Duży wózek, nie spacerowy. Może miała zrobić większe zakupy; pomyślała sobie, że z takim dużym wózkiem w takim tłoku... Obserwowałam, jak przeszła między stoiskami na drugi koniec. Nie przypuszczałabym nigdy, że się zdobęde na coś podobnego. Ale wtedy odłożyłam koszyk. W końcu nic nie kupiłam. Przyniosłam tylko. Zamiast. Obejrzałam się na przejście między stoiskami. Podeszłam do wózka. Ujęłam rączkę. Popchnęłam, przycisnęłam, jak to one robią. Powiedziałam: Już jestem. No to w drogę... Nikomu by nie przyszło do głowy. Nikomu by nie przyszło do głowy, że nie jestem prawdziwą...

Mary, masz pięćdziesiąt dwa lata.

– I wiedziałam, że wszystko w porządku. Bo ono się uśmiechnęło. Kiedy pchałam, uśmiechało się. Prawda, malutki? Nic nie płakało. Prawda, malutki? Przeszłam z wózkiem za róg i do windy na piętro parkingu. Torby włożyłam do bagażnika, a dziecko położyłam na tylnym siedzeniu, zabrawszy z wózka parę koców. Wiem, że tak nie wolno. Powinno się je zabezpieczyć, prawda? Ale nie płakało. Nie płakało nic a nic.

Jednak mówi to wszystko tak, jak gdyby udawała pod wpływem jakiejś hipnozy kobietę, która wyznaje winę. Prawda jest całkiem inna, nikt by w nią nie uwierzył. Prawdą ma być cud. Bóg zstąpił do supermarketu i zostawił jej dar, artykuł darmowy. Niemowlę w sitowiu. Powiedział: Idź, rozkazuję ci. Bierz. To twoje...

(To powie sędziemu przewodniczącemu oraz praktykującemu psychiatrze. Tylko mężowi – komuś w rodzaju praktykującego historyka – podaje nierealne, historyczne fakty).

– Mogły wystąpić zaburzenia psychiczne. Ale opis wypadków przedstawiony mężowi sprawia wrażenie absolutnie jasnego.

Ba, ale gdyby pan przy tym był, panie sędzio...

– Czy rozpoznałabyś ją, Mary? To znaczy matkę?

– Tak. Tak, oczywiście...

Widzę ją w lusterku. Oczy ma błyszczące, czyste. Tak, będzie ciągnąć tę zmyśloną opowieść (...no i odjechałam. Nikt za mną nie wybiegł. Wozy policyjne nie ruszyły w pościg...), będzie odgrywała tę rolę zwariowanej kidnaperki. Ale w rzeczywistości...

Jak gdybyśmy nie byli w tej samej przestrzeni. Jak gdyby znajdowała się między nami szklana szyba. Ona na tylnym siedzeniu, jaw roli kierowcy taksówki. Dokąd szanowna pani każe jechać?

(Dokąd? Dokąd teraz?)

Albo w wozie policyjnym; ona zatrzymana w charakterze podejrzanej, ja zaś jako funkcjonariusz już prowadzący śledztwo:

– Więc zostawiła pani wózek? Więc następnie odjechała pani do domu?

(Ale już wkrótce dowiemy się więcej na temat wozów policyjnych i jazd na komisariat).

Światła Shooter's Hill, Blackheath, Lewisham. Piątkowy wieczór na przedmieściach. Wzmożony ruch na High Street w Lewisham. Czy powinienem jechać na sygnale, błyskać światłami? Z drogi, nagły wypadek!

Ale po co ten pośpiech? Po co ta wariacka jazda? Kiedy jeden telefon. Skąd ta potrzeba powrotu na.

Kwadrans po piątej. Dojeżdżamy do piętrowego parkingu. Parkujemy na poziomie 3.

– Więc to tutaj...?

Nazywa się to wizją lokalną. Rekonstrukcją przestępstwa od końca do początku. Analogia z postępowaniem historyka. Analogia z odkrywaniem, jak zostało się tym, kim się jest. Gdyby miało się szczęście, można by się dowiedzieć, dlaczego. Gdyby miało się szczęście – lecz to niemożliwe – można by się cofnąć tam, skąd by się dało zacząć od początku. Rewolucja.

Parkuję samochód. Wyłączam silnik.

– Daj mi teraz dziecko, Mary. Jesteśmy na miejscu, Mary. Teraz ja wezmę dziecko.

Jakbym mówił do drugiego dziecka.

– Mary, ja wezmę...

Wręcza mi je, jak w transie. Ale ono ciągle tam jest, ciągle w jej ramionach. Będzie zawsze.

Trzymam dziecko. Trudno uwierzyć, ale nadal śpi. Nie będzie wiedział. Wszystko to będzie tylko jego snem.

– Teraz idziemy z powrotem do supermarketu. Tam skąd...

Mamy zamiar odtworzyć nasze kroki. Mamy zamiar powrócić.

Idzie z lunatyczną pewnością. Zobacysz, zobacysz. Bóg czeka. On wyjaśni. To, co ci wyplatałam w samochodzie – to wszystko bzdura.

– Więc pchałaś wózek tędy, do windy?

Żadnych węszących policjantów. Żadnej wrzawy z oddali.

Więc może to nigdy.

Ale może scena już się zmieniała: zapłakana kobieta siedzi na komisariacie. Policjant ofiarowuje nie przynoszącą pociechy herbatę. Zawieszany telefonicznie mąż przybywa z obłędem w oczach. Wózek czeka na sądowe oględziny... Tymczasem klienci powrócili do zakupów. Dramat skończony. Napełniają się druciane koszyki...

Przyjdziemy z naszą bajką o żelaznym wilku. Kobieta? Jaka kobieta? Jakie dziecko? Niczegośmy...

Mylę się. Kiedy wychodzimy z windy i skręcamy za róg obok przechowalni dzieci i dziecięcego centrum zabaw: zbity tłumek przed supermarketem. Hełmy policyjne. Detektywi. Gromadki gapiów u wejścia do sklepów WH Smitha oraz Marksa i Spencera.

Więc dramat nie jest skończony. Być może matka za nic nie chce się ruszyć. Z miejsca, gdzie ostatni raz... Choć upłynęła już godzina. Ciągle nie wierzy. Naprawdę to nie mogło się. Liczy na cud.

Który jej się przydarzy. Chodź, Mary. Bądź dzielna, bądź dzielna. Przychodzimy oddać – przychodzimy zwrócić. Nie zatrzymuj się, Mary. Tylko parę kroków. W tył. Żeby pójść naprzód.

Albo...

Tak, o tym też pomyślałem. Ona wydrapuje Mary oczy. Tłum rzuca się na nas. Wiem coś o motłochu (jak, na przykład, w rewolucyjnym Paryżu...). Plucia, drapanie. Lincz w Lewisham.

Ale to przebiega inaczej. Tłum się rozdziela.

– Proszę, proszę... Mamy dziecko. Zabrane dziecko.

Tłum się ucisza. Matka zajmuje środek sceny. Widzę ją. Stoi koło policjanta i policjantki, oboje, sądząc z postawy, coś jej cierpliwie tłumaczą. Jest młoda. Jeszcze nastolatka. Żaden wiek. Dzieciak i tyle. Dzieciak.

Odwraca się. Oczy w czerwonych obwódkach, pozbawione wyrazu. Widzi mnie. Lub raczej widzi dziecko. A także słyszy (przed taką publicznością ono się budzi, wyrzaskuje swoją kwestię). Ona widzi tylko dziecko. Nie widzi mnie ani Mary za mną. Nie widzi tłumu – nieme, zamazane twarze w tle. Postępuje parę kroków naprzód. Zna instynktownie swoją rolę. Bierze dziecko, nie interesuje się, kim ja jestem albo jak, albo co, albo gdzie, albo dlaczego. Jej twarz się rozplywa. Zaczyna ekstatycznie wykrzykiwać słowa, które jeszcze przed chwilą wykrzykiwała w rozpaczy:

– Moje dziecko, moje dziecko, moje dziecko...

To wtedy Mary wydaje jęk, załamuje się, wypada z transu, upada w moje ramiona. Stoję na chwiejnych nogach, skała, filar nie nawykły do podtrzymywania.

(Mary, moje kochanie, mój aniele, moja siło...)

– Nazywam się Crick. To moja żona wzięła dziecko. Tak. Moja żona... nie czuje się dobrze. Właśnie odnieśliśmy je. Więc już wszystko w porządku. Proszę bardzo, czy to wszystko?

Ale to nie wszystko. Jak wiecie. Choć się skończyło, to jeszcze nie koniec. – Pan będzie łaskaw tędy i pani Crick także. – Chcą wiedzieć, jak i gdzie, i dlaczego. Chcą wy badać, dowiedzieć się, co naprawdę. (Panowie, ja znam się na tym, to materia mojego fachu – mój fach na tym polega. Widzicie jestem...) – Doskonale, proszę pana, czy możemy zacząć? – Ale, panowie, są różne wersje (zawsze są różne wersje, na przykład – 1789: wojna mączna czy złoty wiek). Istnieje jej pierwsze wyjaśnienie, a potem to, co mi powiedziała w samochodzie. – Może, proszę pana, wróćmy do początku? – Początek. Ale gdzie on jest. Jak daleko...? Proszę bardzo, przyznaję, że moja żona, postępując świadomie i celowo, zabrała dziecko z nie pilnowanego wózka. Proszę bardzo (jeszcze dalej?): przyznaję, że ponoszę odpowiedzialność, wspólnie z żoną, za śmierć trzech osób (to znaczy, jeśli w drugim wypadku naprawdę mówimy o osobie – wciąż nie mamy pewności, prawda, co do statusu embriona – i jeśli w trzecim to, o czym mówimy, było rzeczywiście śmiercią...).

Jakie to jednak ma znaczenie. Dostała swoje dziecko z powrotem. To jedyne, co... A moja żona, jak widzicie, panowie, nie jest w stanie...

Nie tak szybko, panie Nauczycielu Historii. Nie może pan zmienić płyty. Nie może pan ustawiać się jako szkolny detektyw, a potem chcieć ominąć całą procedurę, kiedy przychodzi kolej pańskiego przesłuchania. Historia, czyli badanie (jak w Historii Naturalnej). Nie powie pan chyba, że to tylko nieszczęśliwy wypadek? I proszę nic nie mówić o cudach. My domagamy się wyjaśnienia...

Domagamy się też opowieści. Tak jest, nie potrafimy żyć bez opowieści. Nawet po tym, jak policja już skończyła i odbyła się już rozprawa sądowa, dziennikarze domagają się opowieści... Czytałaś. Ukradła dziecko. Sprzed supermarketu, wyobraźcie sobie. Co to za kobieta? Powiedziała, że Bóg jej kazał. Dasz wiarę? Psychiatra poświadcza – ale co tam ta uczona gadanina. A mąż nauczyciel. (Już niedługo nie będzie). Pomyśleć, że nasze dzieci... On straci pracę (ona straciła rozum). Co, jest coś więcej? Zdjęcie na pół kolumny szczęśliwej matki i niewinnego maleństwa. Jak się czułam, gdy... Tak, to dobre, dramat z życia. Chcemy jeszcze.

O szczupaku

A Dick, podczas gdy ja nie spuszczam z niego wzroku, wchodzi na łóżko i sięgając do ryzykownie zawieszanej gabloty ze szkła i mahoni, w którą wmontowano ciało wypchanego szczupaka, ważącego dwadzieścia jeden funtów, a złowionego przez Johna Badcocka w dzień rozejmu, wkłada rękę przez jedną z bocznych ścianek, która od czasu podpisania rozejmu zdołała stracić szybkę, czyli wprost (nawet duża, koścista ręka Dicka wsuwa się z łatwością) między rozdziawione i najeżone szczęki tego pamiętnego przedstawiciela gatunku.

Żywy i nieżywy. Martwy, ale obecny. Duch... Te niespokojne noce, kiedy spaliśmy z Dickiem w tym samym pokoju i nawet opowieści matki...

Światło księżyca w wytrzeszczonych oczach, na zębach jak sople lodu. *List. 1918*; to zanim ja się... Jednak jest, jaki był, był, jaki jest. Był, jak był. Jest przeszłością! Czymś, co kończy się, ale trwa. Mamusiu, mamusiu, opowiedz mi...

Dwa razy z ojcem go usuwali, bo przyprawiał mnie o koszmary. Ale to był skarb Dicka. (I prezent ślubny). „Tylko ryba. Martwa ryba”.

Szczupak. Smolt, ta-aa-ka ryba, *Esox lucius*: szczupak. To zabójcy. Postrach jezior. Słodkowodne wilki. Zęby odchylone do tyłu, w kierunku gardzieli, co raz wpadnie, nie da już rady... Atakują łyski, szczury wodne, inne szczupaki. Zabójcy. Leży to w ich naturze.

A między szczękami zabójcy ręka tego, kto...

Ale Dick nie jest już istotą, która wzbudza strach. Upłynęło parę dni od czasu, kiedy zamknąłem się przed nim na klucz. Kiedy bawiliśmy się w naszą wojnę nerwów: Kto się bardziej boi kogo? Strach został wchłonięty przez coś innego, strach rozpląnął się w miejscowym skandalu, a powstałe kręgi marszczą i wprawiają w drganie powierzchnię hockwellowskiego bajora plotek, mącąc nawet reagujący zazwyczaj na zasadzie woda-po-gęsi umysł Dicka; jako że bajoro plotek ma swoje głębokie dno, a zamieszany jest Dicka brat.

Więc biedactwo musieli zabrać do szpitala. Mało brakowało... Zakażenie-czy-jak-tam macicy. I to dziewczyna z klasztoru. Patrzcie, do czego świat doszedł. (Doszedł do wojny światowej). Najpierw Freddie Parr. Teraz jej tata trzyma ją pod kluczem, jakby mała jeszcze przeszła. A może to ona sama nie chce się ludziom pokazywać na oczy. I podobno to młody Tom Crick, kto by przypuścił...

Tak, wszyscy wiedzą. Ale tylko ja wiem, jak wyglądała ta noc w chacie Marty. Co widziałem przez okno. I świt. Ten świt. Zniosłem kubek do Ousy. Ponieważ Marta powiedziała: – Ty musisz to zrobić, kawalerze. Ty sam, nikt inny. Do rzeki, pamiętaj. A jak już wrzucisz, żebyś się tylko nie obejrzał za siebie. Bo nieszczęście gotowe, jakbyś się obejrzał. – Niosłem więc kubek przez spowite we mgle, skąpane w rosie łąki. Skowronki wywodziły swoje trele gdzieś ponad mgłą, ale ja brnąłem we mgle łez. Wspiąłem się na rzeczny wał i zszedłem nad samą wodę. Odwróciłem głowę. Ale potem spojrzałem. Zawyłem. Spojrzenie pożegnalne. Czerwona płwocina, unosząca się na wodzie, spieniona, wolno wchłaniana. Znoszona z powolnym prądem Ousy. Znoszona w dół rzeki. Znoszona, by odbyć całą drogę (chyba że węgorze w Ousie...) do zatoki Wash. Skąd wszystko wydostaje się na zewnątrz.

Chwyta mnie za ramię. Tym uściskiem chce mi coś powiedzieć. Rzęsy wachlują mu oczy. Mówi:

– Ch-odź z Dickiem. D-ick pokaże.

Prowadzi mnie na górę schodami do swego pokoju.

A gdzie jest tata w ten pochmurny i pośępny, a jednak odkrywczy poranek niedzielny? Dokładnie w tej chwili w drodze na farmę Polt Fen. Przedstawić należne wyjaśnienie, dać ustne zadośćuczynienie Haroldowi Metcalfowi. Choć Bóg raczy wiedzieć, co powie, jako że nie zdobył się jeszcze na szczerą rozmowę z synem. Synem – dobrym uczniem (nie tym drugim). Będącym dumą i nadzieją, tak obiecującym młodszemu synem. Coś wstrzymuje ojcowski wybuch gniewu. Otwiera usta, żeby przemówić, ale coś mu tkwi – jakby dławiąca flegma – w gardle i sprawia, że wargi formują smutne, nieme kółko. Wszyscy postępujemy nie tak, jak trzeba. Wszystko idzie nie tak, jak trzeba. Napytywanie sobie biedy. Nadszedł więc wreszcie czas, żeby opowiedzieć całą historię? Na płaczliwe wyznanie syna – jego własne? Rozmyśla przy wrotach służby. Przeprowadza próbę dialogu, do którego nigdy nie dochodzi: No więc jednak to było poważne. Śmiertelnie poważne. Ale jeśli wy, znaczy jeśli ona była... Dlaczego po prostu nie...? Nie byłoby tak źle, jakbyście się pobrali z córką Metcalfa, nawet zaczynając od końca. Chociaż stary Metcalf nie darowałaby, żeby swego nie powiedzieć. Więc dlaczego?... Same zmartwienia. Najpierw Freddie. Teraz to. Ale to kara, nie ma co mówić. Kara za brak czujności. Za zaniedbanie obowiązków.

Zatem ze spojrzeniem czujnym (choć winnym), przyjmując postawę kogoś nie uchylającego się od swoich najświętszych obowiązków, wyprawia się na rozklekotanym rowerze odwiedzić Harolda Metcalfa. Który, jako farmer o wygórowanych, choć nie spełnionych ambicjach, nie pominie okazji wystąpienia w roli dziedzica całą gębą, w dodatku obrażonego ojca, wobec pokornego i błagającego kmiotka. Tata powróci więc czerwony na twarzy i zachrypnięty, niby uczeń, którego spotkała doraźna kara chłosty.

– Ale co z nią, tato?

– Nie wiem, Tom. Nie umiem powiedzieć. Zwymyślał mnie od ostatnich, kiedy spytałem. Przynajmniej widzę, Tom, że ci zależy.

– Tato, tato, niestety, jest coś więcej.

– Coś więcej, Tom? Więcej?

Ponieważ tata jeszcze nie wie...

Wsuwa rękę w pysk szczupaka – który martwy i wypchany, nie zwiera szczęk, jak to musiał zrobić niegdyś, z fatalnym skutkiem, w wypadku przynęty Johna Badcocka, ale trzyma je usłużnie otwarte – po czym wyciąga klucz. Mosiężny klucz. Krótki, gruby, robiący wrażenie ważnego. Schodzi z łóżka i wyciąga dłoń z kluczem w moim kierunku. Nic nie mówi, ale ja wiem, że to wyznanie Dicka. Tak – skoro i tak wiesz. To ja. Freddiego.

Ale chodzi nie tylko o to. Coś go trzyma jak w potrzasku. Coś tak nieuchronnego i niepojętego jak nagła miłość. Jego rozedrgana twarz wyraża nie-Dickową natarczywość. On chce się wyzwolić. W ręce ma klucz. Pierwszy raz w życiu beznamiętny strumień doświadczenia Dicka zmroził się wokół niego w wiążącą solidność. Jest unieruchomiony niby ten szczupak na ścianie. Nadał bieg wydarzeniom. Wydarzenia rozgrywają się dzięki niemu. Utkwił w przeszłości.

– Ty k-kochałeś?

– Tak, Dick. Ja też.

Ale to tylko pierwsze, łatwiejsze pytanie.

– Cz-cz-cz...? Cz-czyje?

Co mam mu powiedzieć? Co go mniej załamie? Co jeden ogłuszony i uginający się pod ciężarem winy brat mówi drugiemu?

– To było twoje dziecko, Dick.

Nagły, krótki skurcz, jakby duma i skrucha walczyły ze sobą, wypierając się nawzajem, przebiega po jego twarzy.

Patrzy na klucz, który ciągle trzyma w dłoni. Nie patrzy na mnie. Patrzy uparcie na klucz do wszystkich zagadek życia.

– Weź.

Biorę.

– Idziemy na górę teraz i otwieramy. D-Dick chce wiedzieć.

O kufrze dziadka

Jakie to staje się dziwne. Jakie nadnaturalne przybiera rozmiary. Ci osiemnastowieczni dandysi w perukach i brokatakach. Ci wiktorianie z bokobrodami i ich kobiety w fiszbinach. (Te dzikusy – o tam, na ulicy – w czapkach frygijskich i z głowami na pikach...) Jak dziwna, jak niezwykła, jak nieprawdopodobna staje się bezbarwna, doczesna materia naszego życia. Wymaga to zbadania. Jakim sposobem to się dokonuje, jakim sposobem się dzieje... Dzieci, świat jest bardziej, bardziej szalony, niż jesteście to sobie w stanie wyobrazić. Przekonajcie się same...

Kiedyś zabawiałem się, paralem historią. Szkolne zainteresowania. Nieszkodliwe zainteresowania, podręcznikowe zainteresowania. Ale to nigdy nie było poważne – moje studia nie rozpoczęły się na serio – dopóki pewnego sierpniowego popołudnia, sam jako więzień nieodwracalnych historycznych wypadków, nie uwolniłem przeszłości z czarnego drewnianego kufra...

Zawiera jedenaście butelek owiniętych i poprzekładanych starym materiałem workowym, z których dziesięć jest szczelnie zamkniętych, natomiast jedna pusta; w procesie tracenia nakrętki odbyła ukradkiem podróż na mostek nad kanałem Hockwell; posłużyła najpierw do upojenia alkoholowego, następnie do ogłuszenia; przebyła powrotną drogę rzeką; została wyłowiona, przebadana, ukryta w jednej sypialni i umieszczona na widocznym miejscu w drugiej; wreszcie odniesiona, w grubymi nićmi szytej tajemnicy, z powrotem do leżakowania na strychu przez tę samą rękę, która ją stamtąd wydobyla, w ten sposób wykazując, że wszystkie grzechy powracają do swego gniazda, oraz klasyfikując się, w razie jakiegokolwiek dochodzenia przyczyn zgonu Freddiego Parra (ale Freddie Parr – przecież wiemy – poniósł śmierć na skutek wypadku) jako Dowód Rzeczowy Numer Jeden.

Zawiera cztery grube, oprawne w błękitnomarmurkowy karton notatniki z oślimi uszami, najwyraźniej swego czasu spięte razem płóciennym paskiem, który później rozwiązano.

Zawiera kopertę (z której, sądząc po jej sfatygowanym wyglądzie, coś już wyjmowano przy jakiejś okazji czy okazjach, po czym włożono z powrotem), na której napisane jest tym samym grubym, pochyłym pismem, jakie wypełnia notatniki: *Pierworodnemu pani Crick...*

Dick sapie-śwista mi przez ramię. Dyskretnie udaję, że nie zauważam pustej butelki (tak, widzieliśmy ją przedtem, wszystko wiemy na ten temat, to tylko narzędzie mordy, to tylko powód, dla którego pochyłamy się nad tym bezpieczeństwa kufrem). Biorę jedną z zakurzonych, zakorkowanych butelek. Oddech Dicka staje się szybszy. Przez chwilę wydaje mi się, iż on myśli, że mam zamiar unieść ją w górę i w akcie poetyckiej, choć brutalnej sprawiedliwości roztrzaskać na jego czaszce. (Więc to prawda – on boi się bardziej...)

Ale jego niepokój oznacza co innego.

– N-nie otwieraj. N-nie pij...

(O tym jednak też coś wiemy: pewna zimowa scena, oblodzone brzegi – sześć lat temu. Tak, Dick, więc pamiętasz? W środku jest mocny, ognisty płyn).

Odkładam butelkę. Biorę kopertę. Na notatniki będzie czas później. (Ślęczenie o północy... początek badań... opowieść na dobranoc, stanowiąca ukoronowanie wszystkich poprzednich...)

Pytające, niemal pełne szacunku spojrzenie:

– To do ciebie, Dick. Zaadresowane jest do ciebie. Czy mam...?

Przyzwalające trzepotanie rzęs: Naturalnie, czytaj. Widzisz, ja nie umiem... Nigdy nie umiałem...

Wyjmuję list. Są to trzy wymiętoszone kartki. Czytam. Dick sapie. Nie czytam na głos. Są tu słowa, całe zdania, których Dick by... Czytam, a Dick patrzy. Belki strychu szepcą. Nawet w cichy i bezwietrzny poranek sierpniowy coś wprawia w ruch ich stare, skrzypiące kości. Potrzeba około dziesięciu minut na przeczytanie (znacznie, znacznie więcej na przetrwanie) listu. Można wychwycić najlżejsze dźwięki – można niemal usłyszeć dobiegające od strony farmy Polt Fen tyrady farmera Metcalfa, będące odpowiedzią na niefortunne błagania Henry’ego Cricka – podczas kiedy ja czytam ten list. Pierwsze słowa, które mówię po skończeniu, brzmią:

– To od twojego dziadka Dick.

Chociaż nie takie to proste.

– Od ojca twojej matki.

Następnie mówię – słowa wymykają się, prawie zanim zdecydowałem się je wypowiedzieć:

– Dick, przepraszam cię. Skłamałem. Dziecko nie było twoje. Było moje.

Patrzy na mnie. Ale spojrzenie Dicka nie pozwala odgadnąć, co on myśli. Jednak w kącikach jego oczu zaczyna się zbierać lepka rosa. Choć nie przypomina łez. Przypomina jakąś dziwną, nieznaną wydzielinę, która nie ma nic wspólnego z Dickiem. Kiedy, wezbrawszy, spływa mu na policzek, Dick wzdraga się, zaskoczony.

– Słuchaj, Dick, słuchaj bardzo uważnie. To było moje dziecko. Moje i Mary.

Więcej tej dziwnej cieczy wypływa mu z oczu.

– Ale teraz jest niczyje, prawda? Niczyje.

Strychowe pomrukiwania. Potakujące skrzypnięcia.

– Słuchaj, dobrze się stało, że to nie było twoje dziecko. Tak, dobrze się stało. Ponieważ tu jest napisane!... Twój, to znaczy nasz dziadek pisze... pisze, że ty nie powinienes mieć dzieci. Ponieważ... nie będzie ci to potrzebne. Dick, wiesz, jak się dzieci rodzą?

– Mie-mie-mie...

Łzy dosięgły kącików ust.

– Wiesz, że każde dziecko musi mieć mamusię i tatusia. Nikt nie rodzi się bez mamusi i tatusia. My obaj mamy, mieliśmy, mamusię i tatusia. A oni też mieli mamusie i tatusiów. Ale czasem to nie jest takie proste. Czasami, kiedy ktoś chce być mamusią czy tatusiem i chce mieć z kimś dziecko, to wybiera osobę, która już jest jego własną mamusią czy tatusiem. Albo jego własna mamusia czy tatuś wybiera jego. Nie powinno tak być. Zazwyczaj to się nie zdarza... Rozumiesz?

Nie rozumie. Plotę bzdury.

– To tak, jakbyś ty, Dick, chciał mieć dziecko z twoją mamusią.

Jego rzęsy rozpoczynają swój taniec kolibra.

– Mie...

– Nie powinno tak być. To nie jest... naturalne. Ale jeśli się zdarzy i jeśli dziecko się urodzi, wtedy to dziecko może być inne. I wszystkie dzieci, jakie to dziecko ma, kiedy dorośnie i będzie mamusią czy tatusiem, też mogą być... inne. Dick, ty jesteś takim, to znaczy byłeś takim dzieckiem. Twój dziadek... mój dziadek... był także twoim ojcem.

Patrzy.

– Mój ojciec nie jest twoim ojcem.

Jego pierś zaczyna podnosić się i opadać, dobywa się z niej charkot.

– Chociaż twoja matka była moją matką.

Charkot staje się coraz bardziej głuchy.

– Ty i twoja matka mieliście tego samego ojca.

Brakuje mi już pomysłów. A Dickowi wydaje się brakować powietrza. W mdłym świetle strychu z trudem łapie oddech, jakby naraz znalazł się w jakimś obcym żywiole.

Więc rozumie? Albo przynajmniej rozumie to, co już na wpół odgadł. Że jest buble. Czymś, czego być nie powinno. Coś gdzieś się pokręciło i on jest rezultatem.

Nagle wyrzuca z siebie, jakby to wszystko było jego winą, jak gdyby on, który jest skutkiem, miał ponosić odpowiedzialność za przyczynę.

– Prze-prze-przepraszam. Tom. Prze-prze-przepraszam.

– Posłuchaj. Uspokój się, Dick. Czekaj. Oto, co twój dzie... twój ojciec... chciał ci powiedzieć. Nie powinienes mieć dzieci. Dlatego... dlatego, co ci właśnie mówiłem. Ale to nie ma znaczenia, że nie będziesz miał dzieci. Jesteś kimś... niezwykłym, Dick. Jesteś kimś szczególnym. To nieważne, że nie będziesz mógł mieć dzieci. Ponieważ ty będziesz...

Jak mogę oddać to jakimiś innymi słowami? Jak mogę przygotować grunt, wytłumaczyć, wyjaśnić (twój ojciec był nie tylko twoim dziadkiem, ale musiał być w dodatku zupełnie stuknięty...):

– Ponieważ, Dick, ty będziesz... ty będziesz... Zbawcą Świata.

Nie odzywa się. Nie wypowiada ani jednego słowa przez całą tę niedzielno-obiadową porę (nikt nie myślał o jedzeniu, nikt nie miał apetytu). Kiedy jego tata – kiedy człowiek, którego przywykł nazywać tatą – wraca, usuwa mu się z oczu, trzyma ostrożnie z daleka; wycofuje nagle do przybudówki i towarzyskiego motocykla.

Ale jego tata (to znaczy człowiek, którego...) ledwo to spostrzega. Pogrążony w myślach; twarz nadal pali po słownych uderzeniach pana na Polt Fen.

A zresztą on przecież nie jest rozmowny, ten syn, który nie jest... Przecież to jełop. Pusta mózgowica. I dosyć już udawania, że jest inaczej. Dostyć pouczeń.

Lepiej się nie dowiadywać. Lepiej nic nie wiedzieć. Ale jak się dowiesz...

(Zbawca, Dick? Zbawca to ktoś, kto... Świat? Świat to... wszystko. Sytuacje krytyczne są wtedy, kiedy sprawy się...)

Ale jego nie unikaj, Dick. Nie unikaj rodzonego... to znaczy... To on nigdy nie chciał, żeby ciebie uczyć. Twój obrońca, opiekun. To ja musiałem zadawać pytania, musiałem dokopywać się prawdy (moja recepta na sytuacje krytyczne: szukać wyjścia w wyjaśnieniu). On najchętniej trzymałby cię w nieświadomości. Też musiał przetrząsać dom w poszukiwaniu tego klucza... Nie przyszło mu do głowy, że martwa ryba...

– Tato, jest więcej...

Dużo więcej. Od czego zacząć?

– Freddie Parr...

Przypuśćmy, że poszedłbym za jego przykładem. Strzegł jego niewiedzy, tak jak on strzegł niewiedzy Dicka. Ten ufny i wyrozumiały człowiek, który aczkolwiek nie jest prawdziwym ojcem swojego starszego syna, czasem go jednak przypomina (przyciężki w działaniu, powolny w mowie), który spogląda z otwartymi ustami na swojego prawdziwego i młodszego syna – swojego mądrego, zdolnego syna – jak gdyby go nie poznawał.

– On wie, tato. Dick wie...

Propozycja przejścia się z raz po ścieżce holowniczej. Usilne zalecenie przejścia się z raz po ścieżce holowniczej. (Z raz! Ze dwadzieścia, trzydzieści razy. Ale kto liczy?) Po starej, niespokojnej, ale terapeutycznej ścieżce holowniczej, po starej podburzająco-uspokajającej ścieżce holowniczej. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

Więc to jest ten dzień, o którym zawsze wiedział, że nadejdzie. Co do którego zawsze miał nadzieję, że może jednak nigdy. (Przygotowywał się do niego chyba ze sto razy, występując w wyobraźni z inicjatywą: Tom, przejdź się ze mną po ścieżce holowniczej... Ale w grę nie wchodziły nieprzewidziane komplikacje). A więc tak ma się to odbyć. No cóż. Trudno, jak się wali, to się wali...

Gładko sunący Leem. Późnoletni poziom wody (zastawki jazu nisko opuszczone). Kolor: modry. Nieruchome wierzby. Mleczne światło wciska się przez szpary w rozpalonym ołowianym dachu nieba.

Tam i z powrotem. Ojciec i syn – ojciec i jedyny syn – w przyjacielskiej pogawędce. O czym mówią? Czy kiedy syn kończy swoją zagmatwaną relację – podczas której nie wspomina ani słowem o czterech notatnikach w niebieskiej oprawie, dobrze schowanych między szkolnymi zeszytami w jego sypialni, natomiast z własnej i nieprzymuszonej woli chce przekazać pewien list (Odpowiedź: – Nie chcę widzieć żadnego listu, Tom. Nigdy nie chciałem zaglądać do tego kufra...) – ojciec wypełnia luki (luki? Przepaści!) w narracji własną opowieścią? Jak on i Helena Atkinson...? Jak on i córka piwowara...? Nie. Wydaje się, że stracił talent opowiadania historyjek. Wydaje się, że nic nie pamięta.

Tam i z powrotem. Oddalając się od domku i znowu do niego przybliżając, jak gdyby w nieustannym rozdarciu między chęcią wybrania się w podróż a wrócenia. Tam i z powrotem, jak gdyby osaczając wymykającą się decyzję. Przy każdym zwrocie w tył ojciec pociera kolano. W trakcie każdej tury od domku syn nie może się powstrzymać od spoglądania przez modry Leem w kierunku Polt Fen. Nawet w tej chwili ona tam jest. A jej recepta na sytuacje krytyczne...?

Tam i z powrotem. A kiedy tak chodzą, drugi syn – syn, który nie jest synem – czai się, nasłuchując w przybudówce.

Nasłuchując? Nie chcąc słuchać? Szpiegując? Nie chcąc szpiegować? Myśląc (myśląc?): wszystko skończone. Zostałem zdemaskowany, wyrzucą mnie?

Oni wiedzą, że on tam jest. Ponieważ, podobnie jak ten syn-który-nie-jest-synem wykorzystuje przybudówkę, żeby się ukryć przed swoim nie-ojcem, tak samo nie-ojciec, odbywający promenadę po ścieżce holowniczej w towarzystwie prawdziwego syna, wybiera punkty zwrotne, pilnie dbając o zachowanie odpowiedniej odległości do przybudówki...

Przypatrzcie się jednak uważniej. Bo za każdym razem ów krytyczny punkt zwrotny przy końcu bliższym domku na tym dwukierunkowym szlaku, przypadający z początku na miejsce oddalone o dobrych kilka jardów od przybudówki, powoli, ostrożnie, z oporami przesuwa się ku niej. Sam proces nawracania staje się coraz bardziej mozolny i nerwowy, jakby chodziło o jakąś straszliwą próbę. Aż wreszcie ojciec, niemal tracąc równowagę pod naporem tych przeciwstawnych usiłowań i jednocześnie pozwalając, aby jego twarz zmieniła się w mokrą i konwulsyjnie rozedrganą masę, kuśtyka ku tymczasowemu schronieniu nie-syna, a cały czas woła:

– Dick, mój biedny Dick! – (tak, mój Dick) – Dick!

Ale Dicka tam nie ma.

Jest w kuchni. Albo raczej – jak to zrozumieliśmy później – musiał tam być.

Bo kiedy tata w swoim oplakanyim stanie wpada do środka przez drzwi frontowe, z prawdziwym synem deptającym mu po piętach, Dick, który w jakimś momencie, gdy spacerowicze na ścieżce holowniczej odwróceniu byli plecami, musiał się wkraść do domku (ach, ten spryt, *in extremis*, głębia kapuścianego), teraz wykrada się z niego tylnym wyjściem i wraca do przybudówki. Kiedy ojciec z synem szukają go po wszystkich pokojach, on umocowuje na plecach znajomy worek, wydzielający zapach swojej zwykłej zawartości, tym razem jednak wyładowany nieporządnie, ale z premedytacją, czymś innym. Wyprowadza velocettę, wsiada i zapuszcza silnik.

Wszystko to niepostrzeżenie. Bo dopiero gdy ojciec i syn z nieuchronną logiką docierają na strych i odkrywają otwarty i pusty kufer, jeśli nie liczyć jednej opróżnionej butelki po piwie, hałas ruszającego motocykla obwieszcza im, że dali się wyprowadzić w pole. Zbiegają ze strychu. Słyszając, że motocykl jest już za domem, wpadają do sypialni prawdziwego syna, wychodzącej na tyły, akurat żeby jeszcze zobaczyć z okna, jak Dick wyjeżdża z bocznego traktu na szosę do Gildsey z groteskowym garbem na plecach, utworzonym przez dziesięć butelek piwa w worku.

Za późno, żeby wołać. Co nie powstrzymuje taty: wysunąwszy głowę przez okno (okno, pod którym wśród szkolnych zeszytów i książek kryją się cztery niebieskie notatniki), wykrzykuje rozpaczliwie i przeraźliwie:

– Di-i-ick!

Jego twarz, nawet po tym, jak ten okrzyk zamiera w powietrzu, pozostaje wykrzywioną maską. On najwyraźniej uważa, że jego syn, że Dick odjeżdża na zawsze. Ale ja uważam inaczej. Mogę złagodzić jego rozpacz. Mam właśnie powiedzieć, że Dick – z przyczyn zbyt złożonych, aby można je było pokrótce wyjaśnić – musi zmierzać nad Rów Stotta.

Ale z naszego punktu obserwacyjnego w oknie sypialni możemy dostrzec miejsce, gdzie droga nad Rów Stotta łączy się z szosą na Gildsey; Dick je mija i jedzie prosto dalej. Jego uciekający, garbaty kształt robi się coraz mniejszy.

Widzę go teraz, widzę go wciąż, na prostej jak strzała drodze, pod matowym niebem, między smętnymi polami buraków. Mój... Jedzie i jedzie, ze swoim pierworództwem na grzbiecie, z dziedzictwem Atkinsonów na grzbiecie... Przez chwilę wydaje się, że wjeżdża – że już wjechał – w jakąś dającą wieczne zapomnienie krainę Nigdy-Nigdy, którą po wsze czasy i wyłącznie tworzyć będą prosta droga, płaskie pola, monotonia, niezmiennosc i unicestwiający warkot silnika motocykla. Wtedy mówię tacie, którego głowa opada na parapet:

– On chyba pojechał na pogłębiarkę.

Dobranoc

Nie patrzy, kiedy wychodzę. Pozwala się pocałować i delikatnie objąć, ani się nie odwzajemniając, ani opierając, tak że muśnięcie przeze mnie jej skroni, jej uległego czubka głowy jest jak pocałunek składany dziecku na dobranoc. Siedzi koło obcego łóżka. Nie podnosi oczu ani ręki, kiedy rzucam ostatnie spojrzenie przez uzbrojoną szybę w drzwiach sali. Nie patrzy tęsknie zza ochronnych krat, kiedy odchodzę po mokrym, zakładowym asfalcie w kierunku bramy.

Wrażenie odchodzenia na zawsze jest czysto wewnętrzne. Poczuciu, że w istocie to nie ja odchodzę, ale ona znika w jakiejś mglistej i bezpowrotnej dali, podczas gdy ja stoję z rozpostartymi ramionami, przeczy mój ruch, jej bierność. Przeczy pozornie funkcjonalny charakter mojej bytności (przywiezienie żony, wraz z kilkoma przedmiotami osobistego użytku, pozostającej w leczeniu psychiatrycznym). Przeczy optymistyczne rokowanie przedstawione przez siostrę oddziałową (Tak, tak, wizyty nie wymagają zezwolenia, w każdej chwili między drugą a siódmą, w granicach rozsądku... i niech się pan nie martwi, żona na pewno wkrótce wyjdzie...). Przeczą odbicia bladego słońca (niebieskie dziury w przesuwającym się marcowym niebie), błyskające z wilgotnego, lekko parującego asfaltu.

Na początku była opowieść – to, co rodzice opowiadali nam przed zaśnięciem. Potem stała się ona realna, potem przemieniła się w tu i teraz. A potem znowu stała się opowieścią. Drugie dzieciństwo. Całusy na dobranoc...

Mary nie boleje nad moim odejściem. Boleje nad swoim dzieckiem. Dzieckiem, które jej zabrano i którego jej nie chcą oddać. Tym dzieckiem, które jak każdy wie, zesłał Bóg. Który ocali nas wszystkich.

Na początku nie ma nic, potem jest wydarzenie; stan wyjątkowy. A po wydarzeniu pozostaje tylko opowieść o nim. Ale czasem wydarzenie nie chce przeminąć i nie daje się przekształcić we wspomnienie. Więc ona ciągle tkwi w centrum wypadków (przygoda w supermarkecie, coś w jej ramionach; sala sądowa, gdzie głośno i wyraźnie oświadcza: – Bóg mi kazał...), które nadal trwają. Dlatego nie można dotrzeć. Dlatego ona nie jest w stanie przedostać się w bezpieczną i normalną strefę retrospekcji i odpowiadać na pytania lekarzy w białych fartuchach: – No, teraz proszę nam opowiedzieć, może nam pani wszystko opowiedzieć, może pani wszystko...

On idzie po mokrym asfalcie, niosąc walizkę, jakby wybierał się w podróż. Ale walizka jest pusta. Trochę żoninych ubrań i parę innych należących do niej drobiazgów (regulamin jest surowy: niczego, co mogłoby zostać użyte w celu spowodowania uszkodzenia ciała bądź u innych pacjentów czy personelu, bądź u samego pacjenta) chwilowo znajduje się w depozycie administracji szpitala. On wybierał. Ona się nie interesowała. Zestaw pamiątek na przetrwanie. Szczotka do włosów w szylkretowej oprawie (czy może spowodować uszkodzenie ciała?), kupiona – czy pamiętasz – w gildseyowskim sklepie ze starzyzną tamtej mroźnej zimy, kiedy byliśmy... Skórzany futerałik na przybory do pisania. Pudełeczko z masy perłowej – ale to ona wybrała, to ona wyciągnęła nie wiadomo skąd (Obliczał: kiedy ostatni raz mogła je schować? Musiało to być tej samej srogiej zimy) – zawierające srebrny krzyżyk na łańcuszku. Do poduszeczki pod wieczkiem nadal przypięta karteczka z dedykacją wypisaną starannym pismem Harolda Metcalfa: *Mojej najdroższej Mary na pamiątkę Jej Bierzmowania od kochającego ojca, 10 maja 1941...*

Zmierza w kierunku wyjścia. Okiem historyka dostrzega na trawiastej wysepce pośród asfaltu posąg założyciela czy też dobroczyńcy (męskie rysy, ręka na gorsie surduta); zauważa na postumencie z różowego granitu, pod datami i zasługami, słowa, których dzisiejsza tendencja do prostego „szpital” lub, niechętnie: „szpital dla umysłowo chorych” nie może, przez wzgląd na jego czcigodną pamięć, wymazać: *Zakład dla obłąkanych*.

Jak to nazywali w dawnych czasach...

Mija bramę, którą (skoro jest to nieformalnie dozwolone) będzie wielokrotnie przekraczał, żeby odwiedzić żonę, która jednakże nie jest jego żoną, która jest tylko opowieścią; z którą w klasztornym obrębie tego zakładu, to jest szpitala, będzie grał w swoją żalospną grę „czy pamiętasz”. Czy pamiętasz kolejkę: z Hockwell do Gildsey, z Gildsey do Hockwell? Rdzawoczerwony i atramentowoczarny? Czy pamiętasz buraczane pola? Topole? Spacer nad zamarzną Ousą?... Unikając w tych pobudzających pamięć podróżach tak wielu terenów zamkniętych, stref krytycznych oraz długich, długich alei, gdzie nie wydarza się nic – poza uczeniem w szkole i pracą z ludźmi starymi.

A więc w końcu i ty – nauczyciel historii – boisz się, jak przyjdzie co do czego, stąpać po minowych polach przeszłości...

(Nie, nie, nie boję się – wszystko powiedziałem, absolutnie wszystko, w pełnej wersji, moim uczniom. Żadnego wybuchu jak dotąd – chyba że Price...)

Podczas gdy on szepcze te beznadziejne, nostalgiczne słowa, ona wygląda przez okno. Zamknięta w kręgu krucyfiksu.

Może amnezja jest najlepszym wyjściem, może amnezja jest lekarstwem na wszystko...

Zwolniona na podstawie okoliczności łagodzących (dobrowolne zwrócenie dziecka rodzicom) i zmniejszonej odpowiedzialności (każdy jednak wie, co sądzić o tych sztuczkach przed sądem, o tych biegłych pozwalających wykręcić się sianem) od zarzutu kidnaperstwa, co uratowało ją prawdopodobnie przed więzieniem, siedzi – w tym innym więzieniu – nadal wmawiając swoim śledczym w białych fartuchach, że Bóg...

W innej epoce, w dawnych czasach, może uznano by ją za świętą (albo spalono jako czarownicę). Ktoś, kto słyszy głosy... Ktoś, do kogo... Może by jej pozwolono na pełne pogrążenie się w obłądnie: celę pustelnicy, ascetyczne swobody, wizje i ataki szału. Dzisiaj korzysta z dobrodziejstw psychiatrii.

Patrzy przed siebie z wysokiego szpitalnego okna. Stworzyła sobie w sali wydzieloną przestrzeń. Swoją postać, swoje stanowisko. Sala śmierdzi ciałami starych obłąkanych kobiet. Za oknem w pogodne dni inni pacjenci w płaszczach spacerują po asfalcie.

Spogląda władczo a chytrze (znany fortel pensjonariusza takiego zakładu: to oni są wariatami, nie ja) na te kruche, skazane dzieci z placu zabaw.

Oczy jej błyszczą. Mrugają. (Tak, pamiętam – tamto inne życie). Ramiona są puste.

On nie może zasnąć. Jego łóżko jest puste, porzucone na czarnym morzu. Boi się ciemności. A kiedy zaśnie – co za sny! Jest sam w tym cmentarnym domu z regałami pękającymi od książek i stylowymi bibelotami (ty i ten twój regencyjny azyl – ty i te twoje historyczne rekwizyty). Sam, nie licząc psa, który kuli się na jego widok, próbuje ostrożnie się zbliżyć, znów się kuli – drucziana kłamra weterynarza dopiero niedawno usunięta z jego dolnej szczęki. Zraniony spaniel, z którym powrót do przyjaznych stosunków będzie powolny, niepewny, nigdy zupełny. (– Więc jak to się stało, że pana pies ma złamaną szczękę? – Niestety, to ja go kopnąłem. Widzi pani... jeśli nie czytała pani miejscowej prasy...).

Siedzi całą noc. Czyta. Pali. Opróżnia butelkę whisky. Poprawia wypracowania i stopy notatek (ostatni plon trzydziestu dwóch lat). Pijackie bazgrały czerwonym atramentem. Więcej uwagi. Staraj się bardziej. Dobrze. Dostatecznie. Niedostatecznie. Na pocieszenie sam sobie opowiada historyjki. Powtarza historyjki, które opowiadał swoim uczniom. Ach, kontrast pustych nocy i zatłoczonych dni: gwar w klasie, wrzawa na boisku... Ale już niedługo i to...

Podczas weekendu rano – przed popołudniowymi wizytami – w wietrznej wielkopostnej pogodzie spaceruje po parku w Greenwich. Z wciąż mającym się na baczności psem. Wolfe sprawuje wartę. Dawny przepych w blasku nowego słońca. Stary pałac, Szkoła Marynarki Wojennej. Zielona trawa i biały kamień. Tak wiekowy i czysty. Tak troskliwie konserwowany (ustawowo i z publicznych pieniędzy) w świecie, który...

Ach, Mary (ach, Price), wszyscy odchodzimy od realnego świata, wszyscy trafiamy do naszych miejsc odosobnienia.

Marcowy wiatr dziurawi pędzące żagle chmur. Błękitne niebo zakwita nad południkiem zerowym.

Ach, Mary. Miłość. Mie-miłość.

I adieu

I wreszcie jest moim smutnym obowiązkiem pożegnać pana Cricka, który...

Obowiązkiem! Obowiązkiem! Ach, tak dobrze dobrane, tak strategiczne słówko! Przywodzące na myśl sprawiedliwego sędziego, przywodzące na myśl surowego policjanta. Nie moim życzeniem, skądże, moim obowiązkiem. Nasuwające też wniosek (bo wszyscy wiemy, prawda?): on zaniedbał swoje obowiązki, obowiązki nauczyciela.

– ...który po czternastu latach, kiedy to był filarem szkoły...

Filarem! Filarem!

– ...opuszcza nas od Wielkanocy... z powodów osobistych.

Podany do przodu na krawędzi podium, ściskający samotny bukszpryt pulpitu, sprawia na swojej świecie nauczycielskiej wrażenie, jakby wznosił się i opadał, brnąc na falach słów przez (z lekka wzburzone) morze dzieci.

– Czternaście lat, nie muszę wam tego mówić, stanowi długi okres. A nie obejmuje on ośmiu wcześniejszych lat, kiedy pan Crick uczył w szkole, która była poprzedniczką naszej. Pan Crick widział, jak niejeden z was zaczyna i kończy. Dzieci, które niegdyś uczył, mają teraz własne dzieci. Całkiem możliwe, że rodzice wielu z was pamiętają, jak sami byli jego uczniami. Nie rozwódźmy się więc nad tym przykrym rozstaniem...

Przykrym! I znów, co za dyplomacja.

– ...ale, co niewątpliwie zaleciłby nam pan Crick, jako kierownik naszego działu historii, spójrzmy w przeszłość i złożmy mu należne podziękowanie za jego wieloletnią i rzetelną pracę. Zastanówmy się też...

Ma zamiar zrobić z tego przemówienia kazanie. Pomruki z końca auli. Ma zamiar podlać swoją ofiarę (która siedzi w głębi podium jak sprawione kurczę) sosem retoryki.

– ...co niewątpliwie pan Crick również by nam zalecił, nad przemijaniem czasu...

Nuta elegijna. Ach, jak się starzejemy. Ach, *sic transit*. (Niewidoczny dla morza dzieci, niewidoczny dla samego Lewisa, lecz narzucający się zgromadzonemu personelowi jako symbol męznego wodza: różowy placek rozprzestrzeniającej się łysiny pośród sztywnej jak drut siwej mierzwy, podskakujący przed pulpitem).

– ...wasze szkolne lata, które wam mogą wydać się dość długie, szybko przeminą, wierzcie mi. Są one bezcenne. Są najbardziej ważne. Nie marnujcie ich więc. Nie lekceważcie. Budujcie na nich. Połóżcie funda...

Ale najwyraźniej morze – czy też jego mętna, niespokojna część – nie ma ochoty przemienić się w metaforyczny mur. Bo oto gdzieś z jego najdalszych głębi – dopiero teraz do Lewisa, który na chwilę traci wątek, dociera wrzawa, narastająca od początku – zdecydowanie nadciąga szkwał. Dźwięk przypominający łoskot wzburzonych fal napęlnia echem akustyczną aulę i przemienia się w regularne, powtarzające się, choć nie najlepiej zorkiestrowane wybijanie taktu:

– Strach już jest tuż! Strach już jest tuż!

Jest to hasło – oficjalne zawołanie – Klubu Zagłady (którego działalności zakazał Lewis przed dwoma dniami, jako „nie rozwijającej”). Nabiera rytmu. Przekształca się w skandowanie kibiców na meczu:

– Strach już jest tuż! Strach już jest tuż!

Lewis nie daje za wygraną.

– Budujcie na nich. Wykorzystajcie je w pełni. Nie pozwólcie, aby nadszedł dzień, może wcale nie tak odległy, kiedy powiecie, gdybym tylko wtedy...

– Straaach! Straaach!

– Ponieważ, wierzcie mi, co zbudujecie dzisiaj, będzie waszym zabezpieczeniem jutro...

– Strach już jest tuż!

Ale on jest nie pobity. Nie da się wyeliminować. Kilku rozrabiaczy z końca sali nie uciszy Lewisa. Dosłownie staje na wysokości zadania, z jednym ramieniem wzniesionym nad pulpit dla moralnego efektu.

– Jak widzicie... słyszycie... są wśród was pewne elementy... doskonale wiem, kto... zostaną pociągnięci do... pewni prorocy nieszczęścia... którzy chcą zakłócić ów ważki i konstruktywny proces, o jakim mówię. Którzy chcą siać wśród nas ducha beznadziejności i paniki. Nie mam zamiaru dać się zastraszyć, i wy też nie powinniście, ich dziecinnym, tak jest, dziecinnym postępowaniem...

– Strach już jest tuż! Strach już...

Rozbrzmiewa, cichnie, rwie się, znów rozbrzmiewa. Za plecami dyrektora jego tylna straż spogląda po sobie niepewnie.

– Ani nie zamierzam tolerować tak skandalicznego zachowania w chwili, kiedy wyrażamy uznanie jednemu z naszych zasłużonych...

Ach, cóż za obłuda! Ach, cóż za wytrwałość!

– Zwracam się do pozostałych: nie słuchajcie tych nonsensów. Nie dajcie się oszukać. Nie bójcie się. Nie ma się czego bać!

Wydaje się zanurzać, kołysać, uczepony pulpitu, nieustraszony Kanut.

Wizja Lewisa na tym samym chwiejnym podium. Podczas nadzwyczajnego – zwołanego w sytuacji krytycznej – apelu. Kiedy na zewnątrz wyją syreny, on wznosi ręce, prosząc o zaufanie i spokój. Wszystko w porządku. Nie bójcie się. Lewis was ocali. Pójdźcie za mną – do naszego specjalnego bunkra. (Tak, nie wiedzieliście? Odpowiednio wyposażony, odpowiednio skonstruowany. Szkoła i schron. Szkoła jako azyl. Miejsce tylko dla dzieci – i jedno dla mnie). Pójdźcie za mną, maluczcy, przez wrota czystej przyszłości...

– Nie bójcie się... Nie bójcie...

Ale wrzawa cichnie. Niebezpieczeństwo buntu zażegnane. Więc bardziej boją się jego?

– Wzywam zatem pana Cricka... Czy można prosić o ciszę i okazanie szacunku – (och, ta czołobitność) – dla pana Cricka? Wiem, którzy to z was, i zostaną ukarani. Wzywam pana Cricka, żeby sam was pożegnał. Pan Crick. Pan Crick!

Pan Crick wstaje, idzie ociągając się na przód podium. Nie spodziewał się tego. Spodziewał się pospiesznego wypchnięcia za drzwi, szybkiej publicznej egzekucji. Lewis odwraca się ku niemu. Twarz ma mokrą od potu. Maluje się na niej przerażenie (To twoja robota, prawda, Tom? Ty...). Zarazem jednak rozjaśnia ją łuna niezaprzeczalnego triumfu, udowodnionego dostojęstwa. Widzisz, są mi posłuszni. Widzisz, to ja nimi kieruję.

Tak, buntownicze głosy umilkły. Cisza dla pana Cricka. Ale co to? Z samego centrum niedawnej erupcji, pośród ciszy podnosi się nagle samotny okrzyk, dziwnie natarczywy i rozkazujący, pozbawiony uczniowskiej bezczelności:

– Żadnych redukcji! Crick musi zostać!

Price.

Crick nie wie, co powiedzieć. Odchrząkuje.

– Dzieci...

O budowaniu imperium

które odziedziczyacie świat...

Kiedy dzieci Rewolucji Francuskiej obaliły ojca-tyrana, Ludwika XVI, i złą macochę, Marię Antoninę (którzy, jak się okazało, byli tyle warci co figurki w przedstawieniu kukiełkowym, można ich było, ot tak sobie, pozbawić głów), myślały, że są wolne. Ale wkrótce przekonały się, że są sierotami, a świat, który, jak sądziły, należał do nich, okazał się nieprzytulny i smutny. Pobiegły więc w te pędy do przybranego ojca, Napoleona Bonaparte, który czekał w pobliżu starego teatru marionetek, który ułożył dla nich nowy dramat oparty na starych tematach i który im obiecał imperium, cel, przeznaczenie – przyszłość.

Dzieci, istnieje coś, co nazywa się cywilizacją. Powstało z nadziei i marzeń. To tylko idea. Nie jest rzeczywiste. Jest sztuczne. Nikt nigdy nie powiedział, że jest rzeczywiste. Powstaje w wyniku procesu uczenia się; prób i błędów. Łatwo ulega zniszczeniu. Nikt nigdy nie powiedział, że nie może się rozlecieć na kawałki. Nikt nigdy nie powiedział, że będzie trwać wiecznie.

Dawno, dawno temu ludzie wierzyli w koniec świata. Sięgnijcie do starych ksiąg, zobaczcie, ile razy i pod ilu pretekstami przepowiadano i przewidywano, wyliczano i wyobrażano sobie koniec świata. Ale to, oczywiście, były przesady. Świat dorósł. Nie skończył się. Ludzie odrzucili przesady, jak odrzucili swoich rodziców. Powiedzieli, nie wiercie dawnym straszakom. Jesteście w stanie zmienić świat. Jesteście w stanie go ulepszyć. Niebo nie spadnie wam na głowę. Była to prawda. Na krótko – nie zaczęło się to tak dawno, zaledwie kilka pokoleń wstecz – świat wszedł w swoją rewolucyjną, postępową fazę; i świat uwierzył, że nigdy się nie skończy, że będzie się nieustannie doskonalił. Ale wtedy powrócił znów koniec świata, nie jako idea czy wierzenie, ale jako rzecz, którą świat sam sobie wyprodukował w ciągu tego całego dorastania.

Co może tylko stanowić jeszcze jeden dowód, że gdyby nie było końca świata, należałoby go wymyślić.

Istnieje coś, co się nazywa postępem. Ale nie postępuje. Nigdzie nie dochodzi. Ponieważ gdy postęp postępuje, świat tymczasem może się wymknąć. Moim skromnym wzorem postępu jest osuszanie gruntów. Które jest odzyskiwaniem po wielokroć, bez końca, tego, co stracone. Praca wymagająca uporu i czujności. Praca nieciekawa, ale wartościowa. Praca ciężka, pozostająca w cieniu. Nie powinniście jednak mylić melioracji z budowaniem imperiów.

Cała historia

Otwiera oczy, a oczy mu mówią, że nie znajduje się w znajomym pokoju (pożółkła tapeta, mahoniowa szafa) w domku przy Nowym Atkinsonie, gdzie rano (co rano z paroma wyjątkami) budził się o świcie – to znaczy, jeśli nie porzucił łóżka wcześniej dla ciemnego nabrzeża i papierosów wypalanych jeden po drugim – i gdzie zanim jeszcze wstał, tajemny spisek znaków – szelest wiatru pod okapem, szum, czy też jego brak, deszczu, nawet zróżnicowane w zależności od pogody gdakanie kur – pozwala mu odgadnąć, czy dzisiaj jest dzień, kiedy sumienny strażnik jazu powinien pamiętać o swoim jazie.

Otwiera oczy i jego oczy, a raczej jego członki, czujące pod sobą obcy materac, mówią mu, że nie leży w podwójnym łóżku o mosiężnych poręczach (zakupionym w 1922 roku u Braci Thorne w Gildsey), które wiele lat temu – dokładnie mówiąc dziesięć – stało się łóżkiem pojedynczym, tak pustym, tak zimnym, z trudem pozwalającym usnąć, niemożliwym do porzucenia. Nie leży w tym dużym, niosącym i odbierającym pociechę łóżku, ponieważ (już wraca mu pamięć) to samo łóżko stoi teraz – albo bezskutecznie usiłuje popłynąć – zanurzone na dobre pół sąga w zdradzieckiej wodzie. A ponieważ sypialnia znajduje się na pierwszym piętrze, wynika z tego, że ów nieproszony płynny gość zajmuje większą część domku, a dobytek albo leży pod wodą, albo po niej pływa, lub też, w sposób trudny do wyobrażenia – dowodem nieobecna przybudówka, dowodem kurnik, który zniknął razem ze wszystkimi znajdującymi się na pogodzie, ale nieodpornymi na nią kurami, dowodem nie istniejący zagon warzyw (i ogród kwiatowy) Henry’ego Cricka – został zniesiony lub zniknął pod warstwą błota. Że, krótko mówiąc, domek przy Nowym Atkinsonie jest ruiną pełną wody. Że śluzu i połączonego z nią jazu, wybudowanych przez Thomasa Atkinsona w 1815 i odbudowanych przez Arthura Atkinsona w 1874, już nie ma. I nigdy nie będą odbudowane. Bo co się stało w tym ocienionym wojną, napędzanym benzyną XX wieku, z tak ożywionym niegdyś ruchem na rzece pomiędzy Gildsey a

Kessling? (Spytajcie Henry'ego Cricka). Rzeka Leem w nadchodzących latach, choć chwilowo przypominająca ocean na lądzie, przemieni się w zadławiony zielskiem, zatkany mułem strumień, żeglowny zaledwie do mostu kolejowego w Hockwell, a dalej będący już tylko zbiornikiem wody z rowów doprowadzających.

Otwiera oczy. To nie jego łóżko. Nie małżeńskie łożo Henry'ego i Heleny Cricków (i łożo śmierci tej ostatniej), ale małżeńskie łożo świeżo zaślubionej pary, jego syna i synowej, którzy mu je odstąpili, a sami śpią, jak się da, i to na zmianę, na podłodze w sąsiednim pokoju. Nie jest to też stara sypialnia w domku dozorczy śluzy, ale sypialnia w wąskim budynku typu „dwa pokoje na dole, dwa na górze”, przy tarasowato wznoszącej się alei Kościelnej w Gildsey, (wystarczy wyrzeć przez okno, żeby ponad dachami zobaczyć wieżę św. Gunnhildy), który wielkodusznie, acz odrobinę niechętnie, kupił młodemu owdowiacy ojciec dziewczyny. W tej chwili zresztą dobrze się składa, że dom stoi na wyżej położonych pradawnych terenach przykościelnych (wciąż nazywanych nieoficjalnie, choć z historycznego punktu widzenia poprawnie „Wyspą”), ponieważ Gildsey w znacznej części jest tak samo zatopione jak domek przy Nowym Atkinsonie, a ulica Wodna znów jest ulicą pełną wody.

Przypomina sobie, gdzie jest. Widzi nie znaną storę, na pół przesłaniającą nie znany widok, widzi szafkę nocną przeobrażoną w stolik z lekarstwami (syrupy, miseczki, ręczniki i czajnik – to jednak już jest poza nim, rozpoczęło się stadium śpiączki i majaczeń). Wszystko to widzi. Ale może w wyobraźni, nagle tak pobudzonej i buntowniczej, nie znajduje się ani w małżeńskim łóżu syna, ani w swoim własnym, tylko wciąż na smaganym wichrem dachu starego domku, dokąd wydostał się przez okno strychu, i patrzy, jak woda wzbiera i chlupoce o rynny, patrzy, jak szczątki – brama o pięciu sztachetach, wierzba wyrwana z korzeniami – pływają obok jakby nigdy nic, patrzy na wodospad, który pojawił się w miejscu śluzy i jazu, patrzy na świat, który zapadł się bez śladu, jak gdyby olbrzymia zatyczka została wyciągnięta z jego ukrytego dna.

Wciąż siedzi okrakiem na kalenicy, na której spędził całą noc i większość dnia, w wyjącej wichurze, nie mogąc pozbyć się uczucia (to łóżko chyba także przechyla się, chwieje), że dach, domek pod nim w każdej chwili zadrzą, oderwą się, odcumują od solidnego gruntu i uniosą go niby jakiegoś przypadkowego Noego. Wciąż tuli się do komina dla ochrony przed wiatrem, w starym żołnierskim płaszczu (zresztą na wskroś przemoczonym, w którym tylko tym mocniej szczęka zębami), noszonym po raz pierwszy, jak przystało na żołnierski płaszcz, w tak zwanej Wielkiej Wojnie – przez co swoim wybawcom, którzy wreszcie przybywają w rozkołysanej szalupie z silnikiem (wśród nich jest również kilku żołnierzy), jawi się jako symbol osaczonego wartownika, który niczym pijawka w kolorze khaki przywarł do swojej śliskiej placówki; albo jako żeglarz – chociaż to nie ten mundur i nie to (przynajmniej nie powinno być) położenie geograficzne – zdecydowany pójść na dno ze swoim okrętem.

Szalupa podpływa bliżej. Wiezie sierżanta wojsk inżynierskich i dwóch saperów. Wiezie koła ratunkowe, liny, takielunek, worki z piaskiem, apteczki pierwszej pomocy, kocioł z gorącą zupą, beczkę rumu. Wiezie całą wstrząsaną dreszczami rodzinę, złożoną z czterech pozawijanych w koce osób, zabraną z farmy na wschód od Newhithe, oraz uratowanego razem z nimi, na pół przytopionego cocker-spaniela na dodatek. Przywozi Toma Cricka, zatrudnionego ochotniczo w ekipie ratunkowej. Który, podczas gdy szalupa staje dęba, huśta się, wzbija fontanny wody, rozpryskujące się o dziób, nie może wyjść ze zdumienia, iż brak znajomych znaków rozpoznawczych nie pozwala mu odegrać roli pilota, nie może też uwierzyć, kiedy wreszcie podpływają, że to właśnie jest ten stary domek i że groteskowa chimera na dachu, która teraz – kiedy odsiecz znajduje się tuż-tuż – ani myśli się ruszyć, to jego rodzony ojciec.

– Wielu z nich się tak zachowuje – mówi sierżant, który w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, podczas dwóch szaleńczych marcowych dni i dwóch szaleńczych bezsennych marcowych nocy, zdobył o powodzianach wiedzę na miarę studiów całego życia – chcą i nie chcą, żeby ich ratować. Niech go pan przekona, szefie, żeby zszedł.

Więc syn, były żołnierz, któremu trudno przywyknąć do tego, że sierżant tytułuje go „szefem”, krzyczy przez zwinięte dłonie w kierunku kłębka na dachu: – Tato, to ja. Tato schodź! To ja! – a kiedy kłębek nie odpowiada: – Tato, nic nie poradzisz. Nic nie...

I kłębek na dachu (i we wstrząsanym gorączką łóżku) widzi szalupę dokonującą ryzykownej operacji przybijania tam, gdzie niegdyś lepiły sobie gniazda jaskółki, widzi też grupę ratowniczą w osobach dwóch żołnierzy w kapokach, którzy ślizgając się zaczynają wdrapywać się do niego, jakby chcieli zająć ostatni nie podbity skrawek jego terytorium.

Jest 18 marca 1947 roku. Wojna się skończyła. Ale bieda się nie skończyła. Książeczka żywnościowa wciąż leży na gzymsie kominka. Poza tym pokażcie nam owoce naszego zwycięstwa. Wuj Sam trochę poczeka na zapłatę. Gandhi chce z powrotem swoich Indii. Ach, marzenia, ach, projekty. Popatrzcie na nie oczyma czterdziestoosmioletniego mężczyzny, urodzonego w czasach panowania królowej Wiktorii, rannego pod Ypres i mającego umrzeć w 1947 roku na odoskrzelowe zapalenie płuc. Co się stało z tą bajką, którą opowiadali nam dziadkowie?

A teraz na domiar złego przychodzi jedna z najsroźszych zim, w ślad za nią zaś jedna z najgroźniejszych powodzi w historii.

Miała rację, że odwilż będzie okropna. Zarządy i komitety pokpiły sprawę: 60 000 akrów pod wodą, 15 000 bezdomnych, 20 000 ton kartofli... Ale widzieliśmy to już przedtem. Choćby w 1874...

Nie ma już ani słuzy, ani domku. A czarny kufer z inicjałami E.R.A. płynie ku morzu...

To jego wina. (– Jego wina, że nie wydostał się, kiedy powinien – mruczy ze złością sierżant). Gdyby się więcej przykładał, gdyby był bardziej czujny. Mógł ocalić jaz. Mógł ocalić świat. Albo gdyby Dick był tu, żeby pomóc. Silny, głupi Dick...

Otwiera oczy. Kobieca twarz pochyla się nad nim. Dymne oczy, luźny lok kasztanowych włosów. Kobieca dłoń dotyka jego ciała. On widzi twarz pielęgniarki. Pielęgniarka. Brunetka. Więc nie jest na pogrążającym się dachu. Nie jest tam, gdzie świat... Jest uratowany, jest bezpieczny. Pośród rannych żołnierzy. Ona się pochyla, coś mówi. Jest taka piękna, to graniczy z cudem. Chce, żeby on powiedział...

Ale on zamiast słów wydobywa z siebie urywaną kanonadę kaszlu. Oddech ma chrapliwy, wargi sine, wypływa rdzawy strzęp w podsuniętą nerkę.

– Niech ojciec nic nie mówi... niech ojciec nie próbuje mówić.

Podsuwa mu nerkę, a wolnym ramieniem podpira jego plecy. Gdy kaszel się uspokaja, ona stawia nerkę na nocnym stoliku, a jemu pomaga ułożyć się z powrotem na poduszkach. Wyciera ślady plwociny z jego ust. Ściska jego rękę.

Doglądała go tak przez sześć dni. Dotknięty chorobą teść stał się dla niej swego rodzaju powołaniem, celem (i może prawdziwą pokutą), tak że jej mąż, który siedzi w nogach łóżka, z rękami bezużytecznie opuszczonymi między kolana, czuje się wyłączony i niegodny, niezręczna przyzwoitka w boleśnie intymnej scenie.

Ona nie ma złudzeń. To jest realne, to osiąganie przez rzeczy swojego kresu, ta inwazja Nicości na bezbronne wysepki życia. Doświadczyła tego już wcześniej, modlitwy tu nic nie pomogą. Cud się nie zdarzy. Stanie się osobą praktyczną, stanie się realistką. Nigdy nie będzie mówiła o tamtych czasach, kiedy... Znajdzie pracę w instytucji zajmującej się ludźmi starymi. Będzie służyć pomocą tym, którzy zbliżają się do końca swoich dni. Przeniesie się wraz z mężem do dużego miasta, ale sercem pozostanie zawsze na płaskich moczarach. Wezmą ze sobą małżeńskie łożo, które jest również łożem śmierci, i z nich dwojga ona zawsze będzie silniejsza, bardziej wytrzymała...

– Niech ojciec nic nie mówi... niech ojciec nie próbuje mówić.

Ale on chce mówić... Tak, tak, to prawda, nie chciał mówić, wtedy nie, nie chciał rozmawiać. Nie chciał wiedzieć nic więcej. Po tej historii z Tomem i Mary. I Dickiem. Potem, jak Dick...

Napływa weń ponownie. Zagarnia go na powrót. Flegma. Stara flegma Cricków. To prawda, sączyła się znowu, nakapywała, odkąd ona... Ale teraz jeszcze raz zagarnęła go w całkowite posiadanie, gasząc nawet ten dawny płomień, który kazał mu snuć opowieści. Nie chce już snuć opowieści. Nie chce już wierzyć w żadne opowieści. A Tom – tak, wie o tym, że Tom wszedł w posiadanie tych starych notatników. Tom zagłębiał się w nie, palił się, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, jeździł do Gildsey i do szpitala w Kessling. Ale on sam nie miał nawet ochoty otwierać tych niebieskooprawnych kart.

Flegma przyływa z powrotem. Bieg rzeki. Nuda ścieżki holowniczej. Można stać w miejscu i pozwolić, żeby umysł odrętwiał. Ojciec i syn mieszkali razem, nie dzieląc życia. On rozmawiał z kurami, Tom zajmował się historią. Aż Tom został powołany do wojska (historia go dopadła). Tak jak jego ojciec trzydzieści lat wcześniej. Jak to się... Ale ta wojna się skończyła (bez sześciotygodniowego przysposobienia wojskowego poprzedzającego start w wesołe piekło), zresztą Henry Crick i tak zaprzestał już słuchania, dla kontaktu z szerokim światem, komunikatów o szóstej. Został sam z niemą rzeką i dopóki Harold Metcalf nie zaszedł pewnego dnia z opowieścią domagającą się zakończenia – flegma go pochłaniała.

Ale teraz go dławi, wypełniając jamy w płucach, podchodząc do gardła. Uratował się z powodzi, ale tonie...

Łapie z trudem powietrze. Jego twarz ma purpurowosiny odcień. Nozdrza się rozszerzają.

– Niech ojciec nic nie mówi...

Za oknami dzwony św. Gunnhildy wybijają półgodzinę. (Ale tylko Tom, początkujący historyk, odnotowuje dokładny czas: czwarta trzydzieści, 25 marca 1947). Te dzwony, te przekłete dzwony, bijące i roznoszące się echem po kryptach jego delirium. Ale nie przeklinaj dzwonów kościelnych, Henry Cricku. Nie na łożu śmierci. (Bo jesteś na łożu śmierci). Wspomnij Boga na łożu śmierci. Módl się do Boga na łożu śmierci. I ciesz się, że to nie średniowiecze, kiedy dzwony dzwoniły nieprzerwanie w czas powodzi. Módl się. Módl. Woda się podnosi. Módl się do świętej Gunnhildy o wybawienie...

Dzwony dzwonią. Nie jest więc już na tym oślizłym dachu. Nie jest też... Jest w domu na Kościelnej w Gildsey, który Tom i... Ale przez chwilę myślał, że tonie. Przez chwilę myślał, że twarz pochylająca się nad nim...

Ale to była tylko wizja, Henry Cricku, to było tylko wyobrażenie tej czarodziejskiej historii, która wreszcie musi zostać opowiedziana, która usiłuje się wydobyć z twojego pozbawionego oddechu gardła. Ponieważ, tak, to prawda, kiedy się tonie, wszystko przesuwają się przed oczami. I właśnie nadszedł czas, właśnie jest jedyny czas, aby opowiedzieć całą...

Wyciąga słabe ramię, chcąc przywołać syna, znajdującego się tak daleko, na drugim końcu łóżka. Ale syn, przynaglony szczególnym wyrazem oczu ojca, już się przysunął bliżej, a śliczna dziewczyna, która się nad nim pochyla (tak, to Mary, a to musi być ich małżeńskie łóżko, jak wszystko się...), obejmuje, jakże mocnym, pewnym uściskiem, nie tylko jego własną dłoń umierającego człowieka, ale również dłoń małego Toma.

Wargi drżą, układają się w ruchome koło.

Pewnego razu...

O flegmie

Inaczej śluz. Albo wydzielina. Substancja dwuznaczna. Ani płynna, ani stała: lepka półciecz. Dobrotliwa (powlekająca, oczyszczająca, łagodząca, ochronna), a jednak nieprzyjemna (ogólny znak obrzydzenia: splunąć). Stawia opór zapaleniu, zatrzymuje i rozprowadza wilgoć. Gdy ogień wybucha w ciele (albo w duszy), na scenie pojawia się flegma. Działa z całą energią w sytuacjach krytycznych. Gdy wszystko ucichnie, utrzymuje w porządku kanały i hydranty.

Dzięki swoim gaszącym i tłumiącym właściwościom nie sprzyja natchnieniu ani ucieście. Hamuje sangwinika i choleryka i skłania się w kierunku melancholii. Przewaga flegmy może zrodzić następujące cechy charakteru: powściągliwość, trzeźwość, cierpliwość, zrównoważenie, spokój. Ale także idące z nimi w parze: opieszałość, tępotę, poczucie fatalizmu, obojętność, ośpienie.

Humor zagadkowy, cechujący wyspiarskich i skłonnych do bronchitu Anglików. Występuje u ludzi starszych, gromadzi się wraz z doświadczeniem. Chorym i dotkniętym gorączką przynosi wątpliwą ulgę. Odciąża, ale zalega, pomaga, ale pogrąża. Według tradycji starożytnej flegmatyczną czy wodnistą dyspozycję należy leczyć wlewami napojów wzmacniających. Kuracja we wszystkich przypadkach (choć nie o długotrwałych czy dających się przewidzieć skutkach): podawanie alkoholu.

52

O „Róży II”

Wsiadamy więc na rowery i ruszamy na stację Hockwell. Tata pierwszy, ja za nim. Przyjeżdżamy na czas, by złapać osiemnasta trzydzieści do King's Lynn. Powietrze jest ciężkie i parne, ale my czekamy w dusznej poczekalni (żeby nas nie wypatrzone – aczkolwiek żaden z nas nie mówi tego głośno – z pobliskiej wieży kontrolnej w hockwellowskiej nastawni). Osiemnasta trzydzieści przybywa punktualnie. Ładujemy rowery do wagonu kierownika pociągu. Kierownik, członek dawnego gangu kolejarzy trudniącego się przemytem (dzikie ptactwo w workach w jedną stronę, burbon w drugą), zagaja: – Henry Crick, nie? Ten co znalazł syna... – Ale Henry Crick nie ma ochoty na rozmowę. Henry Crick wygląda, jakby zobaczył ducha. Jedziemy trzy stacje do Downham Market, gdzie wysiadamy i pedałowujemy ponad milę do Staithe Ferry, na wschodnim brzegu Ousy, gdzie w pobliżu, jak mamy powody przypuszczać, stoi na kotwicy – i rzeczywiście stoi, około ćwierć mili w górę rzeki w środku kanału portowego – „Róża II”.

Pogłębiarka, dzieci. Odsysacz błota. Wyciągacz mułu. Poobijany, rdzewiejący, długi na sześćdziesiąt stóp kadłub z – tam gdzie w większości statków nadbudówka w mniej lub więcej wdzięcznym, mniej lub więcej eleganckim stylu schodzi na pokład – potworną naroślą: zabrudzonym i zanieczyszczonym ciągiem łańcuchowych czerpaków oraz zabrudzonym i zanieczyszczonym urządzeniem napędowym.

Skąd tak romantyczne imię dla tak szpetnej łajby? Skąd tak pachnący symbol tak cuchnącego zajęcia? Róża. Róża? Któż to wybrał taką nazwę? Róża. Róża II. Najskromniejszy okręt spowija romantyczna mgiełka. Parowce dyszą pod egzotycznym niebem. Korwety wypływają na swoje niebezpieczne szlaki (bo jesteśmy z powrotem w lecie roku 1943). Ale pogłębiarka, pogłębiarka.

Kto by też wybrał sobie bagrowanie jako zawód? Kto by się pisał na tę ustawiczną wojnę pozycyjną z błotem? Bagrowanie-harowanie. Muł-mozół. Załamałoby to nawet najmocniejszego ducha. Zgasiło najbardziej niepoprawnego optymistę.

A jednak musi być zrobione. Samo sobie nie pójdzie. Zbiera się, ścina, niezależnie od tego, co dzieje się w ruchliwym świecie na górze. Ponieważ szlam, jak wicie, buduje i niszczy grunty, podkopuje rzeki, jest wrogiem melioracji. Nie ma prostego rozwiązania. Musimy bez przerwy wygrzebywać, wygarniać z dna ten bezlitosny osad pozostawiony przez czas.

Postawcie się w położenie Stanleya Bootha, szypra pogłębiarki, szefa „Róży II”, który jesienią 1941 roku potrzebuje dobrego mata. Kogoś, kto podzieliłby z nim obowiązki szypra, kogoś, kto by zdjął z niego ciężar dwudziestoletniego bagrowania Ousy (bo u Stanleya Bootha wygasła ze szczerem wszelka miłość do zawodu), uwolnił go z rdzewiejących sideł całożyciowej odpowiedzialności za „Różę II”. Maci, owszem, przychodzą – Stan Booth miał już przeszło dwudziestu. Ale także odchodzą – teraz nawet daleko, walczyć w tej innej wojnie, gdzie wróg ma przynajmniej ludzką postać. Nie myślą zagrzebywać się żywcem w błocie.

Umieszcza – kolejne – ogłoszenie w „Szperaczu Gildseyowskim”. I otrzymuje ofertę od niejakiego Henry’ego Cricka, występującego w imieniu syna – kandydat młody, ale chyba mało obiecujący, skoro armia go nie chce, a sam nie potrafi napisać listu. Rzeczywiście, wyrostek okazuje się półkretynem. Jego zdolności konwersacyjne są ograniczone (ale Stan Booth też nie lubi mleć ozorem) i w głowie ma nie po kolei. A jednak, ku zdziwieniu Stana Bootha, jest silny i zręczny, posłuszny i niezawodny i, co istotniejsze, wydaje się instynktownie rozumieć zasady bagrowania.

Stan Booth z największą chęcią wypłaca pobory nowemu najemnikowi. I nie tylko pobory, ale skoro wygląda na to, że ów skarb ma szczerzy zamiar pozostać, oferuje pewną zaliczkę, aby młody pomocnik mógł kupić sobie używany motocykl marki Velocetta, który będzie przywoził go do pracy szybciej niż dotychczasowe środki transportu (ciągarówka z mlekiem do Newhithe, wczesny autobus do Staithe Ferry). I rzeczywiście, wiele razy wcześniej przybyły mat sam uruchamia ciąg czerpaków w tych (coraz częstszych) dniach, kiedy szyper niespecjalnie spieszy się z przybyciem.

Stan Booth jest szczęśliwy. Jego młody terminator jest szczęśliwy. Tak, szczęśliwy. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć (czy to możliwe, że nowy asystent, tak pilny i odpowiedzialny, naprawdę lubi swoją pracę?) ten dziwny śpiew, to fałszywe, ale zadowolone poświstywanie, które wydaje z siebie czasem, mając za akompaniament klekot czerpaków i pac-pac-pac wyrzucanego szlamu? (Bo kto kiedy słyszał o wesołym bagrowniku?)

Nic więc dziwnego, że Stan Both mniej więcej w połowie ranka regularnie dochodzi do wniosku, że może spokojnie zostawić „Różę” i jej kakofoniczną maszynię pod tak czułym i gorliwym nadzorem i zabrawszy szalupę (w ten sposób jakby porzucając swego towarzysza na bezludnej wyspie) udać się do najbliższego nadbrzeżnego baru.

Bo Stan Booth również zaliczał się do pijących...

Dalsza jazda po wyboistym, letnio utwardzonym nabrzeżu Ousy. Koło wykopów, urządzeń pompujących, nieczynnego buldożera, żeby nie wspomnieć o kilku betonowych schronach pospiesznie wzniesionych w roku 1940, które już teraz, takie panuje powszechne przekonanie, chyba pozostaną nie wykorzystane. Następnie stop i szybki zeskok z rowerów. Bo mało że znajdujemy się naprzeciwko „Róży II”, ale oto na szczycie skarpy, wyprostowany, choć bez jeźdźca, rozpoznawalny na dobrą sprawę długo przedtem, zanim się do niego zbliżymy, stoi motocykl marki Velocetta.

Więc przeczucie mnie nie zawiodło. Nie słyszę jednak gratulacji. Tata ma nadal, mimo rumieńców cyklisty, wygląd kogoś, kto zobaczył ducha. Spoglądamy w dół i wymieniamy znaczące spojrzenia. Motocykl trzyma straż przy czymś, co najwyraźniej jest prowizorycznym urządzeniem do cumowania: dwa wbite w zbocze kołki zakończone haczykami, z których zwieszają się liny. Niewątpliwie wynalazek dwuosobowej załogi „Róży”, mający zaoszczędzić wiosłowania, pod warunkiem przyływu, aż do przystani w Staithe Ferry. Jest jasne, że w tej chwili mamy przyływ. Ponieważ fala jest wysoka i zielono-pierzaste końce obu lin pławią się leniwie w wodzie, niepewnej, w którą stronę popłynąć. Stąd więc prosty wniosek, że szalupa, przywiązana teraz do kadłuba „Róży” tuż za platformą szlamową, jest tą samą, która jeszcze niedawno musiała być przycumowana do brzegu.

Nic się nie porusza na pogłębiarce. Minęła już przeszło godzina, odkąd Dick wyjechał, z workiem na plecach, szosą na Gildsey. Mewie trio przysiadło na nieczynnym ciągu czerpaków. Nie tracąc czasu, tata napełnia płuca powietrzem, przykładając ręce do ust i powtarza okrzyk, który poprzednio wysłał w świat z okna mojej sypialni:

– D-i-i-i-i-ick!

Tym razem uczciwy, fachowy ryk człowieka przyzwyczajonego porozumiewać się z galarami na mgłą spowitym Leemie, z pewnością dobrze niosący się przez wodę w ciszy sennego letniego wieczoru. Ale Dick się nie pojawia. Okrzyk odbija się echem, jak w pustym pokoju.

Tata woła znowu, po krótkiej przerwie, jak gdyby zdecydował się, jeśli to konieczne, na serię regularnych okrzyków z dziesięciosekundowymi pauzami. Trzy mewy, nie spłoszone, niedbale unoszą skrzydła, po czym skrzecząc podrywają się nagle w powietrze. Wtedy go widzimy. To znaczy widzimy sylwetkę – a sylwetki Dicka trudno nie poznać – wynurzającą się z wnętrzości pogłębiarki i podążającą ociężale, niby jakieś na wpół obudzone z zimowego snu zwierzę, w kierunku nadburcia bliższego brzegu.

Nie widzimy jego twarzy, nie możemy odczytać jej wyrazu (Dick – wyraz twarzy?). Nie musimy jednak zgadywać przyczyny tego chwiejnego kroku ani tego dziwnego nonszalanckiego odrzucenia głowy, kiedy Dick patrzy na nas przez wodę. Unosi do ust coś, co może być tylko butelką, i ostentacyjnie pociąga.

– Di-ick! Di-ick! Na miłość boską, chłopcze, wracaj!

Ale Dick posłuszny jest innym, autentycznie ojcowskim nakazom.

W sytuacji krytycznej...

Wyrzuca opróżnioną butelkę za burtę i niknie z oczu, jak gdyby sięgał po następną z ukrytych zapasów. Mewy pikują, kołują i wracają na swoją grzędę. Pływające szkaradzieństwo, z ciągiem łańcuchowym czerpaków wydobytych i beczynnym, prezentuje nam spróchniałe zęby w krzywym uśmiechu.

Tata zwraca się do mnie:

– Ty spróbuj.

Stoi, odzyskując oddech i obserwując moje nawoławcze wysiłki, niczym instruktor oceniający nowicjusza.

Moje okrzyki (czyś je słyszał, Dick?) cichną w powietrzu.

– Nie ma rady. Wracamy do promu. Weźmiemy łódź, podpłyniemy i zabierzemy go.

Podnosimy rowery. Wsiadamy i odjeżdżamy skarpą, tym razem mając Ousę po lewej stronie.

Prom już nie chodzi ze Staithe Ferry. Nowy most drogowy, na trzech filarach, wzniesiony w połowie lat trzydziestych na północ od wioski, uczynił dawny, wielowiekowy sposób przekraczania rzeki zbędnym. Pozostało kilka chałup, reja, pływająca przystań, a obok miejsca, skąd niegdyś wyruszał prom, wznosi się pruski mur gospody „Przy Promie”.

Wysypany żużlem podjazd przed gospodą jest prawie pusty, ale pora niedzielnego otwarcia lokalu dawno minęła, a szary ford, ustawiony na bakier z widocznymi na tylnym siedzeniu dwiema furazerkami Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, każe się domyślać popijawy naszych amerykańskich sojuszników. Opieramy rowery o białoną ścianę – na której z popstrzonego rdzą emaliowanego szyldu nadal straszą opłaty za prom – i ruszamy w kierunku drzwi do baru. W tej samej jednak chwili nagła erupcja hałasu, zakłócająca martwą ciszę wieczoru, zatrzymuje nas w pół drogi.

Seria trzasków i zgrzytów, *potpourri* wybuchowych bekań i czkawki dochodzi z górnej części rzeki. Następnie, przy akompaniamencie różnych ochrypyłych poddźwięków rozlega się uparte rytmiczne dudnienie. Rata-ta-ta, rata-ta-ta! Pogłębiarka ruszyła. Dick uruchomił pogłębiarkę.

Przez kilka sekund stoimy na podjeździe pod nieruchomym szyldem gospody, zastygli w kontemplacji tego faktu. Po czym rzucamy się znowu, ze zdwojoną energią, do drzwi. Nie musimy ich jednak otwierać. Bo ktoś wypada na dwór w tym samym momencie – przy czym na pięty następują mu dwaj szeregowcy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, krótko ostrzyżeni, w regulaminowych koszulach – jak nie Stan Booth, szyper „Róży II”, z wyrazem bezgranicznego zdumienia na podpuchniętej twarzy i z oddechem zionącym whisky.

Patrzy poprzez nas – na źródło tego dźwięku, który poruszył nawet jego przytępione alkoholem zmysły – a jego oczy dopiero po potwierdzeniu świadectwa uszu (zanurzony i obracający się ciąg czerpaków, wstęgi tłustawego dymu rozchodzące się nad pogłębiarką) rejestrują naszą zagapioną obecność.

– Co do...?

Ale – chwileczkę – przecież widział już tego człowieka.

To Henry Crick, nie? Ten, który w imieniu syna... Błysk zrozumienia, zarazem coś w rodzaju ulgi pojawia się na twarzy szypra.

– Panie Crick, wiem, że pański chłopak jest trochę tego – (zamiast słowa puknięcie w czoło grubym palcem) – ale czy on naprawdę nie potrafi odróżnić niedzieli od reszty tygodnia?

Przerywa i nagle niepewnie spogląda po zebranych.

– Dziś niedziela, no nie?

Potwierdzamy. Niedziela, bez wątpienia.

– A tam na pokładzie to on, no nie?

Coś w naszych twarzach sprawia, że z jego twarzy znika wyraz ulgi.

Znów potwierdzamy.

– Więc co do...?

Na progu gospody „Przy Promie” (właściciel, jak głosi napis na nadprożu, J.M. Todd) tata podejmuje gigantyczne zadanie wyjaśnienia. Podejmuje. Rezygnuje. Krzywiąc się i zacinając wypycha mnie naprzód (po cichu licząc na moją uczniowską pomysłowość, moją zdolność jasnego wyłożenia sprawy).

– Ty mu powiedz, Tom, ty mu powiedz, na miłość boską.

Otwieram usta. W myślach dokonuję przeglądu z tuzina możliwych punktów wyjścia, przewiduję niezrozumienie i niedowierzanie; uświadamiam sobie całkowite nieprawdopodobieństwo wyłuszczenia w jednej krótkiej chwili powodów, dla których mój brat (mój kto?) przebywa na „Róży II” tego bezwietrznego wieczoru. Decyduję się na zwięzłe kłamstwo:

– Zwariował.

(Przebacz mi, Dick, że twój pożegnalny gest, to, co było dla ciebie ostatnią deską ratunku, naznaczyłem piętrem szaleństwa, pozbawiłem realności. Już kto jak kto, ale ja wiedziałem, że twoja rozpacz ma racjonalne przyczyny. Ja, twój brat. Twój brat. Twój brat?)

– Zwariował. Podchmielił sobie. Wsiadł na motor i pojechał. N-nie wiemy – (wreszcie prawda) – co może zrobić.

Twarz Stana Bootha ciemnieje i chmurzy się. Za nim dwaj prostoduszni chłopcy z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych głowią się nad dziwnym angielskim słowem „podchmielić”.

(Stare wyrażenie, dzieci, od chmielu używanego do fermentacji piwa).

Tymczasem obok mnie tata dostaje napadu ledwo zauważalnych, ale męczących drgawek. W obliczu mojego stwierdzenia, w pewnym sensie, jeśli idzie o refleks, mistrzowskiego posunięcia, w innym natomiast klasycznego uniku, będącego przypomnieniem jego własnej niezdolności zabrania głosu w odpowiednim momencie (ów pozbawiony zwierzeń spacer po ścieżce holowniczej), nie potrafi już zdzierżyć. Pęka napięta sieć przemilczeń i zatajeń. Tata się załamuje. (Załamuje się też – i nie da się skleić, nie da się do końca naprawić, dopóki Tom nie ożeni się z Mary Metcalf – harmonijny układ między ojcem a synem).

Niemal padając na kolana na pokutny żużel pod szyldem gospody, przypominającym szubienicę, wyrzuca z siebie:

– To on zabił Freddiego Parra. Wiecie, tego Freddiego Parra, który utonął. Zabił go. Zamordował. I nie jest moim synem. To znaczy, jest moim synem. Tak. O Boże! Jezu Chryste! Boże, dopomóż mi!

Oczy mu wilgotnieją. Pod wpływem leciutkiego powiewu szyld zaczyna skrzypieć i podnosi się kosmyk rzadkich włosów taty.

Stan Booth powoli wciąga powietrze. Dwaj lotnicy (później dowiadujemy się, że mają imiona Nat i Joe) stoją osłupiali, w myśli wprowadzając zapewne poprawkę do przewodników wydawanych żołnierzom armii USA, w których informuje się ich oficjalnie, że mieszkańcy sielskiej Anglii są powściągliwi i flegmatyczni.

Nikt nie pędzi po policję. Nikt mu nie wierzy. Prawda jest o tyle dziwniejsza niż...

– To niby ten facet na łajbie zabił faceta?

Do przedniej szyby pobliskiego forda przyklejony jest mały krążek. Krwistoczerwony wielki kaktus na pomarańczowym tle. Napis turkusowymi literami: *Arizona: Królowa Pustyni*.

Wietrząc bezbłędnie dramat, inni użytkownicy gospody „Przy Promie” wychodzą na podjazd. Pykający fajkę gospodarz – sam J. M. Todd. Dwaj miejscowi z pomarszczonymi twarzami, o wyglądzie regularnych ciem barowych.

Cały czas, kiedy ustawia się to grupowe *tableau*, od strony pogłębiarki dochodzi nieprzerwany hałas, niby sygnał alarmowy. Dźwięk, który każdego powszedniego dnia musi dla mieszkańców Staithe Ferry być czymś tak zwyczajnym, iż prawie niezauważalnym – przypominającym im jedynie, że wszystko toczy się normalnie, że odbywa się wiecznie potrzebne, nie znające końca odblokowywanie Ousy – teraz rozlega się natrętnie w niedzielę, kiedy go nie powinno być. Z czego można wnosić, że nie wszystko toczy się normalnie.

Mówi Stan Booth:

– Nie kapuję. Nie kapuję, kurde. Dobra, bierzemy łódź i płyniemy.

Wszyscy rzucają się do przystani. Łódź wiosłowa z dwoma ławkami kołysze się na wysokiej wodzie, jakby specjalnie na nas czekała. Stan Booth, kierujący operacją, wyjmuje – w charakterze zastosowania pierwszych środków ostrożności – paczkę papierosów z kieszonki koszulki i zapala. Marka Camel, podarunek szeregowców Nata i Joe’ego. Pociąga, oceniając okiem fakt przyływu, rozważając zapewne dwie ewentualności: że utajony szaleniec zniszczy mu za chwilę pogłębiarkę; że przez jakąś ciemną rodzinną drakę straci za chwilę najlepszego mata, jakiego kiedykolwiek miał – po czym daje rozkaz zaokrętowania się. Tata ofiarowuje się wiosłować. Stan Booth rzuca mu dziwne, litościwe spojrzenie i kieruje na ławkę na rufie. Moje obeznanie z wydarzeniami zapewnia mi miejsce obok. Dwaj Amerykanie domagają się hałaśliwie, żeby ich zabrać, na co – wzięwszy pod uwagę okoliczności oraz rozmiary łodzi – żaden przezorny sternik nie powinien się zgodzić. Stan Booth odmawia, po czym ustępuje. Tylko połączenie jego stanu zamroczenia whisky z korzystnym stanem wód, gdzie wciąż jeszcze trwa przyływ, uporczywymi naleganiami Amerykanów („Możesz potrzebować pomocy, jakby facet zaczął rozrabiać”) i – kto wie, czy nie najważniejszą – nadzieją na łapówkę w postaci dalszych kartonów cameli tudzież paru kropel whisky może sprawić, że łódź przeznaczona do przewożenia bez trudu i ryzyka najwyżej trzech osób

wypływa z przystani z pięcioma.

Przed wejściem do łodzi jeden z lotników pędzi do zaparkowanego forda. Wraca z lornetką polową. Czarny bakelit. Z przydziału Sił Powietrznych USA.

– Hej, chłopaki, może się przydać. – Zawiesza lornetkę na skórzanym rzemieniu na szyi, jak turysta, który wybiera się na przejażdżkę po zatoce, uzbrojony w aparat fotograficzny. Gramoląc się do łodzi, błyska zębami w szerokim uśmiechu i ostro salutuje tacie i mnie: – Cześć, jestem Nat Turner, a to Joe Shulberg. Jesteśmy z Tuscon. Tuscon, Arizona. – Wyjmuje własną paczkę cameli. Stan Booth popluwa na dłonie. Tata odcumowuje. Odbijamy.

To nie przypomina naszego małego poczciwego Leemu. To przypomina morze. Wielka Ouse, która wpada do zatoki Wash. Która kiedyś łączyła się z Renem. Ma słonawy, nieprovincialny zapach. Widziane z małej łodzi, kierującej się na środek rzeki, jej brzegi wydają się odległe, sprawiają wrażenie miniaturowego wybrzeża morskiego.

Suniemy naprzód ku pogłębiarce, niesieni tyleż siłą przyływu, co forsownymi uderzeniami wiosł Stana Bootha. Światło, cały dzień przysłonięte deszczową letnią chmurą, zaczyna gasnąć. Nie żebyśmy na razie musieli wysilać oczy. Bo, jak powie wam każdy żeglarz, światło utrzymuje się najdłużej przy wodzie. Najszybciej pogłębiają się cienie nad ziemią. Wodniste miejsca tego świata najpóźniej poddają się nocy. Nie żebyśmy mieli szczególnie na co patrzeć: przybliżający się kadłub pogłębiarki (z naszej małej łódki wydaje się o wiele większy, o wiele potworniejszy niż z suchego brzegu); za nami niknąca gospoda „Przy Promie” oraz droga na most; po obu stronach ślepe i tajemnicze fortyfikacje brzegów, zamykające horyzont, jak gdyby ukrywały fakt, że poza nimi nie ma nic.

Świat nisko położony, płynny, świat prawie niematerialny. Tak różny (ach, nawet wtedy donkiszotowska ciekawość) od gorących srogich *sierras*, kowbojskiej fanfaronady i kanionów Arizony...

Amerikanin z lornetką (Nat? Joe?) kieruje ją na „Różę”.

– Absolutnie nic nie widzę.

Twarz ma świeżą i zadowoloną. Przechwytuje moje spojrzenie.

– Co, mały, chcesz sobie popatrzeć?

Ponad ciężkimi ramionami Stana Bootha wyciąga do mnie lornetkę, jakby ofiarowywał wieczną gumę do żucia i czekoladę. Szeroki uśmiech.

– No, popatrz sobie.

Jak gdybym był wybałuszającym oczy tubylcem, który nigdy przedtem nie widział takiego cudu nowego świata.

Za dwa lata będę w mundurze, jak on.

Stan Booth mówi:

– Siadać.

Ciężko pracuje wiosłami.

Ponad łoskot pogłębiarki – dosłownie ponad, ponieważ dochodzi z zachmurzonego nieba – wybija się inny dźwięk, warkoczący, donośny, natrętny, ale zbyt dobrze znany – albo może zbyt mało mający wspólnego z obecnymi troskami – żebyśmy tata czy ja, czy Stan Booth, wiosłujący w pocie czoła, podnieśli oczy. Tylko dwóch lotników, wciągniętych z własnego wyboru, ale bez możliwości powrotu (pogłębiarka jest już blisko) w tę wodniacką przygodę, czuje się w obowiązku okazać zainteresowanie ogólniejszymi sprawami oraz zaznaczyć swoją wierność, i tak już uwidocznioną przez mundur, wobec niebios.

– O! Lecą (Joe? Nat?)

– Jahu-u-u! Zróbcie im piekło! – (ten drugi).

Warunki sprzyjające, mimo niskich chmur nad wybrzeżem Morza Północnego. Antycyklon, być może wiejący od kontynentu, już oczyszcza niebo nad Niemcami. Zanim jeszcze zapadnie noc, gwiazdy.

A zresztą ta wojna nie uznaje niedzieli. Nie robi przerw na pójście do kościoła czy weekendowe rozrywki (ani nawet na pewien drobny przypadek morderstwa). Nie ma wytchnienia dla mieszkańców Hamburga i Berlina, którzy na cześć Pańskiego dnia mają doświadczyć piekła.

Przelatują z hukiem, skryci dyskretnie za chmurą. Znów słyhać tylko łoskot pogłębiarki. Rata-tata, rata-ta-ta! Teraz głośniejszy, ponieważ jesteście bliżej – niecałe sto jardów.

A wraz z dźwiękiem zapach. Zapach czegoś wydobytego z prymitywnych głębi. Zapach przenikający sypialnię Dicka.

On tu jest. Zna swoje miejsce. Zna swoją pozycję. Pilnuje, żeby ciąg łańcuchowy się obracał, czerpaki wydobywały szlam. Łoskot pracującej maszynierii zagłusza przelotną powietrzną wrzawę globalnych zmagania. On nie słyszy bombowców, nie widzi bombowców. A zapach szlamu jest zapachem sanktuarium, jest zapachem amnezji. On jest tu, on jest teraz. Nie tam czy wtedy. Bez przeszłości, bez przyszłości. Jest matem na „Róży II”.

Jest także zbawcą świata...

Pięćdziesiąt, czterdzieści jardów. Woda huczy i wibruje. Poniżej „Róży” olbrzymi ryj ciągu łańcuchowego wżera się, wgryza spróchniałymi zębami w miękkie, bezbronny brzuch rzecznoego dna. Trzydzieści jardów. Tata znów nie może się powstrzymać od nawoływań. Jeszcze raz, zwijając dłonie w trąbkę, usiłuje przekrzyczeć hałas pogłębiarki:

– Dick, płyniemy do ciebie! Płyniemy zabrać cię do domu, Dick! Do domu! – Dwadzieścia jardów. – Dick, płyniemy...

A wtedy...

Wtedy.

Ale pamięć nie potrafi zatrzymać w kadrze tych ostatnich chwil, tak by trwały nieruchome i wyraźne. Pamięć nie może nawet być pewna, czy tego, co zobaczyłem, nie zobaczyłem najpierw w wyobraźni, zanim jeszcze zobaczyłem w rzeczywistości, tak jakbym już gdzieś był tego świadkiem – wspomnienie przed wydarzeniem. Głowa i ramiona Dicka (bo teraz jesteśmy na tyle blisko, że musimy wyciągać szyje, aby zajrzeć na pokład „Róży”) ukazują się nad nadburciem, jakieś trzy jardy przed rzygającą cały czas zrzutnią szlamu. Przez sekundę Dick wpatruje się w nadpływającą łódź. Przez tę samą sekundę ja widzę to, co musi widzieć on: przepelnioną szalupę, trzy znajome twarze oraz nie wiadomo dlaczego (nie wiadomo?) dwie osoby towarzyszące w mundurach. W mundurach. Dick pędzi naprzód, poza punkt naszego zamierzonego kontaktu z kadłubem pogłębiarki tuż przed platformą szlamową, mijamy więc go w znacznej odległości na trawersie. Ponad ogólny harmider wybija się wyraźny brzęk szkła rozbijanego o metal.

Który to, Nat czy Joe, przemówił pierwszy? – Hej, chłopie, nie przejmuj się! – Albo Stan Booth (wykręcając głowę nad barkiem). – Dick, Dick, chłopaku, niech to szlag! Wyłącz ten cholerny ciąg! – Albo tata wykrzyknął przed którymś z nich (ku jeszcze większemu zdumieniu naszych amerykańskich gości, nie mówiąc już o Stanie Booth): – Dick, wszystko w porządku! Dick, będę twoim ojcem...!

Czy naprawdę (ale jak mogłem mieć pewność w tym słabnącym świetle, z tej rozkołysanej perspektywy?) jego powieki zupełnie się nie poruszyły, a jego spojrzenie, błyszczące i baczne, przestało w pewnym momencie kierować się na nas, lecz zwróciło się w zamyśleniu ku zmarszczonej, zamkniętej, wibrującej powierzchni Ousy? Czy on najpierw się ruszył, czy ja najpierw krzyknąłem?

I czy w rzeczywistości krzyknąłem głośno, czy też słowa zadźwięczały tylko w moim mózgu (i odbijają się echem po dziś dzień)?

– Dick, nie rób tego!

Ale wszyscy widzieliśmy, byliśmy zgodni – zamroczeni whisky czy trzeźwi – co do tego, co nastąpiło potem.

Dick odwraca się. Chwiejnym krokiem zmierza na forkasztel, na sam dziób „Róży” (który nie jest, jak wiele dziobów, ostry i szlachetnie wygięty w łuk, przeznaczony do tego, by pruć i pokonywać fale, ale tępy, zaokrąglony i szczerbaty, w dodatku zwieńczony żurawiem do podciągania lin podwieszających ciągu łańcuchowego). Wdrapuje się na nadburcie, staje na nim boso, ani myśląc trzymać się podpór znajdującego się obok żurawia. Prostuje się na pełną wysokość. Przez chwilę ustawia się, balansuje, kołysze na nadburciu, mając w tle przyćmioną poświatę zachodniego nieba. Po czym rzuca się głową naprzód. Długim, dalekosiężnym, potężnym łukiem. Dostatecznie długim i dalekosiężnym, by można było całkowicie zlekceważyć późniejszą teorię, jakoby musiał zaplątać się w łańcuch kotwicy albo liny podwieszające, dostatecznie długim i dalekosiężnym, abyśmy zdołali dostrzec, jak jego ciało podczas tego lotu w powietrzu tworzy pojedyncze, napięte, na pozór pozbawione kończyn *continuum*, tak że ekspert od nurkowania mógłby zawyrokować, iż faktycznie zachodzi tu przypadek urodzonego nurka, przypadek człowieka-ryby.

Po czym przebijają wodę prawie bez plusku. I znikają.

Wypatrujemy, czekamy na wynurzającą się głowę. Wypatrujemy i przestajemy wierzyć (zaczynamy nie wierzyć) własnym oczom. Wypatrujemy i spływamy z prądem (tak, nastąpiła zmiana, zaczął się odpływ); przekraczamy tam i z powrotem wyobrażoną linię biegnącą w dół rzeki od dziobu „Róży”. Wołamy w wodnistą ciemność (nawet przybysze z dalekiej Arizony wykrzykują co rusz i z dziwnym przejściem „Dick!”, jakby zaklinali starego kumpla). Wołamy i znowu wołamy. To znaczy wszyscy z wyjątkiem szesnastoletniego chłopca, który siedzi ściśnięty obok ojca u steru szalupy, pogrążony w zamkniętym milczeniu. Ponieważ wie (choć nie mówi, nigdy nie powie, zostanie to na zawsze tajemnicą jego i Mary): żaden czubek głowy się nie wynurzy. Nie rozlegnie się w odpowiedzi żadne bulgocące wołanie o ratunek. Dick podąża swoją drogą. Posłuszny instynktowi. Powracając. Ouse płynie do morza...

Tata bierze wiosła od zmęczonego Stana Bootha. Pogłębiarka, zostawiona sama sobie, nadal zawzięcie bagruje. Pilnie przeszukujemy i przepatrujemy wodę (później, w świetle brzasku, obnażone brzegi, oślizłe filary mostu drogowego). Wiosłujemy z powrotem pod prąd, cumujemy do „Róży” i wspinamy się na statek. Żadnego mokrego i trzęsącego się Dicka (nasza ostatnia, słaba nadzieja), który nas wszystkich wywiódł w pole i, przepłynąwszy dookoła, wdrapał się na pokład. Stan Booth wyłącza wreszcie silnik ciągu łańcuchowego. Nagła, rozedrgana cisza uderza jak dzwon żałobny. – Może ktoś wyjaśni. – Potykamy się o puste butelki. Przechylamy przez nadburcie. Wstęgi mgły. Nieodgadnioność. Na brzegu, w gęstniejącym zmierzchu, zmierzchu błędnych ogników, porzucony, ale czujny motocykl.